



Susanne Dunlap

**Pocafunek
Liszta**

Prolog

Lipiec 1830

Anne i jej matka spędziły piękne lipcowe popołudnie w sali balowej, pomieszczeniu, które z założenia miała wypełniać muzyka i śmiech. Grały i śpiewały Mozarta, Schuberta oraz Clementiego; markiza odtańczyła nawet mazurka, gdy Anne rozczytywała nowy utwór Chopina.

- Grasz lepiej niż zwykle - powiedziała markiza.

Pochwała matki bardzo ucieszyła Anne, zadziałała na nią jak promienie popołudniowego słońca. Spojrzała na swoje smukłe, silne ręce. Uwielbiała grać i grać, aż do utraty tchu.

- Nigdy nie będę w tym tak dobra jak ty.

- Bzdura.

Markiza wstała z obitej jedwabiem otomany i usiadła na połączonym krześle obok córki.

- Wkrótce mnie prześcigniesz. Masz to we krwi. Może pewnego dnia ojciec pozwoli mi...

Głos jej się załamał.

Anne wzięła matkę za rękę. W myślach dokończyła zdanie, które tak często słyszała z ust markizy: „Może twój ojciec pozwoli mi zabrać cię na jakiś koncert, do teatru, salonu lub opery...”, a nie tylko do kościoła, szewca czy krawcowej. Lekcje gry na fortepianie brała w domu, u matki albo u starannie dobranych nauczycieli muzyki. Co więcej, nie wolno jej się było przyjaźnić z rówieśnikami. Świat, który markiza stworzyła dla córki, był wygodnym więzieniem, pełnym muzyki i piękna. Otoczona matczyną miłością, Anne rzadko protestowała przeciwko narzuconym ograniczeniom.

Markiza zaczęła grać akompaniament, a Anne dołączyła się do duetu ze swoją partią, której się nauczyła, gdy miała jeszcze zbyt małe rączki, by objąć nimi kwintę. Obie doskonale wiedziały, że prosta melodia może zawierać w sobie więcej wyrazu, niż ktokolwiek mógłby podejrzewać.

- Musimy już kończyć? - spytała Anne, gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki duetu.

Markiza wetknęła córce za ucho jeden z niesfornych loków.

- Wkrótce przyjdzie ojciec.

Jakby dla potwierdzenia jej słów na zwirowym podjeździe zachręściły koła powozu. Obie kobiety spojrzały w stronę drzwi sali balowej. Lokaj Julien podniósł się z taboretu i otworzył podwoje rezydencji. Anne słyszała, jak ojciec pokonuje trzy stopnie, na każdym z nich ciężko opierając się na lasce. Po wejściu do westybulu tak mocno trzasnął drzwiami, że zadrżały szyby w oknach.

- Dzień dobry, panie markizie - powiedział Julien.

Starszy pan nic nie odrzekł; szedł dalej przy akompaniamencie swojego „stuk-puk”. Odkąd Anne sięgała pamięcią, ojciec używał laski. Podobno utykał z powodu rany, którą odniósł, uciekając z Paryża podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Gwałtownie otworzył drzwi do sali balowej.

- Muszę z tobą porozmawiać, Sandrine.

- Idź. Przebierz się do kolacji - szepnęła matka.

Anne niechętnie dygnęła i obeszła markiza, który nawet na nią nie spojrział. Kiedy przekroczyła próg, starszy pan wszedł do okazałego pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Potem dziewczyna usłyszała jego podniesiony głos, niespokojne kroki i stukanie laski o parkiet. Tak niespokojnie chodził tylko wtedy, gdy był zły.

Zamiast pójść schodami na piętro do swojej sypialni i ubrać się w suknię wieczorową, Anne rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt na nią nie patrzy, i przycisnęła ucho do drzwi. W taki sposób usłyszała o wielu sprawach, które rodzice starali się przed nią ukrywać. Zdobyte ukradkiem informacje wystarczyły, by się zastanawiać, co jest powodem tłumionych łez matki i ponurych nastrojów ojca.

- Ależ, kochanie, na pewno coś się dla ciebie znajdzie.

Anne słyszała w głosie markizy wyraźny niepokój.

- Nic z tego. Jeszcze nim się urodziłaś, zerwałem wszelkie kontakty z księciem Orleanu.

- Nie możesz poprosić o wsparcie Talleyranda?

- Ha! - Gorzki śmiech markiza odbił się echem po westybulu, chociaż od sali balowej dzieliły go grube drzwi. - Już się ode mnie odwrócił. Prawdę mówiąc, jako pierwszy. To człowiek, który zawsze myśli tylko o sobie, niezależnie od tego, ile jest komu winien.

Kiedy Anne usłyszała, że ojciec zbliża się do drzwi, pobiegła schodami do swojego pokoju. Była ciekawa, czy później matka powie jej, co się stało. Wiedziała, że na markiza nie może liczyć.

Kolacja tego wieczoru była wyjątkowo cicha. Sandrine de Barbier starała się uśmiechać i wciągać męża do rozmowy, ale on jedynie wpatrywał się ponuro w swój kieliszek wina.

Dopiero gdy Thérèse, służąca matki, pomagała Anne przygotować się do snu, dziewczyna dowiedziała się, co się stało.

Król wraz z całą rodziną uciekł z Paryża. Pospólstwo wzniosło na ulicach barykady i próbowało wywołać następną rewolucję.

- Dlaczego? - spytała Anne.

- Podobno król Karol przebrał miarę, otaczając się dworem w dawnym stylu, a przede wszystkim pozabawiając nas praw, o które walczyliśmy w okresie rewolucji.

Problem polegał na tym, że markiz należał do dworu. Był strażnikiem pieczęci. Anne nie miała pojęcia, czym zajmuje się strażnik pieczęci, ale najwyraźniej ojciec właśnie przestał to robić. Oznaczało to, że teraz więcej czasu będzie spędzał w domu.

- Biedna mama - mruknęła dziewczyna, gdy Thérèse szciotkowała jej włosy.

I

Okna domu były pozasłaniane czarną krepeą. W powietrzu unosił się zapach kamfory i śmierci. Markiza zmarła kilka godzin temu na cholere, chorobę, która z założenia atakuje spóółstwo żyjące w brudnych, przełudnionych i pozbawionych świeżego powietrza norach, a nie bogaczy w pałacach Saint Germain. Anne była tak oszołomiona, że jedynie obserwowała przez wysokie okna sali balowej Thérèse, która z twarzą mokrą od łez zaniósła kosz z pościelą w róg dziedzińca i wrzuciła ją w ogień. Kłęby czarnego dymu unosiły się w ponure, szare niebo. To środki ostrożności - powiedział doktor Magendie. Pozostałym domownikom nic przypuszczalnie nie grozi, pod warunkiem, że wszyscy będą pić rumianek i nosić woreczki z kamforą.

Anne z trudem odwróciła się od okna. Zaledwie trzy dni temu markiza siedziała przy fortepianie w rogu sali. Z błyszczącymi oczami opowiadała o muzyce, którą ostatnio słyszała. Twierdziła, że pianistów, którzy właśnie przebywają w Paryżu - Chopina i Liszta - powszechnie uważa się za geniuszy, jakich dotychczas nie znał świat. Dotyczyło to przede wszystkim Liszta, który niedawno pojawił się we Francji. Obiecała, że gdy węgierski pianista będzie grał następny koncert, ona zabierze ze sobą Anne, nawet wbrew wyraźnemu zakazowi markiza. „Gdy byłam w twoim wieku, co wieczór chodziłam na koncerty” - powiedziała. Anne wciąż słyszała słowa matki. Wszystko stało się tak nagle. W jednej chwili markiza była okazem zdrowia, potem na ich oczach zbladła i zacisnęła ręce na brzuchu, ciężko się rozchorowała. Chociaż Anne widziała, jak po niecałej dobie potwornych katuszy na twarzy matki pojawił się błogi spokój, nie mogła uwierzyć, gdy doktor oznajmił, że Sandrine de Barbier nie żyje. Dziewczyna była przekonana, że kiedy wyłoni się zza rogu lub wejdzie do któregoś z pomieszczeń rezydencji, zobaczy, jak markiza idzie w jej stronę albo siedzi na ulubionym krześle i jak zwykle uśmiecha się do córki.

- Co tu robisz?

Anne drgnęła i odwróciła się. W otwartych drzwiach sali balowej stał ojciec ciężko wspierający się na lasce.

- Ojczy! - zawołała, podbiegając do niego.

Po wyjściu lekarza markiz schronił się w swojej bibliotece, dlatego dziewczyna nie widziała go od śmierci matki.

Cofnął się i ustawił bokiem, uniemożliwiając uścisk. W dodatku zasłonił ręką oczy, jakby nie mógł patrzeć na córkę albo nie chciał, żeby dostrzegła w jego oczach łzy. Anne zatrzymała się i zacisnęła pięści.

- Natychmiast stąd wyjdź i nigdy więcej tu nie wchodź!

Anne wiedziała, że ojciec, okazując wyraźną złość, stara się ukryć ból, ale nie spodobał jej się jego ton.

- Proszę... - zaczęła.

Gwałtownym ruchem głowy wskazał jej drzwi. Była zbyt zmęczona i oszołomiona, aby mu się sprzeciwić, dlatego potulnie wyszła, ale wcześniej po raz ostatni spojrzała na pięknego pleyela. Bardzo chciała podbiec do instrumentu i za pomocą dźwięków wyrazić smutek i żal po śmierci matki.

Od tego czasu ból Anne pojawiał się i znikał. Sen - jeśli nie liczyć niespokojnych drzemek - w ogóle nie wchodził w rachubę. Gdy tylko zamknęła oczy, z ciemności wyłaniała się pełna smutku twarz matki. Anne

chciałaby zachować ją we wspomnieniach jako osobę szczęśliwą i zdrową, ale nawet gdy cofała się myślami do dawnych czasów, na obliczu markizy zawsze widać było zmartwienie i smutek. Chociaż dziewczyna wiedziała, że matka częściej była pełna życia i radości, nie potrafiła jej sobie przypomnieć w takim stanie.

Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, tylko Anne go nie знаła, nie mogła przebić wzrokiem grubej zasłony umysłu. Wiedziała, że coś się tam ukrywa, ale brakowało jej sił, by odciągnąć kurtynę. Poza tym co to zmieni? Matka zmarła i trzeba było pogodzić się z tym faktem.

Pierre Talon naciągnął prześcieradło na twarz młodej kobiety, która zaledwie kilka godzin temu opowiadała mu o swoim dzieciństwie, które spędziła w Bretanii, zanim przybyła do Paryża w poszukiwaniu pracy szwaczki. Wysokim, piskliwym głosem, który wydobywał się spomiędzy popękanych warg, co chwila błagała o wodę i mówiła, mówiła bez końca, dzięki swojej opowieści kurczowo trzymając się życia. Jej wysiłki spełzły na niczym. Teraz leżała martwa, jak dwadzieścia innych osób, których śmierć Pierre widział tylko tego wieczoru. Wieczoru? Był już ranek. Przez wysokie okna Hôtel-Dieu ujrzał szarzące niebo.

- Chodź, Pierre, już nic więcej nie możemy zrobić.

Przyjaciel Talona, Georges, odciągnął go delikatnie, byle dalej od stęchlizny i jęku pacjentów, którzy wciąż zmagali się z cholera. Obaj byli studentami medycyny, którzy przybyli do Paryża, by na tutejszym uniwersytecie pod okiem Andrala i Louisa poznawać tajniki chirurgii. Groźna epidemia sprawiła, że w mgnieniu oka awansowali i obecnie ramię w ramię z innymi studentami i lekarzami walczyli z kapryśną chorobą. Władze utworzyły kordony sanitarne, a officiers hygiéniques pilnowali wywozu śmieci i zwłok z ulic. Mimo to cholera dziesiątkowała mieszkańców miasta.

- Chyba nie wytrzymałbym tam ani minuty dłużej - wyznał Pierre.

Miał za sobą trzy długie dni, podczas których zdołał wykraść zaledwie kilka godzin na sen. Georges otoczył go ramieniem.

- Dzisiaj zmarło mniej osób. Podobno epidemia powoli dobiega końca.

Pierre przytaknął. We dwóch pokonali opustoszałe ulice i dotarli na wspólną stancję przy rue des Bernardins w pobliżu uniwersytetu. Mieli do dyspozycji dwa pokoje. W rogu jednego z nich stał piec, który ogrzewał stancję i służył do gotowania. Oba pomieszczenia były skąpo umeblowane, ale Pierre zdołał kupić stary fortepian stołowy i czasami ku uciesze przyjaciół wygrywał na nim wesołe melodyjki. Kiedy zostawał w domu sam, wybierał inne utwory: sonaty, rondo i fortepianowe transkrypcje arii operowych. Nie był dobrym pianistą, ale zauważył, że możliwość położenia rąk na klawiaturze i rozbrzmiewające wokół dźwięki cudownie kują jego zszargane nerwy.

Teraz, kiedy na co dzień zmagał się z epidemią i śmiercią, muzyka była dla niego wszystkim.

Gdy wrócili tego ranka, Georges opadł na wyścielane krzesło, a Pierre zasiadł do fortepianu. Grał walce Schuberta z nut, które kupił dwa lata temu, zaraz po przyjeździe do Paryża.

Żaden z nich nie odezwał się słowem, ale słuchali delikatnych dźwięków muzyki, dopóki pozwoliło im na to zmęczenie.

Anne źle się czuła w niezgrabnej czarnej jedwabnej sukni, która niegdyś należała do matki. Teraz Thérèse musiała dopasować ją na córkę. Ciężka, sztywna kreacja szeleściła przy każdym ruchu. Ojciec miał na sobie strój, który dziewczyna po raz ostatni widziała rok temu, po śmierci dworzanina, którego markiz znał

niemal całe życie. Gdy wsiadali do karety, zauważyła, że w czarnym wełnianym surducie ojca widać dziury wygryzione przez mole, a brzegi czarnej opaski zaczynają się strzępić.

Nie było czasu na odpowiedni pochówek; poprzedniego dnia przyszedł do domu ksiądz i powiedział, że odśpiewa rekwiem przy grobie. Chociaż Anne uznała, że kapłan nie chciał wpuścić trumny markizy do kościoła przede wszystkim ze strachu przed cholera, to łzy, które uronił z powodu śmierci pięknej parafianki, były naprawdę szczere. Tak samo jak szok, który przeżył, gdy próbował przyciągnąć do siebie ojca i córkę, a markiz odmówił podania mu ręki.

- Bóg jest miłosierny. Zostawił waszej ekscelencji pociechę w postaci córki, która złagodzi smutek i poczucie samotności - powiedział ojciec Jean melodyjnym głosem, dobrze Anne znanym z mszy.

Ojciec wcale nie musiał się odzywać. I bez tego wiedziała, że jej obecność bardziej mu przeszkadza, niż dodaje otuchy.

Markiz trzymał ręce nieruchomo na kolanach. Dziewczyna bardzo chciała, żeby ją przytulił. Ten prosty gest pozwoliłby jej wrócić do rzeczywistości, a nie wisieć gdzieś w powietrzu. Anne odwróciła się i wyjrzała przez okno zamkniętego powozu. W strugach deszczu zmierzali w sznurku karet na północ, w stronę Père-Lachaise, cmentarza, który jakiś czas temu stał się modnym miejscem pochówku. Markiza miała na nim spocząć w rodzinnym grobowcu. Karawan wskazywał drogę. Anne i jej ojciec siedzieli w powozie, który jechał tuż za nim, a ilekroć skręcali, widać było, jak czarne pióra na uzdach koni podskakują przy każdym kroku.

By dotrzeć do cmentarza, musieli przejechać przez paryskie dzielnice nędzy. Anne przytknęła do nosa woreczek z kamforą i przez cały czas go wachała, żeby zarówno nie czuć przytłaczającego odoru zwłok, które służby miejskie poukladały na ulicach w wysokie stopy, jak i uchronić się przed chorobą. Jak pisano w broszurkach i codziennej prasie, kamfora dobrze zabezpieczała przed trującymi miazmatami. W żadnym z artykułów właściwie nie wyjaśniano, czym są owe miazmaty, ale z pewnością było to coś niewidocznego i niebezpiecznego. Anne wierzyła, że to jakieś tajemnicze, niewidzialne siły spowodowały chorobę i nagłą śmierć matki. Z pewnością trudno to jakoś inaczej wytłumaczyć. Markiza była osobą życzliwą, piękną, łagodną i sprawiedliwą. Tylko ona jedna spośród niewielu osób, które dziewczyna знаła, potrafiła wywołać na obliczu ojca łagodny uśmiech.

Od śmierci żony markiz trzymał się na uboczu. Anne widziała, jak Julien nosi tace z jedzeniem do biblioteki, a po krótkiej chwili niemal nietknięte odnosi z powrotem do kuchni. Starszy pan wyłonił się dopiero wtedy, gdy trzeba było pojechać na cmentarz. Dziewczyna zbyt się bała złych nastrojów ojca, by pójść do niego, nie czekając na wezwanie. Z drugiej jednak strony nie bardzo wiedziała, dlaczego się go lęka. Nigdy nie był dla niej niedobry. Pomijając fakt, że swoje życzenia zamieniał w niewzruszone zasady, przez większość czasu po prostu ją ignorował, pozwalając, żeby matka i Thérèse dbały o wszystkie jej potrzeby i zapewniły jej odpowiednią edukację. Przed pójściem do łóżka zawsze całowała podstawiony policzek ojca, a on przyjmował to w całkowitym milczeniu. Przy specjalnych okazjach poklepywał córkę po głowie, zwłaszcza gdy dawał jej prezent z okazji urodzin albo Bożego Narodzenia.

Gdy była mała, milczenie i obojętność markiza powodowały w niej bunt. Pewnego razu schowała laskę ojca pod dywanem, tak bardzo bała się jej stukania o podłogę. Kiedy przestępstwo zostało odkryte, matka mu-

siała za karę wymierzyć delikatnie ukochanej córeczce kilka różg. Łzy i rozdzierający szloch markizy sprawiły Anne taki ból, że poprzysięgła sobie, iż nigdy więcej nie będzie robić takich rzeczy.

Gdy nieco podrosła, po cichu zazdrościła matce spojrzeń, jakimi markiz ją obrzucał, gdy schodziła na kolację odziana we wspaniałe jedwabie i aksamity, obwieszona biżuterią i spowita w futra. Czasami Thérèse pozwalała dziewczynce usiąść na schodach i patrzeć przez balustradę na przyjęcia wydawane przez rodziców. Wtedy Anne dostrzegała podziw dla matki również w oczach innych panów. Markiza wiedziała, że córeczka siedzi na schodach, ale nie miała nic przeciwko temu. Chciała, żeby dziewczynka posłuchała muzyki, a przyjęcia były jedynymi wydarzeniami, które poniekąd przypominały koncerty. Od czasu do czasu występował jakiś śpiewak lub instrumentalista, a dzięki zapraszającym przez rodziców orkiestrom kameralnym Anne stopniowo zapoznawała się z dźwiękami smyczków i instrumentów dętych. Przy pewnej wyjątkowej okazji - chyba były to urodziny matki - markiz zapłacił śpiewakom z Opery Paryskiej, żeby odegrali w sali balowej kilka scen. Anne, ubrana w najlepszą sukienkę, siedziała na kolanach markizy i oglądała występ. Była urzeczona bogatymi kostiumami. Jedna ze scen przedstawiała burzę. Usłyszawszy niespodziewane uderzenie w kotły, dziewczynka wybuchnęła płaczem. Myślała, że to piorun trafił w ich rezydencję. Przedstawienie dobiegło końca, gdy Thérèse odprowadziła Anne do sypialni.

Jednak najczęściej mała hrabianka słuchała i obserwowała wszystko ze swojej kryjówki na schodach, niezauważona przez gości. Już bardzo wczesnie dostrzegła, że matka wzbudza powszechny podziw. Widziała również, iż ojciec nie odrywa od żony wzroku i zawsze znajduje jakiś powód, by jej dotknąć - gdy prowadził ją przez salę balową, podawał kieliszek szampana lub prosił, żeby zagrała dla gości na fortepianie.

- Prrr! - zawołał woźnica.

Powóz zatrzymał się tak nagle, że Anne omal nie spadła z siedzenia.

- Co się stało? - spytała.

Markiz siedział bez zmrużenia oka. Dziewczyna uniosła gęsty welon, odsłoniła okno i wystawiła głowę.

- Wielkie nieba!

Ze wszystkich stron w kierunku odległego o niecały kilometr cmentarza zmierzały konduktory żałobne. Anne miała wrażenie, że nawet drogi są pogrążone w żałobie: tłoczyły się na nich czarne powozy zaprzężone w czarne konie, z odzianymi na czarno woźnicami na kozłach. Tyle orszaków żałobnych nie było w stanie jednocześnie wjechać na cmentarz, tymczasem gdzieś z przodu pojawiła się jakaś przeszkoda. Anne wychyliła się jeszcze bardziej z okna.

Zauważyła z przerażeniem, że któryś karawan zbyt ostro skręcił, a wieziona przez niego trumna spadła z katafalku. Starając się jak najszybciej pochować zmarłych, przedsiębiorcy pogrzebowi oszczędzali na gwoździach przy zamykaniu trumien; ta upadła na ziemię i otworzyła się, wyrzucając na drogę opuchnięte fioletowe zwłoki. Młody mężczyzna, który stał przy pustym karawanie, rozglądał się ze smutkiem wokół siebie. Przez jedną okropną chwilę wyglądało na to, że nikt nie pospieszy mu z pomocą. Przez ułamek sekundy jego wzrok spoczął na Anne. Cofnęła głowę i zasłoniła ręką usta, żeby nie zwymiotować.

Postanowiła, że nie będzie już wyglądać, ale problem najwyraźniej udało się rozwiązać, bo w końcu znów zaczęli powoli zmierzać w stronę bram cmentarza. Długo czekali na swoją kolej. Kiedy dozorca przy bramie wpuścił kondukt, konie poczłapały żwirową alejką wzdłuż rzędu grobowców i pomników. Cmentarz

przypominał miniaturowe gotyckie miasto usadowione na zboczu. Co trzeci, czwarty grobowiec najwyraźniej był ostatnio otwierany, a pod końskimi kopytami leżało tyle świeżych kwiatów, że w powietrzu unosił się ich słodki zapach.

Ceremonia rozplynęła się w obłoku kadzidła i morzu łez. Niewiele osób zęgnało markizę. Była jedynaczką, a jej rodzice zmarli wkrótce po przyjsciu Anne na świat. Z tego, co dziewczyna wiedziała, nie miała żadnych krewnych ani ze strony ojca, ani matki. Jedyne brat markiza zmarł mlodo, a jego zona wkrótce po smierci meza wydalala na swiat martwe dziecko i sama rowniez rozstala sie z zyciem. Z rozmow rodzicow przy kolacji wynikało, że po upadku Karola X ich rodzina zostala wykluczona z wyzszych sfer. Jedynie nieliczni przyjaciele matki przynosili wieści z dworu, ale z nimi markiz nie chcial sie zadawac. Dlatego niewielka grupka zalobnikow, ktora zebrała sie przy grobowcu rodzinnym Barbierow, skladała sie glownie ze sluzby i kilku obcych osob, być może uczestników innych pogrzebów albo wytwornych żebraków, którzy liczyli, że ktoś kilkoma miedziakami wynagrodzi ich łzy.

Gdy kapłan gładził po łacinie, przez głowę Anne przemykały scenki, wspomnienia i myśli, których nawet sobie nie uświadamiała. Później niewiele pamiętała z pogrzebu poza niemiłym odczuciem pustki i straty. Utkwił jej jednak w głowie drobny incydent, który zdarzył się, gdy wraz z ojcem postanowili wsiąść do powozu, żeby wyruszyć w drogę powrotną przez nędzne dzielnice wokół cmentarza do dobrze znanych luksusów Saint Germain.

Grobowiec rodziny Barbier-Chouant zamknięto ciężką płytą. Wysoki łuk kapliczki rozmył się i zakołysał, gdy do oczu Anne napłynęły łzy. Bała się, że upadnie. Zerknęła w bok, chcąc się czegoś przytrzymać. Wtedy jej wzrok padł na wysoką, smukłą kobietę, która stała w pewnej odległości od pozostałych żałobników. Miała na głowie kapelusik owinięty przesłaniającą twarz czarną woalką. Dama w geście pozdrowienia uniosła rękę w rękawicze, a potem odwróciła się i odeszła.

- Kto to taki? - spytała Arme.

Markiz miał zamknięte oczy. Słyszając pytanie córki, otworzył je. Anne przestraszyła się, widząc nieobecny wzrok ojca. Kiwnięciem głowy wskazała oddalającą się postać. Kobieta właśnie dotarła do karety, która stała przy pobliskim grobowcu, a lokaj pomagał jej wsiąść. Markiz powoli odwrócił głowę we wskazanym przez córkę kierunku. Nie powiedział, kim jest nieznajoma, jedynie poruszające się niespokojnie nozdrza zdradzały, że ją zna.

Anne nie wróciła do sprawy. Siwa głowa ojca pochyliła się pod ciężarem cylindra, a pokryta zmarszczkami twarz wydawała się bardziej odległa niż kiedykolwiek w życiu. Poprzedniego dnia zakaz markiza nabrał realnych kształtów: Julien założył skobel na drzwi sali balowej i zamknął je na kłódkę, wydając równocześnie polecenie, by nikt - łącznie z Anne - nie wchodził do tego pomieszczenia. Dziewczyna nie miała odwagi spytać ojca dlaczego.

Przychodziło jej do głowy tylko jedno wyjaśnienie: że sala balowa i piękny fortepian tak bardzo kojarzyły się z markizą, iż ojciec nie chciał, aby ktokolwiek przekroczył próg tego pomieszczenia. Chociaż wystarczyłoby poprosić córkę, by nigdy więcej tam nie wchodziła. Spełniłaby jego wolę... przynajmniej wtedy, kiedy był w domu. Anne na razie nie chciała myśleć o graniu na fortepianie, ale całkowity zakaz? To już

przesada. Wraz z żoną markiz pochował muzykę. A jeśli mam żyć bez muzyki - pomyślała Anne - lepiej by było, gdyby pochował i mnie.

II

Eugène Delacroix ukrył się za kamienną rzeźbą na terenie otaczającym château Neuilly-sur-Seine. Tuż za bramą stały dwa konie, na których on i jego przyjaciel Franciszek Liszt przyjechali pod osłoną nocy odwiedzić księżniczkę Clementine. Wierzchowce czekały, żeby zabrać obu panów z powrotem do Paryża. Zegar na wieży kościelnej wybił północ. Gdzie jest Franciszek? Eugène zaczął dochodzić do wniosku, że nocna eskapada nie była najlepszym pomysłem.

Nagle usłyszał, że ktoś biegnie od strony pałacowego ogrodu. Po chwili do jego uszu dotarł kobiecy głos:

- Zatrzymać go! Łajdak, szubrawiec!

W jednym z okien château błysnęła świeczka. Chwilę później wysoki, smukły Franciszek wypadł z krzaków i chwiejnym krokiem podszedł do przyjaciela.

- Na litość boską, człowieku! - wysapał. - Gdzie są konie?

Eugène bez słowa chwycił przyjaciela za rękę i pociągnął w stronę bramy. Nim do niej dotarli, zauważyli strażnika, który trzymał w ręce latarnię i wyraźnie się za nimi rozglądał.

- Będziemy musieli przejść przez mur - powiedział Eugène, kierując się w stronę obrośniętej gęstym pnączem kamiennej ściany.

- Moje ręce! - doszedł go zachrypnięty szept Franciszka.

- Trzeba było pomyśleć o nich przed tą wyprawą!

Dwaj młodzi mężczyźni pokonali mur, przy okazji rozrywając ubrania na ciernistym pnączu, i zeskoczyli po drugiej stronie.

- Tędy - wskazał Eugène.

Poprowadził Franciszka pod kasztan, pod którym wcześniej przywiązał konie. Wskoczyli na siodła i ruszyli galopem w kierunku Paryża dokładnie w tym samym momencie, w którym otworzyły się bramy chateau. Strażnicy oddali kilka strzałów w stronę lasu.

Nie zatrzymując się po drodze, dotarli do pracowni Eugène'a w Saint Germain, gdzie obaj poszukiwacze przygód ochlapali wodą spocone twarze.

- Szampana? - zaproponował malarz, bo tylko to miał pod ręką.

- Prawie mi się udało, przyjacielu - oznajmił Franciszek z wyraźnym węgierskim akcentem.

- Co prawie ci się udało?

Eugène był zły, że dał mu się namówić na lekkomyślną wyprawę.

- Dotrzeć do księżniczki. Chciałem ją tylko pocałować.

- Na litość boską, ona ma zaledwie piętnaście lat!

Franciszek wzruszył ramionami.

- Prawdziwa miłość nie wie, co to wiek.

- A ty wierzysz, że ta dziewczyna cię kocha, bo się do ciebie uśmiechnęła i dała ci kwiat, gdy grałeś u jej wuja? Czym oni was karmią na tych Węgrzech?

Oczy Franciszka Liszta błysnęły z podniecenia.

- Karmią nas nektarem i uczą miłości. To dzięki niej istnieje sztuka.

Eugène drwiąco prychnął.

Następnego ranka posiniaczony i podrapany po nocnej eskapadzie Franciszek przygotowywał się do gry na fortepianie i komponowania. Rozejrzył się po swoim dwupokojowym mieszkanku na poddaszu domu, który można było uznać za szacowny, ale z całą pewnością nie luksusowy. Ilekroć wchodził po schodach i wkładał klucz do zamka, przypominał sobie o kłopotach finansowych. Miał zamiar wybrnąć z nich przy pierwszej nadarzającej się okazji. Chciał się przeprowadzić do większego apartamentu w tym samym budynku, żeby móc zaprosić do siebie matkę, która wyjechała na dłuższy czas do krewnych. Po skromnym śniadaniu węgierski pianista zasiadł do fortepianu stołowego, który monsieur Erard dał mu w zamian za obietnicę, że zagra w jego salonie. Pewnego wieczoru Franciszek wraz z kilkoma przyjaciółmi wciągnął instrument na poddasze, opróżniwszy uprzednio butelkę czy dwie bordeaux w studiu Eugène'a. Nic więc dziwnego, że fortepian nosił ślady pijackiego wybryku. Na szczęście miał ładny dźwięk, skalę, która obejmowała sześć i pół oktawy, oraz wystarczająco mocny mechanizm, aby można było ćwiczyć na nim godzinami.

Franciszek rozgrzał się, grając gamy, pędząc w górę i w dół po klawiaturze, czasami z wciśniętym do oporu pedałem, przez co przebieg zamieniał się w huk pełen dysonansów.

- Cisza! - krzyknął ktoś z dołu i załomotał w sufit.

- Filistyn! - zaklął pianista i grał jeszcze głośniej, póki nie usłyszał, że gdzieś w oddali otwierają się i zamykają drzwi, a potem ktoś schodzi po schodach i opuszcza budynek.

Przestał grać i przeczesał długimi palcami jasne włosy, które zgodnie z najnowszym nakazem mody opadały aż na kołnierzyk. Kątem oka dostrzegł nieuporządkowany stosik kart wizytowych i zaproszeń, które rzucił na stół. Wszystkie przysły tego ranka. Podobną ich liczbę otrzymywał codziennie od ostatniego koncertu w salonie hrabiny Bławatskiej. Franciszek aż uśmiechnął się na wspomnienie tego wieczorku. Trzy kobiety zemdlały; wtedy też przedstawiono go księżniczce. Rumieńce na jej twarzy i słodki gest, jakim było ofiarowanie mu róży, zachęciły go do nocnej wyprawy. Tego ranka doszedł jednak do wniosku, że nie warto podejmować dalszego ryzyka.

Prawą ręką zaczął grać melodię „Là ci darem la mano” z opery Mozarta *Don Giovanni*. Chorowity Chopin na podstawie tej właśnie arii skomponował urocze wariacje. Jednak zamiast zagrać wersję polskiego kompozytora, Franciszek wykonał własną, zmieniając nie do poznania uroczą melodię. Jak ten subtelny Polak to robi? - pomyślał. Jest w Paryżu od roku z niewielkim okładem, a już ma wspaniale urządzone atelier godne bogatego, dobrze zapowiadającego się pianisty i kilka wydanych utworów. Wkrótce miały się pojawić jego etiudy. Chopin powiedział, że zadedykuje je Lisztowi - był to z jednej strony miły, a z drugiej irytujący gest.

Franciszek szybko zmęczył się gamami, więc zaczął przeglądać karty wizytowe. Czytał jej po kolei i odkładał na dwa stosiki. Wiele z nich zaczynało się słowami: *Cher Monsieur Liszt*, po czym następowały deklaracje dozgonnej miłości, a w kilku przypadkach jawne propozycje nawiązania romansu. Na jednej kupce

znalazły się wiadomości od osób, które uważał za niegodne uwagi, na drugiej - zaproszenia, na które miał zamiar odpowiedzieć. Nikt nie powinien w Paryżu być samotny - pomyślał.

Zajęty miłymi myślami, początkowo nie usłyszał delikatnego pukania do drzwi. Za drugim razem towarzyszyło mu ciche chrząknięcie, więc pianista uniósł wzrok znad korespondencji.

- Kto tam?! - zawołał, obawiając się niezapowiedzianej wizyty któregoś z wierzycieli.

- Monsieur Liszt?

Słyszając dziewczęcy głosik, Franciszek wstał, trzema susami pokonał odległość dzielącą fortepian od drzwi i otworzył je.

Na progu stała nieco zbyt pulchna - ale ładna - służąca z kopertą w jednej ręce i czerwoną różą w drugiej.

- Moja pani kazała mi to dostarczyć osobiście. Dygnęła i wyciągnęła obie dłonie.

Zamiast odebrać liścik i kwiat, Franciszek chwycił dziewczynę za rękę i wciągnął do pokoju.

- Kazała ci to dostarczyć osobiście? - spytał. - Może przed wyjściem czegoś się napijesz?

Zauważył, że rumieniec, który rozlał się po twarzy służącej, podkreślił szary odcień jej oczu, co jeszcze dodało jej urody.

- Nie mogę, muszę wracać...

- Jak masz na imię? - spytał.

- Adèle - sapnęła, po czym przypomniała sobie zlecenie i ponownie wyciągnęła liścik oraz kwiatek w stronę Franciszka.

Pianista wybuchnął śmiechem.

- Może w takim razie powinienem przeczytać wiadomość, którą przyniosłaś?

Wziął kopertę, rozerwał ją i wyjął liścik.

Monsieur Liszt!

Byłabym szczęśliwa, gdyby zechciał Pan pojutrze zagrać kilka utworów w moim salonie. Proszę przekazać odpowiedź przez osobę, która doręczy Panu ten list. Jeśli zgodzi się Pan zasiąść do mojego pięknego nowego erarda, uznam, że moje życie nie poszło na marne.

Amitiés

hrabina Marie d'Agoult

- Twoja pani jest hrabiną? Pewnie to stare i brzydkie babsko, bo inaczej przyszłaby osobiście.

Adèle stłumiła śmiech.

- Niektórzy uważają ją za najpiękniejszą kobietę w Paryżu - wyznała z dumą.

Franciszek rzekł:

- Powiedz swojej pani, że, *dommage*, tego wieczoru jestem zajęty.

Dziewczyna dygnęła, a gdy Franciszek otworzył przed nią drzwi i nisko się skłonił, znowu oblała się pąsem i uciekła.

- To znaczy, że nie przyjdzie. Szkoda.

Marie d'Agoult siedziała na krześle przy wysokim oknie, które wychodziło na Sekwanę. Nie zdążyła się jeszcze ubrać. Jej złociste włosy opadały w niesfornych lokach na luźny jedwabny peniuar. Obgryzała zaplamiony atramentem kciuk, a palcem u nogi szturczała pomięte kartki, które leżały u jej stóp. Skoro Liszt nie może przyjść, spróbuje zorganizować koncert w swoim salonie w innym terminie. W wysłanym rano liściku nieco rozmijała się z prawdą. Jeszcze nikogo nie zaprosiła na ten wieczór.

- Jutro pojedę do dzieci, do Croissy - oświadczyła.

- To bardzo dobry pomysł, madame. - Adèle pochyliła się i pozbierała porzucane kartki. - Podobno w tym tygodniu na cholere umarło wielu mieszkańców Saint Germain.

Marie nie odezwała się. Po chwili służąca wyszła z salonu, wynosząc zapisane kartki, które świadczyły o tym, że hrabina miała za sobą bezsenną noc.

Biedna Sandrine - pomyślała Marie, ocierając lewą ręką łzę i starając się nie zabrudzić policzka atramentem. Miała nadzieję, że uda jej się zaprosić najlepszych pianistów Paryża i zorganizować koncert ku czci zmarłej przyjaciółki, ale na razie jej plany spełzły na niczym. Sandrine była nieco starsza, ale od chwili, kiedy nastoletnia Marie przyjechała do Paryża, bardzo się do siebie zbliżyły dzięki podobnej wrażliwości i wspólnemu zamiłowaniu do muzyki. Gdy Marie wyszła za męża, ich drogi się rozeszły. Hrabina d'Agoult została damą dworu Karola X, a Sandrine, która wywodziła się z burżuazji, trzymała się z dala od towarzystwa. Dużo starszy od niej mąż zajmował wysokie stanowisko na dworze, ale najwyraźniej nie lubił Marie, kiedy się spotykali, witał ją jedynie lekkim skinieniem głowy. Nieco później Marie dowiedziała się od Sandrine, że markiz nie cierpiał artystów, którymi lubiła się otaczać jego młoda żona.

Stanowili dziwne małżeństwo, chociaż często się zdarzało, że starszy mężczyzna, od którego odwróciło się szczęście, poślubiał dla pieniędzy kobietę z niższych sfer. Wątpliwości wzbudzał fakt, iż wybrał córkę niedawno wzbogaconego kupca i że ta oszałamiająco piękna dziewczyna zgodziła się wyjść za mąż właściwie w zamian za tytuł i nic więcej. W dodatku małżeństwo to bardzo się różniło od związków, które zawierano ze względów czysto majątkowych. Sandrine nigdy nie próbowała podbijać zamkniętego arystokratycznego świata, do którego należał jej mąż, a markiz nie szastał na prawo i lewo pieniędzmi żony i nie okazywał na zewnątrz, że jego sytuacja finansowa znacznie się poprawiła. Stał się jeszcze większym niż dotychczas domatorem, odludkiem wprost. Nie prowadzili oddzielnego życia, czego należało się spodziewać. Prawdę mówiąc, w towarzystwie markiz nigdy nie odstępował żony. Krążyły plotki, że jest o nią zazdrosny, ale nikt nie słyszał, by Sandrine się skarżyła. Mimo że obie panie nie widziały się od kilku lat, hrabina wróciła do miasta na wieść o śmierci przyjaciółki.

Kiedy przy grobie ujrzała u boku markiza młodą damę, domyśliła się, że to córka jego i Sandrine. Widziała ją przed laty jako małą dziewczynkę. Niestety, hrabianka - imieniem Anne - miała twarz zasłoniętą welonem, więc Marie nie umiała powiedzieć, czy dziewczyna z urody przypomina matkę. Natomiast nawet z pewnej odległości wyraźnie było widać, że córka markiza nie jest już dzieckiem, lecz młodą kobietą. Właśnie została bez matki, która mogłaby wprowadzić ją na salony. Sandrine utrzymywała, że Anne jest bardziej muzyczna niż ona sama i że ma wrodzony talent do gry na fortepianie. Oczywiście, nikt jej nigdy nie słyszał. Markiz nie pozwoliłby hrabiance na publiczny występ.

Marie głęboko odetchnęła, wyjęła czystą kartkę papieru i zanurzyła gęsie pióro w kałamarzu.

Chère Mlle, la Comtesse!

Pragnę wyrazić kondolencje. Matka Pani i ja byliśmy serdecznymi przyjaciółkami. Gdy przyjechałam do Paryża, traktowała mnie jak młodszą siostrę. Jeśli Pani pozwoli, bardzo chciałabym zwrócić dług wdzięczności i odegrać tę samą rolę w stosunku do Pani. Zapraszam na podwieczorek na quai Malaquais w dowolne popołudnie po najbliższym piątku, bo do tego czasu będę z dziećmi w Croissy.

Avec toutes mes amitiés

Marie d'Agoult

Zaadresowała kopertę do hrabianki Anne de Barbier-Chouant zamieszkałej w hôtel Barbier i odłożyła list na stolik.

Większość dalszych znajomych i ludzi obcych przysłała listy kondolencyjne na ręce markiza, nawet nie wspominając o Anne. Dziewczyna była więc szczerze wzruszona, gdy dostała list zaadresowany do siebie. Jego nadawczynią była hrabina d'Agoult. To nazwisko wiązało się ze wszystkim, co markiza kochała - z muzyką, sztuką i poezją. Anne wiedziała, że w dzieciństwie poznała hrabinę, ale nie mogła sobie jej przypomnieć. Z biegiem lat rodzice coraz rzadziej urządzali przyjęcia oraz kolacje i zapraszali na nie coraz mniej osób, a madame d'Agoult nieczęsto się pojawiała, tak samo jak pozostali przyjaciele matki. Od rewolucji lipcowej goście w ogóle przestali przychodzić, jeśli nie liczyć znajomych, z którymi markiz robił interesy. Tak czy inaczej niewyraźne wspomnienia dziewczyny nie pozwalały jej na skojarzenie osoby, o której matka tak często i tak ciepło mówiła, z nieznaną z cmentarza.

- Ojczy, madame d'Agoult zaprasza mnie w przyszłym tygodniu na podwieczorek.

Anne od dwóch godzin, od skończenia kolacji, siedziała w bibliotece nad robótką, a markiz nie odrywał wzroku od wielkiej księgi, chociaż w tym czasie nie przewrócił ani kartki. Jego biblioteka, niegdyś obiekt zazdrości wielu osób, obecnie wyglądała mniej okazale. Nikt nic nie mówił na ten temat, ale Anne zauważyła, że ze ścian poznikały obrazy, popołudniami przestał pojawiać się na stole srebrny serwis do kawy, a matka rzadko nosiła biżuterię i przeważnie chodziła w sukniach z ubiegłego roku. Służbę ograniczono do minimum: została Thérèse - która obecnie pełniła funkcję gospodyni i pokojówki - Julien, kucharz i woźnica Victor. Codziennie przychodziła jednak pomoc domowa, która pomagała przy cięższych pracach. Sprzedano konie, oprócz dwóch, i zatrzymano jedynie małą karetę oraz dość zniszczony kryty powóz jednokonny, z którego markiz i Anne skorzystali w dniu pogrzebu matki.

Markiz powoli podniósł oczy i skupił wzrok na córce.

- Matka zmarła zaledwie trzy dni temu, a ty masz zamiar odwiedzać jej zdeprawowanych przyjaciół?

Anne poczuła dobrze znany ucisk w piersiach. Odczuwała go zawsze, gdy ojciec był wobec niej niemiły, niezależnie od tego, czy robił to celowo, czy nie. Może rzeczywiście nie powinna tak szybko udawać się z wizytą, niemniej monotonia codziennego rozkładu zajęć i ogromna pustka po śmierci matki sprawiły, że gniew wzięły górę nad smutkiem. Ze złości zabrakło jej łez, przestała się nawet przejmować marnym nastrojem markiza. Wiedziała, że powinna godzinami potulnie siedzieć z małomównym ojcem na wypadek, gdyby ktoś zechciał ich odwiedzić i osobiście złożyć kondolencje, ale od pogrzebu była dziwnie niespokojna.

Gdyby matka żyła, na pewno potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego dziewczyna tak się czuje, i niewątpliwie wstawiłaby się za nią do markiza, mówiąc: „Henri, najdroższy, to całkiem naturalne, że nasza córka w takiej chwili szuka towarzystwa, zwłaszcza że nie może pograć na fortepianie...”. Jej łagodny głos skłoniłby ojca do ustępstw. Niestety, matki nie było, a Anne nie wiedziała, co robić.

Odczekała, aż ojciec znowu uniesie oczy znad książki i spojrzy na środek pokoju. Wtedy zebrała się na odwagę i spróbowała ponownie:

- Pisz, że była serdeczną przyjaciółką mamy, i najwyraźniej chce ze mną o niej porozmawiać. Ja również chętnie opowiedziałabym komuś o mamie.

Choć starała się powstrzymać żal, w jej oczach pojawiły się łzy i popłynęły po policzkach. Mimo to zdołała zapanować nad głosem.

- Jesteś za młoda, żeby składać wizyty - burknął markiz.

- Ale hrabina była najlepszą przyjaciółką mamy, więc odwiedzenie jej trudno uznać za wizytę. Poza tym wkrótce skończę osiemnaście lat.

- To nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie. Nie chcę, żebyś obracała się wśród artystów i muzyków.

Anne nie odezwała się słowem, ale zamiast robić ładne, drobne ściegi na poszewce, którą haftowała od miesięcy, zaszywała chaotycznie delikatny wzorek, będący wynikiem wielogodzinnej pracy. Po kilku minutach cichego buntu wstała.

- Idę spać, ojczu.

Wyszła z biblioteki, nie złożonywszy zwyczajowego pocałunku na suchym jak pergamin policzku markiza.

Mimo niepisanego nakazu zachowywania w domu ciszy głośno stąpała po schodach, trzasnęła drzwiami swojej sypialni i rzuciła się na łóżko przykryte jedwabną narzutą. Początkowo każdy oddech sprawiał jej ogromną trudność. Kiedy w końcu dała upust smutkowi, szlochała bez końca, tak że poduszka stała się mokra.

Gdy przestała rozpaczliwie płakać, dom był pogrążony w niczym niezmaconej ciszy. Oczy ją piekły, z trudem łapała oddech i bolała ją głowa, mimo to czuła dziwną lekkość i swobodę. Uniosła powieki, usiadła i wytarła nos w mokrą chusteczkę. Zdawała sobie sprawę, że w jej sercu już na zawsze pozostanie dojmujący ból, ale wiedziała też, że życie musi toczyć się dalej. Anne nie może nadal ukrywać się w zniszczonym domu, nawet jeśli ojcu bardzo na tym zależy. Wstając z łóżka, na moment straciła równowagę. Kiedy się odwróciła i kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze toaletki, sapnęła ze zdumienia. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że widzi matkę. Smutek dodał mi lat - pomyślała, odnosząc wrażenie, że również nieco urosła. Tak jak matka, miała jasne włosy, które upinała w kok na czubku głowy, a na uszy spuszczała modne loki. Teraz, płacząc, zniszczyła misternie ułożoną koafiurę. Jej niebieskie oczy były o odcień ciemniejsze od oczu markizy - i w tej chwili mocno zaczerwienione - niemniej Anne w końcu zrozumiała, dlaczego jej widok pogłębia smutek ojca. Doszła do wniosku, że skoro markiz nie pozwala jej bywać w towarzystwie ani składać wizyt, skoro zamknął na kłódkę salę balową, nie chcąc, by grała na fortepianie, będzie musiała znaleźć jakiś sposób, żeby złożyć hrabinie wizytę i zyskać dostęp do instrumentu. Mama na pewno by pozwoliła, wręcz chciałaby, żeby to zrobiła.

Anne usiadła przy sekretarzyku i napisała liścik do Marie d'Agoult, informując, że chętnie złoży jej wizytę w przyszły poniedziałek. Po zaklejeniu koperty postanowiła, że przekaże wiadomość przez Thérèse. Biedna służąca była tak samo smutna jak wszyscy domownicy i zapewne dobrze jej zrobi, jeśli jutro się przespaceruje.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy matka się rozchorowała, Anne przespała spokojnie całą noc. W jej snach tym razem nie było wzdętych zwłok ani pustych grobów, pojawiła się natomiast matka. Przytykała palec wskazujący do ust, jakby prosiła córkę o zachowanie dla siebie sekretu, który zamierza jej powierzyć.

III

- Dokąd się wybierasz?

Anne nie słyszała, że ojciec otwiera drzwi biblioteki. Jego głos przestraszył ją, gdy w poniedziałkowe popołudnie ostrożnie wkładała kapelusik na misterną koafiurę.

- Do spowiedzi - odparła, pokazując mszalik i różaniec.

- Victor cię zawiezie.

- Wolałabym pójść pieszo. Potrzebuję świeżego powietrza.

Markiz z wyraźnym rozdrażnieniem wciągnął powietrze przez nos, ale nie skomentował odpowiedzi córki. Zamykając za sobą drzwi biblioteki, burknął:

- Tylko wróc za godzinę.

- Wrócę, ojcie - powiedziała Anne bardziej do siebie niż do ojca, który był już poza zasięgiem jej głosu.

Chociaż czuła, że od jakiegoś czasu w hôtel Barbier panuje ogromne napięcie, dopiero teraz, gdy bez przyzwoitki wyszła na ulicę skąpaną w promieniach kwietniowego słońca, w pełni zdała sobie sprawę, jak bardzo marzyła o ucieczce. Markiz przez cały czas był milczący i uparty. Z dnia na dzień coraz bardziej zamykał się we własnym świecie, do którego Anne nie miała dostępu.

Najgorzej się czuła podczas posiłków. Zawsze przestrzegali starego obyczaju, który nakazywał jedzenie oficjalnej kolacji, jeśli tylko markiz i markiza nigdzie nie wychodzili. Starszy pan często powtarzał, że musiał się obchodzić bez tego przez dwadzieścia lat, a nawet dłużej, gdy najpierw rewolucjoniści, a potem Napoleon skazali arystokrację na wygnanie, dlatego nie ma zamiaru teraz sobie tego odmawiać. Kiedy markiza żyła, potrafiła rozweselić nawet najbardziej nudny wieczór; dotąd trajkotała i opowiadała plotki, dopóki mąż się nie uśmiechnął.

Anne często ją prosiła, żeby wyjawiała, jak spotkała ojca i jak doszło do ich małżeństwa. Relacja matki przypominała bajkę, a jej wersja nigdy się nie zmieniała. Markiz, zachwycony restauracją monarchii oraz powrotem Burbonów do władzy w tysiąc osiemset czternastym roku, zapragnął zostawić potomka, który odziedziczyłby po nim tytuł. Dzięki temu „był bardzo podatny na uroki dam” - jak mawiała matka. Zakochał się w Sandrine Poitou, którą zobaczył w operze. „Nie wiedział, kim jestem, bo inaczej pewnie jego wzrok zatrzymałby się dłużej na innej łoży” - kontynuowała markiza, mając na myśli swoje niższe pochodzenie.

Nigdy nie wspominała, czy mąż czuł się zawiedziony, nie doczekawszy się dziedzica, którego tak pragnął. Jednak młoda żona zrekompensowała mu brak własnego tytułu, wnosząc do małżeństwa sporą fortunę.

Anne przystanąła na chwilę, żeby się zorientować, gdzie jest, po czym skręciła w quai Malaquais. Madame d'Agoult podała jej numer, ale przy ulicy stało sporo zadbanych i bardzo do siebie podobnych kamienic. Kiedy dziewczyna nabrała pewności, że zmierza w dobrym kierunku, wróciła do przerwanych myśli. Spora fortuna. Gdzie się podział cały ten majątek? Od dwóch lat Anne obserwowała, jak z domu ciągle coś znika. Początkowo nie zwracała na to uwagi, jednak potem zorientowała się, że coś się dzieje. Z podsłuchanych rozmów rodziców wiedziała, że kiedy markiz utracił łaski u dworu, nie tylko został wykluczony z kręgów towarzyskich, ale też przestał otrzymywać szczodre wynagrodzenie. Jednak gdy głębiej się nad tym zastanowiła, zdała sobie sprawę, że stopniowe znikanie cennych przedmiotów zaczęło się nie po rewolucji lipcowej, lecz kilka miesięcy wcześniej. Pamiętała to, bo wszystko zaczęło się od obrazu, który bardzo lubiła, a który swego czasu wisiał nad kominkiem w saloniku. Dama na obrazie miała na sobie piękną aksamitną suknię z obszytym koronką staroświeckim kołnierzykiem, a została tak wiernie oddana przez artystę, że Anne widziała delikatne węzłki, które łączyły poszczególne nitki misternej koronki. Pewnego poranka portret zniknął, a matka i ojciec przez cały dzień byli wyraźnie zdenerwowani, gdy służący wchodzili do pokoju albo kiedy z ulicy dobiegł jakiś głośniejszy dźwięk.

Dlaczego wtedy nie spytałam mamy? - zastanawiała się Anne. Z obecnej perspektywy wszystko to wydawało się bardzo dziwne. Co jakiś czas bez żadnego wyjaśnienia znikwały różne przedmioty. Bibeloty i drobiazgi, które Anne знаła od dzieciństwa, stopniowo przestawały zdobić tę czy tamtą półkę bądź alkoję. Rok temu uznała, że lepiej o nich w ogóle nie wspominać, bo niewinne pytanie o ulubioną pasterkę z sewrskiej porcelany wywołało płacz matki. Dziewczyna podejrzewała, że w domu nie zostało nic, co przedstawiałoby prawdziwą wartość.

Anne dotarła do domu, w którym mieszkała madame d'Agoult. Drzwi otworzyła ładna młoda pokojówka. Anne podała jej mszalik, dzięki któremu udało jej się wyrwać z domu, a następnie kapelusik, rękawiczki i szal.

- Pani czeka w salonie - oznajmiła pokojówka, wskazując na uchylone drzwi.

Madame d'Agoult stała przy wspaniałym fortepianie w rogu dużego, przestronnego pomieszczenia i szukała nut. Może z powodu rozproszonego światła, pochylenia głowy czy skupienia, z jakim wykonywała tę czynność, tak bardzo przypominała markizę, że Anne miała ochotę podbiec do niej i paść w jej objęcia. Madame d'Agoult położyła znalezione nuty na pulpicie i z wyciągniętymi rękami podeszła do swego gościa.

- Droga Anne... Czy mogę zwracać się do ciebie po imieniu?... Jesteś taka podobna do matki. Widziałam cię na cmentarzu.

A więc to była madame d'Agoult! Teraz wszystko wydawało się całkiem jasne, łącznie z tym, że napisała. Przez chwilę obie milczały. Anne była zaskoczona, że łzy, które wyczerpały się kilka dni temu, nagle znowu poczuła pod powiekami. W dużych oczach madame d'Agoult ujrzała odbicie dawnych smutków i obecnych trosk.

- Proszę, usiądź i napij się ze mną herbaty. Chcę dowiedzieć się o tobie wszystkiego. Bardzo trudno ci mieszkać ze zrzędlwym ojcem w tej ogromnej rezydencji?

Od śmierci matki Anne czuła się tak, jakby podróżowała po obcym kraju, w którym nikt nie posługuje się znanym jej językiem. Rozmowa z madame d'Agoult była pierwszą od wielu dni normalną wymianą myśli z inną istotą ludzką. Przez niemal godzinę rozmawiały o markizie i ulubionych rozrywkach dziewczyny: muzyce i poezji.

- Jakiś czas temu twoja mama napisała do mnie list, w którym wspomniała, że bardzo dobrze grasz na fortepianie - rzekła Marie, nalewając Anne następną filiżankę herbaty. - Może mi coś zagrasz?

Wskazała fortepian.

- Mogę? - upewniła się Anne.

Gdy Marie przytaknęła, dziewczyna wstała i usiadła do erarda. Nie знаła tej marki. Zagrała kilka akordów, żeby rozgrzać palce po ponadtygodniowej przymusowej przerwie. Instrument był idealnie nastrojony, a Anne dobrze się czuła, mając znowu klawiaturę pod palcami.

Zaczęła grać sonatę B-dur Mozarta. Poszczególne frazy utworu kompozytora wiedeńskiego miały idealnie wyważone proporcje, a przepełnione tęsknotą tematy przynosiły młodej pianistce prawdziwe ukojenie. Zamknęła oczy. Zapomniała, gdzie jest, i przez kilka minut - aż do końca pierwszej części - czuła się tak, jakby wkroczyła w świat czystej muzyki. Gdy w końcu po ostatnich akordach uniosła ręce nad klawiaturę, oczekiwała, że po drugiej stronie uniesionego wieka fortepianu ujrzy pełną aprobaty, uśmiechniętą twarz matki. Zamiast tego zobaczyła pochyloną głowę Marie, która lekko się odwróciła i wsparła policzek na dłoni.

- To było piękne - powiedziała.

Anne wstała, dygnęła i podeszła do stolika, na którym stała herbata. Właśnie miała przy nim usiąść, gdy zegar wybił piątą.

- Boże, już tak późno? Muszę uciekać! Ojciec będzie się denerwował.

- Dlaczego miałby się denerwować? Czy coś się stało?

Anne wykręciła palce. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie wie, że tu przyszłaś?

- Od jakiegoś czasu trudno się z nim rozmawia, a od śmierci matki jest jeszcze gorzej. Pozwala mi wychodzić tylko do kościoła, mam też zakaz przyjmowania gości.

Przyznając się do kłamstwa, nie miała odwagi spojrzeć hrabinie w oczy. Przyjaciółka matki na pewno by jej nie zaprosiła, gdyby wiedziała, że Anne nie jest posłuszną córką i że oszukała ojca.

- Rozumiem. Musimy znaleźć na to jakiś sposób. Taka ładna i utalentowana dziewczyna powinna obierać się w towarzystwie.

Anne spojrzała jej w oczy, przypominające dwa spokojne stawy w uśmiechniętej twarzy. Hrabina była niemal tak samo piękna jak markiza.

Marie wstała i pociągnęła za sznur dzwonka przy kominku.

- Jutro wieczorem w sali Wauxhall jest koncert. Wystąpią wspaniali pianiści. Powinni ci się spodobać. Mam łożę. Byłabym szczęśliwa, gdybyś wybrała się ze mną. Pojawisz się u mnie o ósmej?

Do saloniku weszła pokojówka z rzeczami Anne. Koncert! To zbyt piękne, by mogło być prawdą! Markiza ostatnio obiecała, że wkrótce zabierze córkę na pierwszy koncert. Teraz zaproponowała to jej przyjaciółka, zastępując matkę lepiej, niż dziewczyna mogła marzyć.

- Tak, przyjdę - zapewniła Anne, w duchu mając nadzieję, że albo uda się jej przekonać ojca, aby wyraził zgodę, albo zdoła wyjść bez jego wiedzy.

Przez całą drogę do domu szła najszybciej, jak mogła, marząc, by unieść spódnice i pobiec. Nie wiedziała, jak wytłumaczyć dwugodzinną spowiedź. Natomiast jeśli chodzi o następny wieczór, może Thérèse uda się wymyślić coś mądrego?

Zbliżając się do hôtel Barbier, Anne zauważyła, że na dziedzińcu stoi kabriolet zaprzężony w parę dobrze utrzymanych kasztanków. Nie знаła tego powozu, a na jego drzwiczkach nie było żadnego herbu. Weszła do domu, mając nadzieję, że nie zwróci na siebie uwagi Juliana, który bez wątpienia powiedziałby ojcu, o której godzinie wróciła.

Hôtel Barbier został wzniesiony w dawnym stylu, dlatego nie było w nim podziału na część dostępną dla gości i część prywatną, jak w nowocześniejszych rezydencjach. Na prawo od wejścia znajdowała się zamknięta na kłódkę sala balowa, ciągnąca się wzdłuż całej długości budynku. Na lewo była biblioteka markiza; to tutaj spędzał znaczną część dnia, o ile nie przebywał w swojej sypialni na piętrze. Za biblioteką wchodziło się do dużej jadalni, a za klatką schodową - do salonu. Anne często spędzała w nim czas, jeśli tylko nie musiała przebywać z ojcem w bibliotece; tutaj też jadalni śniadania, a niekiedy i obiady.

Szerokie, kręte schody prowadziły na pierwsze piętro, na którym znajdował się oficjalny salon, usytuowany bezpośrednio nad salą balową. Rzadko korzystano z tego pomieszczenia - nawet za życia markizy tylko kilkakrotnie podejmowano w nim większe grono osób. Pomieszczenie było zbyt duże, żeby dobrze je ogrzać, dlatego spotkania urządzano w nim tylko w miesiącach letnich. Pozostałą część pierwszego piętra zajmowało sześć sypialni o sporych rozmiarach. Na każdym piętrze w końcu korytarza znajdowały się drzwi prowadzące do skrzydła dla służby - długiego budynku, który zamykał dziedziniec z jednej strony i mieścił kuchnię, wędzarnię oraz niewielką wozownię. Strych wykorzystywano jako pomieszczenia magazynowe, chociaż spokojnie mogłoby zamieszkać tam kilka rodzin. Dziedziniec z drugiej strony zamykał wysoki mur.

Po wejściu Anne z ulgą zauważyła, że Julien nie siedzi na swoim taborecie. Właśnie miała zamiar po ciuchtku pobiec do pokoju, gdy usłyszała głosy, które dobiegały z biblioteki ojca. Podeszła na palcach i zaczęła podsłuchiwać.

- Jak to nie mogę nic z tym zrobić? - spytał markiz piskliwym dyszkanem.

Niski głos, którego Anne nie znała, odpowiedział z dużo większym spokojem:

- W kontrakcie ślubnym sprawa została postawiona całkiem jasno, a testament, jak pan widzi, utrzymał taki stan rzeczy. Ma pan zapewnioną roczną rentę na dom i swoje podstawowe potrzeby. A gdy pańska córka...

Anne podskoczyła, słysząc stukanie laski ojca. Markiz nigdy nie poruszał się tak szybko ani tak gwałtownie. Musiał być bardzo zdenerwowany.

- Czy pan nie widzi, że jestem w rozpaczliwej sytuacji?

Markiz chodził szybko tam i z powrotem, drobnymi krokami, a ich odgłos przeplatał się z głośnym stukaniem laski o drewnianą podłogę.

- Jaki z pana pożytek?! Wynocha z mojego domu!

Gość tak szybko podszedł do drzwi, że dziewczyna ledwo zdążyła uskoczyć. Ukryła się za załomem schodów. Po chwili Julien wyłonił się z jadalni, w której stawał na stół wino do kolacji, by podać dżentelmenowi kapelusz i pomóc włożyć pelerynę. Anne miała nadzieję, że jej nie zauważył.

- Julien!

Na szczęście ojciec zawołał go do biblioteki. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, po cichutku wbiegła po schodach i dotarła do swojej sypialni, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, że właśnie przyszła. Zdjęła pelerynę i miała zamiar poszukać Thérèse, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Pan prosi, by mademoiselle zeszła do biblioteki - oznajmił Julien.

Nie mogła zignorować wezwania. Niewątpliwie markiz chciał spytać, dlaczego tak długo jej nie było. Przygotowała wymówkę, że została na mszy, a później rozmawiała z wikarym.

Kiedy weszła do biblioteki, markiz nawet na nią nie spojrział, ale nie było w tym nic niezwykłego. Stał oparty o laskę i bezmyślnie wpatrywał się w ogień migoczący na palenisku.

- Wzywałeś mnie, ojczy?

- Czy matka dawała ci na przechowanie jakieś papiery? Coś, o czym nie wiem?

- Nie, ojczy - odparła.

- Czy wspominała o twoim posagu? A o majątku?

- Tylko wtedy, gdy opowiadała, jak cię poznała.

Odwrócił się, jakby przygotowując się do zmiany taktyki.

- Myślę, że jesteś wystarczająco dorosła...

Urwał, podszedł do biurka i zaczął przekładać jakieś kartki.

- Wystarczająco dorosła na co, ojczy?

Kiedy w końcu podniósł wzrok, Anne przez chwilę myślała, że otrzyma zgodę na wychodzenie z domu. Markiz naprawdę na nią popatrzył, chociaż zazwyczaj jedynie omiatał ją wzrokiem, i zmarszczył czoło. Wyprostowała plecy i uniosła głowę. Na jego ustach przez moment błąkał się niewyraźny uśmiezek, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Jesteś wystarczająco dorosła, żeby wyjść za mąż.

- Słu... słucham? - wydukała, niezbyt pewna, czy dobrze usłyszała.

- Muszę spełnić swój ojcowski obowiązek i poszukać ci męża.

- Tak, ojczy - odparła oschle.

Czekała, czy markiz powie coś więcej, on tymczasem wrócił na swoje miejsce przy kominku i znowu wbił wzrok w migoczące płomienie. Miała wrażenie, że zupełnie o niej zapomniał. Chrząknęła.

- Coś jeszcze ode mnie chcesz? - spytał z wyraźną irytacją w głosie.

- Tylko... Chciałam spytać, czy mogę odejść.

Machnął ręką. Anne lekko dygnęła i wybiegła z pokoju.

Kiedy znalazła się w zaciszu sypialni, usiadła przy toalecie i ze zdumieniem wpatrywała się w swoje odbicie. Jak mogłaby w tej chwili myśleć o małżeństwie? Kogo, na litość boską, miałyby poślubić? Skąd ojcu nagle przyszedł do głowy taki pomysł? Nigdy nie bywała w towarzystwie, w teatrze ani na koncertach... Jeśli jednak wszystko dobrze pójdzie, wkrótce się to zmieni.

Aż trudno uwierzyć - pomyślała - że miał mi za złe chęć udania się z wizytą!

Wstała i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju, biorąc do ręki różne bibeloty i przekładając je z miejsca na miejsce. Gdybym mogła pograć na fortepianie... - westchnęła. Zawsze lepiej jej się myślało przy klawiaturze. Dobrze znany układ czarnych i białych klawiszy pomagał uporządkować myśli. Jeśli jednak nie może grać, musi z kimś porozmawiać. Wzrok Anne padł na mosiężny dzwonek na toaletce. Prawie nigdy go nie używała, bo rzadko potrzebowała czegoś więcej niż to, co podsuwały jej pod nos matka i Thérèse. Po chwili wahania zadzwoniła.

Kilka minut później w drzwiach pojawiła się służąca.

- Wzywała mnie pani, mademoiselle?

Anne podbiegła do gospodyni, zarzuciła jej ręce na szyję i rozplakała się. Thérèse poklepała ją po plecach, pogłaskała po głowie i nie zadając żadnych pytań, zaczęła ją po cichutku pocieszać.

IV

Epidemia cholery szalała nadal, ale w dniach, w których Pierre nie musiał zajmować się chorymi i umierającymi w Hôtel-Dieu czy Hôpital de la Charité, jego życie wyglądało prawie normalnie. Chodził na wykłady i walczył ze szczurami, wróblami i mdlącymi zapachami podczas wykonywania sekcji na zajęciach z anatomii. Jednak żaden z nieboszczyków nie zmarł na cholere. Choć Pierre podejrzewał, że badanie zwłok ofiar epidemii nie byłoby wcale najmądrzejszym pomysłem, chwilami górę nad zdrowym rozsądkiem brała ciekawość, jakie spustoszenie w organizmie wywołuje ta tajemnicza choroba.

W tym dniu robili sekcję młodego mężczyzny, który zmarł na tętniaka aorty. Tego typu ukryci mordercy przerażali Pierre'a, zwłaszcza zaś kolka jelitowa, na którą zmarła jego młodsza siostra. Rozstała się ze światem po kilku dniach straszliwych katuszy. Nie przeprowadzono operacji, gdy pacjent cierpiał na długotrwałe bóle brzucha, chociaż naprawdę dobrzy chirurdzy błyskawicznie i skutecznie ingerowali w wypadku innych niebezpiecznych dolegliwości. Dokonywane każdego dnia odkrycia zapowiadały świetlaną przyszłość medycyny.

- Wybierzesz się wieczorem do kawiarni? - spytał Georges, gdy obaj myli ręce przy studni na dziedzińcu.

- Nie - odparł. - Idę na koncert.

Georges wybuchnął śmiechem.

- Po dniu spędzonym ze skalpelem w ręku mam ochotę tylko się upić. Nie rozumiem twojej obsesji na punkcie muzyki. Chyba że wybierasz się na spotkanie z jakąś tajemniczą damą.

Pierre prysnął przyjacielowi wodą w twarz.

- To koncert na rzecz ofiar epidemii. Wystąpią Chopin, Liszt... i może Kalkbrenner.

- No cóż, jeśli potem będziesz chciał się nieco rozerwać, wiesz, gdzie mnie szukać.

Georges poszedł powoli w stronę ulubionej studenckiej kawiarni. Pierre patrzył, jak jego korpulentny towarzysz znika w tłumie poopatulanych w peleryny ludzi. Nigdy nie przypuszczał, że może mieć przyjaciela,

który tak bardzo będzie się od niego różnił, ale polubił Georges'a od pierwszego dnia studiów na uniwersytecie. Współlokator ze studenckiej stacji pochodził z Normandii, był niski, miał czarne włosy i śniadą cerę. Pierre przyjechał z Tuluzy, był wysoki, szczupły, miał włosy piaskowego koloru, orzechowe oczy i rzadki zarost. Biorąc pod uwagę, skąd każdy z nich pochodził, powinno być na odwrót.

Pierre'owi ledwo wystarczyło czasu na zjedzenie kromki chleba z serem i włożenie stroju wieczorowego. Długo musiał oszczędzać ze skromnych funduszy, które dostawał na życie od ojca, pasmanteryjnika, żeby móc sobie kupić elegancki, jedwabny frak, brokatową kamizelkę, cylinder i modne ostatnio w Paryżu białe rękawiczki. Co miesiąc po opłaceniu czynszu i okrojeniu do minimum wydatków na jedzenie kupował bilety do opery i na koncerty. Nie chciał stać z tyłu sali ani siedzieć na jaskółce z innymi studentami. Pewnego dnia - myślał - jako sławny doktor będą podejmował w swoim domu artystów i muzyków.

Zabrakło mu już pieniędzy na wynajęcie fiakra, który zawiózłby go do sali Wauxhall, dlatego czekała go długa droga na zachód, przejście przez most nad rzeką i pokonanie pewnej odległości do bulwaru Saint Martin w pobliżu placu Republiki, ale nie miał nic przeciwko temu. Lubił chodzić, a jeśli będzie się trzymał zachodniego krańca ile de la Cité i głównych ulic, wcale nie dostrzeże śladów cholery.

W pobliżu teatru stał sznur karet. Pierre na chwilę zatrzymał się przed wejściem i patrzył, jak arystokraci wysiadają z luksusowych pojazdów. Nie mógł uwierzyć, że mieszkają w tym samym mieście co biedni, chorzy ludzie, których widywał każdego dnia, idąc za Andralem podczas obchodów w La Charité, albo gdy na ochotnika pomagał w Hôtel-Dieu. Wokół każdego eleganta unosił się zapach kamfory. Moźni tego świata uważali, że kamforowiec uchroni ich jak talizman, i rzeczywiście działał. Bogaci ludzie nie chorowali i nie umierali tak jak biedota... przynajmniej nie tak często.

Pierre wszedł do teatru i podał biletowi, który wskazał mu miejsce w środkowym rzędzie na parterze. Roztaczał się stamtąd wspaniały widok na scenę i łoże, więc młodzieniec ucieszył się, że będzie mógł miło spędzić czas nie tylko podczas koncertu, ale i w przerwie.

Sala była niemal pełna. Pierre nie mógł sobie wyobrazić wspanialszego wieczoru. Ludzie sprawiali wrażenie szczęśliwszych i weselszych niż zazwyczaj; wyraźnie cieszyli się, że jeszcze żyją. Pierre dla rozrywki przyglądał się publiczności siedzącej w łożach i próbował do poszczególnych osób dopasować tytuły lub ocenić zasobność ich kieszeni. W jednej z niewielkich wnęk zauważył aż pięć dam o tak bujnych kształtach, że wyglądały na córki cukiernika, ale ponieważ znajdowały się w teatrze i miały na sobie mnóstwo klejnotów, ich ojciec musiał być raczej bogatym bankierem. Miejsca w sąsiedniej łoży zajmowało kilku elegancko ubranych młodych mężczyzn. Sądząc po sposobie bycia, należeli do arystokracji. Nieco dalej Pierre zauważył markiza La Vayera, prefekta policji Gisqueta i kilka osób, których nie znał.

Wszystkie łoże były zajęte z wyjątkiem jednej, na lewo, najbliżej sceny, od strony fortepianu. Niemożliwe, żeby bilety na tak pożądane miejsce nie zostały sprzedane już dawno temu, więc Pierre co chwila zerkał w tamtą stronę, by sprawdzić, komu dopisało takie szczęście. Młody medyk przypuszczał, że może to być ktoś z członków rodziny królewskiej.

W pewnym momencie otworzyły się drzwi na scenę i bileter w liberii spokojnie podszedł podnieść wieko fortepianu. Pomruk publiczności nieco przycichł i zamienił się w szept. Wszyscy czekali, aż pierwszy

pianista - Fryderyk Chopin - pojawi się na scenie i usiądzie do fortepianu. Pierre zerknął do pustej łoży. Ku jego zaskoczeniu, w tym czasie, kiedy spoglądał na scenę, wolne miejsca zajęły dwie damy. Jedną z nich była hrabina Marie d'Agoult, bywalczyni salonów i mecenas sztuki. Często pojawiała się na koncertach i w teatrze. Kobiety, która siedziała obok, Pierre nie znał, chociaż ona również wydawała mu się dziwnie znajoma. Miała jasne włosy i długą, smukłą szyję. Skromna, czarna suknia podkreślała jasną cerę. Tę suknię i fryzurę... gdzieś już widział. Młoda dama spoglądała w stronę sceny, więc Pierre nie mógł w pełni ocenić jej urody, ale policzek, delikatny zarys brody i drobny nos zapowiadały piękność.

Nagle rozległy się burzliwe oklaski, które wytrąciły Pierre'a z zamyślenia. Na scenie pojawił się monsieur Chopin, uklonił się publiczności i usiadł do fortepianu.

Anne zabrakło odwagi, aby poprosić ojca o zgodę na wyjście, dlatego omal się nie spóźniła na spotkanie z Marie d'Agoult. Hrabianka de Barbier wymówiła się bólem głowy od zjedzenia z ojcem zwyczajowej kolacji, a Thérèse, pod pozorem, że zanoszą lekarstwo, pomogła jej się ubrać w najlepszą czarną suknię. Gdy były pewne, że markiz spożywa już posiłek, a Julien go obsługuje, służąca ostrożnie otworzyła drzwi sypialni i dała swojej pani znać, że droga wolna.

Obszerna jedwabna krynolina i kilka halek szeleściły, gdy Anne szła korytarzem w stronę kwater dla służby. Za nią podążała Thérèse, co chwila oglądając się przez ramię. Były już prawie w drzwiach, które oddzielały oba skrzydła, gdy usłyszały kroki na schodach dla służby, zmierzające w ich stronę, więc szybko ukryły się w sypialni dla gości.

- Nie pozwolił mi spokojnie zjeść kolacji, tylko kazał posiedzieć przy hrabiance...

Anne rozpoznała głos służącej na przychodnię, którą matka zatrudniła, gdy trzeba było zwolnić ostatnią pokojówkę.

- Zatrzymaj ją, Thérèse! - szepnęła.

Gospodyni wymknęła się z pokoju i udała, że zeszła drugimi schodami.

- Wszystko w porządku, Sylvie, idź jeść. Zostanę z mademoiselle.

- Jesteś pewna, że to dla ciebie żaden kłopot?

- Oczywiście.

Anne ucieszyła się, gdy usłyszała, że dziewczyna zawróciła i schodzi na dół. Po chwili pojawiła się Thérèse.

- A teraz szybko!

- Co będzie, jeśli ojciec się zorientuje, że wyszłam? - spytała przerażona Anne.

Markiz od chwili, kiedy wspomniął o małżeństwie córki, zaczął się zachowywać dziwnie.

- Nie zorientuje się. Proszę już iść!

Thérèse wepchnęła swą panią do skrzydła dla służby i podprowadziła do drzwi, które wychodziły na ulicę.

Po wyjściu z domu Anne pospieszyła oświetlonymi ulicami do Marie d'Agoult, nie zwracając uwagi na sprośne zaczepki bywalców knajp i prośby żebraków.

Gdy dotarła na miejsce, hrabina czekała już w karecie.

- Przepraszam, trudno mi było się wyrwać.

Marie powitała ją uśmiechem.

- Szłaś na piechotę? Nieważne! Zajedziemy tuż przed rozpoczęciem koncertu.

Gdy przyjechały, przed teatrem stały karety, czekające na koniec koncertu. Szybko wpuszczono obie panie do środka i zaprowadzono prosto do łoży. Anne tak była zachwycona obecnością tylu ludzi w jednym miejscu, że nie miała odwagi na nich patrzeć, dlatego nie odrywała wzroku od sceny.

Jako pierwszy wystąpił monsieur Chopin. Dziewczyna była ciekawa, jak wygląda człowiek, który mimo młodego wieku skomponował już tyle wspaniałych utworów, i jak będzie je interpretował. Zaskoczył ją niski wzrost i wątła budowa ciała polskiego pianisty. W sali musiała panować całkowita cisza, żeby było go słychać. Nawet w najgłośniejszych fragmentach rzadko przekraczał dynamikę mezzoforte, a pasaże pianissimo wykonywał tak, jakby miał je usłyszeć tylko on i anioły. Zagrał kilka mazurków i walców, których Anne nie знаła. Była nimi urzeczona. Po chwili zapomniała, gdzie jest, wychyliła się do przodu i oparła łokcie o balustradę.

Gdy Chopin skończył, publiczność nagrodziła go gromkimi brawami, Anne również.

- Och, pani hrabino! Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś tak cudownego.

Marie pogłaskała ją po policzku.

- Wiele rzeczy musisz jeszcze poznać, Anne. - Zerknęła do programu. - Teraz wystąpi młody pianista, który zagra kilka własnych kompozycji, monsieur Franciszek Liszt.

Nim Anne zdążyła spytać hrabinę, co wie o człowieku, którego nazwisko matka wspomniała kilka dni przed śmiercią, otworzyły się drzwi na scenę. Wysoki, kościsty mężczyzna stanął obok fortepianu.

Dla hrabianki czas zatrzymał się w miejscu. Ciepło spłynęło jej spod żeber do czubków palców. Ze swojego miejsca widziała szlachetny profil Liszta.

Młodzieniec bez pośpiechu elegancko się uklonił, a potem odwrócił i usiadł na taborecie. Wbił wzrok w sufit, zdjął białe rękawiczki i położył je na fortepianie. Nie przyniósł żadnych nut. Jak można grać bez nut? - zastanawiała się Anne.

Wstrzymała oddech. W chwili, kiedy Liszt wydobył z instrumentu pierwsze dźwięki, poczuła się tak, jakby unosiła się nad siedzeniem jak duch utrzymywany w powietrzu przez ogromną liczbę dźwięków, które płynęły z fortepianu. Wspaniała technika Liszta bardzo różniła się od tego, co zaprezentował Chopin. Podczas gdy polski pianista jedynie muskał klawisze i jakby zachowywał dystans w stosunku do instrumentu, który wydawał się go przytłaczać, Liszt osadzał rękę dużo głębiej w klawiaturze i grał tak, jakby wyrывał muzykę z fortepianu. Chwilami jego palce poruszały się z taką prędkością, że Anne prawie ich nie widziała; kiedy indziej obejmowały tak rozległe akordy, jakby pianista miał nie dwie, lecz cztery ręce. Dziewczyna odnosiła wrażenie, że przy szybkich jak błyskawica pasażach unosi się coraz wyżej, a przy każdym potężnym akordzie i gigantycznym skoku - opada. Zakończenie utworu - zmiana trybu na durowy, zagrana tak ogromnym wolumenem dźwięku, jaki niezwykle trudno wydobyć z fortepianu - sprawiło, że zabrakło jej tchu. Gdy występ dobiegł końca, Liszt z wdziękiem uniósł ręce nad klawiaturę i spojrzał na publiczność. Tym razem omiótł wzrokiem łoże. Gdy odwrócił się w stronę pani d'Agoult i Anne, Anne dostrzegła na jego obliczu prawie niedostrzegalny uśmiech i zemdląła.

Pierre już wcześniej słyszał chorowitego Chopina, bardzo natomiast intrygował go Franciszek Liszt, który był na językach wszystkich paryskich plotkarek. Gdy wysoki Węgier wszedł na scenę z taką butą, jakby

do niego należał nie tylko fortepian, ale również scena, teatr i cała publiczność, medyk do pewnego stopnia rozumiał, dlaczego młody pianista tak fascynuje wielu ludzi, zwłaszcza panie.

Chociaż oczy wszystkich były skupione na przystojnym muzyku, Pierre nie mógł oderwać wzroku od młodej damy, którą wcześniej ujrzał w łoży madame d'Agoult. Wychylona lekko do przodu, z niezwykłym skupieniem wysłuchiwała Chopina. Jej smukłe ręce wyglądały jak gałązki w długich, obcisłych rękawach z bufkami, a dłonie przypominały dwa białe gołębie. Była całkowicie pochłonięta muzyką, nieświadoma swojej niezwyklej urody, która najwyraźniej przykuła nie tylko jego uwagę.

Podczas występu Liszta ta dziewczyna nie wsparła z rozmarzeniem brody na rękach, jak zrobiła to, słuchając Chopina, lecz siedziała wyprostowana, trzymając się balustrady. Nawet z parteru było widać, że jej oczy błyszczą. Madame d'Agoult wychyliła się nieco do przodu, ale słuchała z mniejszym zainteresowaniem i większym dystansem.

Po zakończeniu wspaniałych wariacji rozległy się rześiste brawa. Pierre wraz z innymi przez chwilę oklaskiwał wirtuoza. Potem ciekaw, jak młoda dama zareaguje na cudowny występ, zerknął w stronę jej łoży.

Nie było jej - przynajmniej nie było jej widać - a starsza z pań, hrabina d'Agoult, wstała, rozejrzała się z niepokojem, a potem co chwila pochylała się i prostowała, jakby próbowała zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Pierre błyskawicznie się zorientował, że dziewczyna zemdliała. Gdyby zrobiła to na oczach wszystkich, świadoma powszechnego zainteresowania, wybuchnąłby śmiechem i podsunął jej pod nos sole trzeźwiące. Jednak jej żywiołowa reakcja i całkowite zatopienie w muzyce sugerowały, że może istnieć prawdziwe zagrożenie.

- Przepraszam... najmocniej przepraszam...

Z trudem torował sobie drogę ze środka rzędu, podczas gdy słuchacze zmuszali Liszta do kolejnych ukłonów. Medyk w końcu wyrwał się z tłumu, pobiegł do bocznych drzwi i wpadł na korytarz prowadzący do łóż. Skierował się w stronę sceny i zapukał do drzwi, za którymi według niego powinny się znajdować obie panie.

Madame d'Agoult natychmiast go wpuściła.

- Wielkie dzięki! Myślałam, że nikt mnie nie usłyszy w tym hałasie.

Pierre nawet się z nią nie przywitał, tylko podszedł prosto do dziewczyny, która leżała na podłodze z bladą twarzą i bezbarwnymi wargami. Uniósł jej dłoń, potarł nadgarstek i delikatnie poklepał po policzkach.

- Hrabianka ostatnio straciła matkę - wyjaśniła madame d'Agoult.

- Z powodu cholery?

- Tak. Markiza była moją przyjaciółką, grała na fortepianie... i przekazała tę umiejętność córce. Zapewne koncert stanowił dla niej zbyt wielkie przeżycie. - Starsza nieco od dziewczyny madame d'Agoult też była nadzwyczaj piękna. Nie kryła zaniepokojenia. - To ja jestem wszystkiemu winna! Namówiłam ją, żeby przyszła. Tymczasem jej ojciec nawet nie wie, że ona tu jest.

W tym momencie powieki dziewczyny drgnęły. Otworzyła oczy i rozejrzała się z niepokojem. Kiedy skupiła wzrok na twarzy Pierre'a, lekko zmarszczyła czoło, jakby chciała zadać mu jakieś pytanie, potem odwróciła się i spojrzała na madame d'Agoult. Gwałtownie usiadła.

- Och, ale się wygłupiłam! Najmocniej przepraszam - powiedziała.

- Nie przejmuj się. Cieszę się, że już wszystko w porządku - odrzekła hrabina, klękając obok Anne.

- Pomogę pani wstać - zaproponował Pierre, nie chcąc puścić delikatnej dłoni, jakże innej niż dłonie praczek i mieszczek, którymi przeważnie się zajmował.

- Dziękuję - szepnęła i opuściła wzrok, a na jej jasnych policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. - Jestem wdzięczna za pomoc, panie...?

Pierre wcześniej nie ośmielił się przedstawić hrabinie d'Agoult, dlatego teraz spojrzał na nią, mając nadzieję, że pozwoli mu podać imię i nazwisko.

- Jesteśmy pana dłużniczkami - powiedziała jednak hrabina, gestem dając do zrozumienia, że już nie będzie młodzieńca potrzebować.

Wstał, skłonił się i wyszedł.

Na korytarzu zauważył, że wszystkie łóżka są pootwierane, a elegancko odziani ludzie wędrują od drzwi do drzwi, żeby nawzajem się odwiedzić i podzielić wrażeniami z koncertu, który właśnie słyszeli. Pierre nie śpieszył się z powrotem na swoje miejsce. Po drodze zatrzymał biletera.

- Kto zajmuje pierwszą łóżkę od sceny? - spytał, pokazując ręką.

- Dziś wieczorem madame d'Agoult.

- A kim jest jej młoda przyjaciółka?

- Nie wiem, monsieur.

Bileter kiwnął głową i poszedł w swoją stronę.

Pierre prawie nie słuchał drugiej części koncertu. Chociaż łóżka była pusta, wciąż odtwarzał w myślach niedawne wydarzenia. Bardzo chciał poznać imię dziewczyny, był jednak zbyt dobrze wychowany, by się narzucać, dlatego poprzestał na miłych wspomnieniach. Nagle wypowiedziane przed chwilą słowa madame d'Agoult wywołały pewne skojarzenie. Hrabina powiedziała, że matka dziewczyny niedawno zmarła na cholera.

Wtedy przypomniał sobie, gdzie wcześniej widział młodą damę. Wychyliła się z powozu, gdy zwłoki jego przyjaciela, Estèphe'a, wypadły z trumny w drodze na Père-Lachaise. Niedobrze, że to widziała - pomyślał. Nic dziwnego, że dziewczyna - hrabianka, jak wyraziła się o niej madame d'Agoult - była w takim stanie. Pierre postanowił przeprowadzić własne dochodzenie. Może przynajmniej uda mu się poznać imię i nazwisko dziewczyny, nawet jeśli już nigdy więcej jej nie zobaczy.

- Tak mi wstyd za to, co się dzisiaj stało - powiedziała Anne, gdy obie damy znalazły się w karecie madame d'Agoult i wracały do Saint Germain. - Nie mogę uwierzyć, że zemdlałam.

- Po prostu jesteś wyczerpana nerwowo. Nie ma powodu do zmartwień.

Jednak Anne czuła, że hrabina jest na nią zła. Uparła się, żeby wyszły przed drugą częścią koncertu, chociaż dziewczyna zapewniała, że całkiem dobrze się czuje.

- Chciałabym napisać do tego młodego człowieka, który mnie ocucił, i podziękować mu za pomoc - wyznała.

Marie bacznie jej się przyjrzała.

- Moja droga, lepiej o nim nie myśl. Nie oczekuje od ciebie podziękowań, bo jest prawdziwym dżentelmenem, a ty nie powinnaś się z nim kontaktować, bo go nie znasz.

Anne zbyt rzadko bywała w towarzystwie, żeby znać wszystkie wymagania etykiety i wiedzieć, co wypada robić, a czego nie wypada. Uważała, że powinna podziękować młodzieńcowi, który patrzył na nią z takim niepokojem i troską. Niestety, nie mogła korzystać z rad matki, więc musi zdać się na Marie.

Kareta zatrzymała się przy hôtel Barbier, pod drzwiami dla służby. Anne rozpaczliwie chciała przed rozstaniem zadać Marie pytanie, ale długo się wahała.

- Madame - powiedziała w końcu. - Sama nie wiem, jak mam pani podziękować za dzisiejszy wieczór.

- Nie ma o czym mówić - odparła Marie. - Twoja matka na pewno by chciała, żebyś poszła na ten koncert.

- Mam jeszcze jedną prośbę. Ogromną - wydukała w końcu dziewczyna, zagryzając dolną wargę. - Ojciec zamknął na kłódkę drzwi sali balowej, w której stoi fortepian. Nie chce słyszeć muzyki w naszym domu.

- Och, rozumiem - mruknęła Marie. - Kochana Anne, możesz do mnie przychodzić, kiedy tylko będziesz miała ochotę usiąść do fortepianu. Jutro wyjeżdżam za granicę, ale polecę służbie, żeby cię wpuszczano pomimo mojej nieobecności.

Anne uścisnęła hrabinę, wdzięczna za pierwszy w życiu koncert i możliwość gry na fortepianie... Oczywiście pod warunkiem, że uda jej się wyrwać z domu. Tego wieczoru nie myślała o niczym innym. Liczyła się tylko muzyka - nić, która łączyła ją z matką jak nic innego na świecie.

V

Następnego dnia młody medyk nie miał czasu myśleć o pięknej damie, którą cucił podczas koncertu.

- Pierre! Chodź szybko!

Georges wpadł jak burza do uniwersyteckiej biblioteki, gdzie Pierre siedział nad ogromną księgą o układzie trawiennym, który był tematem popołudniowego wykładu doktora Magendie.

- Ciii... - uciszył Pierre przyjaciela. Chwycił go pod rękę i wyprowadził na skwer przed zabytkowym budynkiem. - O co chodzi?

- Słyszałem... to po prostu nie do pomyślenia... słyszałem, że o wszystko winią nas... albo doktorów.

Dopiero gdy w najbliższej kawiarni wychylili po kieliszeczku bordeaux, Pierre'owi udało się wyciągnąć z Georges'a bardziej sensowne zdanie.

- Pamiętasz Mordieugo. - Georges mówił o powszechnie szanowanym doktorze, który zapoznawał studentów medycyny z zaawansowanymi technikami chirurgicznymi. - Został zaatakowany, gdy siedł bulwarem de la Féraille. Napadł go żądny krwi motłoch.

Pierre nie mógł uwierzyć, że poszczuto biedaka psami, które rozerwały go na strzępy. Potem tłum przywiązał szczątki doktora do deski i wrzucił je do Sekwany.

- Są przekonani, że my... to znaczy lekarze... trujemy ich, że zwabiamy ich do szpitali, by pozbyć się biedoty.

- Skąd im to przyszło na myśl? - Pierre wpatrywał się w pusty kieliszek i powoli potrząsał głową.

- Myślę, że wszystko z powodu objawów. Rzeczywiście przypominają zatrucie.

Młodzieniec przez chwilę się zastanawiał.

- Poza tym to właśnie biedni masowo chorują i umierają, podczas gdy bogacze...

- Jutro mam dyżur w Hôtel-Dieu - powiedział Georges. - Nie jestem pewien, czy po tym wszystkim będzie mi się chciało tam iść.

Pierre pochylił się nad niewielkim stolikiem i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Nie możemy zostawić biedaków bez opieki. Wielu z nich wraca do zdrowia, a ci, którzy umierają, no cóż...

Głos mu się załamał. Pierre nigdy w życiu nie czuł się bardziej bezradny niż w obliczu choroby, która tak szybko powodowała śmierć, że wielu ludzi nie miało nawet czasu wymówić słowa „cholera”.

Georges przytaknął. Obydwaj młodzi ludzie na chwilę pogrążyli się w zadumie. Pierre nie myślał o niešťczesnym chirurgu zamordowanym przez motłoch; przed oczami stanęła mu piękna młoda dama, której imienia nie znał, z wyraźnymi objawami choroby.

Na podłodze pracowni Eugène'a Delacroix leżały porozrzućane kolorowe jedwabne poduszki. Na środku stał niski stolik w tureckim stylu, a na nim fajka wodna. Złocistobrazowa, niewielka bryłka opium w glinianym naczynku powoli zamieniała się w popiół. Kiedy Eugène włożył między wargi ustnik, który znajdował się na końcu giętkiej rurki, i wciągnął powietrze, woda na dnie zbiorniczka zabulgotała jak w fontannie. W pracowni unosił się ciężki zapach powietrza wydychanego przez Eugène'a i jego dwóch przyjaciół: Franciszka Liszta i poetę Alfreda de Musseta.

- Widziałeś ją, Alfredzie? - Franciszek oparł się na poduszkach i wyciągnął ręce nad głowę.

- Nie rozumiem - powiedział Eugène - dlaczego nie przyjąłeś zaproszenia.

Liszt z trudem wstał. Odniośł wrażenie, że ręce i nogi ma z gumy. Muszę zapamiętać to uczucie - pomyślał.

- Być może uda mi się je przenieść do muzyki.

- Wtedy nie wiedziałem, kim ona jest - odparł po chwili.

Alfred odwrócił się na bok i oparł głowę na łokciu.

- Kaźdy zapytany by ci powiedział, głupcze. Wszyscy znają sławną madame d'Agoult.

- Te oczy! Takie piękne i nieobecne.

- Jak mogłeś to zauważyć ze sceny? - spytał Eugène. - Miałem wspaniałe miejsce, z którego roztaczał się doskonały widok, mimo to widziałem tylko koafiurę i krój jej sukni.

- Kiedy gram, jestem bogiem - wyjaśnił Liszt.

Jego komentarz wywołał wybuch serdecznego śmiechu towarzyszy. Pomimo narkotycznego otumanienia Węgiel zdawał sobie sprawę, jak głupio musiały zabrzmieć jego słowa. Nie miał wyrzutów sumienia, że oddaje się takim przyjemnościom. Na wieść, iż tego ranka zmarł na cholere sławny poeta - co prawda tylko znajomy, ale wiadomość bardzo ich zaniepokoiła - postanowili szukać ucieczki w opium.

Alfred, który miał na sobie eleganckie, ale bardzo pomięte ubranie, potrząsnął głową, żeby nieco oprzytomnieć.

- Gdy jestem trzeźwy, nigdy się nie śmieję - oznajmił. - Znam Marie. Jeśli chcesz, mogę cię jej przedstawić.

Franciszek przysunął się do niego.

- Zrobiłbyś to dla mnie? Jesteś cudowny, przyjacielu.

- Problem w tym, że uciekła z Paryża, tak jak połowa towarzystwa. Nie wiem, kiedy wraca, ale mogę pójść i dowiedzieć się czegoś od służby.

- Nie! - zaprotestował Liszt, gwałtownie siadając. - Sam pójde i zostawię bilet wizytowy.

Eugène uderzył dłońmi o podłogę.

- Franciszku! Naprawdę przesadzasz. Zauważyłem, że księżniczka Clémentine nie przyszła na koncert.

- Zerwałem wszelkie stosunki z rodziną królewską - oznajmił Franciszek. - Na moim progu pojawił się jakiś grubiański wielkolud i oświadczył, że połamię mi ręce, jeśli jeszcze raz zerknę w stronę księżniczki.

Liszt przypomniał sobie własne zażenowanie tą wizytą, zwłaszcza że jej świadkami byli wszyscy sąsiedzi.

Eugène i Alfred kiwnięciem głów przyjęli jego oznajmienie.

Węgier powoli wstał i przez chwilę starał się odzyskać równowagę.

- O rany, ale jesteś wysoki - jęknął Eugène, a potem wybuchnął śmiechem, który po chwili przerodził się w kaszel. - Dokąd się wybierasz?

- Do domu hrabiny d'Agoult.

- Wiesz, gdzie mieszka? - spytał Alfred. Franciszek podrapał się po głowie.

- Nie możesz tam teraz iść! - zaprotestował Eugène. - Jest... druga w nocy! Na razie siadaj, a jutro Alfred poda ci adres.

Liszt opadł z powrotem na poduszki. Wkrótce wszyscy trzej młodzi artyści popadli w narkotyczne odurzenie. Oprzytomnieli dopiero o wschodzie słońca, kiedy włoska gospodyni malarza wyrzuciła ich z domu.

Chociaż od koncertu minął tydzień, Anne nie udało się wybrać do apartamentu hrabiny d'Agoult, żeby pograć na fortepianie. Nie wiedziała, jak to zrobić. Gdy mówiła, że chce iść do kościoła, ojciec za pośrednictwem Juliana wydawał woźnicy polecenie, żeby zawiózł dziewczynę bezpośrednio do Saint Germain des Prés, a potem przywiózł ją z powrotem do domu. Kiedy udawała, że potrzebuje jakiejś wstążki albo jedwabnych nici do wyszywania, wysyłał po nie służącą, przypominając córce o panującej zasadzie. Gdy matka Anne żyła, zawsze zostawiała córce do dyspozycji spore fundusze, które w zależności od potrzeby dziewczyna mogła wydać na książki, nuty czy kapelusze. Teraz markiz nie dawał jej nic, chyba że poprosiła o konkretną kwotę na określony cel. Zaczęła więc zawyżać nieco ceny, żeby na wszelki wypadek mieć choć odrobinę pieniędzy.

- Ojczy - powiedziała pewnego ranka, gdy służąca posprzątała już po śniadaniu w saloniku. - Mam dość siedzenia w domu. Potrzebuję świeżego powietrza. Chcę się więc wybrać na spacer.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwa czyhają na ulicach? Nie słuchałaś, gdy czytałem ci fragmenty «Quotidienne»?

Anne wiedziała, że ojciec miał na myśli okropne doniesienia o napadach motłochu na lekarzy i urzędników, ale rozruchy zdarzały się na wschód od nich, w Saint Antoine, Les Halles i Marais. W Saint Germain było cicho i bezpiecznie. Niepotrzebnie się niepokoił.

- W naszej dzielnicy nie ma rozruchów - przypomniała. - Będę bezpieczna.

Markiz wstał i ciężko wsparł się na lasce.

- Nie. Zostaniesz w domu. Dziś wieczorem będziemy mieli gości na kolacji. Chcę, żebyś ładnie wyglądała. Tak ładnie, jak tylko może wyglądać dziewczyna w żałobie.

Prawdopodobnie wcale nie chciał tą uwagą sprawić córce przykrości, mimo to Anne zrobiło się smutno. Zaciśnęła dłoń. Po chwili przyszło jej na myśl, że przynajmniej nie będzie musiała znosić następnej ponurej kolacji w towarzystwie milczącego markiza.

- Kim będzie nasz gość, ojczy? - spytała, zastanawiając się, kto postanowił odwiedzić stroniącego od ludzi markiza, skoro wizyty kondolencyjne złożyli mu tylko dwaj wiekowi członkowie dworu Burbonów.

- Znalazłem kandydata na twojego męża - oznajmił, a potem, nie czekając na reakcję córki, wstał i poszedł do biblioteki, z której wyłonił się dopiero wtedy, gdy trzeba było się ubrać do kolacji.

Anne zadzwoniła po Thérèse. Krążyła niespokojnie po saloniku, w którym wszystkie okna były przesłonięte żaluzjami, żeby powstrzymać ciekawskie spojrzenia przechodniów. Z zaciśniętymi ustami i dłońmi czekała na gospodynię. Służba zawsze była najlepiej poinformowana. Gdy Thérèse pojawiła się w drzwiach, Anne gwałtownie się zatrzymała i odwróciła twarzą do niej. Starła się zachować spokój, a jednocześnie przypomnieć sobie, jak postępowała matka, gdy chciała zganić kogoś ze służby, nie sprawiając mu przykrości. Jakimś cudem markiza potrafiła użyć takich słów, że winowajca czuł się zganiony, a jednocześnie pochwalony. Dziewczyna żałowała, że w owym czasie nie zwracała na to większej uwagi.

Wyprostowała się.

- Właśnie dowiedziałam się od ojca, że dziś wieczorem mamy gościa na kolacji. Jestem zaskoczona. Jeszcze bardziej dziwi mnie fakt, że chociaż od... śmierci matki jestem panią tego domu, nie zostałam wcześniej o niczym poinformowana.

- Przepraszam - powiedziała Thérèse, składając ręce na brzuchu - ale markiz dał nam do zrozumienia, że wie pani o wizycie pana de Barbiera.

Kiedy Anne wyczuła w słowach Thérèse wyraźny sarkazm, zdała sobie sprawę, że właśnie uraziła jedyną sojuzniczkę.

- Nie. Nic nie wiem o tym człowieku... Powiedziałaś, że to... monsieur de Barbier?

Barbier to przecież rodzinne nazwisko. Dotychczas Anne była święcie przekonana, że oprócz jej i ojca nikt go nie nosi.

- To daleki kuzyn pani ojca.

- Kuzyn? Ile ma lat? - Dziewczyna była tak zaskoczona, że zapomniała o złości na służącą. - Widziałas go kiedykolwiek?

Nie wiedziała, czy się cieszyć, że nagle się dowiedziała o istnieniu dalekiego krewnego, czy oburzać, iż ojciec chce ją wydać za kuzyna, którego nigdy w życiu nie widziała.

- Prawdę mówiąc, mademoiselle, do dzisiejszego ranka nawet o nim nie słyszałam. Nazywa się Armand de Barbier.

Jeśli Thérèse nic o nim nie wiedziała, to znaczy, że matka również. Anne od dawna zdawała sobie sprawę, że gospodyni jest najbliższą powiernicą markizy.

- Dziękuję - powiedziała, starając się dzięki tonowi głosu przekazać, że wcale nie chciała być niemą i pragnie, by dobre stosunki z Thérèse trwały nadal.

- Od dziś, mademoiselle, będę pamiętała, że ojciec o niczym panience nie mówi.

Na twarzy Thérèse pojawił się uśmiech, a Anne wiedziała, że dobre stosunki zostały zachowane.

Po powrocie do swojego pokoju usiadła przy toalecie i tępo wpatrzyła się w lustro. Od koncertu, który odbył się tydzień temu, w jej myślach królował młody węgierski pianista. Dzięki jego wspaniałej grze zapomniała o żalobie i zasadach obowiązujących cnotliwą panienkę. Zdawała sobie sprawę, że jej uczucia do Liszta znacznie wykraczają poza podziw. Ilekroć przypominała sobie, jak jego palce przemykały po klawiaturze, odczuwała wewnętrzny dreszcz w miejscu, o którego istnieniu jeszcze niedawno nawet nie wiedziała. Marzyła usiąść obok niego, chciała, by wziął ją za rękę i pokazał, w jaki sposób wydobywa dźwięki. Gdyby jej się to udało, mogłaby umrzeć bez żalu.

Przebiegła palcami po skraju toaletki jak po klawiaturze i bezgłośnie odegrała walca Schuberta. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w dźwięki, które rozbrzmiewały w jej głowie. Po chwili jednak przestała śnić na jawie. Na parterze stał ogromny, cichy od jakiegoś czasu fortepian. Jeśli ojciec wyjdzie z domu, namówi Thérèse, żeby wpuściła ją do sali balowej, i trochę pogra. Albo jeszcze lepiej by było, gdyby markiz przestał tak bardzo jej pilnować. Wtedy poszłaby do domu madame d'Agoult i poćwiczyła na fortepianie, nie zastanawiając się, czy ktoś zechce donieść o tym ojcu.

Gdyby mogła regularnie bywać w mieszkaniu Marie, może pewnego dnia zostałaby zaproszona na salony, a tam, kto wie, miałyby szansę spotkać Liszta.

Westchnęła. Po co myśleć o spotkaniu ze wspaniałym Franciszkiem Lisztem, skoro ojciec chce ją zmusić do wyjścia za mąż za jego wiekowego kuzyna? Widocznie nie chce mnie widzieć - pomyślała. - Dlatego postanowił się mnie pozbyć. Pomimo ostatnich problemów zbyt miło wspominała lata spędzone w hôteli Barbier, by chcieć się stąd wyprowadzić i zamieszkać gdzie indziej. Przynajmniej na razie, dopóki w każdym zakamarku czuje obecność matki. Jeśli los się do mnie uśmiechnie - pomyślała - monsieur de Barbier nie zechce się ze mną ożenić.

Po chwili doszła do wniosku, że nie powinna całkowicie zdawać się na uśmiech losu. W tym momencie jej nastrój znacznie się poprawił. Niezależnie od tego, jakie cechy powinna mieć idealna kandydatka na żonę, muszę zaprezentować się z jak najgorszej strony - pomyślała. Dla Anne ideałem była markiza: piękna, uśmiechnięta, otoczona słodkim zapachem perfum; zawsze ustępowała ojcu i starała się, żeby wszyscy dobrze się przy niej czuli. Anne zadzwoniła po Thérèse.

- Słucham, mademoiselle.

- Co powinnam zrobić, żeby spodobać się mężczyźnie? - spytała.

- Nie musi mademoiselle nic robić. Proszę mało mówić i często się uśmiechać, a będzie panienka miała świat u swych stóp.

Anne doszła do wniosku, że Thérèse chyba trochę przesadza.

- Czy dżentelmen oczekuje czegoś szczególnego od damy?

Służąca wyduła wargi.

- Dlaczego panienka pyta? Anne westchnęła.

- Potrzebuję twojej pomocy. Pragnę wyrzucić na kuzynie ojca jak najgorsze wrażenie, żeby nie chciał się ze mną ożenić, ale nie wiem, jak to zrobić.

Pokojówka wzięła się pod boki, odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła tak gromkim śmiechem, że zadźwięczały kryształki profitki na gzymsie nad kominkiem.

- Nigdy w życiu nie przypuszczałam, że usłyszę takie słowa z ust młodej damy - powiedziała w końcu, ocierając łzy wierzchem dłoni. - Co powiedział starszy pan?

- Prawie nic. Tylko tyle, że monsieur de Barbier ma być moim konkurentem.

- Co prawda, w tym domu rządzi markiz, ale póki żyję, nie uda mu się zmusić panienki do wyjścia za mąż za kogoś, kto nie będzie panience odpowiadał. Markiza nigdy w życiu by się na to nie zgodził. A zatem zgoda, pomogę panience.

W tym momencie Anne złożyła swój los w ręce Thérèse, zdając sobie sprawę, że po śmierci swojej pani służąca przeniosła uczucia na jej córkę i stara się być wobec niej lojalna. Dziewczyna siedziała potulnie, gdy gospodyni za pomocą szczotki prostowała jej misternie ułożone loki.

- Proszę chwileczkę zaczekać. Przyniosę ząbek czosnku i oliwę - powiedziała.

Anne wyciągnęła szyję i spojrzała pytająco.

- Dla mężczyzn nie ma nic gorszego niż kobieta, która sprawia wrażenie, jakby nigdy się nie myła.

- Możesz przy okazji przynieść moją brązową suknię - dodała Anne, nagle pojmując plan Thérèse. - Tę, którą miałam zamiar ofiarować ubogim.

Nigdy w niej dobrze nie wyglądała. Dzięki temu będzie sprawiała wrażenie niezgrabnej i nieładnej.

Wiedziała, że ściągnie na siebie gniew markiza, jeśli zawstydzi go w obecności wiekowego kuzyna, ale chociaż po matce odziedziczyła talent i niezwykłą urodę, mogła się poszczycić również uporem i determinacją ojca, dzięki czemu była nieco odważniejsza niż przeciętna panna na wydaniu. Śmiałości dodawał jej sojusz z Thérèse. Teraz już zawsze mogła liczyć, że służąca pomoże jej osiągnąć to, czego chciałaby dla niej matka, a czego nie zaaprobowałby ojciec. Najchętniej rozplakałaby się z radości, że nagle przestała być samotna w tym pełnym zakamarków domu.

Gdy pojawił się gość, Thérèse powiadomiła Anne o jego przyjeździe, ale dziewczyna chwilę odczekała, aż monsieur de Barbier i ojciec pójdą albo do salonu, albo do biblioteki. Gdy dotarła na dolny podest, zorientowała się, że panowie są w bibliotece. Zza drzwi dobiegał wyraźny, donośny głos markiza. Zdaniem matki swego czasu był on znany jako świetny mówca.

- Stosujesz rumianek? - spytał.

Anne nie usłyszała odpowiedzi kuzyna. Jego cichy głos nie zdołał przebić się przez masywne drzwi. To nie był dobry znak. Może był taki stary, że mówił tylko szeptem? Lepiej najgorsze mieć już za sobą - pomyślała i zapukała cicho, mając nadzieję, że ojciec nie dosłyszcy. Markiz jednak przerwał orację i krzyknął: - Proszę!

Zadrżała ze strachu. Wiedziała, że wygląda okropnie. Thérèse wykazała się ogromną inwencją, między innymi namalowała węglem sińce pod oczami Anne, by wyglądała na zmęczoną, a jej suknia tak śmierdziała czosnkiem, że prawdopodobnie nie będzie się nadawała nawet dla biednych. Hrabianka nie należała do osób tchórzliwych, jednak tego dnia po raz pierwszy w życiu otwarcie sprzeciwiła się ojcu. Nie wiedziała, jak on zareaguje. Ale nie było już odwrotu. Weszła do biblioteki i dygnęła, nie patrząc na gościa.

Kiedy w końcu uniosła głowę, nie umiała powiedzieć, kto z całej trójki był bardziej zaszokowany i przerażony. Markiz włożył dworski strój: stary szkarłatny surdut ze złotym warkoczem i guzikami oraz koronkami pod szyją i wokół nadgarstków, a do tego czarne aksamitne spodnie i białe pończochy pomarszczone na chudych, starczych łydkach. Przypudrował włosy i pomalował różem policzki. Niegdyś w tym stroju imponował małej córeczce, ale teraz, dużo starszy i chudszy, wyglądał jak wyliniąta papuga w klatce.

Wygląd ojca kompletnie zaskoczył Anne, trudno jednak o słowa, które wyraziłyby jej szok na widok gościa. Sprawiał wrażenie młodszego od niej, a jego czarny frak i zbyt obszerne spodnie wisały luźno na chudej, chłopięcej sylwetce. Miał proste włosy koloru piasku, przycięte zgodnie z najnowszą modą, i gładkie policzki, które jeszcze nie widziały brzytwy. Zarówno monsieur de Barbier, jak i markiz z niedowierzaniem spoglądali na strój Anne. Zdawało jej się, że młody kuzyn cofnął się, czując zapach czosnku.

Markiz wstał, rzucił córce ponure spojrzenie, które wyrażało pełną dezaprobatę, i przedstawił sobie młodych. Monsieur de Barbier mówił cicho, rzadko się odzywał, właściwie odpowiadał jedynie na skierowane bezpośrednio do niego pytania.

Kolacja przebiegła w okropnej atmosferze. Markiz wziął na siebie cały trud prowadzenia rozmowy, zadawał pytania i sam na nie odpowiadał. Do stołu podawali Thérèse i Julien, przynosząc danie po daniu. Było ich cztery, może pięć, nie licząc przekąsek, które stały na stole. Kucharz przeszedł sam siebie. Normalnie jadali proste posiłki, dlatego wystawność kolacji zaskoczyła Anne. Jadła do syta, ignorując ponure spojrzenia markiza, gdy prosiła, by podano jej to czy tamto, i za każdym razem do czysta opróżniała talerz i kieliszek.

- Musisz wybaczyć Anne małomówność - powiedział markiz młodemu gościowi po kolejnej długiej pauzie we wciąż utykającej rozmowie. - Bardzo przeżyła śmierć matki.

- Oczywiście - wymamrotał monsieur de Barbier.

Po kolacji, nim młody człowiek wyszedł, ojciec po raz ostatni podjął zenującą próbę ratowania swoich planów.

- Lubisz przejażdżki po Lasku Bulońskim? - spytał.

Kuzyn wyglądał na zdezorientowanego. Kiedy jednak otworzył usta, żeby odpowiedzieć, markiz nie dopuścił go do słowa.

- Może od czasu do czasu zabrałbyś ze sobą Anne? Wciąż jej powtarzam, że nie może ciągle siedzieć w domu i rozmyślać o matce. Taka ładna dziewczyna powinna cieszyć się życiem.

Anne wbiła w ojca pełne złości spojrzenie, ale on nie popatrzył jej w oczy.

- Było... byłoby mi bardzo miło - wyjąkał młodzieniec.

- Dziękuję - powiedziała Anne.

Wyciągnęła posmarowaną czosnkiem rękę do pocałunku. Była zaskoczona, że młodzieniec nie przyspieszył pożegnania i zachował się tak uprzejmie, jak należało.

Kiedy wsiadł do swojego powozu i odjechał w chłodny wiosenny wieczór, Anne odwróciła się do markiza i powiedziała:

- Dobranoc, ojczu.

Potem popędziła schodami do swojej sypialni. Nie miała ochoty na burę. Na szczęście markiz nie przysłał po nią Juliana. Może było mu niedobrze od zapachu czosnku.

Kiedy Armand dowiedział się, że jego prawny opiekun, którego nigdy w życiu nie widział, zażyczył sobie, żeby opuścił będące od dziesięciu lat jego domem kolegium jezuitów i wynajął mieszkanie w pobliskim Marais, początkowo nie mógł w to uwierzyć. Jednak po kilku dniach miał już apartament, powóz, dwa konie i lokaja. Zastanawiał się, kto za to wszystko płaci. Wiedział, że posiada jakieś zasoby, ale nie znał ich wysokości, był więc pewny, że to z tego źródła są pokrywane wszystkie wydatki. Jego majątek do ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia miał pozostawać w zarządzie opiekuna, a Armand był pewny, że do tego czasu pozostanie u jezuitów.

Początkowo nie wiedział, co robić. Dotychczas rytm jego dnia wyznaczały modlitwy i lekcje, dlatego przerażały go samotność i pustka w nowym życiu.

- Co przez cały dzień robią młodzi bogaci dżentelmeni? - spytał swojego lokaja Feliksa w drugim dniu wolności.

- Co robią? - służący powtórzył pytanie, jakby nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał.

- No tak. Uczą się? A może chodzą na msze?

- Ach, rozumiem. Nie. Wydaje mi się, że najczęściej zaczynają dzień od wizyty u krawca, a potem jadą do lasku, spotykają się w kawiarni na wystawnych lunchach i składają wizyty. Chociaż wydaje mi się, że ostatnio wszelkie odwiedziny zostały nieco ograniczone z powodu cholery.

Armand nie chciał całkiem zdradzać swojej naiwności, podziękował więc Feliksowi za informacje i rozsmarował trochę marmolady na kromce chleba.

- Czy monsieur będzie dziś rano korzystał z powozu? - spytał Feliks, najwyraźniej czekając na instrukcje przed udaniem się do swojego maleńkiego pokoiku, w którym nie wiadomo co robił, czekając na wezwanie Armanda.

- Nie, dziś rano nie - odparł młodzieniec. - Chyba się ubiorę i pójdę na spacer.

W rzeczywistości marzył tylko o jednym - żeby wrócić do Les Jésuites i odwiedzić przyjaciół, zwłaszcza swojego nauczyciela, ojca Jaquina. Wolność oznaczała samotność.

Dlatego poczuł ogromną ulgę, gdy otrzymał zaproszenie na kolację w hôtel Barbier, gdzie miał się spotkać z opiekunem. Chcąc spełnić wszelkie wymogi formalne, najpierw musiał wybrać się do krawca, co zajęło mu znaczną część dnia. Wyglądało na to, że dysponuje nieograniczonym kredytem, dzięki czemu wkrótce stał się posiadaczem stroju godnego paryskiego dżentelmena. Miał jednak dopiero siedemnaście lat i prawdę mówiąc, wcale nie czuł się jak dżentelmen. Nie palił i nie pił, z wyjątkiem odrobiny wina do kolacji. Nigdy nie grał w karty, co według Feliksa było popularnym zajęciem młodych mężczyzn.

Miał nadzieję, że zdoła zadać opiekunowi kilka pytań, dowie się, jakie ma perspektywy i czego się od niego oczekuje. Wiedział tylko, że ojciec zostawił mu w depozycie sporą fortunę, która miała mu przyspaść, gdy ukończy dwadzieścia jeden lat, nie krył więc zaskoczenia, że jego dorosłe życie zaczęło się o kilka lat wcześniej.

Kiedy w piękny wiosenny wieczór wracał po niemiłej wizycie do swojego mieszkania, doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak zdezorientowany. Zabrakło mu odwagi, żeby zadać markizowi choćby jedno pytanie, chociaż bardzo chciał wiedzieć coś więcej na temat swoich rodziców i rodziny. Na podstawie luźnych uwag rzucanych niekiedy przez ojca Jaquina wiedział, że w rodzinie nastąpił

rozłam: jedna gałąź rodu Barbierów przez całą rewolucję pozostała wierna koronie, druga zrezygnowała ze szlachectwa i stanęła po przeciwnej stronie barykady. On sam należał do gałęzi rewolucyjnej.

Jego mądry dziadek zajął się handlem, na którym dorobił się niezłej fortuny. Problem polegał na tym, że Armand chciał wiedzieć więcej. Jaki był jego ojciec? Jaka matka? Czy byli pełni radości życia, czy ponurzy? Inteligentni czy ograniczeni? Ładni czy przeciętni? Nie miał żadnych portretów rodziców, tak że mógł tylko wyobrażać sobie ich wygląd.

Jakby tego było mało, na scenie pojawiła się hrabianka Anne, córka opiekuna. Co za komediantka! Sądząc po minie markiza, najwyraźniej nie zastosowała się do jego wskazówek i wcale nie starała się być miła. Armand zastanawiał się, co ją skłoniło do takiego zachowania. Chociaż wuj wspomniał o małżeństwie, chłopak potraktował tę uwagę jedynie jako zwyczajny komentarz. Czyżby markiz chciał, żeby poślubił hrabiankę?

Pomimo jej tłustych włosów, brudnych paznokci i okropnego zapachu Armand zauważył, że jest ona bardzo ładna. Nic nie mogło zgasić blasku jej błękitnych oczu ani ukryć gracji ruchów.

Zatrzymał się pod domem, w którym miał apartament przy rue Saint Antoine. Gdy Feliks usłyszał turkot kół, wyłonił się z drzwi i kazał portierowi odprowadzić konie oraz powóz do stajni.

- Jak minął wieczór, monsieur?

Armand bez słowa poszedł prosto do garderoby i przy pomocy lokaja przygotował się do snu. Jutro - pomyślał - chyba będę musiał skorzystać z sugestii opiekuna i zabrać hrabiankę na przejażdżkę. Może tym razem się wykapie. Westchnął i zgasił świecę przy łóżku. W Les Jésuites odezwały się dzwony. Ich bliskość dodawała mu otuchy. Przypomniawszy sobie, co powiedział ojciec Jaquin, gdy Armand oświadczył, że wolałby zostać wśród braci i przyjąć święcenia. Zakonnik zasugerował, że młodzieniec powinien najpierw opuścić mury klasztorne, by przekonać się, czy jest powołany do służby bożej.

- Odziedziczyłeś po ojcu sporą fortunę. Najpierw powinieneś ją przejąć, a dopiero potem podjąć decyzję, czy chcesz się jej zrzec, czy nie - powiedział ojciec Jaquin. - Jeśli tego nie zrobisz, twój opiekun będzie mógł ją rozdysponować według własnej woli. Poza tym - ciągnął - jeśli ktoś chce się przyłączyć do Jezusa, musi wiedzieć, jak wygląda prawdziwe życie, być gotowym udać się na krańce świata i zrezygnować z dóbr materialnych.

Na razie prawdziwe życie - świat mężczyzn i kobiet - stanowiło dla Armanda tak ogromną zagadkę, że zaczynał rozumieć, co ojciec Jaquin miał na myśli. Jeśli zaś chodzi o zrzeczenie się dóbr materialnych, kapłan kilkakrotnie wspomniawszy, że jezuita z przyjemnością przejmą fortunę Armanda, gdy będzie już mógł samodzielnie nią dysponować.

Skoro jednak znalazł się w szerokim świecie - nawet jeśli stało się to bardziej przez przypadek niż zgodnie z wcześniejszymi planami - jutro postara się poznać go nieco dokładniej i zacznie aktywniej kształtować własną przyszłość.

Zasypiając, układał w myślach zaproszenie, jakie nazajutrz wyśle do kuzynki. Zastanawiał się tylko, czy ma odpowiednio elegancki papier.

VI

Poprzedniego wieczoru Anne przed pójściem do łóżka wzięła kąpiel. Rankiem ponownie się wykapała, a gdy wylała na siebie resztki wody lawendowej, niemal całkowicie udało się jej pozbyć wstrętnego zapachu. Thérèse też musiała nieźle się nabiedzić, zanim z włosów pani zmyła olej i z powrotem ułożyła je w loki. Kiedy były prawie gotowe, pojawiła się służąca z dwoma listami.

Na jednym z nich widniał dziwny znaczek. Anne, która nigdy wcześniej nie dostawała listów z zagranicy, ku ogromnej swej radości rozpoznała pismo madame d'Agoult. Rozerwała kopertę.

W piątek wracam z Genewy. Będzie mi bardzo miło, jeśli następnego dnia wieczorem wybierzesz się ze mną na koncert u baronowej Duvernoy. Proszę, przyslij odpowiedź na quai Malaquais.

Amitiés

M. d'A.

Anne ścisnęła kartkę. Koncert! Przypomniała sobie wydarzenie sprzed ponad roku. Kiedy obudziła się w środku nocy, usłyszała, że matka gra w sali balowej na fortepianie. Owinęła się szalem i pobiegła się przywitać, bo wiedziała, że markiza właśnie wróciła z koncertu u księżnej o tak dziwnym i trudnym do wymówienia nazwisku, że dawno je zapomniała.

W sali balowej nie płonęła żadna świeca, ale klejnoty matki połyskiwały w bladym świetle, które dochodziło z westybulu. Na widok córki markiza przestała grać i przysłoniła ręką oczy, żeby uchronić je przed światłem czy otrzeć łzę. Anne podbiegła i uklękła u jej stóp. Matka delikatnie głaskała ją po włosach i opowiadała o ludziach, których spotkała, a także o tym, co grano, śpiewano i recytowano. Tak - pomyślała Anne - właśnie sobie przypomniałam, że madame d'Agoult śpiewa.

Gdy niemal zasypiała u stóp matki, wyobrażając sobie muzykę i wesołe rozmowy, drzwi sali balowej otworzyły się, a markiza nagle urwała swoją opowieść. Tak były zajęte rozmową, że nie usłyszały stukania laski.

- Chodź do łóżka, Sandrine - powiedział ojciec ostro.

Anne doskonale знаła ten ton. Poczowała, że ręka matki drży.

- Wracaj do swojego pokoju, *ma fille* - szepnęła markiza.

Dziewczyna szerokim łukiem obeszła ojca i udała, że biegnie schodami na piętro, ale gdy tylko znalazła się na górnym podeście, poza zasięgiem wzroku rodziców, zatrzymała się i zamieniła w słuch.

- Dzisiaj dostałem następny - powiedział ojciec, a w jego cichym głosie słychać było zdenerwowanie.

- Och kochanie! Nie wiem, co powiedzieć. To takie...

Matka urwała, coś plasnęło. Anne zakryła dłonią usta i wstrzymała oddech.

- Sandrine! Najdroższa! Wybacz, nie chciałem. Nie... - mówił ojciec zasapanym, drżącym głosem.

Czyżby płakał?

Markiz nigdy wcześniej nie uderzył żony, przynajmniej Anne jeszcze nigdy nie była świadkiem takiej sceny. Nigdy również nie widziała, żeby płakał.

- Nie mówmy o tym - odparła matka tonem, jakim zazwyczaj pocieszała męża, gdy był w ponurym nastroju.

Nie powiedzieli nic więcej, a potem zamknęli drzwi sali balowej.

Następnego ranka zachowywali się tak, jakby w nocy nic się nie stało, a Anne nie mogła o to spytać, bo musiałaby się przyznać do podsłuchiwania.

Z trudem wróciła do chwili obecnej. Nagle zdała sobie sprawę, że nie mogąc się pogodzić z faktem, iż ojciec uderzył matkę i nie został za to skarcony, całkiem wówczas zapomniała, co powiedział. Dawna scena ponownie rozegrała się przed jej oczami. Co miał na myśli, mówiąc: „Dzisiaj dostałem następny”? Od tego czasu był coraz bardziej zajęty i coraz bardziej zmartwiony. Działo się to na długo przed śmiercią markizy. Teraz, kiedy zabrakło matki i jej miłości, Anne zdała sobie sprawę, że w tamtych dniach w domu panował dziwny niepokój.

Potrząsnęła głową. Nie chciała pamiętać przykrych rzeczy. Na razie musi się skupić na tym, że ojciec chce ją wydać za swojego kuzyna - najbardziej nieprawdopodobnego konkurenta. Jaka przyszłość czekałaby mnie u jego boku? - pomyślała. Monsieur de Barbier nie należał do osób, które przyciągałyby utalentowanych, inteligentnych i eleganckich ludzi. Jeśli wyjdzie za niego za męża, może zapomnieć o bywaniu na salonach i wysłuchiwanie opowieści o pięknych damach i modnych artystach.

Odłożyła na bok list madame d'Agoult i wzięła do ręki drugą kopertę. Pismo było drobne i szerokie. Anne go nie znała, nie była jednak wcale zaskoczona, gdy się okazało, że napisał do niej Armand de Barbier, o którym właśnie myślała.

Chère hrabianko Anne!

Byłbym szczęśliwy, gdyby zechciała Pani wybrać się ze mną jutro na przejażdżkę. Proszę dać mi znać, czy odpowiada Pani druga po południu.

Z wyrazami szacunku

Armand de Barbier

Początkowo była zirytowana, ale po chwili zdała sobie sprawę, że zaproszenie Armanda nie mogło przyjść w lepszej chwili. To zbieg okoliczności, którego ojciec nie był w stanie przewidzieć. Dzięki temu będzie mogła bez jego wiedzy robić to, na co ma ochotę.

Najpierw napisała do kuzyna, że chętnie wybierze się z nim na przejażdżkę. Potem wystosowała list do Marie.

Ma chère madame d'Agoult!

Ponieważ nie mam innych planów na wieczór, podczas którego ma się odbyć wspomniany przez Panią koncert, z radością przyjmuję zaproszenie. Przyjadę o wpół do ósmej.

Z wyrazami szacunku

Anne de B.C.

Złożyła oba listy i wzięła dwie eleganckie koperty ze stosiku na sekretarzyku. Jedną zaadresowała do Marie, drugą do kuzyna. Ukryła list do Marie pod suszką i wzięła do ręki drugą kopertę. Kiedy wyprostowana jak struna szła na parter, do ojca przesiadującego w bibliotece, na jej ustach błąkał się delikatny uśmiech. Ponieważ markiz poprzedniego wieczoru sam zasugerował przejażdżkę, teraz z pewnością nie będzie miał nic przeciwko wyprawie córki w towarzystwie pana de Barbiera. Anne miała nadzieję, że młodzieniec okaże się tak samo uległy wobec niej jak wobec markiza. Przez chwilę miała wyrzuty sumienia, że chce go wykorzystać, ale szybko pomyślała, że to wina ojca, który oboje postawił w niezręcznej sytuacji.

Zgodnie z przewidywaniami Anne markiz nie zgłaszał zastrzeżeń, jeśli chodzi o przejażdżkę z Armandem. Dziewczyna wciąż czuła się niezręcznie, przyjąwszy zaproszenie kuzyna z sobie tylko znanych powodów, dlatego dołożyła wszelkich starań, żeby tym razem ładnie wyglądać. Włożyła świeżą, białą pelerynę lnianą wykończoną wenecką koronką, czarną suknię z gabardyny i najnowsze rękawiczki. Zabrała również szarą, obszytą koronką parasolkę. Spod słomkowego kapelusika, wiązanego na wymagane czarne wstążki i z czarną kokardą z tyłu, wymykały się jasne, uperfumowane loki.

Kiedy monsieur de Barbier zobaczył, jak Anne schodzi okazałymi schodami do westybulu, gdzie czekał na nią z markizem, oblał się pąsem. Potem milczał jak głaz, pomagając jej wsiąść do swojego eleganckiego powoziku zaprzęzonego w dwa lśniące gniade konie.

Anne zerknęła na ojca, który stał w drzwiach i patrzył, jak młodzi zawracają na dziedzińcu i jadą w stronę bramy. Armand zbyt ostro skręcił, i Anne zarzuciło na bok powozu. Kątem oka dostrzegła, że markiz uniósł dłoń. Szybko się odwróciła, znów dręczona przez wyrzuty sumienia. Gdyby matka żyła, dziewczyna nigdy nie dopuściłaby się oszustwa, ale też prawdopodobnie nie miałyby do tego powodu.

- Monsieur de Barbier - powiedziała, uśmiechając się słodko, gdy dotarli bezpiecznie do głównej drogi i ruszyli na zachód. - Zanim pojedziemy dalej, uważam, że powinien pan wiedzieć, iż mój ojciec chce nas pożenić.

Kuzyn spojrział na nią zaskoczony, omal nie wjeżdżając pod koła zbliżającej się z naprzeciwka karety. Anne krzyknęła i chwyciła lejce. Wspólnymi siłami skierowali konie na właściwą drogę. Wtedy dziewczyna uznała, że może kontynuować wyjaśnienia.

- Tylko proszę nie myśleć - zaznaczyła - że mam zamiar podporządkować się jego woli.

Młodzieniec wciągnął powietrze w płuca, a potem, ku zaskoczeniu Anne, z jego ust wylał się potok szybkich słów. Mówił tak szybko, że obawiała się, że lada chwila język zawiąże mu się na węzełek.

- Tak się cieszę, że to słyszę, kuzynko! - powiedział. - Nie umiem się zalecać do pięknych dam. Wiem też na pewno, że nie chcę być żadnym konkurentem, przynajmniej na razie. Mieszkałem spokojnie w kolegium jezuitów, kiedy nagle dostałem od markiza polecenie. Pani ojciec jest moim prawnym opiekunem, więc muszę robić, co mi każe.

Tym razem to Anne oniemiała.

- Mój ojciec... markiz jest pańskim opiekunem?

- Tak. Myślałem, że pani wie.

- Monsieur... Armandzie... Czy mogę tak się do ciebie zwracać?

Chłopak przytaknął.

- W ogóle nie miałam pojęcia o twoim istnieniu, póki ojciec nie oświadczył, że przychodzisz do nas na kolację.

Anne była pewna, że również matka nic o młodzieńcu nie wiedziała, bo inaczej już dawno zaczęłyby zapraszać jedyne poza mężem żyjącego Barbiera.

- Z tego, co wiem, dziadek dorobił się sporego majątku, zaopatrując armię Napoleona w karabiny i proch. Mój ojciec był kuzynem twojego ojca, przynajmniej tak mi się zdaje; nigdy nie wiedziałem dokładnie, jaki stopień pokrewieństwa nas łączy. Tata zmarł, gdy byłem mały. Wolałbym, żeby żył, niż odziedziczyć po nim fortunę.

- A co z twoją matką? - spytała Anne, chcąc zdobyć jak najwięcej informacji na temat kogoś, kto nie tylko należał do rodziny, ale był niemal w tym samym wieku co ona.

- Umarła, wydając mnie na świat. Miałem guwernantkę i mieszkałem w ogromnym domu, ale nie potrafię powiedzieć, gdzie to było. Jako kilkulatka oddano mnie do szkoły jezuitów; przebywałem tam do niedawna.

Anne musnęła palcami czerwone skórzane obicie powoziku. Przez chwilę zazdrościła Armandowi, że ma dużo pieniędzy i stać go na modny ekwipaż oraz nowe stroje prosto od krawca.

- Nie zastanawiałeś się wcześniej, kto jest twoim opiekunem?

- Ojciec Jaquin powiedział o nim tylko, że mnie okradnie, jeśli zdoła położyć łapska na moich pieniądzech.

- Ależ to bzdura! - Pomimo ambiwalentnych uczuć żywionych do ojca Anne mocno się obruszyła, słysząc, że tak źle wyraża się o nim ktoś, kto go nawet nie zna. - Jest trochę ponury, ale nie chciwy.

Potem przyszło jej na myśl, że jeśli nawet markiz interesuje się pieniędzmi Armanda, to nie ze względu na siebie, lecz córkę.

Konie, które od początku przejażdżki nie poczuły bata, zwolniły kroku. Kiedy Armand uderzył długimi lejcami o ich grzbiety, szarpnęły powozik, a Anne tak gwałtownie poleciała do tyłu, że przekrzywił się jej kapelusik. Młodzieniec oblał się pąsem. Być może uznał, iż swoimi słowami uraził kuzynkę, albo zawstydził się, że nie umie powozić. Nie spoglądając w jej stronę, powiedział:

- Póki nie przyjechałem do waszego domu, przez myśl mi nie przeszło, że markiz chce nas wyswatać. Prawdę mówiąc, miałem zamiar zostać księdzem.

Anne uśmiechnęła się na myśl, że siedzący obok niej nieporadny młodzieniec miałby nosić sutannę, odprawiać msze, spowiadać w konfesjonale czy rozdawać jałmużnę ubogim.

- Nigdy nie myślałam o zakonie - wyznała - ale też nie mam zamiaru wychodzić za mąż, póki nie będę do tego gotowa. Zgodziłbyś się przez jakiś czas mi pomagać? Nie mam ochoty na wyprawę do Lasku Bulońskiego, wolałabym udać się w inne miejsce.

- Cieszę się, że to słyszę. Nawet nie wiem, gdzie ten las jest.

Do tej pory Anne nie zwracała uwagi, w którą stronę jadą, dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wybrali złą drogę. Oboje wybuchnęli śmiechem. Dziewczyna poprosiła Armanda, żeby zawiózł ją na quai Malaquais. Chciała osobiście dostarczyć odpowiedź na zaproszenie madame d'Agoult i godzinę lub dwie pograć na wspałym erardzie. Kuzyn zgodził się podwieźć ją, a potem po nią przyjechać.

Idąc z Pont Neuf w stronę quai Malaquais, Pierre zdał sobie sprawę, że zdecydował się na śmiały krok. Im dalej na zachód, tym mniej było śladów cholery. Miał wyrzuty sumienia, że tak dużo cennego czasu poświęca sprawom prywatnym. Mimo to od ubiegłotygodniowego koncertu nie mógł zapomnieć ślicznej młodziutkiej dziewczyny, która zemdląła w łoży hrabiny d'Agoult. Jej twarz stawała mu przed oczami w najbardziej nieodpowiednich chwilach: podczas sekcji zwłok, gdy zajmował się zebrakiem, który umarł, nim noc dobiegła końca, kiedy on sam poprzedniego wieczoru śmiał się i pił z przyjacielem w studenckiej kawiarni. Nieznajoma zaczynała go po prostu prześladować, doszedł więc do wniosku, że najlepszym sposobem na pozbycie się obsesji będzie poznanie obiektu westchnień.

Bez trudu się dowiedział, gdzie mieszka madame d'Agoult, i uznał, że nic złego się nie stanie, jeśli zanieśie do niej liścik z zapytaniem o stan zdrowia młodej przyjaciółki hrabiny. Wiedział również, że jeśli wstawi „de” między swoje imię i nazwisko, łatwiej będzie mu zdobyć upragnione informacje. W jaki sposób je potem wykorzysta... zadecyduje, gdy zajdzie taka potrzeba.

Jak na połowę kwietnia było bardzo ciepło. Na twarzy Pierre'a pojawiły się kropelki potu. Część jego eleganckiego ubioru stanowiła wełniana peleryna, zbyt gruba na taką pogodę. Żałował, że nie stać go na fiakra, bo wtedy dużo lepiej by wypadł, gdy bez uprzedzenia pojawi się w apartamencie madame d'Agoult. Wszyscy skarżyli się na zbyt wysokie temperatury, zwłaszcza że z ich powodu więcej kłopotów sprawiała ogromna liczba zwłok na zatłoczonych i brudnych ulicach. W całym Paryżu - nawet tu, w Saint Germain, jak zauważył Pierre, w miejscu, gdzie życie z pozoru wyglądało całkiem normalnie - czuć było woń gnijących ciał.

Medyk otarł chusteczką twarz i nacisnął dzwonek. Po chwili w drzwiach pojawił się lokaj.

- Chciałbym przekazać pozdrowienia dla madame d'Agoult - powiedział Pierre, mając nadzieję, że służący nie zauważy drżenia jego głosu - i zostawić dla niej liścik.

Lokaj zerknął na bilet wizytowy.

- Hrabina jest za granicą, wróci dopiero za kilka dni - poinformował.

- Rozumiem - odparł Pierre. - Mimo to byłbym wdzięczny, gdyby przekazał jej pan mój bilecik.

Już miał zamiar skłonić się, kiedy nagle sobie przypomniał, że przecież udaje człowieka z wyższych sfer.

Poczuł, iż się rumieni, a serce wali mu jak szalone... mimo że nie widział się z madame d'Agoult, nie mówiąc już o młodej hrabiance. Szybko się oddalił, zadowolony, że zastał tylko służącego. Zamierzał skręcić za rogiem w boczną uliczkę, która prowadziła do Dzielnicy Łacińskiej, gdy z przeciwnej strony nadjechał elegancki powozik. Pierre stanął i z czystej ciekawości popatrzył, gdzie pojazd się zatrzyma. Ku jego zaskoczeniu konie stanęły pod domem hrabiny d'Agoult, więc zaczął jeszcze chwilę, żeby zobaczyć, co się wydarzy.

Z powozu wysiadła smukła dama odziana na czarno, z jasnymi lokami opadającymi spod kapelusika. Gdy podeszła do drzwi, Pierre ruszył w jej stronę. Niestety, zanim zdążył się zbliżyć, kobieta zniknęła wewnątrz domu, a powozik odjechał. Jak to możliwe, że młoda przyjaciółka hrabiny została wpuszczona pod nieobecność pani domu?

Pierre czuł, że serce wali mu w piersiach. To mogła być tylko ona. Był tak blisko niej. Gdyby przyszedł kilka minut później, pewnie spotkaliby się w drzwiach. Jednak na razie nic nie mógł zrobić, jeśli nie chciał przekreślić szansy na poznanie młodej damy zgodnie z panującym obyczajem.

Muszę zdać się na list - pomyślał.

Chociaż otrzymał odpowiednie wychowanie i dobrze znał panujące obyczaje, nie wiedział, jak należy się zalecać do młodej damy. Wcześniej tak był zajęty przygotowaniem do studiów, że na nic więcej nie starczało mu czasu. Liścik do madame d'Agoult tak był przejrzysty, że hrabina bez trudu mogła się zorientować, dlaczego młodzieniec tak bardzo interesuje się stanem zdrowia Anne, i zapobiec ich znajomości, jeśli uzna ją za nieodpowiednią.

Nie zdając sobie sprawy z popełnionego właśnie poważnego błędu, Pierre cieszył się, że w końcu zrobił coś, co przybliży go do celu. To, że zobaczył młodą damę - choćby z daleka - uznał za uśmiech losu, na który wcale nie liczył.

Lokaj bez wahania wpuścił Anne do mieszkania hrabiny. Dziewczyna zdjęła kapelusik i rękawiczki, położyła je wraz z parasolką na stoliku przy drzwiach i szybko udała się do salonu. Piękny fortepian miał otwarte wieko, był odkurzony, a na podstawce leżały nuty. Może madame d'Agoult tuż przed wyjazdem grała? Anne z namaszczeniem podeszła do instrumentu, usiadła na miękkim taborecie, na chwilę zamarła w bezruchu i spojrzała na klawiaturę. Chociaż była sama w cudzym mieszkaniu, dzięki fortepianowi czuła się jak w domu. Zmusiła się, żeby zacząć ćwiczenie od granych w wolnym tempie gam. Przez cały czas miała wrażenie, że obok stoi matka i podpowiada, co powinna robić.

Po rozgrzaniu palców przejrzała nuty, które leżały na biurku i na podłodze w pobliżu instrumentu. Znalazła sporo utworów, których nie знаła. Otworzyła zbiór kompozycji Beethovena i zaczęła rozczytywać pierwszą, która wpadła jej w oko - sonatę G-dur. Był to piękny utwór o pełnej uroku, lirycznej melodii, sprawiał jednak sporo problemów, dlatego dziewczyna nie była w stanie zagrać go a vista. Po chwili straciła poczucie czasu, starając się opanować przynajmniej jedną część. Zadowolona, że znów czuje klawisze pod palcami, a wokół niej rozbrzmiewa piękna muzyka, wróciła myślami do koncertu. Tak dużo jej brakowało do mistrzowskiej gry Liszta! Przez chwilę wyobrażała sobie, że znajduje się w romantycznym atelier na poddaszu, a wspaniały węgierski pianista słucha jej gry z opuszczoną głową i wyciągniętymi długimi nogami skrzyżowanymi w kostkach. Potem wstaje, podchodzi do fortepianu i wręcza jej różę.

- Przepraszam, hrabianko.

Głos lokaja wyrwał Anne z zadumy.

- Jakiś dżentelmen prosi, żeby wpuścić go do salonu - wyjaśnił.

Anne była pewna, że to Armand; prawdopodobnie półtorej godziny minęło jak chwila i pora wracać do więzienia, jakim jest dom ojca.

- Wprowadź go, proszę.

Jeszcze przez moment z uwielbieniem spoglądała na klawiaturę, a dopiero potem wstała, dlatego w pierwszej chwili nie zauważyła, kto wszedł do salonu.

- Najmocniej przepraszam, mademoiselle - usłyszała jedwabisty głos z obcym akcentem.

Kiedy uniosła głowę, ku ogromnemu zaskoczeniu ujrzała Franciszka Liszta. Przez moment zastanawiała się, czy tak bardzo chce spotkać węgierskiego wirtuoza, że umysł płata jej figle i każe widzieć w kuzynie bohatera najskrytszych marzeń. Wpatrując się jednak w młodzieńca stojącego na środku pokoju, w końcu uwierzyła, że to naprawdę on. Serce zabiło jej w piersiach, a krew odpłynęła z twarzy. Nie mogła oddychać.

- Madame... d'Agoult... nie jestem...

Nie była w stanie sklecić prostego zdania.

- Widzę - powiedział Liszt. - Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. Miałem zamiar zostawić bilet wizytowy, ale gdy usłyszałem muzykę, poprosiłem lokaja, żeby mnie wpuścił.

Anne poczuła, że krew z powrotem napływa jej do twarzy.

- Och, ja tylko...

Zamknęła nuty Beethovena, ale nieostrożnym ruchem strąciła z biurka jakąś szkołę gry na fortepianie. Liszt podbiegł, żeby ją podnieść. Anne też się pochyliła, dzięki czemu oboje jednocześnie sięgnęli po *Méthode* Kalkbrennera. Liszt zamknął palce na dłoni hrabianki.

- Proszę, *permettez-moi*, mademoiselle - powiedział, delikatnie wyjmując nuty z jej palców i pomagając wstać.

Nie puścił jej ręki, więc przez chwilę razem stali obok fortepianu.

Anne nie była w stanie myśleć. Patrzyła na smukły kciuk na swojej dłoni.

- Dziękuję - powiedziała cichutko, prawie niedosłyszalnie. Uniósł jej dłoń i delikatnie pocałował.

- Nie będę dłużej przeszkadzał. Przepraszam, że przerwałem pani ćwiczenie.

W końcu spojrzała Lisztowi w twarz. Jego zielone oczy kolorem przypominały Sekwanę w słoneczny jesienny dzień. Węgier miał prosty nos i pełne usta. Jasne włosy, które okalały jego twarz, błyszczały w promieniach słońca. Zanim zdołała coś powiedzieć, skłonił się uprzejmie i wyszedł z pokoju. Jak przez mgłę usłyszała brzęczenie dzwonka, więc nie była zdziwiona, gdy po chwili zjawił się kuzyn.

- Źle się czujesz, Anne? - spytał, podbiegając do niej. Uśmiechnęła się.

- Nie. Prawdę mówiąc, czuję się wspaniale. Służąca przyniosła kapelusik, rękawiczki i parasolkę.

Anne jak automat przygotowała się do wyjścia, a potem wsiadła do powoziku.

- Kim był ten człowiek, który wychodził, gdy podjeżdżałem pod dom? - spytał Armand.

- To Franciszek Liszt, największy żyjący pianista.

Młodzieniec przez chwilę nie odzywał się ani słowem, a Anne była tak zaabsorbowana własnymi myślami, że nawet tego nie zauważyła. Gdy zbliżali się do rue du Barq, przy której mieszkała, spytał:

- Pojechałaś tam, żeby się z nim spotkać?

Zaskoczona Anne odwróciła się do kuzyna. Miał zmarszczone czoło.

- Ależ skąd! Wybrałam się do madame d'Agoult, żeby poćwiczyć na fortepianie. Po śmierci mamy ojciec zamknął nasz instrument na kłódkę.

Była oburzona podejrzeniami Armanda, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że z jego punktu widzenia tak to mogło wyglądać. Skoro okłamywała ojca, dlaczego nie miałyby okłamywać i jego?

- Nie wiem, dlaczego monsieur Liszt pojawił się w tym momencie ani dlaczego wpuszczono go do salonu pod nieobecność madame d'Agoult.

- Nie było jej w domu?

Kiedy Anne położyła dłoń na ramieniu kuzyna, wyczuła większe napięcie, niż nakazywałaby sytuacja, bo prawie nie powoził potulnymi końmi, które, dzięki Bogu, niemal bez żadnych wskazówek ciągnęły powozik w stronę Saint Germain.

- Proszę, nie mów ojcu. Chcę grać na fortepianie i słuchać pięknej muzyki. Hrabina d'Agoult mi w tym pomaga. Powiedziała, że mogę u niej ćwiczyć, nawet pod jej nieobecność. Obiecała również, że będzie mnie zabierać na koncerty i z wizytami.

Zanim podjechali pod hôtel Barbier, Anne zdążyła już nieco oprzytomnieć i przekonać kuzyna, że nie zrobiła nic złego, odwiedzając dom hrabiny pod jej nieobecność. Markiz przywitał ich w drzwiach.

- Spotkamy się jutro o tej samej porze? - spytała Anne.

Armand uśmiechnął się.

- Oczywiście, *ma cousine*.

Franciszek sadił wielkimi krokami przez Pont des Arts. Stał na środku, żeby przyjrzeć się barkom, które pruły fale brudnej rzeki. Odczekał tydzień i dopiero po jego upływie złożył zaplanowaną wcześniej wizytę u madame d'Agoult, mając nadzieję, że do tego czasu wróci ona ze Szwajcarii. Gdy podszedł pod dom, którego adres otrzymał od Alfreda, i usłyszał, że ktoś całkiem nieźle gra na fortepianie, bardzo się ucieszył. Wszyscy wiedzieli, że hrabina jest dobrą pianistką, dlatego doszedł do wniosku, że to ona gra. Nic dziwnego, że lokaj był szczerze zaskoczony, gdy Franciszek oznajmił, że pani go oczekuje, i zażądał wprowadzenia do salonu. Ponieważ służący nie protestował, Liszt uznał, że młoda dama, którą zastał zamiast madame d'Agoult, jest jej przyjaciółką, a więc również musi nosić szlachecki tytuł.

Natychmiast po wejściu do salonu zauważył, że fortepian ma piękny, miękki dźwięk, który kończy się wyraźnie dzięki działaniu dobrze wykonanych tłumików, a osoba, która siedzi przy instrumencie, gra z ogromnym zaangażowaniem. Dopiero potem spojrzał na pianistkę i błyskawicznie się zorientował, że to nie dama, z którą chciał się zobaczyć. Dziewczyna zaś zachowywała się tak, jakby ujrzała ducha: nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa i nie kryła, że jest *bouleversée*¹ jego widokiem. Najwyraźniej wiedziała, z kim ma do czynienia.

¹ *Bouleversée* (franc.) - wstrząśnięta (przyp. tłum.).

Spoglądając na mijające się pod mostem barki - z których jedna wiozła worki mąki i rzepy, a druga rozkładające się ciała ofiar cholery - pomyślał o młodej pianistce. Musiała być bliską przyjaciółką hrabiny, skoro grała w jej salonie pod nieobecność pani domu. W dodatku całkiem nieźle radziła sobie z fortepianem, chociaż chyba zawdzięczała to raczej wrodzonemu talentowi niż wyuczonym umiejętnościom. Może madame d'Agoult zajmuje się tą panną - jak to się mówi: wprowadza ją w świat.

Liszt przypomniał sobie również strój młodej damy. Najwyraźniej nosiła żałobę, ale miała wspaniałą figurę i pełne gracji ruchy. Kiedy poskładał poszczególne elementy w całość, doszedł do wniosku, że przez przypadek natknął się na naiwną młodzieńką protegowaną kobiety, której uwagę rozpaczliwie chciał na siebie zwrócić, bez wątpienia sierotę albo półsierotę, sądząc zaś po wyglądzie - również arystokratkę.

Takie istoty bywają podatne na wpływy i łatwo im zaimponować. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, więc zaczął się nad nim zastanawiać i opracowywać plan działania. Wiedział, że aby zdobyć serce hrabiny, będzie potrzebował sojusznika. Przez chwilę brał pod uwagę ładną pokojówkę Adèle, ale służba zanadto lubi plotki. Uznał więc, że młoda przyjaciółka madame d'Agoult prawdopodobnie o wiele dyskretniej spełni swoją rolę. Musiał się tylko dobrze zastanowić, jak wprowadzić swój plan w życie. Cieszył się, że zbieg okoliczności podsunął mu tak miłe rozwiązanie. Dalszą drogę do domu pokonał we wspaniałym nastroju.

VII

Tego wieczoru, kiedy u madame Duvernoy miał się odbyć koncert, Marie siedziała w swoim saloniku i czekała na przyjazd Anne. Obok, na sekretarzyku, leżał liścik pana de Talona. Młody mężczyzna najwyraźniej zadurzył się w hrabiance de Barbier-Chouant. Jego nieudolnie skrywane zainteresowanie zdrowiem dziewczyny ani na chwilę nie oszukało Marie. Nie знаła jego nazwiska, ale przypomniała sobie, że miał miłą twarz i nienaganne maniery. Czy byłby odpowiednim konkurentem dla Anne? Marie postanowiła, że spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat, a potem zadecyduje. Chętnie pomogłaby córce Sandrine znaleźć kandydata na męża. Dziewczyna była ładna, inteligentna i niezwykle muzykalna. Jeśli chodzi o stronę finansową... Marie nie wiedziała, czy zostało coś z niemałego posagu Sandrine ani czy pomyślała ona, żeby zabezpieczyć córkę w taki lub inny sposób. Nawet jeśli nie, uroda Anne i jej talent mogą ją daleko zaprowadzić. Najlepiej by było - rozmyślała madame d'Agoult - gdyby udało mi się wprowadzić ją na salony, żeby mogła znaleźć odpowiedniego męża, który doceniłby jej zalety. Bez wątpienia Sandrine miała zamiar wkrótce zorganizować córce debiut.

Hrabina z żalem przypomniła sobie własną młodość, zwłaszcza przystojnego żołnierza, któremu oddała serce. Rodzice nie zaakceptowali jej wyboru i zmusili zakochanych do rozstania. Gdy kilka miesięcy później wybrankę zginął, Marie myślała, że umrze ze smutku. Życie przestało mieć dla niej sens, więc zgodziła się wyjść za mąż za pierwszego kandydata, którego przedstawił jej ojciec i na którego widok nie poczuła obrzydzenia. Charles d'Agoult był dobrym człowiekiem, ale małżeństwo okazało się poważnym błędem. Marie i Charles starali się spędzać ze sobą jak najmniej czasu. On, kiedy tylko mógł, miesiącami podróżował po kraju. Jedyną pociechą hrabiny d'Agoult były dwie śliczne córeczki, które Charles z przyjemnością zostawiał pod opieką żony albo teściowej w Croissy.

Marie nie chciała, żeby Anne popełniła ten sam błąd. Jeśli młody człowiek okaże się odpowiednim kandydatem, a dziewczyna go pokocha, Sandrine będzie mogła spokojnie spoczywać w grobie.

Ona sama też dokonała złego wyboru. Marie dobrze o tym wiedziała, chociaż była wtedy bardzo młoda i nie znała wszystkich szczegółów tego mariażu. Starannie ukrywano wówczas prawdę, a Marie nie miała odwagi pytać Sandrine wprost, ale w salonach w całym mieście sporo szeptano na ten temat. Chociaż nigdy o tym nie rozmawiały, przeżyty przez obie zawód miłosny bardzo je do siebie zbliżył, gdy siedem lat temu Marie przyjechała do Paryża. Zawód miłosny, a także zamiłowanie do muzyki i sztuki.

Pierre Talon podał na bilecie wizytowym swój adres. Mieszkał w pobliżu uniwersytetu - bez wątpienia był studentem z prowincji. Nie zmieniało to jednak faktu, że mógł pochodzić ze znamienitej rodziny. Skoro dostał się na studia, musiał mieć odpowiednie środki i wykształcenie. Jego obecność na koncercie świadczyła, iż jest człowiekiem kulturalnym. Resztę można było sprawdzić tylko w jeden sposób. Marie wyjęła kartkę papieru i zaprosiła pana de Talona na sobotni podwieczorek.

Gdy wsunęła liścik do koperty, dzwonek oznajmił przybycie Anne. Po chwili w saloniku pojawiła się młoda przyjaciółka hrabiny. Trudno się było w niej dopatrzeć pogrążonej w żałobie, nieśmiałej istoty, którą Marie spotkała poprzednio. Ponieważ od śmierci matki minął prawie miesiąc, Anne zrezygnowała z czerni i włożyła perłowszarą, satynową suknię wieczorową wykończoną czarnymi wstążkami. Nie miała biżuterii, ale sama lśniła jak klejnot. W jej oczach, w których podczas poprzedniego spotkania widać było ogromny smutek, teraz płonął zapal i nadzieja.

- Ślicznie wyglądasz, Anne - powiedziała Marie z odrobiną zazdrości i pocałowała protegowaną w oba policzki.

- Jestem pani bardzo wdzięczna, hrabino, za udostępnienie mi fortepianu - odparła dziewczyna. - Przychodziłam, kiedy tylko mogłam, a przy okazji przeżyłam najwspanialszą przygodę...

- Opowiedz mi o tym w powozie. Musimy już jechać, bo inaczej spóźnimy się na Chopina.

Po drodze Anne wyznała Marie, że markiz rozluźnił nieco restrykcje, ponieważ jest przekonany, iż młody kuzyn - a jednocześnie podopieczny - zaleca się do Anne.

- Mówię tylko, że Armand chce się ze mną spotkać w określonym miejscu i określonym czasie, a ojciec puszcza mnie ze swym błogosławieństwem. Zgodził się nawet, żebym kupiła sobie nowe suknie, w co początkowo trudno było mi uwierzyć, bo odkąd stracił pozycję na dworze, jest nam bardzo ciężko.

Zachowanie markiza zdziwiło Marie, zwłaszcza że nawet kiedy służył królowi, uważany był za skąpca. Tylko Sandrine umiała skłonić go do hojności. Raz czy dwa poskarżyła się przyjaciółce, że mąż nie chce łożyć na edukację córki. Najwyraźniej starszy pan chciał coś osiągnąć, wydając dziewczynę za kuzyna.

- Co będzie, Anne, jeśli markiz odkryje, że ty i twój kuzyn wcale nie macie zamiaru się pobrać?

- Nawet nie chcę o tym myśleć! Co może zresztą zrobić?

Marie nie chciała psuć Anne wieczoru, wyliczając, w jaki sposób ojciec może zatruć jej życie, jeśli tylko będzie chciał, zwłaszcza że dziewczyna nie miała jeszcze dwudziestu jeden lat.

- Miałaś mi coś opowiedzieć - przypomniała sobie nagle.

Niestety, w tym samym momencie kareta zatrzymała się przed elegancką niewielką willą baronowej Duvernoy za Porte Saint Martin i Anne nie zdążyła się pochwalić, kogo spotkała. Pragnąc uczcić wiosnę, cała służba - lokaje i służące - ozdobiła włosy i ubrania kwiatami. Pokojówki były ubrane *à la bergère*². Każdej damie, która wysiadła z powozu, zakładały na szyję girlandę z żonkili i wrzосу, a lokaje ozdabiali głowy dżentelmenów wieńcami laurowymi.

² Bergère (franc.) - pasterka (przyp. tłum.).

- Cała madame Duvernoy. Nie zna umiaru - mruknęła Marie, prowadząc Anne przez ciąg saloników i przedstawiając ludziom, w których dziewczyna rozpoznawała intelektualistów, artystów i bywalców salonów - zarówno mieszczan, jak i szlachetnie urodzonych. Wiele osób z ciekawością zerkało w stronę obu pań, zwłaszcza mężczyźni.

- Marie! - Gospodyni podbiegła do hrabiny. - Mam nadzieję, że zaśpiewasz w kwartecie - powiedziała, przenosząc wzrok z madame d'Agoult na Anne, a potem na resztę gości. - A to pewnie młoda hrabianka, o której pisałaś.

- *Je suis ravie*³ - powiedziała Anne, ale nim zdążyła dygnąć, madame Duvernoy już się od nich odwróciła.

³ *Je suis ravie* (franc.) - jestem zachwycona (przyp. tłum.).

- Jeszcze nie teraz! - zawołała i pobiegła odesłać z powrotem do kuchni dwóch służących z pieczoną głową dzika.

Lokaje nosili tace z szampanem, a konwersacja stawała się coraz bardziej ożywiona. Marie nie spuszczała Anne z oka i omijając grupki młodych mężczyzn, którzy okazywali zbyt wielkie zainteresowanie nową osobą, prowadziła ją w stronę dam oraz zaawansowanych wiekiem artystów i poetów.

- Witam, madame d'Agoult.

Marie odwróciła się, słysząc znany głos Alfreda de Musseta.

- Witaj, Alfredzie. Tak się cieszę, że cię widzę! Napisałeś o mnie jakiś wiersz? - spytała, kokieteryjnie przekrzywiając głowę.

- Każdy mój wiersz jest w pewnym sensie o tobie. Ukłonił się elegancko i zwrócił w stronę Anne, czekając, aż hrabina przedstawi go młodej osobie.

- Kochanie - powiedziała Marie - czy mogę przedstawić ci pana de Musseta? Alfredzie, to hrabianka de Barbier-Chouant.

- Słyszałem, że madame d'Agoult przyprowadziła ze sobą na przyjęcie anioła, ale myślałem, że wszyscy mówią to w przenośni. Teraz widzę, że powiedzieli prawdę.

Oczy Anne już wcześniej zaczęły błyszczeć pod wpływem szampana; teraz słysząc słowa Musseta, oblała się rumieńcem.

- Nie zwracaj na niego uwagi - ostrzegła Marie, biorąc ją pod ramię i prowadząc w stronę pokoju muzycznego. - Jest poetą i umie używać pięknych słówek.

- *Touché!* - powiedział Alfred, patrząc na oddalające się panie.

- Witam, hrabino! - zawołała Marie do starszej damy, która siedziała na wygodnym krześle i delikatnie poruszała wachlarzem.

Na jej pokrytej zmarszczkami twarzy widać było sympatyczny uśmiech. Marie i Anne dygnęły.

- Pójdzie pani z nami do pokoju muzycznego?

- Mogę wysłuchać koncertu z tego miejsca - odparła hrabina Montelimart.

- Dziwi mnie, że koncert jeszcze się nie zaczął. Marie zauważyła, że zaproszeni goście wolniej zmierzają w stronę pokoju muzycznego, niż powinni.

- Najwyraźniej baronowa zapodziała gdzieś głosy do Webera - zdradziła księżna szeptem.

To byłby rzeczywiście problem. Występ Marie i trzech innych śpiewaczek miał być gwoździem programu.

- Co teraz zrobi?

- Zdaje się, że jakiś młody Węgier siedzi w bibliotece i pisze wszystko z pamięci.

Zdumiona tym faktem starsza pani energiczniej pomachała wachlarzem.

- Liszt! - szepnęła Anne.

- Znasz go? - spytała matrona.

Anne miała zamiar opowiedzieć o jego niespodziewanej wizycie na quai Malaquais, ale Marie powstrzymała ją dotknięciem ręki i powiedziała:

- Miałyśmy szczęście i słyszałyśmy go w Wauxhall.

Przyjęcie od samego początku było wspanialsze, niż Anne mogła przewidzieć. Alfred de Musset powiedział hrabiance komplement, a wszędzie, gdzie się pojawiała, ludzie bacznie się jej przyglądali. Chociaż zdawała sobie sprawę, że niektórymi gośćmi powoduje czysta ciekawość, była wystarczająco mądra, żeby zrozumieć spojrzenia dżentelmenów, którzy dyskretnie taksowali ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jednym z gości jest Heine, Marie. Chodź go posłuchać.

Gospodyni, której udało się rozwiązać problem z przedwcześnie wniesionymi potrawami, za wszelką cenę starała się odwrócić uwagę od faktu, że koncert się opóźnia, dlatego wciągnęła obie panie do saloniku, w którym tłoczyło się około dwudziestu osób. Na środku stał młody mężczyzna o gładkiej twarzy, z lekko haczykowatym nosem i małymi, szeroko rozstawionymi jasnobrązowymi oczami.

- Kto to? - szepnęła Anne do Marie.

- Niemiecki poeta. Jeden z najlepszych.

Dziewczyna przypuszczała, że usłyszy niemieckie wiersze, z których nic nie zrozumie. Tymczasem młody dżentelmen czytał po francusku nie poezję, lecz artykuł z gazety.

- „Nie ma nic bardziej przerażającego niż gniew motłochu, który żąda krwi i wiesza bezbronne ofiary... ciemnego morza istot ludzkich, wśród których tu i tam robotnicy z zakasnymi rękawami wyglądają jak białe grzbiety morskich fal... Na ulicy Vaugirard grupka staruszek pozdejmowała chodaki, by rozbić głowę biedakowi, który ich zdaniem próbował je otruć... Obserwowałem jednego z nieszczęśników, gdy jeszcze kołatała się w nim dusza. Był nagi, posiniaczony i zlany krwią. Zdarto z niego ubranie, oskalpowano i obcięto wargi. Jakiś człowiek obwiązał sznurem nogi biedaka i ciągnął go po ulicy, wołając: «Voilà le choléra-morbus!». Ostatni cios zadała mu piękna kobieta, blada ze złości, z nagimi piersiami i zakrwawionymi rękoma. Roześmiała mi się w twarz i poprosiła o kilka franków nagrody za wspaniałą pracę. Wyjaśniła, że kupi za te pieniądze czarną suknię, bo kilka godzin temu zmarła jej otruta matka”.

Gdy poeta skończył czytać, goście niepewnie spojrzeli jeden na drugiego i uprzejmie zaklaskali.

- Co za ponure opowiadanie! - szepnęła Anne.

- To nie opowiadanie - odparła również szeptem Marie. - Powiadają, że tydzień temu naprawdę wydarzyło się coś takiego.

- Napijmy się szampana! Macie puste kieliszki.

Madame Duvernoy klasnęła w ręce i natychmiast pojawili się dwaj służący z tacami pełnymi jasnego, musującego płynu. Napięcie minęło. Mina baronowej mówiła: „Taka jest cena geniuszu”, a jednocześnie sugerowała, że sławny Heine bez uzgadniania z nią uraczył gości makabryczną opowiastką. Wokół rozbrzmiały nerwowe rozmowy i śmiechy, ale Anne usłyszała również czyjeś wyjaśnienie, że monsieur Heine jest poetą i musi przesadzać.

Opowieść wytrąciła dziewczynę z równowagi. Była zła na Heinego, że obudził ją z cudownego snu, w którym wszyscy ją podziwiali, przypomniał o groźnej chorobie, na którą zmarła jej matka, i zakłócił oczekiwanie na spotkanie z Lisztem. Podobnie jak reszta zebranych, szybko opróżniła kieliszek i wzięła następny. Szampan uderzył jej do głowy i poprawił nastrój.

Anne i Marie przyłączyły się do gości, powoli zmierzających w stronę pokoju muzycznego. Mocny zapach kwiatów mieszał się ze wszechobecną wonią kamfory i pachnideł, których przed wyjściem na przyjęcie nikt nie oszczędzał. Powietrze było ciężkie.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała Anne do madame d'Agoult.

- Dobrze się czujesz? - spytała Marie. Dziewczyna przytaknęła.

- Potrzebuję świeżego powietrza - dodała.

Przecisnęła się przez tłum, z przeproszającym uśmiechem na ustach odsuwając na bok panie i panów. Gdy ujrzała przeszkłone wyjście na balkon, ruszyła w jego stronę, mając nadzieję, że odrobina świeżego powietrza pozwoli jej nieco ochłonąć i pokonać mdłości. Nim do niego dotarła, na prawo od niej otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Liszt z odręcznie pisanymi nutami w ręce. Na widok Anne zatrzymał się.

- Przepraszam, mademoiselle - powiedział, kłaniając się tak nisko, jak tylko mógł, mając zajęte ręce.

Kiedy się wyprostował, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i tylko się uśmiechnął.

Anne zapomniała, że chce pooddychać świeżym powietrzem.

- Nie ma za co, panie Liszt - odparła, zaskoczona, że stać ją na jakąkolwiek odpowiedź.

- Ma pani nade mną przewagę - powiedział, poprawiając kartki, które wysuwały mu się z rąk. - Wie pani, kim jestem, podczas gdy ja wciąż pani nie znam, chociaż los mi poszczęścił i już panią widziałem.

- Jestem... - Anne urwała.

Nie wolno jej tego mówić. Prezentacji musi dokonać ktoś, kto zna ich oboje.

- Po prostu jestem wielbicielką pańskiego talentu.

Liszt zerknął w głąb pokoju, jakby chciał sprawdzić, czy są w tym zakątku sami.

- Niezależnie od tego, kim pani jest, mademoiselle, muszę z panią porozmawiać. Chodzi o madame d'Agoult...

- Tu pan jest!

Rozmowę przerwał im donośny głos gospodyni. Oboje aż podskoczyli.

- Dziękuję za wyjaśnienia, panie Liszt - powiedziała Anne.

Skinęła głową, odwróciła się i obeszła madame Duvernoy, mając nadzieję, że nie widać rumieńca na jej twarzy.

Kiedy wróciła do pokoju muzycznego, wszyscy już siedzieli i nie było wolnego miejsca. Gdy dostrzegła Marie, zauważyła, że hrabina zatrzymała dla niej wolne krzesło tuż za swoimi plecami, chociaż dziewczyna wolałaby znajdować się bliżej fortepianu, w miejscu, w którym skupiła się większość pań.

- Lepiej się już czujesz? - spytała szeptem Marie.

Anne chciała spytać, dlaczego Franciszek Liszt z takim niepokojem i tajemniczością wspominał hrabinę, ale zdążyła tylko kiwnąć głową na znak, że jej samopoczucie znacznie się poprawiło, bo do pokoju wszedł sam kompozytor z nutami, a za nim madame Duvernoy. Porozkładał luźne kartki na pulpicie, uporządkował je, a potem, ku zdumieniu Anne, wziął do ręki lekki taborecik i ruszył z nim w stronę niej i madame d'Agoult. Ku zaskoczeniu wszystkich osób, które usadowiły się tak, żeby znaleźć się jak najbliżej niego, przysiadł na taborecie i uśmiechnął się promiennie do Marie, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Anne nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy poczyniłby sobie tak zuchwale, gdyby on i hrabina się nie znali? W końcu pojawił się w jej domu bez zapowiedzi. Dziewczyna była zaskoczona, że wcześniej na to nie wpadła. Zerknęła na Marie, która wciągnęła powietrze w płuca i lekko się wyprostowała. Nie - pomyślała Anne. - Ona jest zaskoczona tak samo jak ja.

Kobieta obdarzona ślicznym sopranem wykonała arię Rossiniego. Akompaniował jej pulchny, starszy pianista, który podczas występu bardzo się pocił. Anne co chwila zerkała w bok, żeby spojrzeć na twarz Marie i znajdujący się nieco dalej profil Liszta. Czy to, co chciał jej powiedzieć, było naprawdę takie ważne? Tylko znowu nie zemdlej - powtarzała sobie w myślach, próbując skupić się na artystce, której śpiew chwilami przypominał trele ptaka poszukującego partnera.

Gdy występ dobiegł końca, publiczność gromkimi brawami nagrodziła oboje artystów. Liszt odwrócił się do Marie.

- Mogę zaprosić do Webera?

Mówiąc to, omiół spojrzeniem również Anne, jakby pytanie kierował także do niej.

- Moja młoda przyjaciółka nie śpiewa - poinformowała Marie.

- Ale z tego, co wiem, pani młoda przyjaciółka... ma jakieś imię, prawda?... gra na fortepianie.

Przez chwilę spoglądał na Anne, jakby próbował zadać jej wzrokiem jakieś pytanie. Znowu się zarumieniła.

Marie nie była pewna, co się stało. Odwróciła się szybko do Anne. Skąd Liszt wie, że ta młoda dama gra na fortepianie? Nim jednak zdążyła uporządkować myśli, Węgier wstał i uklonił się.

- Pozwoli pani, madame d'Agoult?

Wie, kim jestem - pomyślała Marie, nie mogąc się zdecydować, czy uznać to za pochlebstwo, czy za powód do obrazy. Chociaż węgierski wirtuoz skupiał na sobie uwagę wszystkich obecnych, pozwoliła, by podprowadził ją do fortepianu, przy którym zebrali się już pozostali wykonawcy kwartetu z *Oberona* Webera. Pulchny pianista, który akompaniował sopranistce, na widok Liszta stchórzył i bez wahania zrezygnował ze swojego miejsca przy klawiaturze. Śpiewacy ustawili się w niewielkim półkolu.

*Over the dark blue waters,
Over the wide, wide sea,
Fairest of Araby's daughters
Say, wilt thou sail with me!*⁴

*⁴ Gdzieś nad bezkresnym morzem,
Gdzieś nad głębiną ciemną,
Piękna córka Arabii
Kusi cię: popłyn z mną!*

Kiedy panowie wykonywali swoją partię, Marie ukradkiem zerknęła na Liszta. Myślała, że będzie pochłonięty rozłożonymi przed nim nutami, on jednak patrzył prosto na nią, a mimo to przez cały czas bezbłędnie akompaniował śpiewakom. Nie tylko bezbłędnie, wręcz ze sporym artyzmem. Ma tak wyjątkowy talent - pomyślała - że nawet nie musi się koncentrować na tym, co robi. Czy właśnie dlatego jest tak bezwstydnie pewny siebie? Formalnie jeszcze nikt ich sobie nie przedstawił, tymczasem pianista zachowywał się, jakby byli starymi znajomymi, którzy w swojej obecności mogą sobie pozwolić na swobodę. Nie, to nieprawda. Wcale nie czuła się przy nim swobodnie.

Mademoiselle de Rouy szturchnęła Marie. Zaczął się fragment napisany na żeńskie głosy, a Marie nie weszła na czas. Szybko jednak znalazła właściwe miejsce i jej ciepły mezzosopran przyłączył się do nieco wyższego, lżejszego tembru mademoiselle de Rouy.

*Were there no bounds to the water,
No shore to the wide, wide sea,
Still fearless would Araby's daughters
Sail thro life with thee.*⁵

Podczas fragmentu śpiewanego przez wszystkich artystów Marie, wbrew własnej woli, znów zerknęła na Liszta. Z tego, co widziała, ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku. Zastanawiała się, jakim cudem udaje mu się tak dobrze akompaniować, i chociaż była przyzwyczajona do adoracji, tym razem dręczyły ją obawy, że może się zarumienić.

*⁵ Tam, gdzie bezkresne wody,
Brzegi w oddali giną,
Bez strachu córki Arabii
Przez życie z tobą popłyną.*

Publiczność przyjęła kwartet tak ciepło, że artyści musieli go powtórzyć. Gdy w końcu śpiewacy wrócili na swoje miejsca, Liszt został przy fortepianie. Marie usiadła obok Anne.

- Nie wiedziałam, że ma pani tak piękny głos - szepnęła dziewczyna.

- A ja nie wiedziałam...

Marie nie zdążyła dokończyć zdania, bo Liszt zaczął grać jakieś żywe rondo. Dopiero wtedy zauważyła, że nie pojawił się oczekiwany Chopin. Tak czy inaczej przyjęcie zaczęło Marie irytować. Wzięła Anne pod swoje skrzydła, myśląc, że w ten sposób złoży hołd Sandrine, teraz jednak chwilami odnosiła wrażenie, że dosiadła konia, który początkowo wyglądał na uległego, ale im bardziej oddalał się od stajni, wykazywał coraz więcej energii i uporu. Dziewczyna niczym nie zasłużyła sobie na takie porównanie, ale jej reakcja na podziw bywalców salonów i dziwna poufałość, z jaką traktował ją Liszt - chociaż Marie była pewna, że nikt ich sobie nie przedstawił - bardzo hrabinę niepokoiły.

Gdy przystojny pianista skończył swój występ, wszystkie damy z pierwszych rzędów zaczęły mu gratulować. Marie szepnęła do Anne:

- Uważam, że pora na nas. Jeśli twój ojciec nie wie, gdzie jesteś, nie powinnaś dłużej tu zostawać i zawierać znajomości z ludźmi z niższych sfer.

Marie wstała i uśmiechnęła się do dziewczyny, a potem powiedziała nieco głośniej:

- Oczywiście, moja droga. Jeśli boli cię głowa, musimy natychmiast wyjść.

Kiedy Anne zdała sobie sprawę, że madame d'Agoult chce wyjść przed końcem przyjęcia, nie czekając, aż ktoś przedstawi je obydwie Lisztowi, miała ochotę głośno zaprotestować. Powstrzymała jednak słowa cisnące się jej na usta, uśmiechnęła się i wstała. Kiwnęły grzecznie głowami pozostałym gościom i ruszyły w stronę drzwi.

Gdy wkładały rękawiczki i szale, podeszła do nich madame Duvernoy.

- Źle się czujecie? - spytała, najwyraźniej zmartwiona, że ktoś opuszcza jej przyjęcie.

- Hrabiankę trochę boli głowa - wyjaśniła Marie. - Wciąż jest w żałobie po śmierci matki.

Wcale nie boli mnie głowa - pomyślała Anne i zacisnęła wargi.

Zarzuciły na siebie peleryny i nie zważając na protesty gospodyni, podeszły do drzwi, kiedy z salonu wyłonił się monsieur Liszt i skierował się prosto w ich stronę. Stał i spojrzał na wszystkie trzy panie.

- Madame, przepraszam za śmiałość, ale czy mogę prosić, żeby przedstawiła mnie pani tym dwom damom? - spytał gospodynię, obdarzając ją uśmiechem, który stopiłby alpejskie śniegi.

- Oczywiście! Myślałam... - Urwała, a potem spojrzała na artystę i dwie damy. - Panie pozwolą, że przedstawię im Franciszka Liszta. Panie Liszt, to hrabina d'Agoult i hrabianka de Barbier-Chouant.

Liszt uprzejmie skłonił głowę. Anne zauważyła, że Marie nie podała mu ręki do pocałunku.

- Mam nadzieję, że przy następnej okazji uda mi się lepiej panią poznać, madame d'Agoult. Panię również.

Zwracając się do Anne, spojrzał jej w oczy. Wtedy zauważyła to samo pytające spojrzenie, którym obdarzył ją wcześniej.

- Innym razem - powiedziała Marie, odwracając się i ciągnąc za sobą Anne w stronę powozu.

Dziewczyna próbowała jeszcze uśmiechnąć się do Liszta, ale drzwi były już zamknięte. Bez słowa wsiadły do krytego jednokonnego powozu.

Kiedy w milczeniu jechały na wschód, Anne była zadowolona, że w powozie jest ciemno. Nie chciała, by Marie dostrzegła wyraz jej twarzy. Chociaż opuściły towarzystwo wcześniej, niż powinny, przyjęcie przekroczyło najśmielsze oczekiwania dziewczyny. W końcu została przedstawiona Lisztowi i, gdy się spotkają następnym razem, będzie mogła z nim porozmawiać.

O ile jeszcze kiedyś się spotkają. W tym momencie zaczęła się zastanawiać nad nagłą zmianą nastroju Marie i jej dziwnym postępowaniem. Kiedy Liszt usiadł obok nich, zeszywniała i zamilkła, a potem wyszła z przyjęcia, zaledwie zdążyło się zacząć. Dziewczyna była również zaskoczona wyrazem twarzy Liszta, gdy przez moment rozmawiali w korytarzu, i faktem, że wcześniej wymienił imię Marie. Nie mogła też zapomnieć chłodu, jaki okazała madame d'Agoult, gdy zostali sobie przedstawieni. Anne myślała, że jej znajomość z hrabiną będzie mniej skomplikowana niż życie z ojcem, tymczasem okazało się, że za spokojnym i pewnym siebie uśmiechem przyjaciółki matki kryją się sekrety i zagadki. Anne poczuła, że szczypią ją oczy. Nie wiadomo dlaczego w tym momencie bardziej brakowało jej matki niż w chwili, kiedy markiza została złożona do grobu.

Marie delikatnie położyła rękę na jej ramieniu.

- Tak będzie lepiej - wyjaśniła. - Nie potrafię ci w tej chwili powiedzieć, dlaczego tak się boję znajomości z Lisztem, ale musisz mi zaufać.

Oczy Marie błyszczały w nikłym świetle ulicznych latarni.

- Och, pani hrabino! - jęknęła Anne i położyła głowę na kolanach przyjaciółki.

- Chyba jednak powinnaś mi wyjaśnić, jak to możliwe, że dżentelmen, któremu nie zostałam przedstawiona, zachowuje się tak, jakby dobrze cię znał.

Anne się wyprostowała.

- Kiedy pani nie było... a ja ćwiczyłam na fortepianie, lokaj wpuścił go do salonu. Usłyszał, jak gram, i myślał, że to pani.

- Franciszek Liszt... złożył mi wizytę...?

- Och madame! - zawołała Anne. - Tak bym chciała, żeby uczył mnie gry na fortepianie!

Chociaż sylwetka Marie tonęła w ciemności, Anne wyczuła, że hrabina znów zeszywniała.

- Chętnie będę ci pomagać, może nie jak matka, lecz jak życzliwa ciotka - powiedziała Marie. - Lekcje u Liszta... Muszę się nad tym zastanowić.

Anne wyraźnie wyczuła, że madame d'Agoult miała zamiar powiedzieć coś innego.

- Może udałoby się nam znaleźć dla ciebie odpowiedniego męża, który przypadłby ci do gustu i którego twój ojciec nie będzie mógł odrzucić? - zapytała po chwili hrabina.

Nie chcę męża - zaprotestowała w duchu Anne. - Chcę Liszta. No proszę - pomyślała. - Powiedziałam to wreszcie, chociaż nie na głos.

Kareta zatrzymała się pod bramą hôtel Barbier.

- Powiem twojemu kuzynowi, że źle się poczułaś i wróciłaś wcześniej do domu - obiecała Marie.

Anne ogarnęły wyrzuty sumienia, że wykorzystuje dobrą naturę Armanda. Miał zabrać ją o jedenastej z quai Malaquais i odwiedzić do hôtel Barbier, żeby jej oszustwo nie wyszło na jaw. Teraz jego wyprawa pójdzie na marne. Dziewczyna uścisnęła Marie, zadowolona, że hrabina nie jest na nią zła, i weszła na dziedziniec.

Julien otworzył drzwi.

- Przekaż ojcu, że boli mnie głowa i idę spać - oznajmiła i szybko udała się schodami na piętro.

Franciszek i Alfred razem wracali fiakrem do Paryża. Alfred zbyt dużo wypił, dlatego drzemał, cicho pochrapując. Franciszek myślał o minionym wieczorze, a zwłaszcza o Marie d'Agoult i jej przyjaciółce. Zdał sobie sprawę, że to, co się zaczęło jako sympatyczny flirt, błyskawicznie zamienia się w obsesję. Im bardziej hrabina się od niego odsuwała, tym bardziej jej pożądał. Była niezwykle ponętna, jej oczy przypominały głębokie, tajemnicze studnie pełne kuszącej wody i doprowadzających do szaleństwa sekretów. Nie całkiem rozumiał, co się naprawdę wydarzyło podczas przyjęcia u madame Duvernoy. Chociaż został przedstawiony hrabinie i jej młodej przyjaciółce, madame d'Agoult potraktowała go z dziwnym chłodem. Na razie chyba nie ma więc sensu podejmować prób zbliżenia się do niej. Na szczęście, hrabianka nie odwróciła się do niego plecami, nawet gdy próbował z nią porozmawiać w cztery oczy. Widać nie znała tak dobrze jak hrabina d'Agoult obyczajów panujących w eleganckim świecie. Miał wyrzuty sumienia, że jego zainteresowanie dziewczyną może wywołać niepotrzebne plotki, ale wiedział też z doświadczenia, że jeśli nawet będzie się starał zachować niezwykłą ostrożność, nie obejdzie się bez kłamliwych pogłosek.

Chociaż Franciszek ani na krok nie zbliżył się do Marie, doszedł do wniosku, że warto wykorzystać pomysł dotarcia do wybranki za pośrednictwem jej młodej przyjaciółki. Musiał tylko się zastanowić, jak nawiązać bliższą znajomość z hrabianką i poprosić ją o pomoc.

Minęli Porte Saint Martin i jechali zatłoczonymi ulicami Paryża. Nagle z zadumy wyrwały go głośne słowa. Powóz zatrzymał się z powodu ulicznej awantury. Franciszek wychylił się, żeby sprawdzić, co się dzieje.

- Puść mnie, prostaku! - usłyszał krzyk.

Jakaś dziewczyna, zapewne córka handlarza, broniła się przed końskimi zalotami wielkoluda, który zachowywał się tak, jakby wypił za dużo wina.

- Ja cię nauczę flirtowania z innymi! - krzyknął osiłek i uniósł rękę do ciosu.

Z tłumu gapiów wyskoczyli dwaj mężczyźni, unieszkodliwili pijaka, zanim zdążył wprowadzić swój zamiar w życie, i odciągnęli go od dziewczyny. Ona wygładziła spódnice, poprawiła loki, potrząsnęła głową, a potem odwróciła się na pięcie i zniknęła w pobliskim zaułku.

Takie sceny zdarzały się ostatnio bardzo często. Z powodu cholery życie zdawało się przybierać na sile. Ludzie rozpaczliwie szukali mocnych wrażeń, jakby chcieli sprawdzić, czy naprawdę żyją. Może właśnie dlatego hrabianka z takim entuzjazmem grała na fortepianie.

W uszach Franciszka zabrzmiały słowa zbira: „Ja cię nauczę!”. Oczywiście. Że też nie pomyślał o tym wcześniej! Zaproponuje, że będzie uczył utalentowaną mademoiselle de Barbier-Chouant. W końcu to normalne. Chopin miał sporą grupę szlachetnie urodzonych uczennic. Teraz Liszt znalazł kandydatkę do swojej szkoły, zdominowanej dotychczas przez ambitnych, ale mało obiecujących mieszczan garnących się do fortepianu. Matka w ostatnim liście nakłaniała go, żeby poszukał uczniów z wyższych sfer.

Był tak zadowolony ze swego pomysłu, że wybuchnął gromkim śmiechem.

- Co się stało? - spytał wyrwany z drzemki Alfred.

- Nic, przyjacielu. Wypiłem za dużo szampana.

Alfred odwrócił się od Franciszka i jeszcze bardziej wcisnął w róg powozu.

Liszt skrzyżował ręce na piersiach. Zanim dotarł do swojego mieszkania, miał już w głowie treść listu, który rankiem wysłał do madame d'Agoult.

VIII

Anne i markiz siedzieli w milczeniu przy małym stoliku, pili herbatę i jedli chleb z masłem. Córka rozpamiętywała wydarzenia z poprzedniego wieczoru, a ojciec z ponurą miną czytał gazetę. Dziewczyna właśnie miała zamiar spytać, czy może iść się ubrać, kiedy pojawił się Julien. Podsunął jej srebrną tacę, na której leżał list. Anne wyciągnęła rękę, ale ojciec chwycił służącego za ramię, przyciągnął tacę i przyjrzał się kopercie. Przez chwilę na jego czole widać było głębokie zmarszczki, ale po przeczytaniu nazwiska nadawcy markiz rozsiadł się wygodnie, jakby poczuł ogromną ulgę.

Gdy hrabianka wzięła liścik, Julien skłonił się i wyszedł tak cicho, że prawie nie było słychać jego kroków. Dziewczyna natychmiast poznała pismo kuzyna.

- Mogę iść do pokoju? - spytała.

- Co takiego? Tak się sprawy mają?

Anne miała zamiar powiedzieć coś przykrego, ale rozmyśliła się, wstała i w milczeniu czekała, aż ojciec pozwoli jej odejść.

- Tak, tak. Idź już - powiedział markiz i wrócił do czytania.

Po wejściu na piętro zamknęła za sobą drzwi sypialni i otworzyła kopertę. Ona i Armand już wcześniej umówili się na dzisiejsze popołudnie. Miała nadzieję, że uda jej się odwiedzić hrabinę, zawieźć jej bukiet kwiatów i podziękować za wspólną wyprawę na koncert. List od kuzyna jednak mógł oznaczać zmianę planów.

Chère Cousine!

Niestety, nie mogę dziś po południu po Ciebie przyjechać. Od jakiegoś czasu mam problemy z brzuchem, dlatego postanowiłem zostać w domu. Mam nadzieję, że to nie pokrzyżuje Ci planów.

Amitiés

A. de B.

Anne zmięła list w rękach. Jak on mógł! I to w chwili, kiedy wszystko zaczęło się idealnie układać. Od razu poczuła wyrzuty sumienia, że myśli tylko o sobie, więc napisała liścik z zapytaniem o samopoczucie Armanda. Przy okazji zapewniła go, że zależy jej tylko na tym, aby szybko wrócił do zdrowia. Po zaklejeniu koperty zadzwoniła po Thérèse, żeby pomogła jej się ubrać. Może służąca wymyśli, jak bez pomocy Armanda wyrwać się z ponurego hôtel Barbier i odwiedzić madame d'Agoult. Gdyby można po prostu poćwiczyć na pleyelu w sali balowej! To pozwoliłoby zapomnieć o ponurych nastrojach ojca. Anne bardzo chciała usiąść do fortepianu. Zbyt szybko zapominała matkę, a wiedziała, że muzyka natychmiast ożywiłaby obraz markizy. Być

może wywołałoby to smutek, ale też przyniosło pocieszenie. Jak ojciec wyjdzie, spróbuje namówić Julię, żeby ją wpuścił do sali balowej.

Służąca weszła i położyła na łóżku suknię.

- Jak sądzisz, Thérèse? - spytała Anne. - Czy ojciec kiedykolwiek otworzy salę balową?

- Uhm - mruknęła służąca. - Ostatnio słyszałam, jak mówił Julienowi, że zdejmie kłódkę w dniu, w którym panią i monsieur de Barbier ogłosicie zaręczyny.

- Masz klucz?

- Nie, Julien też go nie ma. Lepiej o tym nie myśleć. Anne zaczęła się zastanawiać, dlaczego ojciec nie pozwala jej ćwiczyć nawet wtedy, gdy nie ma go w domu i nie słyszy gry. Potem w jej głowie zrodziło się następne pytanie: Czemu nie może jawnie odwiedzać madame d'Agoult, bez udawania, że interesuje się swoim kuzynem?

Kiedy zdała sobie sprawę, że nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania, poczuła dziwną złość na Thérèse. Nie mając żadnych planów na popołudnie, będzie musiała spędzić cały dzień w domu, czyli czytać lub haftować w saloniku albo myśleć w swoim pokoju o tym, co chciałaby robić. Dawniej nie miała nic przeciwko spędzaniu całych dni w domu, ale wtedy żyła markiza, która wiedziała, jak umilić córce czas.

Kiedy Thérèse skończyła układać swojej pani koafiurę, Anne wróciła do saloniku, bo zostawiła w nim koszyczek z robótkami, który zapewniał jej jeśli nie odmianę, to przynajmniej jakieś zajęcie dla rąk. Niestety, ojciec wciąż siedział w tym samym miejscu co poprzednio.

- Zechcesz mi, hrabianko, powiedzieć - zagaił, składając gazetę w idealny prostokąt - jak wyglądają twoje stosunki z panem de Barbierem?

Pytanie markiza było dziwne i niezręczne. Anne nie miała zamiaru rozmawiać na tematy osobiste.

- Obawiam się, że obecnie nie wykazuję dużych talentów towarzyskich - wyznała, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

- Rozumiem, że masz skrupuły, niemniej pragnę cię poinformować, że przejażdżki sam na sam z młodym dżentelmenem i przebywanie z nim bez przyzwoitki w miejscach publicznych prawdopodobnie tak nadszarpięły twoją reputację, że może być ci trudno znaleźć innego konkurenta.

Markiz spojrział na córkę, która słuchała słów ojca z niedowierzaniem. Przecież on sam zachęcał ją do takiego właśnie postępowania, to on starał się wydać ją za kuzyna. Prawdę mówiąc, według Armanda to również markiz dostarczył powozik, który umożliwił im przejażdżki. Anne poczuła, że krew szybciej krąży jej w żyłach i łaskocze w koniuszkach palców. Miała nieodpartą ochotę rzucić czymś w ojca. Jak on śmie? Gdy była małą dziewczynką, czasami w takiej sytuacji psuła ukochaną lalkę. Kiedy nieco podrosła i nauczyła się grać na fortepianie, odkryła, że zły humor można całkiem niezłe rozładować przy klawiaturze, więc grała wtedy godzinami, przy okazji ćwicząc palce. Teraz nie wiedziała, czy bardziej złości ją, że w spostrzeżeniach ojca może być ziarnko prawdy, czy że ją pokonał i jej machinacje okazały się bezowocne.

- Rozumiem - powiedziała. - A jeśli Armand nie będzie chciał mnie poślubić?

Anne wychwyciła w swoim głosie początki paniki i modliła się, żeby nie okazać słabości.

- Jestem święcie przekonany, że się z tobą ożeni.

W powietrzu zawisło mnóstwo słów, które dziewczyna chciała powiedzieć, ale tego nie zrobiła.

- Dziś rano dostałaś list.

Wiedziała, że za stwierdzeniem markiza kryje się pytanie. Najchętniej udałaby, że nie rozumie, o co ojcu chodzi, ale nie umiała otwarcie okazać braku szacunku. Poinformowała więc krótko i z udaną obojętnością:

- Napisał, że jest chory i nie może się ze mną spotkać zgodnie z wcześniejszą umową.

- Chory?

Markiz ściągnął krzaczaste brwi, tak że spotkały się u nasady nosa. Nim Anne zdołała go zapewnić, że Armand ani słowem nie wspomniał o cholery, popędził do biblioteki, zostawiając córkę w saloniku.

Z pokoju, w którym tłoczyli się mężczyźni różnych stanów i profesji, usunięto wszystkie meble. W tłumie Pierre zauważył burmistrza Szóstej Dzielnicy, kilku oficerów w mundurach prefektury policji, kilkunastu kupców i około dwudziestu rzemieślników z rękami wciąż zabrudzonymi od garbowania, drukowania, farbowania lub bejcowania - w zależności od tego, co robili w swoich maleńkich warsztatach. Oficer służb porządkowych stał na krześle i przemawiał.

- Jako mieszkańcy Paryża, mamy obowiązek zrobić wszystko, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się epidemii. Naszą najlepszą bronią w walce z cholera jest informacja.

- Nasze listy i biuletyny nikogo nie wyleczą! - zawołał ze złością ktoś z tyłu.

- To prawda. Nie znamy przyczyny ani lekarstwa, ale po dokładnym przeanalizowaniu zebranych przez was danych może w końcu dowiemy się czegoś więcej o tej chorobie, poznamy warunki i sposób, w jaki się rozprzestrzenia, zorientujemy się, kogo atakuje, a kogo omija. Dopiero wtedy będziemy mogli uderzyć z całkowitą pewnością i wyrwać ją z korzeniami.

- Moim zdaniem może pan zacząć od lekarzy - mruknął krępy rzeźnik stojący obok Pierre'a.

Jego uwaga zaniepokoiła studenta. W końcu udało się stłumić rozruchy biedoty przekonanej, że jest truta, wciąż jednak prości ludzie podejrzliwie spoglądali na szpitale i doktorów. Utworzono dzielnicowe komisje, które miały włączyć lokalną społeczność do walki z chorobą. Ktoś liczył zwłoki. Inni chodzili od domu do domu i szukali przypadków cholery, których nikt nie zgłosił. Wciąż jednak bandy opryszków z zasłoniętymi ustami i nosami napadały na ludzi, którzy ładowali zwłoki na zaprzężone w konie wózki i grzebali je poza miastem. Nie podobało się to tym, którzy żyli z przeszukiwania śmieci.

Władze uniwersytetu zachęcały studentów, żeby każdy z nich przyłączył się do jakiejś komisji. Początkowo Pierre uważał, że najlepiej zrobi, jeśli będzie spędzał czas na oddziałach zakaźnych i w szpitalach dla ubogich. Gdy jednak zdał sobie sprawę, że ochotnicy dysponują szczegółowymi listami domów, apartamentów i spisami ich mieszkańców i że ma prawo wybrać, w której dzielnicy chce pracować, doszedł do wniosku, że może dzięki temu uda mu się odnaleźć tajemniczą młodą damę. Ponieważ ostatni raz widział ją pod domem madame d'Agoult w Saint Germain, wybrał tę właśnie dzielnicę.

- Jest tu stosunkowo mało przypadków cholery ale nie tak daleko stąd, w pobliżu Montparnasse'u i Dzielnicy Łacińskiej, epidemia dokonała ogromnych spustoszeń. - Asystent stojący obok oficera podał swojemu zwierzchnikowi kartkę papieru. - Dzisiaj w Saint Germain zmarło na cholera siedemnaście osób.

Wśród słuchaczy rozległ się niespokojny pomruk.

- Otrzymacie woreczki z kamforą i starajcie się nie zdejmować rękawiczek.

Taki sam skutek przyniosłyby magiczne zaklęcia - pomyślał Pierre. Nikt nie wiedział, jak rozprzestrzenia się cholera. Kwarantanna nie przynosiła żadnych skutków, trudno było dopatrzeć się jakiegokolwiek logiki. Epidemia przetaczała się przez domy po jednej stronie ulicy, a ludzie mieszkający po drugiej cieszyli się dobrym zdrowiem. W niektórych domach umierali wszyscy, w innych chorowała tylko jedna osoba. Jedynymi znanymi czynnikami sprzyjającymi zapadnięciu na tę chorobę była nędza i brud. Może gazety miały rację, nazywając cholere „podatkiem od nędzy”.

Gdy przypdzielano zebranych różne zadania, spotkanie dobiegło końca. Pierre z racji wykształcenia znalazł się wśród osób, które dostały do ręki listy z nazwiskami i adresami. Miał przemierzać poszczególne ulice i sprawdzać domy, sklepy oraz warsztaty. Kazano mu przez cały następny tydzień odwiedzić tyle domów, ile zdoła przed nastaniem mroku, a jeśli skończy wcześniej, ma się zgłosić po następną listę. Medyk zerknął na kartkę, którą podał mu asystent, i zauważył, że znajdują się na niej tylko nazwiska prostych ludzi. Bez wątplenia eleganckie ulice dostali inni.

Szalejąca epidemia to nie przelewki, jednak Pierre bardzo chciał odnaleźć piękną nieznajomą o gładkich rękach i szafirowych oczach. Cholera zaś skłaniała go do bardziej uporczywych poszukiwań. Wszystko wskazywało, że życie trwa krótko, a śmierć wybiera ofiary na chybił trafił i działa bardzo szybko. Kto mógł dać mu gwarancję, że on - lub, Boże broń, ona - nie będzie następną ofiarą?

Pierre wziął swoją listę i wyruszył w drogę z woreczkiem kamfory na szyi.

- Rue du Four - przeczytał i skierował się w stronę enklawy kaflarzy.

Gdy wieczorem dowlóknął się do swojego mieszkania, które dzielił z Georges'em, ledwo powłóczył nogami ze zmęczenia. Był silnym młodym mężczyzną, dlatego gdy zajął się wykonywaniem wyznaczonego zadania, nie ustał, póki nie sprawdził wszystkich adresów, które miał na kartce. Odwiedził kupców, prawników, bogatych ludzi i lekarzy otoczonych służbą, mieszkających w wygodnych apartamentach na parterach kamienic; właścicieli sklepików i nauczycieli, którzy zajmowali pierwsze piętra i dysponowali wystarczającą ilością miejsca dla rodziny i lokaja lub służącej; rzemieślników i studentów wynajmujących, podobnie jak on i Georges, maleńkie pokoiki na drugich piętrach. Czasami na poddaszach znajdował robotników i sprzedawców. Ludzie ci żyli w bardzo ciężkich warunkach, z trudem rozkładali sienniki na podłogach, mieli chude i milczące dzieci, a ich niemowlęta bez przerwy płakały. Odkrył dwa niezgłoszone przypadki cholery, przy czym podejrzewał, że jeden z synów pewnego kupca też chorował, tylko już wrócił do zdrowia. Oczywiście, nie znalazł młodej damy. Muszę pokonać wiele kilometrów i wdrapać się na szczyt - pomyślał, marząc o łóżku.

Właśnie zamierzał rzucić się na pryczę, gdy zauważył list wetknięty za lustro, przy którym on i Georges zazwyczaj się golili. Jego imię, nazwisko i adres napisane zamasztyłym pismem zajmowały niemal całą powierzchnię koperty. Złapał ją i otworzył, zdając sobie sprawę, że musi to być odpowiedź hrabiny d'Agoult na pozostawiony przez niego bilet wizytowy. Zapewne będzie to krótka informacja, że młoda dama miewa się nieźle i że Pierre nie musi się o nią martwić - ewentualnie może za jakiś czas o nią zapytać. Właściwie nie miał nawet ochoty tego czytać.

Cher Monsieur de Talon!

Pierre zapomniał, że podając swoje nazwisko, dopuścił się drobnego oszustwa. Natychmiast tego pożałował.

Dziękuję za miły list z zapytaniem o zdrowie mojej przyjaciółki, hrabianki Anne de Barbier-Chouant.

Przerwał czytanie i przycisnął list do piersi. Spełniło się jego marzenie! W końcu poznał jej imię i nazwisko.

Na podstawie Pańskiego adresu wnoszę, że jest Pan studentem i mieszka Pan w pobliżu wydziału medycznego uniwersytetu. Czy byłby Pan tak uprzejmy i złożył mi wizytę w najbliższą sobotę? Chciałabym, żeby rozwił Pan moje obawy dotyczące epidemii cholery. Będę oczekiwać Pana o trzeciej, chyba że ten termin Panu nie odpowiada. Z wyrazami szacunku

Madame Marie d'Agoult

Zaproszenie! To więcej, niż oczekiwał. Czy hrabina zaprosi również mademoiselle de Barbier-Chouant?

Położył się na łóżku z listem w ręce. Był wyczerpany, ale podniecenie nie pozwoliło mu zasnąć do białego rana.

IX

Marie trzymała w rękach liścik Liszta. Wywołał w niej dziwną mieszaninę zadowolenia i złości. Otrzymała go wczesnym popołudniem nazajutrz po koncercie. Właśnie oczekiwała Anne, ale hrabianka się nie pojawiała i Marie nie wiedziała, jak to sobie wytłumaczyć. Czyżby poprzedniego wieczoru w jakiś sposób uraziła dziewczynę? A może Anne zapomniała o spotkaniu? Oba wyjaśnienia były mało prawdopodobne, dlatego hrabina obawiała się, że markiz odkrył oszustwo córki albo coś przydarzyło się uczynnemu kuzynowi i nie może podwieźć Anne na quai Malaquais.

Na domiar złego hrabina otrzymała list, którego po części się spodziewała, a po części obawiała, chociaż nie zawierał przesłania, jakiego można było oczekiwać po płomiennych spojrzeniach z poprzedniego wieczoru. Po zwyczajowych pozdrowieniach i wyrażeniu radości, że w końcu mogli się poznać, pianista poruszył całkiem inny temat.

Czy mogę w swej śmiałości, Madame, poprosić o pomoc w pewnej delikatnej sprawie? Nie tak dawno temu spotkałem hrabiankę de Barbier-Chouant. Stało się to, gdy podczas Pani nieobecności złożyłem wizytę w Pani apartamencie, pragnąc przeprosić za to, że wcześniej nie przyjąłem zaproszenia na występ w Pani salonie. Ku mojemu zaskoczeniu Pani dom był pełen muzyki. To mademoiselle de B.-C. grała na fortepianie. Dostrzegłem u niej wielki talent, dlatego chciałbym pomóc jej w rozwijaniu daru, który jest zbyt cenny, żeby ukrywać go przed światem.

Obawiam się jednak, że jeśli zaproponuję jej to osobiście, może opacznie zinterpretować moje intencje. Czy mogłaby Pani służyć jako pośredniczka i dowiedzieć się, czy hrabianka przyjęłaby moje muzyczne wskazówki?

Ponieważ nie znam sytuacji rodzinnej młodej damy, pozostawiam Pani decyzję, czy przekazać jej moją propozycję.

Pozostaję etc.

Franciszek Liszt

Jego spostrzeżenia były słuszne. Z drugiej strony chęć niesienia pomocy w rozwijaniu talentu mogła nieco dziwić, zważywszy na prowokacyjne zachowanie poprzedniego wieczoru: sposób, w jaki zażądał, żeby ich sobie przedstawiono, i śmiałe spojrzenia. Marie dostrzegła w szybie własne odbicie. Czyżby tak bardzo się postarzała? Czy małżeństwo i macierzyństwo dodały jej lat? Czy błędnie zinterpretowała zainteresowanie Liszta sztuką jako coś całkiem innego? Albo, co gorsza, czy jego uwodzicielskie spojrzenia były przeznaczone nie dla niej, lecz...?

Zawstydzila się z powodu własnych myśli. Jak może być zazdrosna o dziewczynę młodszą od siebie o dziesięć lat? Zwłaszcza że mężczyzna, który sprowokował zazdrość, jest bliższy wiekiem Anne niż jej. Poza tym w liście wspominał tylko, że chce, by dziewczyna została jego uczennicą. Hrabianka nie zasłużyła sobie na taką małoduszność z jej strony. Trzeba się dobrze zastanowić. Marie ani przez chwilę nie wątpiła, że Anne bardzo chętnie skorzysta z propozycji Liszta. Czy jednak Sandrine chciałaby tego dla swojej córki?

Na pewno nie życzyłyby sobie, żeby Anne wyszła za mąż za kuzyna tylko po to, by zadowolić ojca. Ona sama też by tego nie chciała. Było jednak coś, co powstrzymywało Marie przed pośpiesznym skorzystaniem z pomocy dżentelmenów, którzy ostatnio napisali do niej w sprawie Anne. Jeden z nich nawet nie starał się ukryć swoich intencji, drugim powodowały niejasne motywy. Gdyby któraś ze znajomości przeobraziła się w nieodpowiedni związek lub, Boże broń, gdyby młodzi postanowili uciec, cała odpowiedzialność spadłaby na Marie. To ona umożliwiłaby Anne podjęcie kroków, które w przeszłości doprowadziły jej matkę do tragedii.

Hrabina ponownie przeczytała list Węgra, potem odłożyła kartkę na bok. Wciąż nie miała wieści od Anne - hrabianka nie przysłała ani słowa wyjaśnienia, dlaczego się nie pojawia. Marie skorzystała z dzwoneczka, którzy trzymała na sekretarzyku. Po chwili pojawił się lokaj.

- Proszę za piętnaście minut podstawić karete.

Sługa skłonił się i wyszedł.

Marie nigdy wcześniej nie była w hôtel Barbier. Za życia Sandrine spotykały się na quai Malaquais, a także na różnych przyjęciach i wieczorkach albo w herbaciarniach czy restauracjach. Z markizem miała do czynienia tylko podczas oficjalnych uroczystości dworskich, w których brała udział, rzadko bowiem towarzyszył on żonie na salonach czy podczas koncertów. Marie przez chwilę się zastanawiała, czy Sandrine musiała uciekać się do kłamstwa, żeby móc wyjść bez męża. Ilekroć widywało się ich razem, markiz wykazywał ogromną czujność i troskę, a jeśli tylko mógł, nie dopuszczał, by żona rozmawiała z innymi dżentelmenami. Dobrze, że przynajmniej Charles zostawia mi wolną rękę - pomyślała Marie. Prawdę mówiąc, częściej porozumiewali się za pomocą listów niż bezpośredniej rozmowy, gdyż rzadko bywali jednocześnie w tym samym miejscu. Obecnie mąż Marie uciekł przed niezdrowym powietrzem Paryża i pojechał odwiedzić

kuzyna z Normandii. Prawdopodobnie wróci dopiero w lecie. Właściwie wcale za nim nie tęskniła, natomiast bardzo często myślała o córeczkach, które były bezpieczne u jej matki w Croissy.

Gdy hrabina zajechała pod starą rezydencję w zapomnianym zakątku Saint Germain, sapnęła z niedowierzaniem. Budynek prawdopodobnie pochodził z czasów Ludwika XIV. Miał mansardowy dach i zniszczone miejscami kamienne zdobienia. Niewiele zostało z cherubinków na filarach bramy. Nie miały rąk ani głów, tylko skrzydło jednego i stopa drugiego przypominały czasy dawnej świetności. Rezydencja miała kształt litery „L” i stała na rogu ulicy; z pozostałych dwóch stron chronił ją wysoki kamienny mur. Marie zauważyła zdziczały krzak bzu i resztki kuchennego ogródka, w którym niegdyś rósł tymianek. Teraz jedynie jakieś pnącze obrastało ścianę aż do okapu i ożywiało kamienny dziedziniec. Między nierównymi płytami nie rosły nawet chwasty. Fasadę pokrywała ponadstuletnia warstwa brudu, a wychodzące na dziedziniec okna były zasłonięte okiennicami. Gdyby Marie nie wiedziała, że ktoś tu mieszka, i gdyby ze stajni nie dochodził zapach końskiego nawozu, pomyślałaby, że dom jest pusty i tylko czeka, aż ktoś go rozbierze, by postawić na jego miejscu wygodniejszą rezydencję.

Biedna Sandrine - pomyślała Marie. Dużo więcej luksusów miałyby w nowoczesnym apartamencie z bieżącą wodą i nowymi piecami do ogrzewania pomieszczeń w zimie. Jak ta ruina przetrwała ostatnią modę na burzenie i odbudowywanie? Jako zatwardziały rojalista, markiz najprawdopodobniej nie otrzymywał żadnych funduszy na utrzymanie rodzinnej posiadłości, zwłaszcza że na samym początku rewolucji uciekł z Paryża. Widać ktoś z rodziny musiał mieć wpływy u przywódców zbuntowanych mieszczan, bo inaczej zburzono by tę rezydencję. Możliwe też, że odrestaurowano ją za czasów Karola X, a markiz z tego skorzystał.

Marie wysiadła z powozu, zebrała się na odwagę, śmiało podeszła do drzwi i pociągnęła za dzwonek. Po chwili na progu pojawił się staruszek o pociągłej, chudej twarzy.

- Madame d'Agoult do markiza - oznajmiła hrabina, podając lokajowi swój bilet wizytowy.

Służący wprowadził ją do westybulu i zniknął za drzwiami po lewej stronie.

Hrabina zaczęła się przyglądać staroświeckiemu wnętrzu, kiedy zza schodów wyłoniła się Anne.

- Przyjechała pani do nas! - zawołała, chwytając Marie za rękę i zniżając głos do szeptu. - Przepraszam, ale nie mogłam się pojawić, bo Armand...

Nim zdążyła dokończyć, drzwi, za którymi zniknął lokaj, otworzyły się i w westybulu pojawił się markiz we własnej osobie. Zatrzymał się dopiero o krok od Marie. Jego twarz zdradzała sprzeczne emocje. Madame d'Agoult dostrzegła na niej zaskoczenie, smutek, złość i podejrzliwość. Po chwili, jak przystało na doświadczonego dworaka, markiz przybrał maskę obojętności i niewielkiego zaciekawienia.

- Ojczy - powiedziała Anne - czy mogę ci przedstawić hrabinę Marie d'Agoult?

Starszy pan lekko skłonił głowę.

- Przed laty spotykaliśmy się z hrabiną na dworze, prawda?

Marie dygnęła, jak przystało na dwórkę.

- Nie miałam okazji złożyć szczerych kondolencji z powodu śmierci pańskiej żony, którą bardzo lubiałam.

Markiz nie odezwał się ani słowem, ale Marie zauważyła, że nieco opuścił głowę.

- Madame d'Agoult przez przypadek zna Armanda... pana Barbiera - mówiła Anne. - Pewnego popołudnia spotkaliśmy się w herbaciarni.

Marie przytaknęła, dochodząc do wniosku, że Anne całkiem nieźle potrafi kłamać. Zastanawiała się, czy zawsze tak było, czy też opanowała tę sztukę dopiero teraz, gdy została zmuszona do trzymania pewnych rzeczy w tajemnicy.

- Chciała pani ze mną porozmawiać.

Nie zwracając uwagi na słowa córki, markiz gestem ręki zaprosił hrabinę do swojej biblioteki. Anne została w westybulu.

- Przynieś herbatę dla pani hrabiny - polecił jeszcze ojciec Julienowi.

Na ścianach ogromnego, ciemnego pokoju było mnóstwo półek z książkami. Markiz usiadł przy masywnym dębowym biurku, wskazując Marie krzesło naprzeciwko. Łaskawie zgodził się udzielić mi audiencji - pomyślała.

- Chciałabym, markizie - zaczęła - szczerze porozmawiać z panem na temat Anne.

- W takim razie zamieniam się w słuch.

Jego postawa uległa zmianie, wyprostował się i napiął wszystkie mięśnie, jakby mieli omawiać jakiś interes.

- Z tego, co mi powiedziała, wiem, że chce ją pan wydać za kuzyna, Armanda de Barbiera.

Markiz delikatnie się poruszył.

- Nie przypominam sobie, żebym pozwalał córce rozmawiać z obcymi ludźmi na tematy rodzinne.

Marie wiedziała, że markiz swoją buntowniczą odpowiedzią stara się wytrącić ją z równowagi - stary trik dworaka. Chociaż wystarczająco dobrze znała wszelkie niuanse taktyki, trudno jej było pozbyć się wrażenia, że usiłuje się wspiąć na wydmy. Była w stanie wymyślić tylko jedną odpowiedź.

- Rozumiem.

Przez kilka chwil w zadumie przyglądała się swoim dłoniom. Kiedy odzyskała pewność siebie i uniosła głowę, napotkała wzrok pana domu.

- Arine jest niewinną istotą i bez wątplenia nie wiedziała, że zwierając mi się, wzbudzi pańskie niezadowolenie. Na pewno nie zrobiła tego celowo. Tak czy inaczej powiedziała mi o wszystkim, a ja jestem przekonana, że jeśli zbyt mocno będzie ją pan naciskał, może się zdarzyć nieszczęście, którego nie jest pan w stanie przewidzieć.

Jedynym dowodem, że markiz usłyszał słowa Marie, był lekki grymas na twarzy. Nie czekając na protesty, madame d'Agoult kontynuowała swój wywód.

- Tak samo jak pan, wierzę, że monsieur Barbier jest doskonałą partią. Obawiam się jednak, że pańska córka zbyt mało bywała w świecie i nie zdążyła się pewnych rzeczy nauczyć, aby stanowić dobrą partię dla pana de Barbiera.

W kącikach ust markiza zaigrał blady uśmieszek, ale wyraz jego twarzy nie uległ przez to zmianie.

- To prawda, że brakuje jej oglądy, jaką miała Sandrine.

- Właśnie. - Marie chrząknęła. - Jestem przekonana, że jeśli nie da pan Anne odrobiny swobody i nie pozwoli jej szlifować posiadanych darów i talentów, pewnego dnia całkowicie się zbuntuje, a towarzystwo ją odrzuci. Myślę, że pański kuzyn nie będzie chciał mieć takiej damy za żonę.

Monsieur de Barbier-Chouant lekko wychylił się do przodu - nie dlatego, żeby nadać rozmowie bardziej poufaly charakter, lecz by zastraszyć rozmówczynię.

- O co właściwie pani chodzi, madame?

- Oboje dobrze wiemy o kilku drobnych błędach, które popełniła Sandrine, zanim wyszła za pana za mąż. Anne jest córką swojej matki. Przyzwoitość zabrania mi wdawać się w szczegóły.

Twarz markiza spochmurniała.

- A pani, hrabino, jest w stanie uchronić moją córkę przed pójściem w ślady matki i popełnieniem „kilku drobnych błędów”, jak to pani ładnie ujęła?

Marie obruszyła się.

- Uważam, że jestem winna swojej zmarłej przyjaciółce wprowadzenie jej córki na salony.

Starszy pan oparł się i opuścił powieki. Nic dziwnego, że niegdyś wszyscy się go bali - pomyślała Marie. Markiz jakimś cudem zepchnął ją do defensywy, chociaż to do niej należały wszystkie ruchy. Nie pozostało jej nic innego, jak naciskać dalej. Jeśli teraz skapitułuje, da mu przewagę i nic nie wskóra. Mówiła więc, starannie dobierając słowa, zastanawiając się przed wypowiedzeniem każdego zdania i obliczając, jaki wywrze ono efekt na słuchaczu.

- Z pewnością zdaje sobie pan sprawę, że pańska córka ma wyjątkowy talent. Jestem przekonana, że znaczną część energii i emocji można z pożytkiem skierować na szlifowanie jej muzycznych zdolności. Jeśli nie lubi pan dźwięków fortepianu, proponuję, żeby Anne przynajmniej kilka godzin dziennie spędzała u mnie, przy quai Malaquais, gdzie będzie mogła ćwiczyć, a ja ze swej strony zapewnię odpowiedniego nauczyciela, który pomoże jej się rozwinąć.

Marie zauważyła, że markiz zacisnął zęby i zaczął głośniejsz oddychać. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, mimo to milczał.

- Gdy Anne będzie gotowa, wprowadzę ją na salony. Dzięki ładnej buzi i sprawnym palcom zwróci na siebie uwagę kawalerów... łącznie z panem de Barbierem. Nic tak nie pobudza romantycznych uczuć mężczyzny, jak przekonanie, że ukochana może wpaść w oko komuś innemu.

Markiz uniósł powieki, a Marie wbrew własnej woli niespokojnie drgnęła. W jego oczach pojawiło się rozbawienie, a potem coś, czego nie była w stanie odczytać. Ile sekretów musiał ukrywać od czasów ucieczki w okresie rewolucji? Dzięki temu teraz był w stanie patrzeć rozmówcy prosto w oczy, niczego nie zdradzając.

- Zastanowię się nad pani propozycją - powiedział.

- Obawiam się, sir, że skazana na izolację Anne wkrótce zrobi coś takiego, czego skutków nie da się naprawić.

Marie zdała sobie sprawę, że za daleko się posunęła, mimo to markiz najwyraźniej zastanawiał się nad jej słowami.

- Nie wierzę, by moja córka miała zamiar narażać na szwank swoją reputację - zapewnił. - Niemniej zdaję sobie sprawę, że może jej być trudno przebywać przez cały czas w domu pogrążonym w żałobie, bez możliwości choćby tylko chwilowego rozwiania smutku.

Wstał, sugerując, że rozmowa dobiegła końca. Marie również podniosła się z krzesła, ale nie postąpiła ni kroku. Wiedziała, że musi skłonić markiza do czegoś więcej niż puste słowa. Nie była pewna, dlaczego tak bardzo jej zależy, aby decyzja dotycząca przyszłości Anne zapadła natychmiast, ale im dłużej otaczała ją panująca w hôtél Barbier atmosfera żałoby i rozgoryczenia, tym bardziej chciała zapewnić córce Sandrine szanse na szczęście.

- Czy to oznacza, że zgadza się pan, by Anne codziennie do mnie przyjeżdżała?

Nawet we dwójkę można się bawić w dyplomację - pomyślała Marie.

- Najwyraźniej nie mam innego wyjścia.

Poddał się, nie ustępując ani na krok. Uśmiechnęła się ciepło do markiza, ignorując jego chłód, i ponownie głęboko dygnęła. Zerknęła przy tym na stos urzędowych papierów na biurku. Zapewne nie zwróciłyby na nie uwagi, bo nigdy nie należała do osób, które wtrącają się w prywatne sprawy innych ludzi, ale na jednym z dokumentów dostrzegła dobrze znane sobie pismo.

Ja, Sandrine de Barbier-Chouant...

Na widok tych słów omal nie straciła równowagi. Czyżby to był testament Sandrine? Co on tutaj robi, między listami i gazetami? Madame d'Agoult bardzo chciałaby go przeczytać, mimo to, nie okazując żadnego zainteresowania, odwróciła się od markiza i wyszła z biblioteki.

Za drzwiami Anne niespokojnie krążyła tam i z powrotem po westybulu u podstawy schodów. Na widok hrabiny podbiegła, wzięła ją pod ramię i wprowadziła do przytulnego saloniku na tyłach rezydencji. To pomieszczenie, w przeciwieństwie do ponurej biblioteki, było urządzone ze smakiem i elegancją. Najwyraźniej maczała w tym palce Sandrine. Marie po cichu zrelacjonowała w skrócie Anne swoją rozmowę z markizem.

- Teraz musisz przyłożyć się do etiid, żeby się stać chlubą swojej rodziny.

Zwłaszcza że w przekonaniu markiza Marie nie była najlepszym przykładem dla Anne.

- Muszę ci powiedzieć coś jeszcze.

Anne z trudem ukrywała radość, gdy krążyła po pokoju, dotykając oparcie krzesła albo zaciskając na nich palce. Jeśli tak bardzo się ucieszyła, że będzie mogła ćwiczyć, ciekawe, jak zareaguje na wieść, której jeszcze nie słyszała.

- Otrzymałam list od naszego wspólnego znajomego, Franciszka Liszta. Poinformował mnie, że chce być twoim nauczycielem.

Dziewczyna zbladła, a potem zacisnęła palce na oparciu obitego brokatem fotela, którego się trzymała, żeby nie upaść.

- Jak to możliwe? Jest pani pewna? Marie wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście! Jako pianista, potrzebuje uczniów, żeby zarabiać na życie. Nie dziwi mnie, że zaproponował ci lekcje. Przyjdzie w poniedziałek.

Przez chwilę Marie myślała, że Anne zemdleje, ale dziewczyna zdołała zebrać siły.

- Postaraj się pojawić u mnie o jedenastej, żeby poćwiczyć i zjeść ze mną obiad. Najlepiej by było, gdyby tak wyglądał nasz codzienny harmonogram. Jeśli nie będzie mnie w domu, poinstruuje służbę, aby wykonywała wszystkie twoje polecenia. Wybacz, ale muszę już iść.

Prawdę mówiąc, rozmowa z markizem bardzo ją zmęczyła. Zapomniała, jak trudno balansować na linie - powiedzieć wystarczająco dużo, żeby osiągnąć swój cel, a jednocześnie nie zdradzić informacji, które druga strona mogłaby nieodpowiednio wykorzystać.

W drodze powrotnej na quai Malaquais madame d'Agoult miała się nad czym zastanawiać. Chociaż hôtel Barbier wywarł na niej przygnębiające wrażenie, równocześnie przypomniawszy jej Sandrine. W dodatku przypadkowo ujrzała testament przyjaciółki. Dlaczego leżał na biurku, na oczach - no, niemal na oczach - wszystkich? Z pewnością musiała się pomylić. A może starszy pan ostatnio go przeglądał? Marie z natury nie była osobą dociekliwą, ale bardzo chciała wiedzieć, co jest w dokumencie. Nie miała wątpliwości, że cały majątek, jaki należał do rodziny, wniosła w posagu Sandrine. Wielu arystokratów podczas rewolucji i cesarstwa utraciło swoje fortuny. Marie zastanawiała się, czy plany małżeńskie markiza wobec córki nie wynikają bardziej z chciwości niż ze względów rodzinnych.

Jaka ze mnie idiotka, że w ogóle się nad tym zastanawiam! - pomyślała. - Przecież to oczywiste, że markizowi chodzi o pieniądze. Miała nadzieję, że starszy pan nie poświęci szczęścia córki, jak zrobiło wielu znajomych Marie. Mogła przynajmniej dopilnować, by Anne dowiedziała się, jak wygląda prawdziwa miłość.

Ucieszyła się, że zaprosiła młodego medyka. Być może zrobi dla niej coś, o co nie mogła poprosić nikogo związanego ze światkiem, w którym żyła Sandrine i w którym teraz musi znaleźć miejsce jej córka. Miała nadzieję, że Pierre wybaczy jej śmiałość.

X

Przed spotkaniem z madame d'Agoult Pierre się wykapał i odwiedził cyrulika. Postanowił, że tym razem nie weźmie woreczka z kamforą, która, jego zdaniem, nawet w najmniejszym stopniu nie zabezpieczała przed cholerą. Poza tym, jak donosiły codzienne biuletyny „Moniteur Universel”, epidemia zaatakowała tylko kilka miejsc w Saint Germain. Chociaż w sobotę i przez następne dwa dni miał wykonywać swoje obowiązki związane z pracą w komisji zdrowotnej, namówił Georges'a, żeby go zastąpił, a w zamian za to obiecał przyjacielowi, że przejmie którąś z jego nocnych zmian w Hôtel-Dieu.

Tym razem wynajął fiakra, chociaż z ogromnym trudem wysupłał trzydzieści sou. Chciał wyrzeźwić odpowiednie wrażenie jako monsieur Pierre de Talon, co oznaczało, że musi dotrzeć na miejsce w wyprasowanym ubraniu i czystych butach.

- Miło mi, że tym razem spotykamy się w mniej niezręcznej sytuacji - powiedziała madame d'Agoult, witając go w eleganckim apartamencie z widokiem na Sekwanę.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - odparł. - Mam tylko nadzieję, że hrabianka w pełni wróciła do sił.

- Tak. Niewykluczone, że wkrótce sam pan będzie mógł się o tym przekonać. Jednak zanim przedstawię pana swojej młodej przyjaciółce, chciałabym dowiedzieć się o panu czegoś więcej, co jest chyba całkiem zrozumiałe.

Tak się sprawy mają - pomyślał Pierre. - Madame d'Agoult zachowuje się jak dozorczyńni.

- W takim razie muszę zacząć od pewnego wyznania. Jestem zwyczajnym Pierre'em Talonem z Tuluzy studentem wydziału medycznego Uniwersytetu Paryskiego.

Jeszcze przed przyjściem zdecydował, że jeśli będzie po temu okazja, zrezygnuje z wybiegu, który łatwo zdemaskować - wystarczy tylko trochę popytać.

Marie wynagrodziła uczciwość Pierre'a czarującym uśmiechem.

- Tak przypuszczałam. Gdybyśmy mieli inne czasy, zapewne odpowiedziałabym na pański list nieco inaczej.

Pierre niespokojnie poruszył się na krześle. Wbrew własnej woli rozejrzał się wokół w sposób, którego się nauczył, pracując w komisji zdrowotnej. W salonie wyczuwało się nieprzyjemną woń Sekwany, chociaż w pomieszczeniu było czysto. Na szczęście powstrzymał się przed zadaniem pytania, ile osób zajmuje apartament i czy któraś z nich wykazuje symptomy choroby. W końcu przyszedł tu w celach czysto towarzyskich. Przeniósł zatem wzrok na wspaniałą fortepian, który stał w rogu pokoju. Był to piękny instrument; obok niego na podłodze leżały bardzo liczne zbiory nut, a jeden zeszyt stał rozłożony na pulpicie. Madame d'Agoult wspomniała, że hrabianka i jej matka grały na fortepianie. Może jej palce dotykały tych klawiszy? Ścisły umysł Pierre'a dowodził, że jeśli nawet położy dłonie na klawiaturze, nie znajdzie się ani o krok bliżej ukochanej, mimo to młodzieniec miał ogromną ochotę to zrobić.

- Monsieur Talon?

Madame d'Agoult wyrwała go z zamyślenia. Zarumienił się, jakby został przyłapany z opuszczonymi spodniami. Gospodyni podała mu porcelanową filiżankę z gorącą herbatką rumiankową.

- Widzę, że czytała pani *instructions populaires* - powiedział.

- A ja widzę, że zauważył pan mój fortepian - odparła. - Ponieważ kilka tygodni temu był pan na koncercie, sądzę, że interesuje się pan muzyką.

- Trochę gram, ale jestem wdzięcznym słuchaczem.

- W takim razie na pewno ucieszy pana fakt, że hrabianka jest utalentowaną pianistką i od poniedziałku rozpocznie naukę pod okiem Franciszka Liszta.

Pierre mimo woli poczuł, że hrabina rzuciła tę informację jak kamień do stawu, by wywołać kręgi na powierzchni.

- To szczęście mieć taki talent... i środki, żeby się dostać pod opiekę mistrza.

Za wszelką cenę starał się zachować spokój i nie zdradzić swoich obaw. Monsieur Liszt miał reputację kobieciarza, ale Pierre nie mógł zaprotestować przeciwko udzielaniu przez niego lekcji hrabiance.

- Ma ogromny talent i pochodzi z dobrej rodziny, ale pod pewnymi względami jest bardzo biedna. - Marie urwała i upiła łyk herbaty. - Chyba wspomniałam podczas naszego spotkania na koncercie, że w marcu, tuż po wybuchu epidemii, zmarła jej matka.

- Tak, pamiętam. A co z jej ojcem?

- Żyje. - Twarz madame d'Agoult spochmurniała. - Bardzo przeżył śmierć żony, a córka chyba zbyt mu przypomina moją zmarłą przyjaciółkę, doktorze Talon.

- Jeszcze nie jestem doktorem, ale mam nadzieję, że w przyszłości uda mi się zająć szacowne miejsce wśród przedstawicieli tej profesji.

- Monsieur Talon, markiz jest osobą, która wzbudza powszechny strach, chociaż od wstąpienia na tron Ludwika Filipa I stracił pozycję na dworze. Podczas rewolucji uciekł, potem - jak większość arystokracji - wrócił do Paryża i zajął należne mu miejsce w kręgach towarzyskich oraz polityce. - Marie wychyliła się w stronę Pierre'a. - Zaprosiłam pana nie tylko dlatego, że chciałam sprawdzić, czy mogę pana przedstawić swojej młodej przyjaciółce - wyjaśniła. - zaproponowałam spotkanie, bo jako ktoś, kto ma wiedzę medyczną i dostęp do pewnych dokumentów, być może byłby pan w stanie zdobyć informację, która niewykluczone, że miałaby istotny wpływ na szczęście Anne... hrabianki.

Pierre nie wierzył, żeby szczęście hrabianki de Barbier-Chouant mogło zależeć od jakichkolwiek dokumentów, ale nie chciał odmawiać pomocy madame d'Agoult, zwłaszcza jeśli dzięki temu miał większe szanse na spotkanie z Anne.

- Wystarczy, że pani poprosi, a zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

- Nim Sandrine de Chouant wyszła za mąż, w jej życiu wydarzyło się coś niezwykłego. Myślę, że tylko tym można wytłumaczyć dziwny stosunek markiza do córki.

- Dziwny stosunek? Czy hrabiance coś grozi?

- Z tego, co wiem, ojciec próbuje ją zmusić do wyjścia za mąż wbrew jej woli, lecz jest to tak powszechna praktyka, że nawet nie warto o tym wspominać. Mimo to w głębi duszy jestem bardzo niespokojna.

- Hrabino, czego więc pani ode mnie oczekuje?

- Chciałabym, żeby przyniósł mi pan akt ślubu mojej zmarłej przyjaciółki i akt urodzenia jej córki.

Pierre w milczeniu dokończył herbatę. Tego się nie spodziewał. Prawdę mówiąc, hrabina prosiła go nie tylko o wykorzystanie jego pozycji do zdobycia pewnych informacji, ale też o kradzież dokumentów. Czy to jakiś sprawdzian?

- Nie może pani sama zajrzeć do tych akt? Nie odmawiam, ale pani prośba jest dość dziwna.

- Markiz za nic w świecie nie może się dowiedzieć, że szukam informacji na temat jego rodziny.

Pierre bacznie się przyjrzał złotemu wzorkowi na filizance.

- Jako członek miejskiej komisji zdrowia, mam zdobyć pewne informacje, a potem je pani przekazać? Jeśli ktoś mnie na tym przyłapie, przekreślę swoją przyszłą karierę.

- Z pewnością są to dokumenty dostępne dla każdego obywatela.

- Owszem, ale prawdopodobnie tylko do wglądu, dlaczego więc...

Nim dokończył pytanie, Marie usiadła obok niego na sofie.

- To prawda, że mogłabym osobiście wszystko sprawdzić i że być może wystarczyłoby, gdybym zajrzała do tych dokumentów. - Położyła rękę na jego kolanie i spojrzała mu w oczy. - Ale jestem bardzo niespokojna. Na razie nie mogę nic więcej panu wyjaśnić. Wiem tylko, że nim przystąpię do działania, muszę mieć w rękę niezbitą dowody.

Mówiła z pełnym przekonaniem, mimo to sposób wyrażenia prośby nadal niepokoił Pierre'a.

- Dlaczego tak to panią interesuje?

- Zamiast odpowiedzieć wprost na to pytanie, i ja pana o coś spytam. Czy istnieje jakiś cel, coś niezwykle cennego, co jest dla pana ważniejsze od wszystkiego innego? - Wyprostowała się i odsunęła od Pierre'a. - W moim przekonaniu Anne jest dziedziczką sporej fortuny.

Medyk wstał, podszedł do okna i wcisnął ręce do kieszeni. Za kogo go ona uważa?!

Podeszła, stanęła za jego plecami i powiedziała tak cicho, że z trudem usłyszał jej słowa:

- Jestem przekonana, panie Talon, że dysponując informacjami, które może pan dla mnie zdobyć, zdołam namówić markiza, by zgodził się na małżeństwo swojej córki z panem. Niestety, jeśli nie będę miała tych dokumentów, ojciec Anne wmówi mi, że to pogłoski.

Pierre odwrócił się i spojrzał w mądre, smutne oczy hrabiny d'Agoult. Była tak blisko, że czuł zapach perfum i jej ciała, widział brązowe plamki w jej szarych oczach. Zdał sobie sprawę, że się poci i rumieni.

- Do widzenia, madame - powiedział szybko, chwycił z sofy kapelusz i niemal wybiegł z apartamentu.

Madame d'Agoult przypuszczała, że Pierre Talon jest o kilka lat młodszy od niej. Był przystojnym młodzieńcem, do tego najwyraźniej inteligentnym i wykształconym. Nie każdy przyszły doktor znajduje czas, by chodzić na koncerty. Chociaż nie od razu przystał na jej prośbę, była pewna, że ją spełni - głównie dlatego, iż chodziło o Anne. Im dłużej się zastanawiała nad tym, jak markiz traktuje córkę, i próbowała połączyć to z faktem, iż testament Sandrine leżał na jego biurku, tym bardziej była przekonana, że przyczyną wszystkiego są pieniądze. Przecież nie była ślepa. Widziała na klatce schodowej jaśniejsze plamy w miejscach, gdzie niegdyś wisiały obrazy. Nie zauważyła również w saloniku wielu bibelotów, którymi kobiety z pewnych sfer tak lubią się otaczać. Sama była niegdyś świadkiem stopniowego pozbywania się wartościowych przedmiotów, dlatego doskonale знаła tego typu sytuacje, a markiz, unikający towarzystwa i pozbawiony kobiety przewrażliwionej na punkcie tego, co powiedzą inni, nawet nie starał się ukryć swoich problemów.

Tego typu refleksje nasuwały się Marie również w poniedziałek, gdy siedziała w salonie i słuchała, jak Anne stara się doszlifować sonatę Beethovena przed pierwszą lekcją z Lisztem. Węgierski geniusz powinien pojawić się lada chwila. Marie była trochę zdenerwowana. Przypuszczała, że jej protegowana odchodzi od zmysłów.

W liście, w którym zatrudniała Liszta jako nauczyciela Anne, prosiła go, żeby zachował ich umowę w tajemnicy - tę samą obietnicę wymusiła na dziewczynie. Kiedy w końcu wyjdzie na jaw, że hrabianka szlifowała swój talent pod okiem Liszta, nie wolno jej będzie mówić, że brała lekcje przy quai Malaquais. Liszt też nigdy się nie przyzna, że tu bywał. Lekcje miały się odbywać pod czujnym okiem Marie. Hrabina jeszcze nie podjęła decyzji, czy zaprosi Liszta, gdy zorganizuje u siebie koncert, na którym wprowadzi Anne w kręgi towarzyskie.

Gdy odezwał się dzwonek, dziewczyna uniosła ręce, jakby nagle klawisze zaczęły ją parzyć. Miała szeroko otwarte ze zdumienia oczy i piękne rumieńce. Wstała niezgrabnie od fortepianu i wyszła na środek pokoju, gdzie w napięciu czekała na artystę, nie mając odwagi oddychać. Marie nie ruszyła się z krzesła.

Liszt wszedł, uklonił się Marie, a potem podprowadził Anne do instrumentu. Położył na pulpicie przyniesione przez siebie nuty, następnie przyciągnął krzesło i usadowił się tak, żeby podczas lekcji siedzieć blisko

uczennicy, ale przez cały czas być też w polu widzenia Marie. Wie, że tak prezentuje się najlepiej - pomyślała hrabina. Widziała jego wyraziste kości policzkowe, cięły rzęsy i prosty nos - może trochę za duży, ale bez wątplenia patrycjuszowski. Liszt był zwrócony bokiem, dzięki czemu mogła patrzeć na niego bez żadnych ograniczeń... co też robiła. Przez całą lekcję ani na sekundę nie oderwała od niego wzroku. Udawała, że pisze listy, ale nie mogła się na nich skupić.

Im dłużej go obserwowała, tym bardziej była pewna, że chociaż Liszt pochyla się nad Anne i pokazuje jej, jak pokonać pewne problemy techniczne, wszystko to robi z myślą nie o swojej uczennicy, lecz by pokazać się od jak najlepszej strony Marie; świadczył o tym sposób, w jaki się poruszał, pochylał głowę, uśmiechał i smętnie spoglądał na sufit. Ani razu się nie odwrócił, by spojrzeć w stronę pani domu, mimo to każdy jego gest i uwaga były w jakiś sposób skierowane do niej.

Tymczasem Anne, zaabsorbowana lekcją, całkowicie zapomniała, że jej opiekunka jest w tym samym pomieszczeniu. Początkowo biedna dziewczyna na zmianę bladła i oblewała się pąsem, ale potem na jej policzkach pojawiły się zwyczajne, urocze rumieńce. Mimo to gdy Liszt dotykał jej rąk albo powstrzymywał ją, kładąc palce na jej ramieniu, Anne brała niemal niewidoczny wdech, zbyt mały, aby zauważył go ktoś, kto bacznie ich nie obserwuje.

Dla Anne godzina nauki minęła zbyt szybko. Gdy zegar na kominku wybił trzecią, Liszt zakończył lekcję i zadał jej na następną etiudę Chopina. Przyniósł ze sobą ręcznie pisane nuty; Anne nie mogła uwierzyć, że dostała je do ręki.

- Ten utwór pozwoli ci udoskonalić technikę bardziej niż cokolwiek, co dotychczas grałaś - wyjaśnił.

Narzucił pelerynę, uniósł dłoń Anne i delikatnie musnął wargami jej palce. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej mały, oprawny w skórę tomik ze złożonym napisem „Byron” na grzbiecie. Nim go jej podał, na chwilę zamarł w bezruchu. Znowu miał taką samą minę jak u madame Duvernoy, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział jak. Gdy milczenie się przeciągało, dodał:

- Podobno to dobre tłumaczenie. Czytaj te wiersze i myśl o nich, pracując nad etiudą. Nie zapominaj o moich uwagach... - Zerknął w stronę madame d'Agoult. - Chętnie wysłucham twojej interpretacji tych wierszy.

Odsunął się od niej. Marie podeszła do kominka, żeby położyć na nim kilka monet, dlatego przez chwilę nie patrzyła w ich stronę. Anne wskazała na tomik, a Liszt przytaknął i uśmiechnął się do niej. W tym momencie Marie się odwróciła. Liszt uprzejmie skinął jej głową, niemal niepostrzeżenie zebrał monety i wyszedł.

Anne była bardzo ciekawa, co Marie powiedziała ojcu. Nie mogła uwierzyć, że tak łatwo zgodził się, żeby córka większość dnia spędzała w apartamencie przy quai Malaquais. Nie był tym zachwycony, ale nie zgłaszał obiekcji. Najwyraźniej wiedział, że dziewczyna bierze lekcje gry na fortepianie, choć nie miał pojęcia, kto jest jej nauczycielem. Na szczęście nie dopytywał o szczegóły.

Prawdę mówiąc, pod koniec dnia zachowywał się tak, jakby całkiem zapomniał o wizycie Marie lub przynajmniej przestał o niej myśleć. Może jego głowę zaprzętało coś, co wydarzyło się tegoż popołudnia, gdy Anne wychodziła do swojego pokoju, żeby przebrać się na kolację. Właśnie przyniesiono ostatnią pocztę. Przez przypadek dziewczyna i jej ojciec natknęli się u stóp schodów - ona w drodze do pokoju, on z salonu do bi-

blioteki - na Julię, który niósł listy. Markiz bez słowa wziął je z tacy. Miał zamiar zabrać pocztę do biblioteki, lecz nagle zamarł w bezruchu i przez chwilę w osłupieniu wpatrywał się w jedną z kopert.

- Co się stało, ojcze? - spytała Anne.

Kiedy się do niej odwrócił, dostrzegła w jego oczach strach - coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Potem przybrał normalną ponurą minę.

- Nic - warknął i zamknął za sobą drzwi. Pojawił się dopiero wtedy, gdy kolacja stała na stole.

Anne była zaszokowana, że nie zadał sobie trudu, żeby się przebrać, jak to miał w zwyczaju.

Tego wieczoru siedziała przy toalecie, a Thérèse szczotkowała jej włosy. Po jakimś czasie rozważania o dziwnym zachowaniu ojca zostały wyparte przez wspomnienia z pierwszej lekcji. Gdy głębiej wciągnęła powietrze w płuca, wciąż była w stanie przypomnieć sobie męski zapach Liszta: woń dymu z fajki i zakurzonych książek. Za każdym razem, kiedy Thérèse brała do ręki inny grzebień albo kładła na stole spinę, Anne wyobrażała sobie, że to Liszt sięga zza jej pleców, aby odwrócić nuty stojące na pulpicie fortepianu.

Najwspanialsza była jednak chwila, kiedy wyjaśniał jej, co i jak musi zmienić w swojej technice. Anne zamknęła oczy i chyba po raz dwudziesty od powrotu z quai Malaquais przypominała sobie tamten moment.

- Pokaż mi, jak układasz dłonie na klawiaturze, nim zaczniesz grać - poprosił.

Wykonała polecenie, prostując palce od kostek śródrečia i zaginając je w dół, tak że dłonie z boku wyglądały jak odwrócone „v”.

- Taka pozycja nie wygląda naturalnie. Technika powinna być czymś całkiem autentycznym, musi wynikać z ekspresji, o tak.

Odsunął się nieco i położył ręce na klawiaturze. Jego palce poruszały się tak szybko, że Anne nie mogła się zorientować, o co mu chodzi.

- Spróbuj.

Starła się jak najlepiej naśladować ruchy nauczyciela, ale od razu ją zatrzymał.

- Nie, nie tak. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Spójrz.

Stanął za plecami Anne, wyciągnął ręce i położył dłonie na dłoniach uczennicy, delikatnie nacisnął jej kostki i ułożył palce tak, żeby opuszki miały kontakt z klawiaturą. Dziewczyna czuła się tak, jakby nauczyciel ją obejmował.

- Proponuję, żebyś ćwiczyła powoli w taki właśnie sposób i przez następny tydzień przynajmniej godzinę dziennie poświęcała gamom i pasażom. Myślę, że sama poradzisz sobie z tym, dzięki czemu podczas lekcji będziemy mogli się zająć sprawami czysto muzycznymi.

Puścił jej ręce, więc sama spróbowała przyjąć odpowiednią pozycję.

- Co z dużymi interwałami? Nie zdołam ich objąć, grając tak ułożonymi dłońmi.

Zagrała prawą ręką pierwsze dźwięki sonaty zaczynającej się od oktawy.

- Nauczysz się. Ze względu na muzykę wszystko musi być jak najbardziej naturalne.

Przez następny kwadrans Liszt pomagał Anne przy subtelnym frazowaniu sonaty i pokazywał, że nowa technika nie tylko ułatwi jej wykonywanie pasaży, ale też zapewni większe możliwości wyrazowe.

Siedząc przy toalecie, Anne otworzyła oczy i poruszyła przed sobą palcami, a potem na skraju mebla „zagrała” jakąś gamę, zaczynając od niskich dźwięków i stopniowo przesuując się w stronę wyższych rejestrów.

Przerwała bezgłośnie ćwiczenie, bo kątem oka dostrzegła małą, oprawioną w skórę książeczkę, którą pożyczyl jej Liszt. Wzięła ją z toaletki, musnęła palcami skórę, otworzyła na przypadkowej stronie i odwróciła kilka kartek.

*Na Moście Westchnień, we weneckim grodzie
Stałem, tu pałac mając, tu więzienie:
Z fal wyrastają gmachy, lśniące w wodzie,
Jak na czarownej różdżki uderzenie;
Lat tysiąc skrzydeł swych roztacza cienie,
A uśmiech sławy, mrąc, ku dniom ulata,
Gdy kraj niejeden, ujarzmion, spojrzenie
Wznosił, gdzie z głazu postać lwa skrzydlata,
Gdy władła na stu wyspach,
Wenecja bogata.*

(przekład Jan Kasprowicz)

Liszt powiedział, że te wiersze pomogą jej zrozumieć etiudę Chopina, tymczasem francuskojęzyczne tłumaczenie angielskich słów Byrona wcale nie kojarzyło się Anne z muzyką polskiego kompozytora. Czytając wiersze, przypominała sobie głos Liszta i jego dziwny wyraz twarzy, kiedy dawał jej tomik. Bardzo chciała z kimś na ten temat porozmawiać.

- Z tego, co wiem, teraz sporo czasu będziesz spędzać z madame d'Agoult - powiedziała Thérèse, poklepując Anne po głowie na znak, że skończyła szczotkowanie.

Dziewczyna drgnęła. Była tak zaprzątnięta swoimi myślami, że zapomniała o służącej.

- Tak. - Odwróciła się i chwyciła obie ręce kobiety. - Prawda, że to cudowne? Hrabina wprowadzi mnie na salony.

Niestety, Thérèse nie była wcale tak zachwycona, jak chciałaby Anne.

- O co chodzi? - spytała dziewczyna. - Nie cieszysz się, że jestem szczęśliwa?

- Oczywiście, *ma fille* - odparła gospodyni. - Tylko pilnuj, żeby wszystko, co dla ciebie robi, naprawdę wyszło ci na dobre.

Anne zmarszczyła czoło. Nie miała w hôtel Barbier żadnego innego sojusznika, więc z całego serca pragnęła, żeby Thérèse podzielała jej radość, a nie rugała ją i zgłaszała zastrzeżenia.

- Hrabina bardzo dużo zrobiła dla mojej mamy.

- Unieszczęśliwiła ją. Przypominała jej o wszystkim, czego w życiu nie miała.

- Nie sądzisz, że mama wiedziała to bez madame d'Agoult? Myślę, że nie byłabym w stanie wyjść za mąż za kogoś takiego jak mój ojciec. - Zmarszczyła czoło.

- Jeśli częściej będziesz robić taką minę, nigdy nie wyjdiesz za mąż! - Thérèse położyła szczotkę na toaletce i delikatnie uszczypnęła Anne w policzek. - Pamiętasz starego Bonnarda? Szewca? - ciągnęła, idąc przez pokój po nocną koszulę hrabianki.

- Oczywiście - zapewniła dziewczyna.

Dlaczego służąca wspomina pomarszczonego, drobniutkiego szewca, który od niepamiętnych czasów zaopatrywał całą rodzinę w buty? Gdy Anne była dzieckiem, uwielbiała obserwować Bonnarda przy kopycie w jego maleńkim warsztaciku w zaułku biedniejszej części Saint Germain.

- Dzisiaj umarł na cholere.

Znów to samo. Cholera. Smutno jej było z powodu Bonnarda, ale w tej chwili nie chciała słyszeć o śmierci. Wolała myśleć o muzyce i miłości. Markiza uwielbiała muzykę. Anne uwielbiała muzykę, uwielbiała również...

- Gdy pójde do spowiedzi, zapalę świecę za jego duszę - zapewniła.

Thérèse zaszaleściła koszulą i wyciągnęła ją przed siebie, żeby Anne mogła dać w nią nura, tak jak robiła to w dzieciństwie.

- Nie mówię o tym, żeby ci było smutno, chcę cię tylko ostrzec. Uważaj na siebie! Spotykasz się z różnymi ludźmi, a ja umarłabym, gdybym straciła również ciebie.

Anne była zła na Thérèse. Cholera tylko raz nawiedziła ich dom, lecz z fatalnym skutkiem. Nie da się przeżyć takiej straty i wciąż nie wracać do niej.

Głęboko odetchnęła i próbowała znów skierować myśli do cudownego dnia.

- Nie masz się o co martwić - zapewniła, delikatnie całując służącą w oba policzki.

Przed pójściem do łóżka podbiegła do toaletki po tomik wierszy. Będzie czytać, póki nie wypali się płonąca na stoliku świeca.

XI

Archiwa miejskie znajdowały się w głębi budynku prefektury policji. Pierre dowiedział się o tym, gdy osobiście zaniósł komisarzowi pierwszy raport. Mógł zameldować o swoich odkryciach w lokalnym magistracie, ale ponieważ interesujące go dokumenty znajdowały się w urzędzie, w którym sprawdzano raporty, postanowił połączyć jedno z drugim. Miał nadzieję, że bez problemów uda mu się dostać do archiwów, aby zgodnie z prośbą madame d'Agoult zdobyć informacje na temat małżeństwa markiza de Barbier-Chouant. Jeśli wszystko będzie w porządku, po prostu przekaze hrabinie informacje, które może zdobyć każdy obywatel, jeśli ma na to ochotę. Natomiast jeśli coś będzie nie w porządku, mogą pojawić się pewne trudności. Poważny kłopot mogło stanowić zabranie dowodu z prawnie przypisanego mu miejsca, a hrabina koniecznie chciała dostać te dokumenty do ręki. W dodatku Pierre nie dopuszczał do siebie myśli o ujawnieniu jakichś przykrych informacji na temat rodziny mademoiselle de Barbier-Chouant. Może istnieje inny sposób zdobycia dowodów, na których tak zależy madame d'Agoult, przy wykorzystaniu oficjalnych kanałów? Cichy wewnętrzny głos nieustannie ostrzegał Pierre'a przed niebezpieczeństwem, ale hrabina rozbudziła jego ciekawość i nie było już

odwrotu. W miarę jak zbliżał się do biura, w którym miał przedłożyć swoją prośbę, coraz bardziej zależało mu na załatwieniu sprawy.

Miał sporo czasu na zastanowienie się nad własnym postępowaniem, bo urzędnik długo prowadził go kilometrowymi korytarzami, które wiły się jak kamienny labirynt. Nim dotarli przed drzwi z wymalowanym nazwiskiem „Gardive”, przyszły lekarz całkowicie stracił orientację. Urzędnik kiwnął mu głową i zniknął, a stukot jego butów długo jeszcze rozchodził się echem po pustych korytarzach. Młodzieniec odchrząknął i niezbyt głośno zapukał, mając nagle nadzieję, że nikt mu nie otworzy.

- Proszę! - dobiegł z wnętrza rzeczowy głos.

Talon otworzył drzwi i wszedł do małego biura, rozjaśnianego przez światło wpadające przez znajdujące się niemal pod sufitem okienko. Wzdłuż ścian stały dębowe szafki z aktami. Urzędnik - prawdopodobnie sam monsieur Gardive - siedział za ogromnym biurkiem zarzuconym papierami. Nawet kartka, na której coś pisał, leżała na warstwie innych. Pierre kiwnął głową na powitanie, chociaż urzędnik tylko na niego zerknął, nie przerywając pisania. Młodzieniec przez chwilę stał w bezruchu, potem położył swój raport z całotygodniowej pracy obok łokcia Gardive'a, licząc, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę.

Zaskakująco oszczędnymi ruchami urzędnik chwycił palcami lewej ręki rozek kartki i przeniósł ją na wierzch stosiku papierów. Zaczął w milczeniu przeglądać raport. Pierre uprzejmie odwrócił głowę, lecz w rzeczywistości wodził wzrokiem po plakietkach widocznych na poszczególnych szafkach. W przeciwieństwie do chaosu panującego na biurku Gardive'a szafki z aktami stanowiły wzór porządku. Podzielone zostały na dwie kategorie. „Chorzy”, czyli akta ludzi, którzy zarazili się cholera, zajmowały sporo półek po jednej stronie pomieszczenia. Z drugiej strony, za plecami urzędnika, zaledwie kilka szuflad oznaczono napisem

„Zgony”. Wszystkie te akta bez wątplenia dotyczyły ofiar epidemii. Słowem, urzędnik był otoczony przez chorobę i śmierć. Jednak biuro istniało długo przed wybuchem epidemii i stanowiło archiwum, w którym przechowywano wszystkie akty urodzenia, ślubu i zgonu z całego miasta. Dokumenty, które nie dotyczyły cholery, prawdopodobnie znajdowały się w innym pomieszczeniu. Trzeba się dowiedzieć gdzie. Czekaając, aż Gardive sprawdzi raport, Pierre dostrzegł dwoje wąskich drzwi: jedno za urzędnikiem i drugie na prawo od niego.

- Kiedy tylu ludzi umiera na cholera, nie ma miejsca na inne choroby! - zagaił rozmowę.

Gardive parsknął śmiechem i na chwilę uniósł wzrok znad raportu.

- To prawda, chociaż nadal wiele osób woli rozstać się z życiem z powodu zawału serca czy apopleksji.

Urzędnik o brązowych oczach, zaczerwienionych od wpatrywania się w dokumenty, które spływały z całego miasta, odłożył pióro na biurko.

- Czy wy, członkowie komisji zdrowia, myślicie, że przed dwudziestym szóstym marca nie było tu nic do roboty? - Wstał. - Coś panu pokażę.

Wyciągnął ręce nad głowę. Ku zaskoczeniu Pierre'a ten dotychczas małomówny człowiek uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję, że skłonił mnie pan do wstania. Łatwo dać się zwariować, jeśli ma się niezmiernie ważną pracę.

Kiwnął na Pierre'a i ruszył w stronę drzwi za biurkiem.

Pomieszczenie, do którego weszli, było zaskakująco przestronne - dużo większe od biura Gardive'a. Wysoko umieszczone okna wpuszczały do środka niewiele światła. Ten pokój wypełniony był stojącymi w rzędach drewnianymi szafkami opatrzonymi ręcznie pisanymi etykietkami.

- Tutaj - powiedział starszy pan, wskazując ręką - są nazwiska wszystkich tych, którzy umarli z innych powodów od tysiąc osiemset czternastego roku. W tych szufladach i teczkach znajduje się mnóstwo informacji, które bardzo dużo mogłyby powiedzieć o naszym mieście, mogłyby wręcz zapobiec tej okropnej epidemii.

- A co jest tam? - spytał Pierre.

- Akty urodzenia i ślubu. Ale śmierć jest znacznie ciekawsza, zgodzi się pan ze mną?

Medyk przytaknął.

- Interesuje mnie zdrowie publiczne - powiedział, wychytując zapał w zmęczonym głosie urzędnika.

- No cóż, kazano nam to wszystko zamknąć. Obecnie ludzie są zajęci cholera, a ja dzień po dniu od szóstej rano do północy ślęczę nad papierzyskami.

Po tych słowach wyszedł, a Pierre za nim. Po powrocie do biura urzędnik postawił pieczętkę na przyniesionym raporcie i położył go na drewnianej tacy, na innych dokumentach tego rodzaju.

- Tam zapewne przechowuje się starsze dokumenty - wyraził przypuszczenie Pierre, wskazując drzwi na prawo.

Chciał wiedzieć, dokąd prowadzą, a nie potrafił wymyślić innego sposobu na zaspokojenie swojej ciekawości.

- Słucham? Nie, nie. Dla współczesnego świata nikt się nie urodził ani nie umarł przed restauracją monarchii.

Pierre musiał bacznie przyjrzeć się jego twarzy, by zrozumieć, że urzędnik żartuje.

- Dzięki tym drzwiom mogę wejść i wyjść bez narażania się na gniew mieszkańców miasta, którzy uważają, że skoro zbieram informacje na temat choroby, muszę w jakiś sposób być za nią odpowiedzialny.

Chociaż wyraz jego twarzy ani trochę się nie zmienił, Pierre zdał sobie sprawę, że Gardive powiedział szczerze, co myśli.

- Ignoranza to okropna rzecz - skwitował jego słowa. Urzędnik usiadł przy biurku i powróciwszy do przerwanej pracy, przestał zwracać uwagę na gościa.

- Adieu - powiedział młodzieniec. Gardive burknął coś w odpowiedzi.

No cóż - pomyślał Pierre, starając się dotrzeć do wejściowych drzwi prefektury - przynajmniej udało mi się znaleźć miejsce, w którym przechowywane są dokumenty. Nie miał pojęcia, jak się do nich dostać, a tym bardziej, jak je przejrzeć, zważywszy na staranną kontrolę każdej kartki i fakt, że Gardive przebywa w swoim biurze od bladego świtu do późnej nocy.

Stanął w promieniach popołudniowego słońca. Było ciepło, a to z pewnością nie pomoże w opanowaniu epidemii. Zwłoki będą szybciej się rozkładać, a co za tym idzie, warunki zdrowotne znacznie się pogorszą. Jeśli nawet szuflady szafek Gardive'a jeszcze nie były pełne, wkrótce zabraknie w nich miejsca.

Pierre zastanawiał się, w którą stronę pójść: czy wybrać się na skróty i przejść obok obskurnego Hôtel-Dieu, czy też obejść go i wrócić do domu dłuższą drogą. W tym momencie przyszła mu do głowy pewna myśl. Próbował odsunąć ją na bok, ale wciąż wracała i domagała się rozpatrzenia. Chodziło o drzwi, którymi Gardive

wychodzi z budynku. Prawdopodobnie prowadzą na quai de l'Horloge - pomyślał Pierre. Przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności każdy może niepostrzeżenie wejść między północą a szóstą rano do budynku drzwiami, z których korzysta Gardive, znaleźć odpowiednie dokumenty i wyjść, nim ktokolwiek się zorientuje.

Zamiast skierować się prosto do domu, Pierre powędrował na północ, na quai de l'Horloge, spacerował bez celu, jakby rozkoszował się ostatnimi promieniami słońca. W rzeczywistości szukał dodatkowego wejścia do prefektury, mając nadzieję, że droga, którą Gardive dostaje się do budynku, nie jest strzeżona. Ku jego konsternacji, przy każdych drzwiach, które zauważył, stało dwóch umundurowanych strażników. Wokół nich kłębiły się grupy mieszkańców miasta, którzy obrzucali wyzwiskami każdego, kto wchodził i wychodził z prefektury. Jakaś starsza kobieta splunęła nawet na Pierre'a, gdy za bardzo zbliżył się do budynku.

Już chciał zrezygnować z poszukiwań, gdy kątem oka dostrzegł nieregularność w układzie cegieł przy końcu ściany. Zatrzymał się, udał, że strzepuje kurz z peleryny, i bacznie przyjrzał się swojemu odkryciu. Bez wątplenia brakowało zaprawy między cegłami, które tworzyły kształt drzwi. Młodzieniec dostrzegł, że z jednej strony tego fragmentu muru jest przyczepiona żelazna obręcz. Prawdopodobnie, jeśli za nią pociągnie, znajdzie się w tajemnym korytarzu, który prowadzi do biura Gardive'a.

Pierre trochę żałował, że dokonał tego odkrycia. Dużo łatwiej byłoby powiedzieć madame d'Agoult, że informacje, których szuka, są po prostu nieosiągalne. Na pewno można je zdobyć, ale tylko oficjalnymi kanałami, po wcześniejszym wyjaśnieniu, czemu się ich poszukuje. Miał jednak wybór. Jeśli tylko zdobędzie się na odwagę, może wkraść się w środku nocy do prefektury i przejrzeć akta, albo przynajmniej podjąć taką próbę.

Poczuł przyspieszone bicie serca na myśl o czekających go niebezpieczeństwach. Miał nadzieję, że madame d'Agoult jest gotowa stawić czoło ewentualnym konsekwencjom. Jeśli odkryją coś niezgodnego z prawem lub choćby tylko podejrzanego, zostaną uznani za kryminalistów, którzy zachowali tę wiedzę dla siebie, zwłaszcza gdyby zdobyte informacje miały jakiś wpływ na podział majątku. Kto wtedy uwierzy, że nie chodziło im o pieniądze?

Pierre nie bardzo wiedział, jak wrócił do mieszkania, bo przez całą drogę rozważał wszelkie wątpliwości i pytania. Gdy wszedł do pokoju, ujrzał leżącego Georges'a, który miał dziwnie bladą twarz. Przyjaciel Pierre'a od dawna z przesadną gorliwością zajmował się ofiarami epidemii, a ciągłe napięcie i zmęczenie zaczynało wyciskać wyraźne piętno na jego obliczu.

- Uważam, że dziś w nocy powinieneś zostać w domu. Zastąpię cię - zaproponował Pierre, nalewając Georges'owi herbatkę rumiankową.

- Przecież odpracowałeś już zmianę, którą byłeś mi winien. Nie musisz brać na siebie moich obowiązków.

- Nie muszę, ale chcę. Jak będziesz pomagał chorym na cholere, jeśli sam ją złapiesz?

Pierre zdawał sobie sprawę, że to kiepski argument. W przypadku cholery bowiem trudno było dopatrzeć się jakiegoś sensu lub porządku, a ludzie, którzy całymi dniami zajmowali się ofiarami epidemii, sami rzadko ulegali szerzącej się chorobie.

Georges ciężko westchnął.

- Przyznaję, jestem kompletnie wyczerpany. Wolna noc dobrze by mi zrobiła.

Pierre poczuł wyrzuty sumienia, że proponuje przyjacielowi pomoc z pobudek osobistych, ale prawdę mówiąc, chciał również, żeby Georges odpoczął. Fakt, że Hôtel-Dieu znajdował się blisko prefektury, a nocny dyżur umożliwiał znalezienie się tam w środku nocy, wcale nie zmniejszał niepokoju o współlokatora.

- Tylko zaraz po moim wyjściu nie wybierz się do jakiejś knajpy! - ostrzegł przyjaciela, czochrając jego włosy.

Prawdę mówiąc, Georges wcale jednak nie wyglądał na człowieka, któremu gdzieś się śpieszy, chyba że w objęcia Morfeusza.

Nocna zmiana zaczynała się o dziesiątej wieczorem. Pierre przybył na miejsce kilka minut wcześniej. W świetle księżycy tuż przed pełnią mury Hôtel-Dieu były tak samo szare jak twarze przebywających w nim chorych. Ludzie, którzy krążyli przed wejściem z plakatami i transparentami, kwiaciarki oraz sprzedawcy owoców wykrzykiwali na zmianę hasła polityczne i nazwy sprzedawanych przez siebie towarów, sprawiając, że wokół szpitala panowała iście karnawałowa atmosfera. Bez przerwy pod budynek podjeżdżały równomiernym strumieniem wozy z chorymi, których zabierano na przepełnione oddziały. Pierre przygotował się na przytłaczający zapach. Nawet jeśli woreczek z kamforą nie był w stanie zapobiec chorobie, to pozwalał uwolnić się od mdłości.

W korytarzach szpitalnych odbijały się echem krzyki ciężko chorych i wołania o pomoc.

- Wszyscy proszą o wodę - powiedziała benedyktynka w habicie zaplamionym wymiocinami i ekskrementami.

Włożyła Pierre'owi do jednej ręki wiadro, do drugiej chochlę i pchnęła go w stronę jednej z sal.

Skoncentrował całą uwagę na zanurzaniu chochli w wiadrze z wodą i przytykaniu jej do warg chorych, starając się nie uronić ani kropli i zaspokoić pragnienie jak największej liczby cierpiących. Z jednym wiadrem udało mu się obejść dwanaście łóżek, potem musiał wyjść na zewnątrz do pompy, napełnić wiadro i biegiem wrócić do dwunastu następnych spragnionych pacjentów. W ciągu trzech godzin obszedł salę przynajmniej dwadzieścia razy i wlał trzydzieści pięć wiader wody do ust chorych. W tym czasie połowa nieszczęśników zmarła, a ich miejsca zajęli nowi pacjenci, reszta natomiast stopniowo cichła, zapadając w sen. Tylko ci mieli szansę na przeżycie. Po jakimś czasie zakonnice przenosiły ich, kąpały i dawały nową pościel. Nazajutrz opuszczą szpital, żeby ustąpić miejsca innym.

Dopiero gdy dzwony Notre Dame wybiły drugą, Pierre przypomniał sobie o swoim zadaniu. Na jego oddziale zapanował chwilowy spokój, więc postawił wiadro na podłodze i wyszedł na ulicę.

Kilku żebraków opierało się o ściany, ale handlarze i protestujący zniknęli. Cisza panująca na zewnątrz stanowiła tak ogromny kontrast ze szpitalnym hałasem, że przez chwilę Pierre'owi aż dzwoniło w uszach. Nie czekając, aż straci zapał, ruszył w stronę quai Desaix i szedł nim aż do quai de la Cité i quai de l'Horloge. W panującej ciszy słychać było tylko pluskanie fal. Normalnie pełna rozmawiających, kłócących się i pracujących ludzi wyspa w centrum Paryża teraz stanowiła jedynie skupisko kościołów, martwych pomników i budynków, które dziwnie przypominały groby. Dwie wieże Notre Dame rzucały w świetle księżycy długie cienie, a w którejś z uliczek pohukiwała sowa. Kto może mnie zobaczyć? - zastanawiał się Pierre. Nikogo w pobliżu nie było.

Gdy uwierzył, że jest równie niewidoczny jak wieniec na pomniku, z cienia przy którychś drzwiach prefektury wyłonił się policjant.

- Hej, ty tam! Czego tu szukasz?

- Jestem... doktorem - przypomniał sobie Pierre, jednocześnie informując o tym fakcie policjanta. - Potrzebuję świeżego powietrza. Mam nocny dyżur w Hôtel-Dieu.

Pragnąc dowieść, że nie ma złych zamiarów, ruszył w stronę stróża porządku, ale ten tylko machnął ręką, żeby sobie poszedł.

Medyk po kilkugodzinnym noszeniu wody z pompy miał tak zmęczone ręce i nogi, że zastanawiał się, czy wystarczy mu sił, żeby otworzyć drzwi, nie mówiąc już o wejściu po schodach. Był otumaniony tak, że niemal minął ukryte wejście i przeszedł kawał drogi od place du Pont Neuf. Na szczęście zatrzymał się w końcu, sprawdził, czy nikogo w pobliżu nie ma, i podszedł do miejsca, w którym poprzednio zauważył cegły z przymocowaną obręczą.

Wszystko wyglądało tak jak poprzednio, ale kiedy pociągnął za obręcz, nic się nie stało. Przez chwilę się obawiał, że się pomylił i że to wcale nie są drzwi, lecz stare miejsce do przywiązywania koni. Mimo to pociągnął obręcz ponownie, tym razem najsilniej, jak mógł.

Ku jego ogromnej uldze, a jednocześnie przerażeniu, ukryte drzwi powoli zaczęły się otwierać. Dopiero teraz Pierre zauważył, że to nie całe cegły, lecz połówki, które ktoś poprzyklejał do desek, żeby ukryć wejście.

Niestety, nie prowadziło ono bezpośrednio do budynku, lecz do następnych drzwi, osadzonych głęboko w masywnej, poczerniałej dębowej framudze. Pierre próbował je otworzyć, ale na próżno.

Oparł czoło o szorstkie deski. Skąd ma wiedzieć, czy te drzwi prowadzą do biura Gardive'a? Już postanowił zrezygnować z dalszych prób, gdy zza rogu budynku dobiegły odgłosy kroków i rozmowy. Zbliżały się zbyt szybko, żeby się wycofać, zamknął drzwi i uciec, więc chwycił żelazną obręcz, przyciągnął do siebie i wcisnął się w wąską szczelinę, w której ledwo się zmieścił.

- Powiedziałem, że jeśli znów to zrobi, odpłacę jej pięknym za nadobne - perorował jakiś prostak.

- Ach, te baby. Nie ożeniłbym się za żadne pieniądze.

Mijając ukryte drzwi, strażnicy parsknęli śmiechem, a potem przez szczeliny w deskach wdarł się przykry zapach fajki. Pierre, nie chcąc kichnąć, próbował zatkać nos palcem, ale miał za mało miejsca na taki ruch, więc tylko wstrzymał oddech. Serce waliło mu w piersiach, póki strażnicy nie zniknęli za drugim rogiem.

Kiedy został sam, zaczął powoli otwierać zewnętrzne drzwi. Gdy przesunęły się o dwa centymetry, na ziemię coś upadło. Pierre rozchylił drzwi szerzej i w świetle księżyca zaczął sprawdzać, co spadło.

Klucz. Widocznie na zewnętrznych drzwiach był haczyk. Nie czekając, aż strażnicy okrążą budynek, włożył klucz do zamka. Zaskrzypiał, ale po chwili ustąpił. Pierre pchnął drzwi.

Prawdę mówiąc, egipskie ciemności wewnątrz budynku wcale nie powinny go dziwić. Z wahaniem zamknął oklejone cegłą drzwi, potem drugie i dał nura w tak nieprzenikniony mrok, że wydawało mu się, iż przed jego oczami przesuwają się duchy. Dotąd mrugał powiekami, aż zaczęło mu się wydawać, że widzi ścianę. Wyciągnął rękę i ku swojej radości wyczuł zimny, wilgotny kamień. Trzymając się ściany, zaczął powoli posuwać się do przodu. Po dwóch krokach wyczuł pod nogami schody. Uniósł stopę, umieścił ją na stopniu, potem natrafił na kolejny.

Pokonał w ten sposób trzy piętra i dotarł do następnych drzwi. Nie wiedział, czy zaprowadzą go tam, gdzie chce, ale nie miał wyboru; musiał spróbować. Modlił się, by Gardive - czy inny użytkownik biura - zostawił żar w palenisku albo cokolwiek, od czego można by zapalić świecę. Inaczej potajemna wyprawa pójdzie na marne. Odszukał klamkę i otworzył drzwi.

Idąc ciemnym korytarzem, tak się przyzwyczaił do braku światła, że w pierwszej chwili blask pojedynczej świecy płonącej na biurku Gardive'a całkowicie go oślepił. Zasłonił ręką oczy.

- Niech się pan nie rusza!

Głos urzędnika był twardy i niemiły. Pierre usłyszał szczęknięcie metalu o metal. Kiedy opuścił rękę, ujrzał, że Gardive tak jak poprzednio tonie w papierach, tylko tym razem mierzy z pistoletu prosto w serce niespodziewanego gościa.

- Zaraz wszystko panu wytłumaczę - wyjąkał.

Chyba nie mogłem powiedzieć nic głupszego - pomyślał. Jak można wytłumaczyć, dlaczego weszło się tajnym wejściem do biura, w którym przechowywane są akta ofiar cholery?

- Gdzieś pana już widziałem. Gdzie? Urzędnik lekko wysunął pistolet do przodu.

- Dzisiaj po południu. W tym biurze. - Pierre poczuł, że wzdłuż kręgosłupa spływa mu kropelka potu. - Pracuję w dzielnicowej komisji zdrowia. Przyniosłem panu raport, monsieur Gardive.

Urzędnik ściągnął brwi i zmarszczył czoło.

- W takim razie, co pan, do diabła, robi tu teraz?

- Może to samo, co pan.

Świadomość, że jego życie wisi na włosku, dodała Pierre'owi śmiałości. Pomyślał, że chociaż urzędnik zazwyczaj zajmuje to biuro do dwunastej w nocy, mógł z jakichś powodów przyjść ukradkiem jeszcze raz. Zauważył, że drzwi na tyłach pomieszczenia stoją otworem.

Słowa Pierre'a na chwilę odniosły oczekiwany efekt. Gardive zabezpieczył broń i położył ją na biurku.

- Ponieważ nie ma tu nic wartościowego dla złodzieja, pozwolę, żeby pan wyjaśnił swoją obecność, a potem za pomocą tego dzwonka wezwę policjanta, który wsadzi pana za kratki.

- Szkoda wysłać do więzienia studenta medycyny, który pracuje w komisji zdrowia i sporo czasu poświęca na opiekę nad chorymi na cholere.

- Niech pan siądzie! - rozkazał urzędnik, wskazując krzesło.

Pierre zajął miejsce i dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Wyprostował plecy, obawiając się, że zaśnie w połowie zdania.

- Szukam informacji na temat rodziny jednej z ofiar cholery.

Nie miał czasu na zabawę w zawile wstępy.

- Nazwisko?

Gardive wstał i podszedł do szarki z napisem „Zmarli”.

- Nie chcę zaglądać do jej aktu zgonu. Interesuje mnie to, co było wcześniej.

Pierre wskazał pokój za biurkiem.

- Rozumiem. Dlatego złamał pan prawo i wtargnął na teren budynku użyteczności publicznej? Dlaczego po prostu nie spytał pan, będąc tu po południu? Zdaje pan sobie sprawę, jak pan się skompromitował, podejmując ten nierozważny i karygodny krok?

Pierre miał wyrzuty sumienia, że wtargnął do tego niewielkiego pomieszczenia, żeby zdobyć informacje, o które mógł zwyczajnie poprosić, coś jednak zaniepokoiło go w sposobie, w jaki madame d'Agoult przekazała mu swoją prośbę. Był żywo zainteresowany hrabianką, jeśli więc w przeszłości zmarłej Sandrine de Barbier-Chouant kryły się jakieś sekrety, zależało mu na tym, żeby nie ujrzały światła dziennego.

- Nie poprosiłem pana w obawie przed tym, co mogę znaleźć.

- Tym razem udało się panu rozbudzić moją ciekawość. Poszukamy?

Gardive wstał, wziął z biurka świecę i sięgnął po pistolet. Nim go dotknął, zatrzymał się na chwilę i przeszył Pierre'a wzrokiem.

- Dotychczas, wbrew sobie, spełniałem pańskie prośby. Równie dobrze mogę teraz spytać, czy mam powód, żeby obawiać się o swoje bezpieczeństwo.

- Zapewniam pana, że jestem w tej chwili zbyt wyczerpany, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Od początku zresztą nie miałem złych zamiarów. Prawdę mówiąc, jest mi niezmiernie przykro...

Gardive przerwał mu machnięciem ręki i gestem zachęcił Pierre'a do wejścia za nim do pokoju z aktami. Pistolet został na biurku.

- Chciałbym jednak mieć pana na oku. Data ślubu?

- Sierpień tysiąc osiemset czternastego roku.

- Nazwisko?

Pierre zamarł w bezruchu. Nie mógł jednak ukryć tej informacji przed Gardive'em.

- Markiza de Barbier-Chouant.

Gardive natychmiast zaczął przeszukiwać szufladę zawierającą dokumenty z miesiąca, w którym odbył się ślub markizy, ale przerwał tę czynność i spojrzał przez ramię na Pierre'a.

- Zapłacono ci za zdobycie tej informacji?

- Jak pan śmie sugerować...

- W takim razie dlaczego?

Prawdopodobnie wszystkiemu była winna nierealność sytuacji i fakt, że pokój spowijała ciemność, rozpraszana tylko maleńkim kręgiem światła rzucanego przez płomień świecy na twarz urzędnika i kilka najbliższych szafek ze starannie wypisanymi etykietkami. Być może, swoje zrobiło też zmęczenie. Tak czy inaczej nieco później Pierre nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego nagle z jego ust popłynęła opowieść o fascynacji Anne, hrabianką de Barbier-Chouant.

- Więc chodzi o miłość. Zawsze tak jest. Motywem działania jest albo miłość, albo pieniądze. Czasami i jedno, i drugie. - Gardive wypowiadał te zdania, przez cały czas przeszukując akta. - Może mi pan podać dokładną datę? - spytał.

- Powiedziała mi, że to był koniec sierpnia - odparł Pierre.

- Powiedziała? - Gardive zamarł w bezruchu z ręką nad szufladą. - Kto taki?

- Nie... nie mogę tego zdradzić.

Urzędnik wrócił do metodycznego przeszukiwania dokumentów.

- Nie ma tu aktu ślubu nikogo o nazwisku Barbier-Chouant.

Zamknął szufladę. Dzięki dobrze nasmarowanym szynom odbyło się to niemal bezgłośnie, jedynie na końcu rozległo się ciche stuknięcie zamka.

- Może ktoś włożył ten akt do nieodpowiedniej szuflady?

- Nie popełniam takich błędów - oświadczył Gardive. - Może to pańska informatorka pomyliła datę?

Zakłopotany Pierre wbił wzrok w ziemię.

- Nie sędzę.

- W takim razie mamy pańskie przypuszczenie przeciwko mojej pewności. Żadne z nich nie wyczaruje nam poszukiwanych dokumentów, co oznacza tylko jedną z dwóch możliwości.

Pierre czekał na dalsze wyjaśnienia, ale Gardive udzielił ich dopiero wówczas, gdy obaj wrócili do jego biura i zamknęli za sobą drzwi.

- Albo markiza nie wyszła za mąż, albo dokumenty znajdują się w innym miejscu.

- Jeśli tak, to gdzie?

Pierre odrzucił pierwszą możliwość, traktując ją jak żart, i powoli zaczynał tracić cierpliwość w stosunku do Gardive'a. Potem przypomniał sobie, że nie ma prawa się skarżyć, bo powinien być wdzięczny człowiekowi, który go nie zastrzelił, gdy wtargnął do jego biura.

Urzędnik podszedł do szafki, w której trzymał akta ofiar cholery.

- Kiedy umarła?

- Dwudziestego szóstego marca.

Szybko odnalazł szufladę z datą śmierci Sandrine Barbier-Chouant i przewertował ją z ogromną wprawą. Najwyraźniej robił to przynajmniej co godzinę, jeśli nie częściej.

- To dziwne - powiedział. Przerwał na chwilę szukanie, a potem ponownie przejrzał zawartość szuflady.

- Gdzie mieszkała?

- W Saint Germain - odparł Pierre, chociaż wciąż nie znał ulicy.

- Nie ma tu nikogo o nazwisku Barbier ani Barbier-Chouant. Jedyne akty zgonu z tej dzielnicy zostały wystawione na kogoś anonimowego.

- Mogę zobaczyć? - spytał Pierre.

Później nie potrafił powiedzieć, w którym momencie Gardive przestał traktować go jak intruza, a zaczął rozmawiać z nim tak, jakby byli kolegami po fachu i po prostu ucinali sobie ciekawą pogawędkę. Tak czy inaczej urzędnik wyjął szufladę, żeby młodzieniec sam mógł przejrzeć jej zawartość. Pod datą dwudziestego szóstego marca był tylko akt zgonu osoby anonimowej z rue du Barq. Pod dokumentem widniały inicjały F. M.

- Kto to jest F. M.? - spytał Pierre.

- François Magendie - odparł Gardive z zaskoczeniem w głosie.

- Doktor Magendie to jeden z profesorów wydziału medycyny. Czy jego podpis jest w takim wypadku rzeczą normalną?

- Byłoby dziwne, gdyby pod aktem zgonu markizy podpisał się ktoś inny. Inaczej miałaby się sprawa, gdyby chodziło o nieznaną nikomu nędzarkę. Sławny profesor z pewnością by się nią nie zajmował.

Ostatni komentarz Gardive wygłosił z ironicznym uniesieniem brwi.

- Może coś nam wyjaśni akt urodzenia Anne Barbier-Chouant - zasugerował Pierre.

- Kiedy urodziła się ta młoda dama?

- Dwudziestego szóstego lipca tysiąc osiemset piętnastego roku.

Gardive na chwilę zniknął w archiwum. Pierre słyszał, jak otwiera on i zamyka szuflady, szybko przerzuca dokumenty. Po chwili pojawił się z pustymi rękami.

- Albo źle pana poinformowano, albo ktoś chciał, żeby wypróbował pan moją cierpliwość.

- Nie znalazł pan aktu urodzenia hrabianki? - Pierre przetarł oczy, starając się logicznie myśleć. - Może zaspokoję pańską ciekawość - zaproponował. - Udam się na ulicę du Barq, gdzie podobno mieszkała bezimienna ofiara cholery, i sprawdzę, co znajdę. Potem wrócę z informacją. Dzięki temu pańskie akta będą pełniejsze.

Urzędnik stanął za biurkiem i przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Chociaż zgodnie z prawem powinienem wpakować pana do więzienia, żeby przy okazji czegoś się pan nauczył.

- Naj... najmocniej przepraszam. Naprawdę.

- Niech pan idzie! - rozkazał Gardive, ale bardziej przyjacielskim niż szorstkim tonem.

Pierre wyszedł za drzwi, a potem pokonał ciemne schody. U ich podstawy zatrzymał się, nasłuchując, czy nie zbliżają się strażnicy, a następnie wrócił na quai de l'Horloge. Kiedy był już bezpieczny, zaczął się zastanawiać, czego właśnie się dowiedział. W archiwach nie było aktu ślubu markizy ani aktu urodzenia Anne, a przynajmniej nie znalazł ich w szufladach oznaczonych datami, które podała mu madame d'Agoult. Tak samo wśród ofiar cholery Gardive nie odszukał personaliów markizy.

Dzwony Notre Dame wybiły trzecią. Do końca dyżuru w Hôtel-Dieu zostało jeszcze kilka godzin. Pierre wrócił do szpitala i przynoszenia wody tym, których pragnienia nie da się ugasić.

XII

Podczas malowania Eugène nigdy nie odrywał wzroku od pędzla, niezależnie od tego, czy właśnie mieszał farby na palecie, czy наносił je na rozłożone przed sobą niewielkie płótna. Tego popołudnia, kiedy Franciszek wstąpił do niego w drodze powrotnej z lekcji z Anne w apartamencie madame d'Agoult, malarz najpierw serdecznie go powitał, a potem rozmawiał z nim, przez cały ten czas nie odrywając wzroku od swojej pracy.

- Z każdym dniem czuję, jak jej pożądanie wzrasta - oznajmił Franciszek.

Wciąż rozkoszował się potajemną miłością i faktem, że przebywał w tym samym pomieszczeniu co ukochana przez niego kobieta. Ani przez chwilę nie wątpił, że pewnego dnia będą razem.

- I to ma usprawiedliwiać twoje postępowanie?

Franciszek poruszył się na krześle i wyciągnął przed siebie długie nogi. Eugène zawsze go wkurzał, zwłaszcza gdy zaczynał prawić mu kazania. Spośród wszystkich artystów Delacroix był najbardziej odporny na miłość.

- Zachowujesz się tak, jakbym próbował uwodzić młodą hrabiankę, a nie piękną, wspaniałą kobietę, która się nią opiekuje.

- Przecież to hrabiance dajesz tomiki wierszy o miłości i udręczonych duszach, z ukrytymi w nich liścikami.

- Przecież te liściki nie są dla niej!

- A czy ona o tym wie?

Franciszek wolałby, żeby Eugène na niego patrzył, kiedy się kłóca, ale przyjaciel ani na chwilę nie przerywał malowania.

- Oczywiście. Wspomniałem jej o tym przy dwóch okazjach.

Pianista nie krył irytacji. Był przekonany, że Anne doskonale zna jego intencje, niemniej okoliczności nie pozwoliły mu wyjaśnić jej wszystkiego tak dokładnie, jak by chciał.

- Wspomniałeś? Zostawmy na chwilę tę sprawę. A co z wierszami? Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że namówiłeś Alfreda, by ci je dostarczył.

Eugène oderwał pędzel od płótna, zanurzył go w dwóch kleistych farbach na palecie, połączył oba kolory, żeby stworzyć trudny do określenia odcień, a potem znów zaczął malować.

- Masz pewność, że dzięki swoim metodom zdołasz osiągnąć pożądaný efekt? Moim zdaniem igrasz z uczuciami jednej kobiety w nadziei, że pomoże ci uwieść drugą.

- Nie interesują mnie dzieci!

- Czyżbyś próbował wyrównać porachunki ze światem z powodu sprawy Saint-Cricq?

- Ależ skąd!

Pyranie Eugène'a związane z hrabianką, z którą Franciszek próbował uciec, kiedy miał zaledwie siedemnaście lat, przelało czarę goryczy. Potrzebował kilku miesięcy, żeby zapomnieć o tamtym rozczarowaniu, ale minęły już ponad dwa lata, a pianista uważał, że całkowicie się otrząsnął po nieudanej przygodzie. W porównaniu z uczuciami do tajemniczej hrabiny d'Agoult jego obsesja na punkcie mademoiselle Saint-Cricq była zresztą jedynie kiepską imitacją miłości. Podeszedł do okna.

- W przypadku madame d'Agoult muszę postępować bardzo ostrożnie. Jest nadzwyczaj wrażliwą istotą, dlatego nie chcę, żeby się ukryła, nim zdążę wydobyć ją na światło dzienne.

Eugène cofnął się o krok od płótna i przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem.

- Uważaj, Franciszku. Kobięcy umysł to istna pułapka. Szczególnie niebezpieczne są mężatki.

Liszt spojrział na niego wilkiem, potem podeszedł, poklepał przyjaciela po ramieniu i zerknął na płótno.

- To przecież Paganini.

Był trochę zły na siebie, że wcześniej tego nie zauważył.

- Cieszę się, że go rozpoznałeś.

Eugène machnął mokrym pędzlem w stronę Franciszka, więc muzyk szybko się odsunął.

- Następny będzie Chopin.

- Dlaczego nie namalujesz mnie? - spytał Liszt, przybierając teatralną pozę.

- Bo - odparł malarz, na moment zerkając na przyjaciela - sędzę, że ani Paganini, ani Chopin nie pożyją długo, w przeciwieństwie do ciebie, o ile nie zostaniesz zamordowany na ulicy przez jakiegoś zazdrosnego męża; możesz poczekać. Poza tym jesteś zbyt zadufany w sobie.

- Zadufany w sobie?! Miło się z tobą rozmawia.

Eugène jeszcze bardziej oddalił się od płótna, uniósł głowę i odwrócił się. Zanurzył pędzel w szklaneczce z rozpuszczalnikiem, potem wytarł go czystą szmatką i rozsmarował resztki farby na miękkim, białym płótnie. Powtarzał ten proces kilkakrotnie, póki pędzel nie przestał zostawiać na płótnie śladów. Kiedy skończył, wymył ręce w miednicy, nalał dwa kieliszki wina z karafki, którą jego gospodyni postawiła na tacy, i jeden z nich podał Lisztowi.

- Nie możesz mieć ich obu, a niezależnie od tego, którą wybierzesz, każda przysporzy ci tylko kłopotów.

- Nie interesuje mnie hrabianka! Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć? Zapewniam cię, że łączy nas tylko muzyka.

Liszt uniósł kieliszek w stronę Eugène'a. Zaczynał poważnie się zastanawiać, czy nie popełnił błędu, zdradzając przyjacielowi swoje plany.

- Ba! Kobiety o artystycznych duszach są najniebezpieczniejsze. Dajesz im coś, w co mogą wierzyć, coś, dzięki czemu zaczynają myśleć, że jesteś inny.

- Czy to oznacza, że masz w tej materii jakieś doświadczenie? W takim razie co byś zrobił na moim miejscu?

Franciszek wyciągnął się na sofie, przy okazji rozlewając na podłogę kilka kropelek wina.

- Przede wszystkim jak najszybciej znalazłbym jakiś powód, który pozwoliłby mi się wymigać od udzielania lekcji. Przekaż hrabiankę Chopinowi; jest nieszkodliwy i jak mówią, dobrze uczy.

Franciszek tylko machnął ręką na tę propozycję.

- W takim razie albo wyznałbym uczucia hrabinie d'Agoult i zaczął romans, albo wyjechał w długą podróż za granicę, poszukał sobie jakiejś córki bogatego kupca, ożenił się z nią i przestał zwracać uwagę na starsze ode mnie mężatki. - Eugène podkreślił ostatnie słowa, wypijając do dna wino i nalewając sobie następny kieliszek.

- Nie o takie zakończenie mi chodzi. Prawdę mówiąc, przyjacielu, mam do ciebie małą prośbę.

Liszt wyprostował się i wychylił w stronę malarza, który usiadł w fotelu o bardzo przetartym obiciu.

- Twoje prośby nigdy nie są małe. Co chcesz tym razem?

- Jeśli... o ile w ogóle mi się to uda... zdobędę miłość Marie, będę musiał gdzieś się z nią spotykać.

- O nie! Nie tutaj. Kiedy ostatnim razem to zrobiłeś, wkurzony brat twojej wybranki pociął jeden z moich obrazów. Wiesz, że ta pracownia jest źródłem mojego utrzymania.

- To się nie powtórzy, obiecuję. Z tego, co słyszałem, wynika, że mąż Marie zostawia jej całkowitą swobodę. - Franciszek wstał i podszedł do portretu Paganiniego, który suszył się na sztaludze. - Naprawdę świetnie uchwyciłeś jego stan. Wygląda jak szalejąca po mieście epidemia cholery we własnej osobie.

- Może cię zaraził, przyjacielu. Tylko że ta choroba, zamiast niszczyć ciało, zaatakowała twój umysł.

- Ale i tak mi pomożesz - powiedział Franciszek. Eugène głęboko odetchnął i gwizdnął przez zaciśnięte zęby.

- Masz szczęście, że bardzo cenię twój talent. Po prostu uprzedź mnie, gdyby to mało prawdopodobne wydarzenie miało dojść do skutku.

Liszt podskoczył, poderwał Eugène'a z fotela i zatańczył z nim na środku pracowni.

- Co cię tak martwi, synu?

Armand uniósł głowę znad zaciśniętych dłoni i ujrzał, że stoi nad nim chudy jak szczapa ojciec Jaquin. Miał zmarszczone czoło i opadnięte kąciki ust.

- Nic, ojcze.

- W tym tygodniu spowiadałeś się już trzy razy. Jakież to grzechy tak bardzo ci ciążyą zaledwie miesiąc po opuszczeniu murów kolegium?

Powinien wiedzieć, że nie uda mu się oszukać człowieka, który uczył go i opiekował się nim przez wiele lat. Problem w tym, że Armand nie chciał mówić ojcu Jaquinowi o mieszanych uczuciach, które nim miotają i spędzały sen z powiek. Nim opuścił szkołę, ostrzegano go, że będzie musiał stawić czoło wielu pokusom, ale nie przejął się tym, pewien, że sprawy tego świata nie mają dostępu do jego czystego serca.

Niestety, odkąd kilka tygodni temu po raz pierwszy spotkał swoją piękną kuzynkę, zaczęły go dręczyć poważne wątpliwości. Jedną z nich była sama Anne, która przestraszyła go aroganckim zachowaniem podczas pierwszego wieczoru i kolacji w hôtel Barbier. Przyszło mu wtedy na myśl, że uwolni się od obowiązku wobec swojego opiekuna, jeśli zabierze ją raz na przejażdżkę, a potem zakończy tę znajomość. Jednak gdy następnego popołudnia wyłoniła się z domu, na widok jej urody zaparło mu dech w piersiach. Jej uśmiech rozjaśniał całą twarz, a gdy tylko znaleźli się z dala od markiza, zaczęła rozmawiać z Armandem z taką szczerością, jakby od dawna go znała i ufała mu. Wtedy poczuł, że jest mu bliska jak nikt na świecie.

Jak miał wyjaśnić żyjącemu w celibacie kapłanowi, że targają nim gwałtowne emocje? Zdawał sobie sprawę, że całe swe dotychczasowe życie spędził w swego rodzaju kokonie, jak motyle, którymi zajmował się w ubiegłym roku. Chętnie zostałby w tej swojej jedwabnej otoczce nieco dłużej, ale jego opiekun rozerwał delikatne niteczki, które oddzielały go od świata. Młodzieniec musiał wypełznąć na światło dzienne, chociaż na razie bał się rozwinąć swoje bezbarwne skrzydła. Dopiero dzięki Anne dowiedział się, jak to wspaniale unosić się w przestworzach.

Niestety, szybko zauważył, że kuzynka nie doznaje w jego obecności podobnych uczuć. To, co w pierwszej chwili wyglądało na życzliwość, z czasem zamieniło się w uprzejmość i wyrachowanie. Jej uśmiech przestał być spontaniczny, i Armand zaczął podejrzewać, że hrabianka wybiera się z nim codziennie na przejażdżkę tylko dlatego, że jego powozik i on sam pozwalają jej się wyrwać spod ojcowskiej opieki. W dodatku, kiedy ostatnio prosił o spotkanie, poinformowano go, że Anne codziennie spędza czas u hrabiny d'Agoult, przy błogosławieństwie markiza. Armand nie rozumiał, dlaczego poprzednio potrzebne jej były skomplikowane wybiegi.

Chyba że w ogóle nie rozumiał kobiet, a Anne zaczęła go unikać, bo się w nim zakochała.

Chłopak nie mógł przestać o tym myśleć i godzinami się zastanawiał, czy hrabianka go kocha, czy nie-nawidzi. Z powodu ciągłych zmartwień zaczęło go boleć serce i brzuch. W ciągu ostatnich tygodni odczuwał

coraz większe dolegliwości, a ponieważ nie znał zasad obowiązujących w szerokim świecie, zaczął podejrzewać, że Bóg karze go za nieczyste myśli o kuzynce.

Kiedy ojciec Jaquin potrząsnął go za ramię, błyskawicznie wrócił do rzeczywistości, do mroku i spokoju Les Jésuites, do unoszącego się tu zapachu kadzidła.

- Może ulgę przyniosłoby ci, gdybyś zaczął pomagać potrzebującym - zaproponował ojciec Jaquin. - W Hôtel-Dieu rozpaczliwie brakuje sanitariuszy do opieki nad ofiarami zarazy.

- Sam nie wiem - odparł Armand.

Nie miał pewności, czy jego opiekun życzyłby sobie, żeby się narażał na takie niebezpieczeństwo... a nawet czy niedawno odzyskana wolność upoważnia go do samodzielnego podejmowania tak doniosłych decyzji.

- Dobrze! - powiedział kapłan. - Osobiście cię tam zaprowadzę i przedstawię siostram. Możemy się umówić na jutro rano?

Armand blado się uśmiechnął, mając nadzieję, że znajdzie jakąś wymówkę, aby nie iść do szpitala i nie zajmować się umierającymi biedakami. Potem przypomniał sobie, że jest w świętym miejscu, zaczął się modlić i powoli zmieniał zdanie, jeśli chodzi o propozycję ojca Jaquina. Może okazana w ten sposób odwaga i wrażliwość bardziej pomogą mu zdobyć serce utalentowanej muzycznie kuzynki niż modny powozik czy posiadane środki finansowe, których dotychczas prawie w ogóle nie naruszył. Rano listownie poinformuje Anne o swoim nowym pomysle na życie.

Próbował sobie wmówić, że to tylko dla jego dobra. Może w Hôtel-Dieu spotka doktora, który znajdzie chwilę na zbadanie go i powie mu, dlaczego tak często boli go brzuch.

Tomik wierszy Byrona, który Liszt dał Anne na pierwszej lekcji, wcale nie ułatwił jej zrozumienia utworu, który grała. Pod koniec drugiej lekcji oddała książeczkę nauczycielowi, podziękowała mu i właśnie miała zamiar spytać, jaki związek mają utwory angielskiego poety z muzyką Beethovena czy Chopina, kiedy otrzymała następny tomik poezji, tym razem Lamartine'a. Chciała zaprotestować, poprosić, żeby Liszt dokładniej wyjaśnił, czego od niej oczekuje, ale powstrzymał ją wyraz jego twarzy. Kiedy wciskał jej w rękę cieniuchny tomik, rzucił okiem w stronę Marie. Anne przypuszczała, że gdyby byli sami, powiedziałaby jej coś ważnego, coś, co nie było przeznaczone dla uszu madame d'Agoult.

W powozie, w drodze powrotnej z quai Malaquais, bezmyślnie przerzucała zbiorek wierszy, zastanawiając się, co Liszt chciał jej powiedzieć, i chwilami popuszczając wodze fantazji. Nagle spomiędzy kartek wysunął się kawałek papieru, którym zaznaczone były strony z podkreślonym zdaniem: „Smutek bardziej łączy dwa serca niż największe szczęście; a wspólne cierpienia tworzą mocniejszą więź niż wspólne radości”.

Ponieważ Anne nigdy wcześniej nie spotkała się z taką sytuacją, nie wiedziała, że trzyma w ręce sekretny liścik. Rozłożyła karteczkę i przeczytała słowa nagryzmołone przez Liszta.

Amie secrète de mon coeur!

Cierpię istne katusze, będąc blisko Ciebie i nie mogąc wyznać Ci swoich uczuć. Czy wolno mi mieć nadzieję, że pomimo swojej powściągliwości przynajmniej częściowo je odwzajemniasz? Nie, nie mam prawa na to liczyć. Pozwól tylko, że Ci powiem, jak bardzo Cię pragnę. Na razie mi to wystarczy.

Liścik zawierał jeszcze kilka podobnych zdań. Anne była zaskoczona i niezwykle podniecona. Czy to możliwe, że Liszt z taką żarliwością odwzajemnia jej uczucia? Nie bez powodu tak dziwnie na nią spoglądał podczas lekcji.

- Jesteśmy na miejscu, mademoiselle.

Niski głos Victora przestraszył Anne. Z wrażenia upuściła książeczkę, ale udało jej się ją podnieść i wsunąć liścik między kartki, nim służący otworzył drzwiczki. Wchodząc do domu, próbowała zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Modliła się, żeby nie spotkać ojca. Potrzebowała czasu, by ochłonąć po odkryciu, że obiekt marzeń ma wobec niej takie same nadzieje jak ona wobec niego. Nie prosił o odpowiedź, więc nie musiała się zastanawiać, co napisać. Teraz miała jednak dodatkowy powód, by z ogromną niecierpliwością wypatrywać kolejnej lekcji. Nie mogła uwierzyć, iż Liszt tak wysoko ją ceni, mimo to miała nadzieję, że w następnym tomiku również znajdzie liścik.

Po pierwszym pojawiły się dwa następne. Za każdym razem, wręczając jej wiersze, Liszt mówił coś o madame d'Agoult albo wykonywał jakiś gest w jej stronę. Jeśli tak bardzo się boi - pomyślała Anne - dlaczego ryzykuje? Co prawda Marie na pewno bardzo by się zdenerwowała, gdyby ona i Liszt oświadczyli, że się kochają, ale z pewnością pianista nie był dla Anne najgorszą partią.

Chociaż kto wie? Dziewczyna nie wyobrażała sobie, żeby markiz kiedykolwiek i pod jakimkolwiek pozorem zaakceptował taki związek - głównie z powodu swojej zdecydowanej antypatii do najbardziej nawet utalentowanych artystów. To jednak nie miało znaczenia. Anne nie chciała zaprzętać sobie głowy takimi nudnymi sprawami jak małżeństwo. Jej marzenia zawsze kończyły się na splecionych dłoniach, czułym patrzyeniu sobie głęboko w oczy, przypadkowych nieśmiałych pocałunkach.

Ostatni list ośmielił ją tak, że popuściła wodze fantazji. Cudowne marzenia o miłości, dzięki którym godziny spędzane z dala od madame d'Agoult bardzo szybko mijały, przestały wystarczać. W ostatnim liście muzyka pojawiło się sporo desperacji, Liszt nie tylko wyznawał uczucia, ale również błagał o odpowiedź.

Moja najdroższa nadziejo!

Musimy się spotkać sam na sam, bo inaczej umrę. Chciałabyś mieć na sumieniu moją śmierć? Błagam o jedno słowo, wskazówkę, że mogę jeszcze żyć.

Nawet Anne, pomimo bardzo niewielkiego doświadczenia, wiedziała, że albo musi odpowiedzieć, albo poinformować madame d'Agoult o tajnej korespondencji i położyć kres pięknym wyznaniom.

Nie zastanawiała się długo. Zignorowała zmartwioną minę matki, która co chwila stawiała jej przed oczami, wyjęła kartkę i napisała w świetle stojącej obok łóżka świecy:

Powiedz po prostu, gdzie i kiedy. Postaram się z Tobą spotkać.

Włożyła liścik między te same dwie kartki, między którymi znalazła prośbę Liszta. Nazajutrz odda mu książkę. Nawet nie próbowała się zastanawiać, co będzie potem.

TLR

XIII

Dwa umysły mogą się spotkać tylko w obecności prawdziwej sztuki. Pozwól, by nasze połączyły się tego wieczoru jak równy z równym. Załóż maskę - to Don Giovanni, najwspanialsze dzieło Mozarta.

Franciszek musiał trzykrotnie przepisać liścik, nim słowa ładnie ułożyły się na stronie. Zdał sobie sprawę, że dużo trudniej mu wyrazić uczucia w piśmie niż za pomocą muzyki, jednak gdyby ktokolwiek był w stanie skłonić go do pisania wierszy, to tylko Marie.

Marie, Marie, Marie!

Zastanawiał się, czy ukochana kiedykolwiek pozwoli mu tak się do siebie zwracać. Wciąż nie miał odwagi użyć jej imienia w żadnym z liścików, które potajemnie pisał i które jego uczennica tak gorliwie doręczała, czego miał właśnie dowód. Eugène obudził w nim pewne wątpliwości i wykazał wady takiej metody uwodzenia. Liszt uznał jednak, że to najlepsza możliwość wyrażenia uczuć bez wciągania we wszystko służących - których plotki z pewnością dotarłyby do nieodpowiednich uszu - ani zwracania się do Marie wprost i narażania jej tym samym na zażenowanie. Zbyt ją kochał, żeby psuć reputację hrabiny z powodu czegoś, co nie byłoby z jej strony dozwoloną miłością. Gdy w końcu otrzymał upragnioną odpowiedź, po przeczytaniu natychmiast wrzucił liścik do pieca, chociaż marzył o zachowaniu go na zawsze.

Teraz trzymał w rękach kartkę, od której zależało jego przyszłe szczęście. Problem w tym, że jeśli jego słowa miały odnieść pożądany skutek, musiały dotrzeć do adresatki przed dzisiejszym wieczorem w operze. Następną lekcja z Anne miała się odbyć dopiero nazajutrz. Liszt zastanawiał się więc, w jaki sposób doręczyć Marie liścik. Może teraz, gdy odpowiedziała, najprościej byłoby wysłać go bezpośrednio na quai Malaquais. Myśl o napisaniu nazwiska ukochanej na kopercie przyprawiała go o dreszczyk podniecenia. Tyle się wydarzyło od pierwszego listu, w którym proponował lekcje mademoiselle de Barbier-Chouant, że nie był pewien, czy zdoła teraz utrzymać pióro w ręce. Dotychczas wszystko dobrze funkcjonowało, z pewnością zatem znajdzie sposób na kontynuowanie niespiesznego uwodzenia. W głębi duszy Franciszek rozkoszował się skomplikowanym mechanizmem działania i chytryścią planu, który umożliwiał mu trzymanie się z dala od obiektu miłości aż do chwili, kiedy oboje będą gotowi przełamać wszelkie nakazy przyzwoitości i etykiety.

- Oczywiście! - zawołał.

Przecież Anne codziennie ćwiczy na fortepianie, więc z pewnością będzie u hrabiny również tego dnia. Zaadresuje więc list do niej, włoży dodatkową notatkę, w której wyjaśni, co dziewczyna ma zrobić, i poprosi, żeby koniecznie jeszcze tego dnia doręczyła wiadomość odpowiedniej osobie.

Szybko zrealizował swój pomysł, skończył się ubierać i zbiegł ze schodów, żeby poszukać jakiegoś ulicznika, który za kilka sou zanieśe korespondencję.

Przesłania bogów powinien doręczać sam Merkury, pędzący na skrzydłach babiego lata - pomyślał.

Z niecierpliwością oczekiwał wieczoru. W końcu będzie z Marie!

Rankiem, nazajutrz po ukryciu swojego liściku do Liszta między kartkami książki, Anne weszła do saloniku tak podniecona, że prawie nie zauważyła poważnej miny ojca. Tego dnia nie miała lekcji i wiedziała, że nie otrzyma odpowiedzi od nauczyciela, mimo to cieszyła się, że ma przed sobą kilka godzin niecierpliwego

oczekiwania przy fortepianie na szczęśliwą chwilę. Dlatego też była bardzo zaskoczona, gdy markiz złożył gazetę i nawet nie mówiąc „dzień dobry”, warknął:

- W sobotę odwiedzimy pana de Barbiera. Poinformował mnie, że udało mu się pokonać chorobę.

Chorobę? - pomyślała Anne. - Jaką chorobę? Potem przypomniała sobie, że powodem rezygnacji Armanda z codziennych przejażdżek była jakaś jego niedyspozycja. Natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że z powodu natłoku przeżyć nawet nie dostrzegła nieobecności kuzyna. Po napisaniu do niego krótkiego listu z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia odetchnęła z ulgą, że jego choroba zbiegła się w czasie ze zmianą codziennego harmonogramu i nie musi już dłużej wykorzystywać jego życzliwości, by ćwiczyć na fortepianie Marie. Potem napisał do niej raz czy dwa, aby poinformować, co robi; wspominał między innymi, że pomaga w Hôtel-Dieu, ale wtedy nie napomknął już o żadnych dolegliwościach.

Markiz machnął listem. Anne rozpoznała nieśmiałe pismo Armanda. To chyba oczywiste, że prowadzi korespondencję z opiekunem - pomyślała zdziwiona, iż wcześniej na to nie wpadła. Zastanawiała się, jak przedstawił ich relacje.

- Z pewnością się ucieszy, widząc, że jesteś szczęśliwa. Jeśli ma fortepian, będziesz mogła mu zagrać.

Markiz wstał, zabrał list kuzyna i ruszył w stronę biblioteki.

- Ojciec - powiedziała Anne, zatrzymując go w drzwiach salonu.

Chciała poprosić, żeby odrzucili zaproszenie Armanda. Niestety, nie wiedziała, jak to uzasadnić, więc powiedziała tylko:

- Pozwolisz mi poćwiczyć w domu, na fortepianie mamy?

W mgnieniu oka twarz markiza skamieniała. Anne skuliła się, czekając na policzek, ale ojciec tylko spojrzął na nią nieprzychylnie i warknął:

- Nawet o tym nie myśl, mademoiselle!

Markiz nie musiał podnosić na córkę ręki. Do perfekcji opanował sztukę rzucania przykrych spojrzeń, które odnosiły ten sam skutek. Ponieważ sprowokowała jego gniew, nie mogła prosić o odwołanie sobotniej wizyty. Co będzie, jeśli ojciec spyta Armanda wprost o jego uczucia? Anne do pewnego stopnia uważała się za odpowiedzialną za to, że kuzyn musiał okłamywać swojego opiekuna. Pomimo zapewnień Armanda, że wcale nie jest w niej zakochany, czuła, iż zawróciła mu w głowie, dlatego młody człowiek nie dostrzegał ewentualnych konsekwencji swojej uległości. Przypomniała sobie, co na ten temat powiedziała Marie. Co robi ojciec, gdy odkryje, że znajomość córki i kuzyna wcale nie zmierza do małżeństwa?

Z głową pełną ponurych myśli Anne wsiadła do powozu i zgodnie z planem wyruszyła w drogę do Marie. Ona i Armand nie spędzili ze sobą dużo czasu, mimo to w pewnym sensie zostali przyjaciółmi. Dlatego powinna zupełnie inaczej zareagować na informację, że nie dopisuje mu zdrowie. Teraz, kołysząc się w powozie, zmagала się z nie lada kłopotem. Jak uniknąć niechcianej wizyty? Armand od czasu do czasu wspominał, że chce zostać księdzem. Gdyby markiz się o tym dowiedział, w gruzach ległaby delikatna równowaga, jaką osiągnęła, udając, że spełnia życzenia ojca, nawet jeśli w rzeczywistości postępowała według własnej woli. Mimo iż markiz nie wspominał o tym ani słowem, a Marie również milczała jak głaz, Anne domyślała się, że ojciec pozwolił jej na odwiedzanie hrabiny w nadziei, iż dzięki temu córka szybciej zdobędzie względy kuzyna. Tymczasem była to ostatnia rzecz, na której jej zależało. Jeśli pięknie ubrana pojawi się z ojcem w mieszkaniu

Armanda i zagra mu na fortepianie walca czy mazurka, być może kuzyn pomyśli, że zmieniła zdanie w sprawie małżeństwa. Nie chciała zaś dawać mu fałszywych nadziei ani skazywać na dodatkowe cierpienia.

Doszła do wniosku, że zostało za mało czasu na wymianę listów w tej sprawie, dlatego musi osobiście porozmawiać z Armandem, nim ojciec przejmie sprawy w swoje ręce. Zastukała rączką parasolki w sufit karety. Victor zatrzymał konie i pochylił się, żeby wysłuchać dyspozycji, którą panienska wydała mu przez otwarte okno.

- Marais, rue Saint Antoine - powiedziała.

- Ależ, mademoiselle! - odparł Victor. - Markiz będzie niezadowolony, jeśli nie zawiozę pani prosto na quai Malaquais.

- Bardzo się martwię o pana Armanda, dlatego chciałabym sprawdzić, czy rzeczywiście wraca do zdrowia.

W oczach Anne było błaganie. Wiedziała, że stary woźnica jej nie odmówi.

- W porządku, mademoiselle - powiedział, ciężko wzdychając.

Gdy tylko wjechali na ile du Palais, Anne przytknęła chusteczkę do nosa i trzymała ją tam przez resztę drogi. Przykra woń, która niewyraźnie przebijała się przez wszystkie zapachy w Saint Germain, dominowała w pobliżu Hôtel-Dieu i po drugiej stronie rzeki. Po obu stronach rue Saint Antoine stały wozy czekające na chorych i zmarłych biedaków, których trzeba było zawieźć do szpitala albo na miejsce pochówku. Ku swojemu zaskoczeniu i przerażeniu Anne dostrzegła na prawo od siebie dobrze znane zarysy Les Jésuites. Doszła do wniosku, że apartament Armanda musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Czy to możliwe, że on mieszka otoczony przez śmierć?

Victor zatrzymał konie pod domem naprzeciwko jezuitów, zeskoczył z kozła i zapukał do drzwi, zasłaniając nos i usta dłonią w rękawiczce. Anna obserwowała przez okno rozmowę służących. Nie słyszała, co mówią, bo nie chciała otwierać okna, ale po chwili lokaj zniknął w głębi domu, zamknąwszy za sobą drzwi, a Victor wrócił do karety. Zapukał w szybę. Anne uchyliła lekko okno, żeby usłyszeć wyjaśnienia.

- Monsieur de Barbier wyszedł i wróci dopiero po północy. Podobno jest w Hôtel-Dieu, gdzie zajmuje się chorymi. - Victor urwał, jakby się zastanawiał, czy przekazywać pozostałe informacje, które wy dobył od lokaja. - Służący powiedział, że na pewno go tam znajdziemy, ale nie sądzę...

Najwyraźniej liczył na to, że Anne się podda i wróci do bezpiecznego Saint Germain. Hrabina na pewno już na nią czeka. Dziewczynę istotnie kusilo, żeby zrezygnować z rozmowy z Armandem przed sobotnią wizytą, ale bardziej od wyprawy do Hôtel-Dieu przerażała ją myśl, że musiałaby się tu pojawić w towarzystwie ojca, a potem, pomimo trudności z oddychaniem, wypić herbatę i prowadzić uprzejmą rozmowę.

- Poszukajmy go tam. To blisko! - zawołała przez okno i zatrasnęła je, nie czekając, aż Victor zacznie ją zniechęcać do tego pomysłu.

Nazajutrz po wizycie u Gardive'a Pierre odwiedził rue du Barq w Saint Germain w poszukiwaniu domu, w którym zmarła anonimowa ofiara cholery. Okazało się, że to zapuszczona, smutna ulica i jeśli nie liczyć kilku opustoszałych domków rzemieślników, stał przy niej tylko jeden budynek, który przypominał popadający w ruinę klasztor albo zabytek.

Medyk miał zamiar wrócić i popytać w najbliższym sąsiedztwie, ale zabrakło mu czasu. W dodatku nagle skonstatował z niepokojem, że wszystkie noce spędza w Hôtel-Dieu, a nie mógł dopuścić do zaległości w nauce. Georges był jednak tak wyczerpany po najgorszych dotychczas tygodniach epidemii, że wciąż chorował. Pierre namówił go, aby został w łóżku, ale w zamian za to musiał mu obiecać, że weźmie jego dyżury, które często trwały do świtu. Uważał się za szczęściarza, jeśli udało mu się zdrzemnąć godzinę lub dwie. Chociaż był to zdecydowanie nienormalny rozkład dnia, jakimś dziwnym trafem stał się normą.

- Doktorze Talon - powiedział niziutki mnich tak samo blady jak otaczający go chorzy - jest pan potrzebny w kaplicy.

Normalnie ani pielęgniarce, ani lekarze nie mieli czasu na zbędne słowa, więc wołali tylko: „Śmierć!” albo „Wody!”, dlatego zakonnik natychmiast zwrócił na siebie uwagę Pierre'a. Młody mężczyzna odstawił wiadro z wodą i dał znak zakonnicy, która zmywała brudną podłogę, żeby go zastąpiła. Z czasem przyzwyczał się do odoru i wypracował pewien rytm, w którym chodził do studni, napełniał wiadro i próbował zaspokoić pragnienie jak największej liczby pacjentów. Pewnego razu doliczył się, że w ciągu nocy na jednym łóżku zmarło szesnastu chorych.

Jednak tego ranka było trochę spokojniej. Nawał pracy pojawiał się falami. Pierre poszedł więc korytarzem, prowadzony przez niskiego mnicha w głąb starego jak świat budynku. Im dalej byli od wejścia, tym słabiej docierały do nich jęki pacjentów. Gdy zakonnik otworzył drzwi kaplicy, Pierre poczuł, że dym kadzidła szczypie go w oczy i drapie w gardle.

- Proszę. Jest tam.

Mrok pomieszczenia rozpraszało zaledwie kilka wysokich świec. W ich świetle Pierre zauważył bardzo młodego mężczyznę, który na boku leżał na kamiennej podłodze, z trudem oddychał i zaciskał palce lewej ręki na gładkich płytach podłogowych, jakby próbował zebrać z nich kurz. Medyk przyklęknął. Chory miał gorączkę, ale nie był kolejną ofiarą cholery, gdyż przeczyły temu wszystkie pozostałe symptomy.

- Wymiotował?

Zakonnik przytaknął.

- Ale nie krwią jak przy cholery.

A więc i on zauważył różnicę. Pierre uważnie przyjrzał się choremu. Miał na sobie elegancką lnianą koszulę i długie spodnie z dobrej angielskiej wełny. Z pewnością nie był włóczęgą, który wszedł tu prosto z ulicy.

- Jak on się tu dostał?

- Pracuje przy chorych tak samo jak pan. Dzisiaj nagle upadł. Przyniosłem go tutaj, myśląc, że jest po prostu wycieńczony, ale potem...

Młody mężczyzna podciągnął kolano do klatki piersiowej, a lewą dłoń położył na brzuchu.

Pierre ostrożnie odwrócił go na plecy. Młodzieniec jęknął i znów podciągnął kolano. Medyk delikatnie dotknął ręką miejsca, które chory zakrył dłonią. Wyczuł wyraźne zgrubienie. Pacjent krzyknął z bólu, usiadł i wymiotował na mnicha.

Bez wątplenia to przepuklina - pomyślał Pierre. - Sądząc po tym, jak biedak cierpi, z pewnością jelito uwięzło w pachwinie i wytworzyła się zgorzel. Szybko powtórzył w myślach symptomy i sposoby leczenia,

jakby przygotowywał się do egzaminu. W najgorszych przypadkach - takich jak ten - jedynym ratunkiem była operacja.

Pierre widział zabieg, podczas którego wycięto martwiczą tkankę i wsunięto jelito na swoje miejsce. To niebezpieczne, ale gdyby się udało, ten chłopiec miałby szansę na powrót do zdrowia.

- Umrze, jeśli ktoś go nie zoperuje - powiedział do mnicha. - Czy jest w szpitalu chirurg?

- Tak, ale wszyscy mają ręce pełne roboty przy chorych na cholere - odparł.

Pierre zagryzł dolną wargę.

- Nie może ojciec poszukać kogoś, kto przynajmniej by go zbadał?

- Nie ma nikogo wolnego oprócz pana.

Jeśli szybko czegoś nie zrobi, będzie za późno na jakąkolwiek pomoc. Pierre uznał, że niczego nie ryzykuje.

- Przenieśmy go na salę operacyjną.

Obaj z trudem dźwignęli zwijającego się z bólu młodzieńca i przetransportowali do pomieszczenia, w którym zazwyczaj wykonywano operacje. Na środku stał wysoki stół, a przy jednej ze ścian - dobrze zaopatrzona szafka z narzędziami. Ku ogromnej swej uldze Pierre zauważył, że szpital dysponuje ostrymi nożami, nożyczkami, cewnikami i kleszczami. Chory jęczał coraz głośniejsze i coraz rozpaczliwiej. Położyli go na stole w taki sposób, że nogi zwisały mu od kolan. Pierre zdjął mu miękkie buty i postawił je przy drzwiach, potem rozpiął spodnie i odsłonił przepuklinę. To jeszcze prawie dziecko - pomyślał, oceniając wiek pacjenta na szesnaście lat. Zakonnik przywiązał młodego człowieka pasami. Medyk z przykrością pomyślał, że będzie musiał sprawić bezradnemu młodzieńcowi ból.

Zdjął surdut, podwinął rękawy i na chwilę zamarł w bezruchu, żeby pozbierać myśli. Był przekonany, iż uda mu się przeprowadzić operację, ale pod warunkiem, że zakonnik będzie mu podawał odpowiednie instrumenty. Dokładnie pamiętał poszczególne etapy operacji, ale wykonywanie zabiegu na przytomnym i cierpiącym człowieku to nie to samo co krojenie zwłok na lekcji anatomii.

- Czy jest w szpitalu opium? - spytał, wcale nie spodziewając się pozytywnej odpowiedzi.

Ku jego zaskoczeniu mnich dotknął palcem nosa i na chwilę gdzieś zniknął. W tym czasie Pierre zaczął badać chore miejsce. Przepuklina była mocno zaogniona. Medyk gorąco się modlił, żeby w jelita nie wdała się gangrena.

Chory miał coraz większą gorączkę i silne dreszcze. Jeśli nie ustaną, trudno będzie wykonać porządne nacięcie. Może środek uspokajający zrobi swoje. Mnich wrócił z niewielkim kawałkiem opium zawiniętym w papier. Pierre posłał swojego pomocnika po miednicę z wodą i płótno.

- Słyszysz mnie pan? - spytał chorego, który miał otwarte oczy, ale nie był w stanie skupić wzroku. - Jeśli zje pan trochę tego, nie będzie pana tak bolało.

Odłamał kawałeczek opium i włożył go młodzieńcowi do ust. Ucieszył się, gdy ten zaczął powoli żuć i przełykać. Trudno powiedzieć, czy opium wystarczy, żeby udało się przeprowadzić operację, ale w tych okolicznościach Pierre nie mógł nic więcej zrobić.

Gdy mnich wrócił z miednicą z wodą, medyk rozpoczął przygotowania do operacji. Na szczęście chory po opium przestał się tak bardzo trząść.

- Jeśli zacznie krzyczeć, niech ojciec da mu jeszcze kawałek - polecił Pierre, przekazując pakiecik zakonnikowi.

Ujął zdecydowanie nóż, odszukał odpowiednie miejsce nad uwypukleniem i wykonał pewne nacięcie między mięśniami brzucha.

Na widok krwi zamarł w bezruchu. Sekcje zwłok nie przygotowały go na taki wypadek. Miał zamiar zawołać o pomoc, ale zaraz się powstrzymał. Na pewno nikt się nie pojawi, a tylko przestraszy wołaniem pacjenta i mnicha. Próbując opanować drżenie rąk, starannie przetarł ranę, żeby widzieć pole operacyjne. Pacjent wciąż jęczał, ale na szczęście już nie krzyczał. Po chwili Pierre całkowicie skupił się na stojącym przed nim zadaniu i zaczął powoli, miarowo nacinać otrzewną.

Tak jak podejrzewał, w jednym miejscu jelito uwięzło i zaczęła powstawać martwica. Nie chcąc, aby pacjent się wykrwawił, medyk poprosił o nici, wyjął jelito, wyciął martwiczy odcinek, a potem na nowo połączył organy. Następnie ostrożnie, z pomocą palców i tępej sondy, rozszerzył ranę i wsunął jelito na swoje miejsce.

- Proszę o igłę i nici - powiedział.

Zakonnik natychmiast wykonał jego polecenie. Pierre spokojnie, głęboko oddychał, mając nadzieję, że nie zaczął mu się trząść ręce. Zaszył ranę tak, żeby jelito schowało się w jamie brzusznej. Nigdzie nie dostrzegł śladów gangreny.

Zostało jeszcze tylko niewielkie nacięcie. Mnich podał Pierre'owi następną igłę i nitkę. Zadowolony, że ma już za sobą najtrudniejszą część operacji, medyk szybko, metodycznie zszywał brzuch, wbijając igłę nieco głębiej, by nici nie podarły ciała. W ten sposób zlikwidował nacięcie, które musiał wykonać na początku operacji, by się dostać do chorego miejsca. Ku jego zadowoleniu krwawienie ustało.

- Zemdlął, panie doktorze - oznajmił zakonnik.

Gdy Pierre przemył okolice rany zabarwioną na czerwono wodą, sprawdził puls młodego człowieka. Był w normie. Delikatnie poklepał młodzieńca po policzku, mając nadzieję, że ten odzyska przytomność i że nie zmarł pod wpływem stresu, jakim musiała być dla niego operacja.

Ucieszył się, gdy powieki nieszczęśnika drgnęły.

- Wciąż pana boli?

- Tak, ale inaczej.

Pacjent zamknął oczy i natychmiast zapadł w sen.

Medyk głęboko odetchnął. Właśnie wykonał pierwszą w życiu operację. Teraz trzeba będzie młodzieńca bacznie obserwować, bo zawsze może wdać się infekcja, ale jeśli rana zagoi się jak należy i nie zacznie ropieć, będzie można uznać, że operacja się udała. Zakonnik uśmiechnął się do niego. Pierre rozejrzał się po pomieszczeniu i wraz z pomocnikiem zaczął sprzątać je po operacji.

Kiedy uniósł głowę i zobaczył w otwartych drzwiach postać kobietę, wypuścił z rąk sondę, która głośno stuknęła o kamienną podłogę.

Potrząsnął głową i zamrugał powiekami, pewien, że po niespodziewanej operacji ma halucynacje. Mimo to na progu wciąż widział młodą kobietę z szeroko otwartymi, pełnymi strachu oczami i z ręką przyciśniętą do ust. Co więcej, była to hrabianka de Barbier-Chouant.

XIV

Victor zatrzymał się na bulwarze i pomógł Anne wysiąść z karety. Potem poprowadził ją wśród ogromnej liczby przyjeżdżających wozów i pacjentów wnoszonych na oddziały, gdzie często na jednej pryczy leżały po dwie lub nawet trzy ofiary cholery. Musieli przejść przez zatłoczoną salę, żeby znaleźć kogoś z obsługi.

Victor podszedł do mężczyzny i wyciągnął rękę, ale nie odważył się go dotknąć. Poprzestał więc na głośnym chrząknięciu. Kiedy ten człowiek się odwrócił, woźnica powiedział:

- Moja pani szuka pana de Barbiera.

- Nie mam czasu czytać nazwisk ofiar. Proszę rozejrzeć się po salach - odparł nadęty człowieczek, najwyraźniej chcąc jak najszybciej pozbyć się intruzów i wrócić do ważniejszych zadań.

- Monsieur de Barbier nie jest ofiarą - wtrąciła Anne, robiąc krok do przodu. - Zajmuje się chorymi. Muszę z nim porozmawiać.

Była zła na siebie, że dla własnego widzimisię odrywa od pracy kogoś, kto zajmuje się ciężko chorymi, których jęki i krzyki niosą się echem po kamiennych korytarzach. Czowała się dużo, dużo gorzej niż wtedy, gdy przyglądała się długiemu sznurowi karawanów jadących w stronę cmentarza. Jęki jednej z kobiet przypomniały Anne cierpienia matki. Zamknęła oczy. Zabrnęła jednak tak daleko, zadała sobie tyle trudu, że mimo wszystko postanowiła dopiąć swego.

Kiedy wymieniła nazwisko Armanda, obok zatrzymał się przechodzący właśnie lekarz.

- Znam Barbiera - powiedział. - Przychodzi tu codziennie. Proszę za mną.

Doktor poprowadził ich korytarzem na inny oddział. Tam przez chwilę po cichu rozmawiał z kimś, kto wskazał drzwi do ciągu sal z ogromną liczbą łóżek i chorych. Kiedy przez nie przechodzili, poczuli zapach kadzidła ze szpitalnej kaplicy. Normalnie ta woń przyprawiała Anne o mdłości, ale tym razem stanowiła cudowną alternatywę dla odoru rozlewającego się po całym budynku.

Po przejściu kilku kroków natknęli się na zakonnika, który pędził w stronę drzwiczek, niosąc miednicę z czystą wodą i jakieś kawałki tkaniny.

- Widział ojciec Barbiera? - spytał lekarz.

- Jest tutaj - odparł mnich, kiwnięciem głowy wskazując drzwi, za którymi natychmiast zniknął.

- Co to za pokój? - spytała Anne.

- Sala operacyjna - poinformował doktor.

W tym momencie z drzwi za ich plecami wystawiła głowę zakonnica.

- Doktorze! - zawołała i skinęła ręką na lekarza, który eskortował Anne.

Mężczyzna skłonił się i zostawił ich, pędząc na wezwanie.

Co Armand robi na sali operacyjnej? - zastanawiała się dziewczyna. - Przecież nie jest chirurgiem.

W tym momencie zadrzała na myśl, że być może życie kuzyna wisi na włosku. Poczowała przyśpieszone bicie serca. Zniknęły strach i obrzydzenie. Ignorując błagania Victora, żeby zaczekała, popędziła do drzwi.

Wysokie świece ledwo rozjaśniały spowite dymem pomieszczenie. Krew kapłała ze stołu, tworząc na podłodze coraz większą kałużę. Na stole leżał młody mężczyzna. Dolną część brzucha miał przysłoniętą zakrwawionym ręcznikiem. Mnich, którego wcześniej widzieli, wykręcił szmatę i podał ją wysokiemu lekarzowi w koszuli z podwiniętymi rękawami. Ten otarł twarz pacjenta i powiedział coś cicho do zakonnika.

Sądząc po wysokim wzroście, z pewnością nie był to Armand, w związku z tym pozostawała już tylko jedna możliwość. Anne zakryła ręką usta w chwili, kiedy doktor się odwrócił.

Początkowo Pierre zamarł w bezruchu i wypuścił z ręki jakiś metalowy instrument, potem zrobił w jej stronę krok czy dwa, spojrzał na swe zakrwawione ręce i zatrzymał się. Miała dziwne wrażenie, że skądś go zna.

- Hrabianko - powiedział. - Ja... - Urwał i spojrzał na stojącego za jej plecami Victora. - Proszę zaprowadzić hrabiankę do kaplicy. Zaraz tam przyjdę - dodał.

Anne zdawała sobie sprawę, że to, co zobaczyła, powinno wzbudzić w niej obrzydzenie, ale w rzeczywistości czuła coś całkiem innego. Miała wrażenie, że jest gościem z niebios zagląającym komuś przez ramię albo widzem w teatrze. Victor zaprowadził ją do kaplicy, gdzie usiadła na krześle na wprost ołtarza. Ani przez moment nie przyszło jej na myśl, żeby się pomodlić.

Po kilku minutach pojawił się wysoki doktor, uklonił się i przedstawił jako Pierre Talon.

- Skąd pan mnie zna? - spytała Anne.

- Widziałem panią trzeciego kwietnia w sali Wauxhall w łoży madame d'Agoult. Pani zemdląła.

Oczywiście! Teraz Anne przypomniała sobie młodego człowieka, który był wtedy dla niej taki miły. W kamizelce i z podwiniętymi rękawami wyglądał nieco inaczej niż wówczas, ale teraz były ważniejsze sprawy do omówienia niż wspomnianie pierwszego spotkania.

- Chodzi o mojego kuzyna, pana de Barbiera. Co pan mu robił?

Doktor wyglądał na zaszokowanego.

- Ten młody człowiek jest pani kuzynem? To był nagły wypadek, więc nawet nie spytałem, jak się nazywa.

- Zmarł?

Dopiero teraz, w kaplicy, z dala od sali operacyjnej, Anne otrząsnęła się z odrętwienia i do jej świadomości powoli zaczęło docierać, co przed chwilą widziała. To Armand leżał na stole i krwawił. Serce zaczęło jej walić w piersi.

- Nie, przeżył, chociaż mogło się to tragicznie skończyć, gdyby...

Doktor Talon urwał. Anne zdała sobie sprawę, że młody lekarz nie chce się chwalić, iż uratował komuś życie.

- Wygląda na to, że chętnie pomaga pan obcym ludziom. Czy mogę go zobaczyć?

- Na razie ma zakładany opatrunek na ranę pooperacyjną. To może chwilę potrwać.

Nawet w nikłym świetle kaplicy Anne zauważyła rumieńce na twarzy medyka. Sprawiał wrażenie zbyt młodego, żeby mógł operować kogokolwiek.

- Zaczekam - oznajmiła.

Talon ponownie się skłonił i wyszedł.

- Najmocniej przepraszam, mademoiselle - powiedział Victor - ale to nie miejsce dla młodej damy.

Staął obok niej i miał w rękach rondo kapelusza.

- Muszę zostać i dopilnować, żeby pan de Barbier miał odpowiednią opiekę. Wyświadczysz mi ogromną przysługę, jeśli pojedziesz do madame d'Agoult i powiesz, że dzisiaj się u niej nie pojawię. Potem wróc po mnie. Jestem pewna, że do tego czasu uda mi się zobaczyć z kuzynem.

Victor najwyraźniej nie wiedział, co robić. Z jednej strony chciał jak najszybciej opuścić szpital, z drugiej - dopilnować, żeby hrabiance nic się nie stało. Zawahał się.

- Proszę, nie spotka mnie tu nic złego. Wszyscy są zbyt zajęci, żeby zwracać na mnie uwagę.

Gdy woźnica opuścił kaplicę, Anne wsparła czoło na oparciu krzesła, które stało przed nią, i próbowała się pomodlić.

Chwilę po tym, jak woźnica markiza przekazał Marie wiadomość, że Anne tego dnia się u niej nie pojawi, ponownie rozległ się dzwonek. Po chwili do salonu weszła Adèle z listem zaadresowanym do Anne. Hrabina położyła go na swoim ulubionym biurku przy balkonie wychodzącym na rzekę. Koperta nie była zaklejona, miała jedynie wsunięte skrzydełko. Marie natychmiast rozpoznała pismo Franciszka Liszta.

Uniosła list pod światło. Koperta była cienka, więc dostrzegła dwie złożone kartki. Dlaczego Liszt napisał do Anne, skoro nazajutrz miał mieć z nią lekcję i bez problemu mógł jej osobiście przekazać wiadomość? Hrabina odłożyła kopertę na bok i wróciła do wcześniejszego zajęcia - pisanie po niemiecku długiego listu do bratowej - ale tajemnicza koperta nie dawała jej spokoju. Gdyby dziewczyna przyjechała zgodnie z planem, właśnie by ją otwierała. Może monsieur Liszt napisał, że odwołuje jutrzejszą lekcję? Ale w takim wypadku z pewnością poinformowałby o tym bezpośrednio Marie.

Madame d'Agoult nigdy bez potrzeby nie wtykała nosa w cudze sprawy, ale przekonując markiza, żeby pozwolił jej przygotować Anne do małżeństwa, wzięła na siebie ogromną odpowiedzialność. Dziewczyna na wydaniu nie powinna otrzymywać listów od kawalerów, zwłaszcza od takich o pochodzeniu i reputacji Liszta. Gdyby za piętnaście lat podobny list przyszedł do córki Marie, otworzyłaby go bez wahania... a przynajmniej kazała dziewczynie otworzyć go w swojej obecności i przeczytać na głos.

Tak, to najlepsze rozwiązanie. Gdy Anne jutro przyjdzie, każe jej tak zrobić.

Po skończeniu listu do bratowej madame d'Agoult napisała następny, do matki, do Croissy i załączyła dwa krótkie liściki do córeczek. Miała zamiar wkrótce je odwiedzić, ale nie chciała, by wracały do Paryża przed wygaśnięciem epidemii. Kiedy korespondencja została przekazana Adèle, która po południu miała wszystko wysłać, Marie wróciła do salonu po książkę ze sztukami Szekspira. Jej wzrok padł na list do Anne. Hrabina przez chwilę mu się przyglądała. Potem szybkim ruchem chwyciła kopertę, uniosła skrzydełko i wyjęła zawartość. W jednej z dwóch złożonych kartek znajdował się suchy kwiat, który wylądował u stóp Marie.

Spotkaj się ze mną przed gmachem opery przed spektaklem. Załóż maskę...

Serce załomotało Marie z oburzenia. Liszt umawiał się ze swoją uczennicą na spotkanie! Wyjęła z koperty drugą kartkę i dokładnie ją przeczytała.

Hrabianko!

Możesz powiedzieć, że właśnie przekazałem Ci pewne uwagi na temat gry na fortepianie, coś, o czym zapomniałem podczas lekcji. Jeśli chodzi o resztę, jestem pewien, że będziesz wiedziała, co zrobić z załączonym listem.

Co za oszustwo! - pomyślała Marie. Przypomniawszy sobie, jak dziewczyna okłamywała ojca, hrabina nabrała przekonania, że Anne wcale nie jest taką niewinną istotą, na jaką wygląda, i teraz wyprowadza w pole swoją protektorkę. Co naprawdę zaszło między nią a Lisztem, gdy Marie była za granicą, a pianista zaskoczył dziewczynę w tym właśnie salonie? Madame d'Agoult krążyła niespokojnie po pokoju, obgryzając paznokcie.

Jednak zbyt dobrze się znała, by sobie wmawiać, że odczuwa tylko złość. Chociaż oba listki nie były adresowane do niej, obudziły coś w jej duszy. Przypomniała sobie namiętne listy z czasów młodości, radość, z jaką każdego dnia czekała na następne słowa pełne pożądania i miłości. Ile takich listków otworzyła i przeczytała bez wiedzy rodziców? W porównaniu z tamtym okresem jej późniejsze życie było puste i jałowe. Jedyne pocieszenie stanowiła sztuka.

Marie ponownie przeczytała pierwszy list, tym razem wyobrażając sobie, że słowa pianisty są adresowane do niej, nie do jego uczennicy. Wydobywały one uczucia, które po ślubie udało jej się zdusić, i wzbudzały żal, ogromny żal, ale przede wszystkim tęsknotę. Nie za mężczyzną, lecz za miłością - bezbrzeżną, nieopisaną tęsknotę za przekonaniem, że szczęście zależy od słów, spojrzeń i pieszczot kogoś bliskiego, że jest ktoś, kto niepodzielnie króluje we wszystkich snach i marzeniach. Kiedy po raz drugi dotarła do końca listu, brakowało jej tchu i już dokładnie wiedziała, co robi. Anne z pewnością nie uda się wyrwać z domu na spotkanie z Lisztem, więc Marie pójdzie zamiast swojej podopiecznej. Liszt prosił, żeby założyła maskę. Maski i woalki doskonale spełnią swoją rolę - pomyślała. Marie była trochę wyższa od Anne, ale tak samo jak ona smukła, a pod woalką nie będzie widać nieco ciemniejszych włosów. Decydując się na ten śmiały krok, osiągnie jednocześnie trzy cele: nie dopuści, żeby Anne się skompromitowała, zniechęci młodego człowieka do dalszego romansu, a przede wszystkim przypomni sobie własną młodość i tragiczną, zakazaną miłość.

Kiedy Armand odzyskał przytomność, Anne zdołała zamienić z nim kilka słów, potem wróciła gorączka.

- Hrabianko - powiedział Talon. - Pani kuzyn nie może tu zostać. Mamy zbyt wielu chorych, żeby lekarze mogli się nim zajmować.

Anne wiedziała, że młody człowiek ma rację, mimo to nie chciała odsyłać kuzyna do jego apartamentu, pod opiekę służącego. Istniała jeszcze jedna możliwość. Należało przewieźć chorego do hôtel Barbier. Dziewczyna z ciężkim sercem podjęła decyzję. Była pewna, że to posunięcie położy kres miłym chwilom, które ostatnio sprawiały jej wielką radość. Ojciec zorientuje się, jak wyglądają jej prawdziwe uczucia, i przestanie mieć nadzieję, że uda mu się pozbyć ciężaru, wydając córkę za mąż. Nie wiedziała, jak zareaguje, i to ją niepokoiło.

Niestety, nie mogła zostawić cierpiącego Armanda w miejscu, gdzie nikt nie był w stanie zapewnić mu należytej opieki.

- Zabiorę go do hôtel Barbier - powiedziała. Talon zaakceptował pomysł.

Gdy tylko Victor pojawił się po przekazaniu wiadomości madame d'Agoult, doktor i zakonnik przygotowali Armanda na drogę do domu Barbierów.

- Co mam robić? - spytała. - Jak należy zajmować się chorym?

Pierre spojrzał w pełne lęku i wątpliwości oczy Anne. Tak bardzo chciał wziąć ją w ramiona i pocieszyć, że musiał trzymać ręce za plecami. Doszedł do wniosku, że jej ogromny niepokój o kuzyna wskazuje na coś więcej niż zwykle więzy krwi. Może na przekór słowom madame d'Agoult hrabianka darzy Armanda uczuciem? Pomimo tych obaw Pierre wciąż rozkoszował się myślą, że udało mu się pomyślnie przeprowadzić pierwszą w życiu operację.

- Przez pierwszy tydzień proszę podawać kuzynowi tylko wodę i bulion. Potem może pani przyzwyczajać go do normalnego jedzenia, ale stopniowo, tak jak przyzwyczajają się dziecko, i dawać mu to, na co będzie miał ochotę. Jeśli rana dobrze się zagoi, powrót do zdrowia powinien trwać mniej więcej osiem tygodni.

- A co z jego... raną? Kto będzie zmieniał opatrunki?

Taak - pomyślał Pierre. - Z pewnością wytworna, delikatna dama nie powinna zajmować się opatrunkami w tak intymnym miejscu, nawet gdyby wkrótce miała zostać żoną pacjenta. Spojrzał na przysadzistego woźnicę, lecz ten tylko się przygarbił i odwrócił wzrok. Najwyraźniej nie czuł się na siłach do wykonywania takich zadań. Nie zastanawiając się więc nad pełnym znaczeniem swoich słów, Pierre powiedział:

- Będę przychodził w dogodnym dla pani czasie i zajmował się pani kuzynem. Przy okazji pokażę komuś ze służby, jak to robić, gdy nie będzie mnie u państwa.

Na widok ogromnej wdzięczności na twarzy hrabianki zapomniał o zdrowiu pacjenta.

- Zrobi to pan? Jak to miło z pana strony! - zawołała. - Jestem w domu codziennie do jedenastej. Czy to panu odpowiada?

Nawet gdyby Pierre miał całkiem inne plany, znalazłby sposób, żeby przyjść o wyznaczonej porze.

- Hôtel Barbier? Gdzie to jest?

Anne podała mu adres. Rue du Barq. Pierre nie mógł uwierzyć. Musiał przechodzić obok tego domu, kiedy szukał miejsca śmierci anonimowej ofiary cholery. Jedyne większe budynki przy tej ulicy były bardzo zniszczone i stały za wysokim murem, więc młodzieniec uznał, że mieszkają w nim zakonnice albo przeznaczony jest do rozbiórki. Tymczasem to musiał być hôtel Barbier.

- Proszę mnie oczekiwać jutro rano.

Udało im się jakoś ułożyć Armanda w karecie, chociaż z pewnością nie było mu zbyt wygodnie. Kiedy pacjent znalazł się już w środku, Pierre cofnął się o kilka kroków, a woźnica strzelił z bata nad grzbietami koni. Powóz szarpnął. Medyk skrzywił się na myśl, jaki ból musiał w tym momencie poczuć de Barbier, ale lepiej zabrać go ze szpitala, w którym zmarłby, jeśli nie z powodu choroby, to przez brak należytej opieki.

Pierre był w stanie takiej euforii, że nie przygnębiały go nawet krzyki chorych na cholere. Przez następne dwie godziny pomagał usuwać zwłoki z sali i przynosił wodę tym, w których wciąż, wbrew logice, kołatało się życie, a potem wrócił na rue des Bernardins, by dodać otuchy Georges'owi.

XV

Thérèse i służąca na przychodne szybko przygotowały dla pana de Barbiera największy pokój gościnny. Victor wniósł chorego po schodach, a Anne poszła za nimi, po drodze zdejmując kapelusik, szal i rękawiczki. Kiedy Armanda położono do łóżka, udała się do swojego pokoju, żeby się przebrać. Cała jej odzież była przesiąknięta obrzydliwym szpitalnym zapachem, którego w żaden sposób nie mogła się pozbyć. Kiedy Thérèse przysła jej pomóc, dziewczyna stała nago na środku swojego pokoju i drżała.

- Musi panienka wziąć gorącą kąpiel - powiedziała służąca i schyliła się po ubranie Anne.

- Nie dotykaj tego! - krzyknęła hrabianka. - Przynies kosz, włóż rękawiczki i spal to wszystko.

Thérèse była niepokieszona.

- Markiz nie będzie zadowolony, że wyrzuciłaś suknię, którą właśnie kazał ci uszyć.

- Chyba głównie dlatego, że jeszcze nie zdążył za nią zapłacić. Nic mnie to nie obchodzi - oznajmiła Anne, szczękając zębami.

Nie było jej bardzo zimno, ale przytłaczały ją ostatnie wydarzenia, kiepski stan zdrowia Armanda i własna zuchwałość, dzięki której znalazła kuzyna i sprowadziła go do domu.

Służąca przyniosła z garderoby peniuar i zarzuciła go Anne na ramiona. Kiedy dziewczynie zrobiło się trochę cieplej, Thérèse otworzyła drzwi garderoby i wyłożyła miedzianą wannę miękkimi ręcznikami, żeby mademoiselle było wygodnie w kąpeli.

- Przyślę służącą z wodą i koszem na ubranie.

Dziewczyna nie pamiętała, co robiła przed wejściem do cieplej, pachnącej lawendą wody. Zamknęła oczy i zasypiała, gdy Thérèse myła jej plecy i łąjała, że pojechała do Hôtel-Dieu, gdzie mogła się zarazić i umrzeć.

Po kąpeli Anne włożyła koszulę nocną i weszła do łóżka. Służąca przyniosła tacę z chlebem i bulionem, ale jej pani nawet nie chciała myśleć o jedzeniu. Była tak wyczerpana, że oczy same jej się zamykały.

- Markiz chciał, żebym cię do niego przysłała - oznajmiła Thérèse, owijając hrabiankę szczelnie kołdrą.

- Powiedziałam mu, że panienka jest niedysponowana. Rozmowa może zaczekać do rana.

- Thérèse - szepnęła Anne, zatrzymując służącą w drodze do drzwi. - Proszę, dopilnuj, żeby mój kuzyn miał wszelkie wygody i mógł odpoczywać.

Nim kobieta zamknęła drzwi, Anne już spała.

Marie po raz ostatni była w operze przed wybuchem cholery. Kilku artystów zmarło i co wieczór w ostatniej chwili decydowano się na kolejne zastępstwa. Dopiero w karecie zaczęła się więc zastanawiać, czy spektakl będzie udany.

Celowo przyjechała trochę wcześniej, żeby móc się ukryć i poobserwować Liszta. Serce waliło jej w piersiach jak uczennicy. Przez cały czas musiała sobie przypominać, że powinna być zła na Węgry, bo przez niego znalazła się w trudnej sytuacji. Widziała, jak elegancko ubrani goście wysiadają z powozów. Ku

swojemu zaskoczeniu zauważyła, że wielu z nich również zdecydowało się na założenie masek. Kiedy wychwyciła kilka fragmentów rozmów mijających ją ludzi, wszystko zrozumiała.

- Połączenie balu maskowego ze spektaklem *Don Giovanniego* to naprawdę świetny pomysł!
- Podobno artyści też mają się do nas przyłączyć.

A więc to tak - pomyślała. Liszt musiał o tym wiedzieć i mieć nadzieję, że Anne z nim zatańczy. Mógłby wtedy trzymać swoją młodziankę uczennicę w ramionach, kręcić się z nią w tłumie uczestników balu ośmielonych faktem, że ich twarze zakrywają maski. Czy powinna zostać? Początkowo miała zamiar pokazać się Lisztowi i zrugać go, że naraża na szwank reputację panny na wydaniu. Z drugiej jednak strony marzyła, żeby Węgier położył na jej plecach swoje delikatne, długie palce i ujął jej dłoń. Ciekawe, czy Liszt zauważy, że jego partnerką wcale nie jest Anne? Czy dobrze zna sylwetkę swojej uczennicy, czy wyryła mu się w pamięci wielkość i kształt jej dłoni? Przede wszystkim zaś, czy dziewczyna w jakikolwiek sposób zachęciła go do założeń? Najwyraźniej to nie był pierwszy liścik.

Tłum gęstniał. Wszyscy weszli do teatru, jeszcze tylko kilku spóźnialskich pędziło w stronę drzwi, tymczasem nigdzie nie było widać Liszta. Marie zaczęła się obawiać, że źle zrozumiała intencje Węgra, który nie tylko lubi się prowokacyjnie zachowywać, ale równie chętnie namawia młode damy do przełamania wszelkich konwenansów, a potem daje im prztyczka w nos, nie przyjeżdżając na umówione spotkanie. Właśnie miała zamiar się wycofać, wściekła, że dała się sprowokować, gdy kilka metrów od miejsca, w którym czekała, zatrzymała się dorożka. Wysiadł z niej wysoki, kościsty Liszt. On również miał maskę, ale czarna, jedwabna opaska z otworami na oczy ledwo zasłaniała jego charakterystyczne rysy twarzy. Marie była pewna, że każdy, kto go zna, nie będzie mieć wątpliwości, kto kryje się za tą maseczką.

Powoli rozejrzał się dookoła, najwyraźniej nie chcąc sprawiać wrażenia człowieka, który kogoś szuka. Czyżby nie był pewien uczuć swojej uczennicy? Może sprawy nie zaszły tak daleko, jak mogłoby się wydawać? Marie zastanawiała się, czy nie zmienić planów. Jeszcze wcale nie jest na to za późno - pomyślała. Gdy zostanie w ukryciu, Liszt po prostu dojdzie do wniosku, że Anne albo się przestraszyła, albo z jakiegoś powodu nie udało jej się wyjść z domu. Nikt nie będzie zdziwiony, jeśli Węgier pojawi się w operze sam.

Kiedy jednak pianista się odwrócił, aby wejść do teatru, Marie się przestraszyła, że lada chwila straci możliwość przyjrzenia mu się z bliska. Wyłoniła się więc z cienia i bez słowa położyła rękę na jego ramieniu.

- Tak się cieszę! - powiedział. - Nie wiedziałem...

Przytknęła palec do ust. Wiedziała, że musi milczeć, bo inaczej pianista natychmiast się zorientuje, że to nie jego uczennica. Weszli do teatru i zajęli miejsca w jednym z pierwszych rzędów. Pod wpływem intensywnego zapachu wody kolońskiej, potu i aromatu dobywającego się z woreczka z kamforą Marie poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. Dodatkowym powodem braku powietrza była szczelna woalka. Tego wieczoru hrabina d'Agoult zdecydowanie nie była sobą.

Orkiestra rozpoczęła uwerturę. Chociaż Marie знаła jej tematy, bo przeglądała nuty i grała fortepianową transkrypcję dokonaną przez samego Mozarta, nigdy wcześniej nie była w operze na *Don Giovannim*. Zaskoczył ją dramatyzm akordów rozpoczynających dzieło. Po chwili dała się porwać muzyce i przestała zwracać uwagę na swego towarzysza. Wychyliła się do przodu. Najpierw uległa czarowi pełnej emocji arii donny Anny by już po chwili zapoznać się z ambiwalentnymi uczuciami donny Elwiry Niepoprawny don Giovanni aż za

bardzo przypomina Liszta - pomyślała, a jej uczucia były tak samo zagmatwane jak emocje obu oszukanych przez don Giovanniego pań.

Początkowo Franciszek był pewien, że Marie się nie pojawi. Od momentu, kiedy wysłał list, przychodziło mu na myśl tysiąc przeszkód, które mogły sprawić, że przesyłka nie dotrze do adresatki, a jeśli nawet trafi do jej rąk, wywoła jedynie pogardę. Równie dobrze Marie mogła mieć na ten wieczór inne plany. Dlatego też gdy wysiadł z powozu i zauważył, że nie czeka na niego żadna zamaskowana dama, był przekonany, iż na próżno się trudził.

Kiedy stracił już wszelką nadzieję, z cienia wyłoniła się damska postać. Jej drobna figura, gracja ruchów, a nawet fakt, że początkowo zatrzymała się kilka kroków od niego - wszystko to świadczyło, że jednak przyszła. Kiedy położyła palce na wargach, by go uciszyć, wiedział, że to ona.

Gdy przeciskali się przez tłum na swoje miejsca, delikatny dotyk jej ręki wywoływał cudowne dreszcze. Choć hrabina włożyła rękawiczki, miała zimne dłonie. Mimo to wyczuwał gdzieś w głębi ogień jej namiętności.

Nie chcąc zwracać uwagi ani na siebie, ani na madame d'Agoult, zrezygnował z łoży, gdzie wszyscy mogliby ich zobaczyć, i wybrał miejsca w sali. Przedstawienie miało się już zacząć i większość publiczności siedziała, musieli się więc precyzyjnie przemieszczać przez pół rzędu widzów, którzy porozumiewali się szeptem i kiwali głowami. Franciszek kilkakrotnie usłyszał swoje nazwisko, ale Marie najwyraźniej nikt nie rozpoznał. Ucieszył się. Lepiej nie narażać jej na plotki.

Portierzy zgasili latarnie, które oświetlały salę, i rozbrzmiały pierwsze dźwięki. Franciszek przez chwilę martwił się o jakość spektaklu. Występowali śpiewacy drugiej kategorii. Primadonna rozchorowała się na cholera, a chociaż przeżyła, była jeszcze za słaba, by występować, dlatego musiała ją zastąpić dublerka. Krążyły pogłoski, że wkrótce jej miejsce zajmie sławna Giuditta Pasta, ale jeszcze nie przyjechała do Paryża. Najlepszy tenor uciekł przed epidemią do Włoch, zabierając ze sobą grupę krawców, którzy szyli kostiumy teatralne, oraz inspicjentów. Na szczęście rola tenora nie była tak ważna jak dwóch barytonów, więc Liszt miał nadzieję, że całość wypadnie stosunkowo dobrze. Jeśli nie, niezadowolona publiczność przestanie obserwować wydarzenia na scenie i zacznie żywiej interesować się widowiskiem. A to zniweczyłoby jego plany.

Na szczęście szybko się okazało, że spektakl jest naprawdę dobry. Mimo to Franciszek tylko kątem oka obserwował dramat rozgrywający się na scenie. Całą uwagę skupiał na Marie, każdym jej ruchu, oddechu i westchnieniu. Miał wrażenie, że gdyby nie muzyka, słyszałby bicie jej serca. Tymczasem madame d'Agoult tak była pochłonięta operą, że całkowicie zapomniała o swoim towarzyszu. Pianista zamknął oczy, żeby się skupić na cudownej muzyce Mozarta.

Nie udało mu się, za to dużo lepiej wyczuwał teraz trudny do określenia zapach, który jednoznacznie kojarzył mu się z hrabiną i jej salonem przy quai Malaquais.

Niezbyt uważnie obserwował dwie pierwsze sceny, poruszony swymi przeżyciami i oczekiwaniem. Na początku trzeciej poruszył się lekko w fotelu, żeby kątem oka móc widzieć Marie bez konieczności odwracania głowy. Śpiewacy wykonywali boski duet, w którym don Giovanni uwodzi służącą Zerlinę. Na podstawie tej właśnie melodii Chopin napisał wariacje, które urzekły Liszta tuż po przyjeździe do Paryża, chociaż jak na jego gust były trochę nudne. Mozart skomponował prościutką, piękną melodię dla szokującej sceny. Słuchając jej,

Franciszek postanowił, że spróbuje nieco się posunąć w swoich staraniach o względy hrabiny. Chciał sprawdzić, czy Marie mu na to pozwoli. Już sam ten pomysł wywołał u niego pewne podniecenie, dlatego musiał odsunąć na bok wizję, na którą madame d'Agoult na razie nie dała mu przyzwolenia. Gdy nieco ochłonął, zamarł w bezruchu, przygotowując się do działania.

*Là ci darem la mano, là mi dirai di sì.*⁶

⁶ Podaj mi dłoń, powiedz: tak.

Słowa króla uwodzicieli zaczęły zjednywać mu względy kokietki Zerliny. Franciszek przesunął prawą rękę po swoim udzie i dotknął lewej dłoni Marie. Wyczuł lekkie napięcie mięśni, jakby hrabina chciała się odsunąć, więc zmienił nieco pozycję, żeby nikt nie zauważył, jeśli będzie musiał się wycofać. Jednak Marie ani drgnęła, dlatego Liszt powolutku przesunął rękę coraz dalej, póki nie ujął dłoni ukochanej i nie przeniósł jej delikatnie na swoje kolana. Przez cały czas wykonywał niemal niedostrzegalne ruchy i walczył z pokusą, by spojrzeć w dół. Potem musnął palcem lewej ręki nadgarstek Marie i powolutku zaczął jej zdejmować rękawiczki. W tym czasie Zerlina odpowiadała don Giovanniemu.

*Vorrei e non vorrei;
mi trema un - poco il cor.*⁷

⁷ Chcę i nie chcę,
serce lekko mi drży.

Kiedy udało mu się zsunąć rękawiczkę, zaczął delikatnie muskać gładką skórę: palce, zagłębienie dłoni, nadgarstek. Tym razem ręka Marie była już dużo cieplejsza. Wydawało mu się, że jego partnerka nieco szybciej oddycha. Gdyby teraz cofnęła rękę, wszyscy siedzący w pobliżu zauważyliby, że nie ma rękawiczki, i domyśliliby się reszty.

*Andiam, andiam, mio bene, a ristorar le penne d'un innocente amor!*⁸

⁸ Chodź, mój skarbie, zaznajmy radości niewinnej miłości.

Przy ostatnich dźwiękach duetu Liszt, udając, że sięga po chusteczkę, delikatnie położył dłoń hrabiny na jej kolanie i przykrył ją rękawiczką.

Marie z trudem oddychała. Jak on śmie! Była pewna, że Liszt wciąż uważa ją za Anne. Gdyby postąpił z dziewczyną w taki sposób na oczach wszystkich zgromadzonych, naraziłby ją na opinię flirciarki. Bardziej jednak niepokoiła hrabinę jej własna reakcja na poczynania pianisty. Wcale nie chciała cofnąć ręki, wręcz marzyła, żeby Liszt się pochylił i pocałował jej dłoń... a potem usta. Czysta głupota!

Następna scena opery przedstawiała bal, a bileterzy podsuwali na bok krzesła, żeby publiczność też mogła tańczyć. Marie doszła do wniosku, że to doskonała okazja, aby wyjść bez zwracania uwagi. Nie miała pewności, czy zdołałaby nad sobą zapanować, gdyby w tańcu znalazła się w ramionach Liszta, skoro tak bardzo poruszył ją dotyk jego palców. Kiedy wszyscy wstali i usuwano krzesła, odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Wybiegając z teatru, słyszała dźwięki sceny zespołowej *Viva la liberté*.

Wcześniej odesłała swojego woźnicę i kazała mu przyjechać, gdy opera się skończy, dlatego poprosiła portiera, żeby wskazał jej najbliższy postój dorożek, a potem uniosła spódnice i pobięła. Kiedy zniknęła za zakretem, usłyszała wołanie Liszta:

- Wróć!

Przez całą noc w snach Anne pojawiały się krew i chorzy, a także twarze matki, Marie, Liszta i młodego doktora w najdziwniejszych miejscach: na zwłokach zmarłych, na wozach wieśniaków; głowa madame d'Agoult na chwilę znalazła się nawet na kościstych ramionach markiza.

Hrabianka obudziła się, gdy Thérèse rozsunęła kotary i wpuściła do sypialni promienie słońca. Nabrała nieco sił, nadal jednak bała się spotkania z markizem, dlatego naciągnęła kołdrę na głowę.

- Kuzyn chce się z panią zobaczyć - poinformowała Thérèse.

Armand się obudził! Anne odrzuciła kołdrę i ubrała się tak szybko, jak mogła. Nie wiążąc sznurówek, pobięła korytarzem do pokoju gościnnego, w którym leżał kuzyn. Służąca wołała za nią, że się potknie i zabije.

Młodzieniec siedział na łóżku i wyglądał dużo lepiej niż poprzedniego dnia.

- Dzięki Bogu - westchnęła.

Na twarzy Armanda pojawił się uśmiech.

- Koszmarnie mnie boli, ale myślę, że będę żył - oznajmił.

- Niedługo przyjdzie doktor, żeby cię zbadać.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętam, co się stało. Thérèse mi powiedziała. Dziękuję, Anne. Za... zaskoczyłaś mnie. Nie przypuszczałem, że jesteś taka... Chyba źle cię oceniłem.

Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę. Wcale jej źle nie ocenił. Szukała go ze zwykłych egoistycznych pobudek. Reszta to czysty przypadek. Nie chciała wracać do tego, co zaszło w szpitalu, wołała o wszystkim zapomnieć i wrócić myślami do Marie i lekcji z Lisztem. Marzyła, aby za godzinę zostawić kuzyna samego i udać się do apartamentu madame d'Agoult, wiedziała jednak, że byłoby to z jej strony postępowanie bezduszne.

Chociaż Armand czuł się dużo lepiej, wciąż był bardzo słaby. Po kilku minutach zauważyła, że zmęczyło go jej towarzystwo. Nie mogąc dłużej odkładać rozmowy z ojcem, życzyła kuzynowi miłego dnia i zeszła na parter na śniadanie.

Nim zdążyła zauważyć, że markiz siedzi przy okrągłym stole przy oknie, on już wstał i zaczął ją besztać.

- Może będziesz tak łaskawa i wyjaśnisz mi, co się wczoraj wydarzyło? - spytał ostro.

Wyglądał jak ciemna plama w pokoju zalanym promieniami słońca i chociaż jego sylwetka nie zasłaniała porannego światła, które wpadało przez okna, jego cień wydawał się nienaturalnie długi. Nigdy nie widziała ojca tak rozgniewanego.

- Dotychczas codziennie wysyłałem cię na quai Malaquais, wierząc, że tam właśnie jedziesz, bo... ta kobieta... zapewniła mnie, że tak nakazuje rozsądek. Teraz dowiaduję się, że wczoraj nagle postanowiłaś postąpić inaczej. Jak mam ci ufać?

Zacisnął wargi w wąską kreseczkę. Musiał nieźle zrugać biednego Victora.

- Martwiłam się o kuzyna. Zdziwiło mnie, że się nie pojawia i że zaprasza nas do siebie, zwłaszcza że jest tam bardzo niezdrowe powietrze, które mogłoby ci, ojcze, zaszkodzić. Poza tym nie rozumiem, co złego widzisz w moim zachowaniu.

- Co złego... Mam powody do obaw.

Anne czekała na dalsze wyjaśnienia ojca, on jednak milczał jak głaz.

- Jak widzisz, dobrze, że postąpiłam tak, a nie inaczej. - Urwała, chcąc osiągnąć lepszy efekt. - Może nie zdajesz sobie, ojcze, z tego sprawy, ale bardzo lubię Armanda... pana de Barbiera. - Starła się, by głos jej lekko zadrżał.

- Teraz pewnie będziemy musieli go karmić i niańczyć.

W głosie markiza nie było już tyle złości co wcześniej. Anne wydała ciche westchnienie ulgi.

- Dopóki niebezpieczeństwo nie minie, będzie się nim zajmował doktor Talon.

W tym momencie w głębi domu rozległ się dzwonek. Markiz i Anne nasłuchiwali dźwięku w całkowitym bezruchu. Dziewczyna wcale nie była zdziwiona, gdy Julien oznajmił przybycie doktora. Nie czekając na ojca, wyszła do westybulu, żeby przywitać miłego młodzieńca, który uratował życie kuzynowi.

- Witam, panie doktorze - powiedziała, wyciągając do niego rękę. - Miło, że jest pan taki punktualny.

- Niestety, muszę panią poprawić, mademoiselle - wydukał. - Dopiero będę doktorem. Na razie jestem na ostatnim roku medycyny na uniwersytecie... to znaczy, będę na nim, jeśli zdam najbliższe egzaminy.

Przez chwilę Anne nie wiedziała, co powiedzieć. Była zaszokowana, że student podjął się operacji. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

- Wiem, co pani o tym sądzi, ale ostatnio bardzo brakuje lekarzy, a w tej sytuacji liczyła się każda chwila. Widziałem kiedyś taką operację - wyjaśnił, chociaż głos mu się załamał.

- To znaczy, że życie mojego kuzyna wziął w swoje ręce człowiek, któremu się wydaje, iż jest doktorem?

Anne podskoczyła, słysząc głos ojca. Była tak zaabsorbowana opowieścią Talona, że nie słyszała stukania laski markiza.

- I moim zdaniem bardzo dobrze zrobił - oświadczyła.

Chęć sprzeciwienia się ojcu wzięła górę nad wątpliwościami dotyczącymi kwalifikacji młodego medyka. Student uśmiechnął się promiennie, a w jego oczach pojawił się blask.

Markiz łaskawie skinął mu głową i zniknął w głębi biblioteki.

- Zaprowadzę pana do kuzyna - oznajmiła Anne.

Hôtel Barbier wyraźnie popadał w ruinę, zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Natychmiast po przekroczeniu progu Pierre zauważył, że rezydencja rozpaczliwie wymaga remontu. Farba na poręczach się łuszczyła, zacieki na suficie świadczyły, że dach dawno temu przestał chronić przed deszczem. Mimo to trudno było uwierzyć, że w tak ogromnym budynku mieszka tylko hrabianka, jej ojciec i kilkoro służących. Po

niemilej scenie z markizem medyk poszedł za Anne okazałymi schodami do jednej z sypialni na pierwszym piętrze. Monsieur de Barbier spał i Pierre'owi było przykro, że musi go obudzić, ale nie mógł przyjść później.

- Chyba wygląda lepiej, prawda? - spytała Anne szeptem. Na dźwięk jej głosu Armand się poruszył i otworzył oczy.

- Jest pan pewnie doktorem.

- Tak - potwierdził Pierre, znacząco zerkając na mademoiselle de Barbier-Chouant. Lepiej, jeśli chory nie będzie wiedział, że zajmuje się nim człowiek, który nie ma odpowiednich kwalifikacji.

- Zostawię pana z pacjentem, doktorze - powiedziała Anne, kładąc delikatny nacisk na ostatnie słowo.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Pierre zaczął badać chorego. Blizna była bolesna w dotyku, ale nie zogniona. Delikatnie zmienił opatrunek.

- Przypuszczam, że dobrze panu w hôtel Barbier - powiedział.

- Jestem winien panu wdzięczność - wyznał młodzieniec.

- Niech pan nie będzie śmieszny.

- Ile bierze pan za taką operację? Z pewnością jestem w stanie za nią zapłacić.

Armand gwałtownie nabrał powietrza w płuca, gdy Pierre nałożył maść na ranę.

- Nie proszę o zapłatę. Byłem w Hôtel-Dieu i zrobiłem to, co do mnie należało.

Zabandażował dolną część brzucha. Armand dotknął rękawa Pierre'a.

- Widziałem, jak pan na nią patrzył.

Medyk wstał, czując przyspieszone bicie serca.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Markiz chce, żeby Anne wyszła za mnie za męża - wyjaśnił de Barbier. - Ale ona mnie nie kocha.

Pierre otworzył usta, chcąc wypytać młodego człowieka o szczegóły tej sprawy, ale powstrzymał się, gdy usłyszał charakterystyczny stukot laski o drewnianą podłogę. Chwilę później do pokoju wszedł markiz. Medyk odwrócił się do starszego pana i uprzejmie skłonił głowę.

- Proszę - powiedział markiz, podchodząc do Pierre'a z sakiewką w ręce.

- O nie, sir - zaprotestował Pierre, cofając się.

- Okazałbym ogromną niewdzięczność, gdybym nie zapłacił za usługę, którą wykonał pan dla kogoś z mojej rodziny.

Pierre zdał sobie sprawę, że jeśli nie przyjmie wynagrodzenia, urazi markiza, więc wziął sakiewkę. Była zaskakująco ciężka.

- Chętnie będę doglądał pana de Barbiera...

- Nie ma takiej potrzeby. Od dzisiaj będzie się nim zajmował mój lekarz.

Wskazał ręką drzwi.

Pierre spoglądał to na Armanda, to na markiza. Chory zamknął oczy, a starszy pan nawet nie spojrzał na medyka. Potraktował go jak służącego czy kupca, który przyniósł belę materiału lub starą książkę. Młodzieniec ponownie skłonił głowę i wyszedł.

XVI

Anne kazała przygotować karete i wyruszyła w drogę, zanim ojciec zdołał ją zatrzymać. Gdy tylko zajechała na quai Malaquais, wyskoczyła z pojazdu, nie czekając, aż woźnica otworzy jej drzwiczki. Uspokoila się dopiero w elegancko urządzonej salonie madame d'Agoult. Po krótkim powitaniu usiadła do fortepianu, żeby poćwiczyć.

Chociaż zawsze lubiła wysiłek, jakiego wymagało wykonywanie trudnych utworów, tego dnia czuła się tak, jakby ostatnie wydarzenia przeniknęły do jej mięśni i utrudniały ćwiczenie. Przez jakiś czas pracowała nad sonatą Beethovena i szlifowała ją, żeby w razie potrzeby móc zagrać ten utwór podczas koncertu, który madame d'Agoult chciała zorganizować w swoim salonie. Jeszcze nie uzgodniły programu, ale dziewczyna bardzo chciała sprawdzić swoje możliwości podczas publicznego występu, chociaż w głębi duszy bała się tego. Nie z powodu tremy, lecz dlatego, że występ będzie oznaczał koniec opieki Marie. Madame d'Agoult powiedziała Anne wystarczająco dużo na temat umowy z markizem, żeby dziewczyna zdawała sobie sprawę, iż ojciec wyznaczył granicę czasową.

Po sonacie wróciła do zadanej przez Liszta etiudy E-dur Chopina. Utwór ten nie został jeszcze wydany i gdyby Anne zagrała go podczas koncertu, byłoby to jego prawykonanie... w prywatnym salonie. Etiuda okazała się dużo trudniejsza od sonaty Beethovena i Anne zmagala się nie tylko z problemami technicznymi, ale i z aspektami muzycznymi. Budowa utworu była tak niezwykła, że dziewczyna nie mogła sobie z nią poradzić. Niby wszystko wydawało się proste: dwie bardzo zbliżone części skrajne i kontrastująca środkowa. Były to jednak tylko pozory. Etiuda zaczynała się piękną, liryczną melodią. Potem niespodziewanie, choć w tak logiczny sposób, że wszystko wydawało się całkiem naturalne, przechodziła w nieharmonijną i hałaśliwą część środkową. Po niej wracała liryczna melodia... i znów nic ich nie łączyło. Cały utwór był piękny, ale stanowił dla Anne istną zagadkę. Czuła, że nauczyciel nie będzie zadowolony z jej postępów.

Przez dwie godziny nie odrywała rąk od klawiatury, w końcu jednak Marie oświadczyła, że pora na lunch. Pomoc kuchenna przyniosła tacę z zimnymi mięsami, chlebem, galaretą i dzbankiem herbaty. Dziewczyna nie chciała przerywać ćwiczenia, ale od poprzedniego dnia niewiele jadła, dlatego poczuła, że jest głodna.

- O której przyjedzie monsieur Liszt? - spytała.

Chciała obliczyć, ile zostało jej jeszcze czasu na ćwiczenie... i przygotowanie się na podniecającą możliwość, że w kolejnym tomiku znajdzie liścik z informacją, gdzie mogą się spotkać, żeby porozmawiać na osobności.

- Przepraszam, że ci od razu nie powiedziałam - odparła Marie, wycierając usta lnianą serwetką. - Odwołałam dzisiejszą lekcję i przeniosłam ją na jutrzejsze popołudnie. Doszłam do wniosku, że skoro wczoraj nie ćwiczyłaś, możesz być nieprzygotowana. Poza tym nim Liszt ponownie pojawi się w tym domu, chciałabym omówić z tobą pewną sprawę.

Anne poczuła, że serce zamiera jej w piersi. Nie mogła się doczekać lekcji, tymczasem słowa Marie przypomniały jej, że jeszcze nie wytłumaczyła wczorajszej nieobecności. Szybko zrelacjonowała przebieg wydarzeń.

- Niesamowite - powiedziała Marie bardziej do siebie niż do Anne.

- Co takiego?

- Że to właśnie monsieur Talon, dżentelmen, który pomógł nam podczas koncertu, uratował życie twojemu kuzynowi.

- Tak.

Anne uśmiechnęła się wbrew własnej woli. Była zadowolona, że udało jej się znowu spotkać tego młodego człowieka.

- Zakładam, że monsieur Talon przypadł ci do gustu, podobnie jak poprzednim razem.

Dziewczyna właśnie miała zaprotestować, powiedzieć, że w ogóle się nad tym nie zastanawiała, gdy dostrzegła dość dziwny wyraz twarzy madame d'Agoult.

- O czym chciała pani ze mną porozmawiać?

- Mam do ciebie pytanie i proszę o szczerą odpowiedź.

Marie patrzyła podopiecznej prosto w oczy. Wie o liścikach - pomyślała Anne. Nie mogąc znieść tego poważnego spojrzenia, spuściła wzrok.

- Oczywiście - odparła.

Przez myśl przemknęły jej dziesiątki prawdopodobnych pytań i odpowiedzi. Bała się ich wszystkich.

- Możesz być wobec mnie całkiem szczerą. Zdaję sobie sprawę, że w wielu sprawach jesteś jeszcze całkowitą nowicjuską, zwłaszcza...

W tym momencie do salonu weszła Adèle z listem na tacy. Marie spojrzała na służącą, jakby chciała ją skarcić za przeszkadzanie, lecz gdy zobaczyła, że to ekspres, szybko sięgnęła po kopertę.

- Przepraszam - powiedziała.

Bez żadnych wyjaśnień zostawiła Anne samą w salonie. Dopiero po wyjściu pani domu dziewczyna poczuła, że mocno zaciska pięści i paznokcie jednej ręki wbija w drugą. Uświadomiła sobie również, że nie chce rozmawiać z Marie o Liszcie. Przynajmniej na razie. Wiedziała, że jeśli to zrobi, położy kres nie tylko lekcjom, ale i marzeniom o nauczycielu.

Gdy madame d'Agoult wróciła, miała przerzuconą przez ramię pelerynę podróżną.

- Przepraszam, Anne, ale wzywają mnie do Croissy. Mama jest chora.

Anne wstała i przygotowała się do wyjścia, dochodząc do wniosku, że bez problemu wróci do domu na piechotę.

- Zostań. Nie musisz wychodzić. Jestem pewna, że wrócę jutro rano... może nawet jeszcze dziś wieczorem. Jeśli nie będę mogła przyjechać, dam ci znać.

Madame d'Agoult wybiegła, nawet nie żegnając się z Anne.

Biedna Marie! - pomyślała dziewczyna. - Czyżby jej matka zachorowała na cholere? Ta okropna możliwość zagłuszyła radość i poczucie ulgi, że hrabinie zabrakło czasu, aby spytać o Liszta. W Croissy przebywały również dzieci madame d'Agoult. Im też może grozić niebezpieczeństwo.

Anne z powrotem siadła do fortepianu. Poczowała ucisk serca na wspomnienie nagłej śmierci matki. Nie - pomyślała. - Nie mogę do tego wracać. Zagrała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy, czyli wesołe tańce Schuberta, czekając, aż żywiołowa muzyka zagłuszy ponure myśli i wspomnienia. Marie wróci dopiero jutro... wszystko będzie dobrze... i nie wystarczy czasu na pytania, co się wydarzyło.

Nie czując ograniczeń, które narzucała obecność Marie, Anne dała upust swym kaprysom i fantazjom. Wyobrażała sobie dotyk rąk Liszta i zastanawiała się, czy wyznaczy spotkanie na jutro. Nie miała pojęcia, gdzie mogliby się spotkać ani co może między nimi zajść. Na pewno Węgier będzie wiedział, co zrobić. Oczywiście, o ile Marie wcześniej nie położy kresu ich potajemnemu romansowi.

Hrabina de Flavigny przy każdej chorobie czy niedyspozycji wmawiała wszystkim, że leży na łożu śmierci. W liściku do córki również podniosła alarm. Bolał ją brzuch, więc była pewna, że następnego dnia umrze na cholere.

Marie wiedziała, że matce najprawdopodobniej dolega tylko to, co zazwyczaj, ale nie mogła zlekceważyć wezwania, zwłaszcza że tęskniła za córeczkami, które ze względów bezpieczeństwa przebywały w château. Trzydzieści kilometrów to odpowiednia odległość od ogniska zarazy, która nie wyszła poza granice miasta i siała spustoszenie na przeludnionych, brudnych ulicach Paryża. Mąż Marie, Charles, przedłużył swoją wyprawę na północ, bez wątplenia czekając na informację, że może bezpiecznie wrócić do Saint Germain.

Marie miała zamiar sprawdzić, czy matka dobrze się czuje, spędzić trochę czasu z dziewczynkami i... przy odrobinie szczęścia wrócić jeszcze tego samego dnia. Gdy jednak przyjechała na miejsce, zauważyła, że matka rzeczywiście jest chora. Nie było to nic poważnego, ale wystarczyło, aby służba miała dość dźwięku małego dzwoneczka, który brzęczał co kilka minut.

- Tak rzadko cię widuję. Martwię się, że przebywasz w Paryżu. Zostaniesz z nami jakiś czas?

Hrabina de Flavigny wciąż mówiła po francusku z wyraźnym niemieckim akcentem. Kiedy narzekała, jej głos brzmiał niezmiernie irytująco.

- Nie mogę, mam - powiedziała Marie. - Mam w Paryżu dużo spraw do załatwienia.

- W takim razie zostań przynajmniej na noc. Pobądź trochę z dziećmi. Tęsknią za tobą!

Matka użyła jedyne argumentu, który mógł zatrzymać Marie na dłużej niż kilka godzin, zwłaszcza że świeże powietrze na wsi stanowiło miłą odmianę po dusznej atmosferze Paryża. Madame d'Agoult tak przyzwyczaiła się do zapachu śmierci, że niemal przestała go wyczuwać.

- Dobrze, zostanę na noc i wyjadę jutro rano.

Pocałowała matkę, potem usiadła, żeby trochę poczytać i dać służbie chwilę zasłużonego odpoczynku od ciągłych żądań hrabiny. Kiedy starsza pani opuściła głowę i zaczęła cicho pochrapywać, Marie odesłała nianię i zasiadła z Louise i Claire do obiadu. Dziewczynki pokazały jej swoje lalki i najnowsze rysunki.

Wieczorem hrabina d'Agoult i hrabina de Flavigny zjadły razem kolację przy małym stoliku w sypialni starszej pani.

- Kiedy Charles wraca? - spytała matka.

- Mam zamiar zorganizować w swoim salonie koncert. Może pojawi się do tego czasu.

Przyjazdy i wyjazdy hrabiego d'Agoult prawie nie docierały do świadomości Marie. Wcale za nim nie tęskniła, chociaż gdy wracał do miasta, lubiła przebywać w jego towarzystwie.

Nim nastała noc, przeczytała córeczkom bajki i sprawdziła, czy matka ma wszystko, co trzeba, po czym położyła się do łóżka. Długo nie mogła zasnąć. Nie wiedziała, co zrobić z Anne i Lisztem. Pianista nie był odpowiednią partią dla hrabianki, a gdyby dziewczynie coś się przydarzyło w czasie, kiedy znajduje się pod opieką Marie, markiz miałby prawo być zły.

Co gorsza, madame d'Agoult widziała, że Anne ubóstwia węgierskiego muzyka. Sposób, w jaki zachowywała się w jego obecności, rumieńce przy najłżejszym dotyku, nadgorliwość w ćwiczeniu... nawet fakt, że pod nieobecność Liszta rzadko o nim mówiła - wszystko to wskazywało, że hrabianka de Barbier-Chouant może obrać złą drogę. Nie należało również zapominać o przeszłości Liszta i jego romansie z hrabianką de Saint-Cricq, choć ojciec młodej damy rozwiązał problem, wydając córkę za mąż za bogatego ziemianina.

Co więcej, Marie musiała się zastanowić nad własnymi emocjami. Wmówiła sobie, że tylko z poczucia obowiązku poszła zamiast Anne na spotkanie, jednak zmaćniło ono jej spokój i rozbudziło marzenia. Dodatkowym powodem do obaw Marie był fakt, że Liszt zbyt swobodnie sobie poczynał, myśląc, że pieści dłoń Anne. Ciekawe, co między tymi młodymi zaszło. Marie była święcie przekonana, że Węgier wcale nie ma zamiaru żenić się ze swoją uczennicą. Za wysokie progi na jego nogi. Niezależnie od tego, co powiedziałyby na to markiz, sama Marie by się nie zgodziła.

Dręczył ją także całkiem inny problem. Jeśli położy kres lekcjom (które sama opłacała) i postara się trzymać Liszta z dala od Anne, nie tylko rozdzieli tych oboje, ale też odsunie go od siebie. Nie chciała zaś rezygnować z przyjemności, jaką było witanie go co kilka dni w salonie i przyglądanie mu się bez jego wiedzy. Podczas lekcji jedynie udawała, że czyta albo szyje. W rzeczywistości tylko trzymała przed sobą otwartą książkę i przez cały czas przyglądała się mistrzowi i uczniom. Przyszło jej na myśl, że gdyby umiała rysować, byłaby w stanie odtworzyć ręce Liszta i każdy szczegół jego rysów w różnych sytuacjach... Wciąż czuła delikatny dotyk długich palców na nadgarstku i w zagłębieniu dłoni. Od poprzedniego wieczoru kilkakrotnie wyobrażała sobie, jak te palce pieszczą jej ciało. Nigdy tak bardzo nie pragnęła dotyku mężczyzny.

Problem w tym, że on nie mniej pragnie - przypomniawszy sobie. Jego czuła pieszczota była przeznaczona dla młodszej od niego o rok dziewczyny, której zmysłów nie rozbudziły jeszcze cierpienia ani prawdziwa miłość. Na tę myśl Marie poczuła ostry ból, jakby niewidzialna dłoń zacisnęła się na jej sercu. Wyobraziła sobie Anne na łożu boleści, chorą jak jej matka. Hrabina zrobiła znak krzyża. Nie chcę tego - pomyślała, chociaż jak inaczej można wyleczyć Liszta z miłości do młodzianki hrabianki?

Może się uda - pomyślała - wyleczyć Anne. Młody medyk, którego dziewczyna spotkała w Hôtel-Dieu w bardzo ciekawych okolicznościach, byłby dużo lepszą partią. Sądząc po tym, jak opowiadała o jego bohaterstwie, wcale nie był jej obojętny. Markizowi na pewno się to nie spodoba, ale Marie wiedziała, że Armand i Anne nigdy się nie pobiorą, a lekarze zdobywają coraz wyższą pozycję w społeczeństwie. Co więcej, monsieur Talon kocha muzykę.

Jeśli tylko jej się uda, spróbuje znów ich ze sobą zetknąć. Być może nie jest to najmądrzejsze rozwiązanie, bo zbyt mało wiadomo o młodym człowieku, ale od spotkania w operze Marie coraz mniej się przejmowała obowiązującymi zasadami. Nawet nie myślała o tym, jak nisko musiała upaść, skoro zastanawia się nad romansiem z Lisztem. Gdyby udało jej się położyć kres miłości protegowanej, osiągnęłyby dwa pożądane cele: Anne byłaby bezpieczna, a ona sama miałaby szansę na miłość, o której wcześniej mogła tylko marzyć.

Poprzedniego dnia, kiedy Pierre zoperował pana de Barbiera, Georges oświadczył, że czuje się wystarczająco dobrze, by wrócić do swoich obowiązków w Hôtel-Dieu.

- Nie chcę, aby zaczęto myśleć, że ty to ja - powiedział, świadom, że przyjaciel wpisywał na karcie jego imię i nazwisko.

- Wciąż wyglądasz na zmęczonego - zauważył Pierre.

Georges nadal miał ciemne sińce pod oczami, chociaż ostatnio dużo spał i leżał w łóżku.

- Bzdura! - zaprotestował. - Poza tym teraz, kiedy wiem, że mam szansę wykazać się śmiałością i odwagą, nie chcę, abyś znowu mnie zastąpił.

Pierre wiedział, że przyjaciel tylko się z nim droczy, a w rzeczywistości ma wyrzuty sumienia, bo nie jest w stanie wykonywać swoich obowiązków. Gdy jednak Georges obstawał przy swoim, Talon z prawdziwą ulgą zaczął myśleć, że przez jakiś czas nie będzie musiał chodzić do okropnego szpitala.

Kiedy Georges wyszedł do Hôtel-Dieu, Pierre postanowił wrócić do nauki, którą ostatnio mocno zaniedbał. Chociaż bardzo się starał zapamiętać wszystkie możliwe sposoby udzielania pomocy w przypadku zwichnięć oraz skutecznego stosowania pijawek, ani na chwilę nie mógł przestać myśleć o Anne. Kiedy tego ranka odwiedził pana de Barbiera, starał się zwracać uwagę na wszystko, co działo się w najbliższym otoczeniu hrabianki. W rezultacie dowiedział się o niej i jej sytuacji niepokojących rzeczy. Markiz był człowiekiem przerażającym. Ponieważ potraktował Pierre'a z pogardą, młody mężczyzna bez trudu potrafił sobie wyobrazić, że ojciec Anne może mieć wystarczające wpływy, aby zmienić dokumenty albo dołożyć wszelkich starań, by zostały wypełnione tak, jak mu to odpowiada.

Pierre zauważył również, że drzwi na prawo od wejścia były zamknięte na kłódkę i miały zniszczone brązowe okucia. Ich spore rozmiary i piękne rzeźbienia kazały przypuszczać, że za nimi znajduje się raczej elegancki salon, a nie magazyn. Dlaczego więc markiz zamknął to pomieszczenie przed domownikami? Nie miał jednak kogo o to spytać.

Hrabianka najwyraźniej szybko odzyskała siły po przeżyciach minionego dnia, a kiedy wyłoniła się z pokoju za wspaniałymi schodami, stanowiła ucieleśnienie świeżości, delikatności i piękna. Była wobec niego życzliwa, ale potraktowała go jak osobę dużo gorszą od siebie, a w jej oczach nie wyczytał nic oprócz wdzięczności. Potem przypomniał sobie tajemniczy komentarz pana de Barbiera, że markiz chce wydać za niego swoją córkę. Niestety, medyk miał za mało czasu, by dowiedzieć się od swojego pacjenta czegoś więcej.

Po godzinie czy dwóch zastanawiania się nad wydarzeniami poprzedniego dnia uznał, że nie ma sensu ślezczyć nad książkami. Nic nie wchodziło mu do głowy. Postanowił więc odwiedzić Gardive'a, porozmawiać z nim o ostatnich wydarzeniach i podzielić się spostrzeżeniami na temat domu markiza.

Gardive wyglądał tak, jakby od ostatniej wizyty Pierre'a nie wychodził z biura. Jedyne stos dokumentów na drewnianej tacy był wyższy, a urzędnik miał oczy bardziej zmęczone niż poprzednio.

- Widzę, że tym razem nie odwiedza mnie pan w środku nocy - powiedział, a jego twarz zdradzała, że wcale nie był to żart.

Pierre poczuł, że się rumieni.

- Nie, ale mam dla pana informacje może mało ważne, ale dokładniejsze.

- Niech pan siada - powiedział urzędnik, wyraźnie łagodniejąc. - Znudziło mi się liczenie i wpisywanie danych do tabel.

Krzesło miało proste oparcie, ale w pomieszczeniu było tyle papierów, teczek i ksiąg, że brakowało miejsca na coś wygodniejszego.

Pierre odchrząknął.

- Dziś rano odwiedziłem dom markiza de Barbiera-Chouanta.

- W ramach obowiązków członka lokalnej komisji? - spytał Gardive.

- Nie. Dziwnym trafem zetknęły mnie z tą rodziną sprawy osobiste.

Opowiedział urzędnikowi ostatnie wydarzenia.

- *Sainte Marie!* Ten młody człowiek miał wyjątkowe szczęście! Wszystko mogło się skończyć inaczej - powiedział Gardive, prawdopodobnie mając na myśli brak doświadczenia Pierre'a.

- Tak czy inaczej - ciągnął medyk - monsieur de Barbier wraca do zdrowia. Natomiast hôtel Barbier to bardzo dziwne miejsce.

W kilku słowach opisał markiza i starą rezydencję, powiedział nawet o drzwiach zamkniętych na kłódkę.

- Markiz jest członkiem starej gwardii dworaków - wyjaśnił Gardive - którzy zostali usunięci po wstąpieniu na tron Ludwika Filipa. W Paryżu można znaleźć kilka takich osób, którym brakuje dworskich intryg oraz szansy szlifowania swojego dowcipu i inteligencji.

Po tych słowach urzędnik powinien właściwie odesłać Pierre'a i wrócić do swoich obowiązków, jednak wysunął jedną z szuflad, wyjął z niej olbrzymią kopertę z dokumentami i podał ją młodemu mężczyźnie.

- Ja też zdobyłem trochę dodatkowych informacji - oświadczył.

Pierre otworzył kopertę i wyjął kilka dokumentów, które wyglądały na akty urodzenia.

- Często dochodzę do wniosku, że człowieka patrzącego tylko na to, co ma przed nosem, łatwo można wyprowadzić w pole. Ci, którzy próbują nas oszukać, zakładają, że nie będziemy grzebać głębiej i poprzestaniemy na najprostszycy pytaniach.

Pierre trzymał w ręku listę dziewczynek, które urodziły się osiemnaście lat temu w Paryżu w dniu świętej Anny, dwudziestego szóstego lipca tysiąc osiemset czternastego roku. Ponieważ był to rok restauracji, okres, kiedy znów wypadało być dobrym katolikiem, wielu rodziców wybierało dla swoich dzieci imiona świętych.

- Proszę spojrzeć w miejsce, które zaznaczyłem ołówkiem.

Pierre przyjrzał się liście i zauważył dziecko, które urodziło się w Saint Germain. Dziewczynce nadano imię Anne. W rubryce „ojciec” było pusto, jako matkę wpisano Sandrine P... Czytelna była tylko pierwsza litera nazwiska, reszta została wydrapana.

- A teraz proszę popatrzeć tu.

Gardive podał Pierre'owi następną kopertę. Były w niej akty chrztu z Saint Germain de l'Auxerrois, między nimi akt chrztu Anne de Barbier-Chouant z szesnastego lipca tysiąc osiemset piętnastego roku.

- Pytanie brzmi - powiedział Gardive - jak można ochrzcić dziecko, które się nie urodziło. Znalezienie tego dokumentu kosztowało mnie sporo wysiłku, bo akty chrztu są przechowywane gdzie indziej. - Odchrząknął, ponownie sięgnął do szuflady i wyjął jeszcze jedną kartkę. - *I voilà*. Mój ostatni dowód.

Podał dokument Pierre'owi, który trzymał teraz kopię aktu ślubu, który markiz Henri de Barbier-Chouant zawarł z Sandrine Poitou dwudziestego szóstego sierpnia tysiąc osiemset czternastego roku.

- Jak pan widzi, dzięki wycieczce za granicę i mamce na wsi przez kilka pierwszych lat bastard staje się legalnym dzieckiem i cały świat oddycha z ulgą.

Gardive rozparł się w krześle i splótł dłonie nad głową. Uśmiechnął się promiennie, wyraźnie zadowolony z efektu swoich poszukiwań. Pierre nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Dowody wskazywały, że Anne nie jest córką markiza. Co skłoniło człowieka, który dawno przekroczył czterdziestkę i miał godną pozazdroszczenia pozycję na dworze, do zawarcia takiego małżeństwa i popełnienia oszustwa?

- Gdzie pan to znalazł? - Pierre oddał Gardive'owi dokumenty.

- Nie mogę powiedzieć. Znajdowały się w tym budynku, ale nie na swoim miejscu; tam za to, gdzie bardzo trudno było je znaleźć.

- Czy trzeba mieć duże wpływy... albo pieniądze, żeby załatwić coś takiego?

Gardive wzruszył ramionami.

- Kto wie? Pokazałem panu tylko dokumenty. Jeśli interesują pana motywy, należałoby wziąć pod uwagę dwie rzeczy, których ludzie pragną najbardziej: miłość i pieniądze. A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym wrócić do pracy.

Urzędnik zakończył rozmowę, i po chwili Pierre znów znalazł się na quai l'Horloge. Stanął nad rzeką i obserwował przepływające barki. Jeszcze przed jego urodzeniem, przed rewolucją zburzono budynki, które stały nad samą rzeką, żeby z obu brzegów można było zobaczyć Sekwanę. Z miejsca, w którym stał, spod gmachu prefektury, było widać wozy ze zwłokami i chorymi przejeżdżające przez Pont Notre Dame w obie strony. Medyk nie mógł uwierzyć, że markiza, matka Anne, zmarła na cholera. Myśląc o niej, wbrew własnej woli zaczął sobie wyobrażać nieco starszą wersję hrabianki. Po chwili odegnał od siebie ponure myśli.

Gardive podał dwa motywy: miłość i pieniądze. Może madame d'Agoult wie coś na temat pierwszego. Jeśli chodzi o drugi, Pierre nie miał pojęcia, jak się dowiedzieć, czy markiz ukrywa coś oprócz dokumentów.

Skierował się pośpiesznie w stronę Dzielnicy Łacińskiej. Jeśli Georges wrócił, może uda się go namówić na wspólną wyprawę do kawiarni.

XVII

Kiedy Franciszek otrzymał od Marie liścik, że przekłada lekcję Anne na następny dzień, nie bardzo wiedział, jak to rozumieć. Chłodne, oficjalne słowa zupełnie nie pasowały do kobiety, która zgodziła się spotkać z nim w przebraniu i pozwoliła pieścić swoją dłoń. Już samo to pobudzało jego rosnącą namiętność i jeśli się nie mylił, z Marie było podobnie.

Dlaczego teraz się wycofuje?

Pianista przegrał utwór, który komponował od kilku tygodni i który wciąż nie spełniał jego oczekiwań. Skończył kadencję, po czym zamarł z lewą ręką na klawiaturze i dociśniętym pedałem, żeby dźwięk wygaszał powoli, a harmonijne współbrzmienie rozplątało się wśród delikatnych alikwotów do chwili, kiedy nie będzie już można określić akordu, którym kończy się serenada.

Oczywiście. To cała Marie. Nie zdecydowane, pełne życia tony, które jest w stanie usłyszeć nawet półgłuchy, ale subtelna mieszanina zamierających dźwięków, możliwych do wychwycenia tylko wtedy, gdy człowiek uzbroi się w cierpliwość. Franciszek doszedł do wniosku, że pewnego dnia skomponuje utwór, który odda taki stan rzeczy, a potem zaprezentuje swoje dzieło ukochanej. Zrobi to w jakimś egzotycznym miejscu, za granicą... może w Wenecji. Wyobraził sobie sypialnię skąpaną w promieniach porannego słońca, które wpadają przez delikatne jak mgiełka zasłony i muskają wspaniałe loki rozrzucone na jedwabnej poduszce. Wstałby wcześniej, żeby móc na Marie popatrzeć, a gdyby się poruszyła, po cichutku przeszedłby przez pokój, usiadł przy fortepianie i zaczął grać, aby tuż po przebudzeniu do jej uszu dotarły dźwięki muzyki.

Franciszek nie miał pojęcia, ile czasu śnił na jawie, wiedział tylko, że do niczego nie będzie się nadawał, dopóki jakoś sobie nie ułoży spraw z Marie. Tylko czy może naciskać? Już się od niego odsunęła... chyba że to dowód jej własnych wahań.

Jutro znów ją zobaczy i na pewno będzie w stanie ocenić sytuację. Na razie był zbyt niespokojny, żeby pracować, więc poszedł poszukać Alfreda w kawiarni, w której poeta spędzał niemal wszystkie popołudnia.

Ku zaskoczeniu Anne ojciec nagle zaczął bardzo się interesować leczeniem Armanda i opieką nad nim. Uparł się, że będzie przy nim siedział i podawał mu wodę czy też bulion. Tego popołudnia osobiście czytał kuzynowi, a wieczorem nakazał ciszę, żeby monsieur de Barbier mógł zasnąć.

Może ojca stać na jakieś uczucia w stosunku do kogoś innego oprócz zmarłej żony - pomyślała Anne, którą trochę bolało, że starszy pan okazuje troskę niemal obcej osobie. Może łatwiej zajmować się kimś, kto ma szansę na powrót do zdrowia, nie znajduje się w beznadziejnym stanie jak umierająca w katuszach żona? Anne nie potrafiła sobie inaczej wytłumaczyć dziwnego postępowania markiza.

Chociaż czuła się urażona, że ojciec wciąż tkwi przy Armandzie, taki stan rzeczy przyniósł jej pewne korzyści. Opieka nad panem de Barbierem pochłaniała mnóstwo czasu, dlatego markiz prawie nie zwrócił uwagi na Anne, gdy wróciła od Marie dzień po operacji Armanda. Dziewczyna miała nadzieję, że ojciec zapomni o jej nieposłuszeństwie, ale bardzo się myliła. Następnego ranka kazał jej przyjść do biblioteki, bez wątplenia po to, by ją zrugać. Nie cierpiała takich wezwań.

Jednak gdy weszła, markiz wcale nie wyrzucił z siebie gorzkich oskarżeń, lecz spokojnie poprosił ją, żeby usiadła naprzeciwko niego przy kominku. Kiedy zajęła wskazane miejsce, zaczął mówić powoli i spokojnie, jakby zastanawiał się nad każdym, dziwnym dla niego słowem.

- Być może w ciągu kilku tygodni, które minęły od śmierci twojej matki, nie byłem najlepszym ojcem. Nie odrywał wzroku od migocących płomieni.

Początkowo Anne nie wierzyła własnym uszom. Czyżby ją przeproszał? Nie była pewna. Spójrz na mnie - pomyślała. Uczucia ojca i jego słowa sprawiały jej ogromną przyjemność, ale dopóki nie podniesie on głowy i nie uda jej się ocenić wyrazu jego twarzy, nie będzie wiedziała, czy mu zaufać.

- Chciałbym wiedzieć... o ile możesz mi to zdradzić... czy jeśli twój kuzyn wyzdrowieje, wyjdiesz za niego za męża.

O to chodzi! - pomyślała Anne. Ojciec udaje całkowity spokój, żeby nakłonić ją do wyznań.

- Nie... nie wiem, ojczu. Z drugiej strony to nie tylko do mnie należy decyzja, prawda? A monsieur de Barbier w tej chwili nie jest w stanie myśleć o małżeństwie.

Markiz poruszył szczęką - jak zwykle, kiedy był niezadowolony - gdy jednak znów się odezwał, jego słowa zabrzmiały łagodnie.

- Jak sądzisz, byłabyś w stanie go poślubić? - spytał.

Co powiedzieć? Trudniej skłamać, odpowiadając na pytanie zadane wprost, niż powiedzieć, gdzie i dlaczego się wychodzi, albo udawać sympatię do kuzyna.

- Dlaczego to takie ważne, czy Armand i ja weźmiemy ślub? - spytała. - Na pewno znajdę kogoś innego...

- Odpowiedz na moje pytanie! - warknął starzec, zaciskając palce na oparciu krzesła.

Dziewczyna zamrużyła powiekami i skuliła się, zaskoczona nagłą zmianą tonu.

- Przerażasz mnie, ojczu - powiedziała.

Odsunął się od niej i na powrót wbił wzrok w tańczące płomienie. Ogień był zbyt duży jak na tę porę roku, więc Anne zrobiło się gorąco i duszno.

- Nie mogę udzielić ci odpowiedzi, ojczu - oznajmiła. - Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Po prostu nie wiem. Mama nie zmuszałaby mnie do tego.

Za wszelką cenę starała się powstrzymać łzy złości. Z własnego doświadczenia wiedziała, że szloch nie zmiękczy serca markiza.

- Nic nie wiesz o świecie. Proponuję, żebyśmy wrócili do tej rozmowy, jak będziesz w stanie udzielić mi należytej odpowiedzi - powiedział tym samym przykrym tonem, jakim wyprosił ją z sali balowej w dniu śmierci matki. - Zobaczymy się na kolacji.

Anne wybiegła z biblioteki. Po drodze minęła Julię, który nioś na srebrnej tacy bilet wizytowy. Pędząc po schodach, kątem oka dostrzegła w westybulu dwóch dżentelmenów w ciemnych surdutach. Nie zastanawiała się, kim są ani po co przyszli, chociaż miała wrażenie, że już ich gdzieś widziała.

Zamiast pobiec do swojego pokoju, skręciła w drugą stronę i poszła do kuzyna. Musiała z nim porozmawiać, żeby nie udzielił markizowi innej odpowiedzi i nie zobowiązał się do czegoś pod wpływem

ciężkiej choroby. Nie kochała go, ale dobrze mu życzyła. Należał do rodziny, nawet jeśli był tylko dalekim krewnym.

- Armandzie? - szepnęła.

W pokoju wciąż panowała ciemność. Thérèse jeszcze nie rozsunęła zasłon.

- Kto tu jest? - spytał młodzieniec słabym głosem.

Nie spał, więc Anne rozsunęła kotary i odwróciła się, żeby spojrzeć na kuzyna. Na jego widok gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Był pookręcany prześcieradłem, a z okolic pachwiny, miejsca operacji, sączył się żółty płyn. Jego twarz przypominała kolorem budyń waniliowy.

- Tak - szepnął ledwo słyszalnym głosem.

- Nieprawda! Czy wczoraj wieczorem nikt się tobą nie zajął? Nie siedział przy tobie mój ojciec albo Thérèse?

- Był przy mnie, póki nie zasnąłem. Podał mi bulion. Jakie potem miałem sny!

Armand próbował się poruszyć, ale krzyknął z bólu. Anne dostrzegła w kącikach jego oczu łzy.

Zadzwoniła na Thérèse. Kiedy służąca stanęła w drzwiach i ujrzała Armanda, niemal upuściła tacę, którą miała w rękach.

- Musimy wezwać lekarza - oświadczyła Anne. - Jego stan znacznie się pogorszył.

Pobiegła w stronę drzwi, tak zaaferowana myślą, żeby poszukać Victora i kazać mu przygotować powóz, że omal nie zderzyła się z ojcem, który stał na progu i patrzył spode łba.

- Dokąd tak ci się śpieszy? - spytał.

- Po lekarza - wysapała. - Ojciec, Armand jest ciężko chory.

Widząc wzrok markiza, zatrzymała się w pół kroku.

- Poślę po Magendiego. Jedź na lekcję. Nie będę...

Głos mu się załamał. Zawsze bardzo precyzyjnie się wyrażał, dlatego Anne dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ojciec nie ma zamiaru skończyć zdania. Chciała spytać, dlaczego przyjść ma Magendie. Dlaczego nie Talon, który przecież uratował Armandowi życie? Nie chciała słyszeć o Magendiem. To on powiedział, na co jest chora matka, i oświadczył, że nie ma dla niej ratunku. Anne spojrzała na Thérèse, potem na Armanda i wróciła wzrokiem do markiza. Między całą trójką działo się coś, czego nie rozumiała. Zależało jej tylko, żeby kuzyn wyzdrowiał i wrócił do siebie. Chciała brać lekcje u Liszta. Marzyła, żeby sympatyczna rutyna zajęła miejsce chaosu, który od kilku tygodni panował w jej życiu. Nawet perspektywa potajemnego spotkania z Lisztem straciła część uroku.

Dziewczyna wydała krótki okrzyk rozpaczony i wybiegła z pokoju. Słyszała, że Thérèse wypadła za nią, ale zatrzymała się tylko po to, żeby zabrać z sypialni rękawiczki i pelerynę, przepchnęła się obok pomocy domowej, która próbowała stanąć jej na drodze, i zbiegła ze schodów. Gdy dotarła do drzwi, Victor czekał już w powozie. Anne najchętniej posłałaby go do Hôtel-Dieu po doktora Talona, ale zabrakło jej odwagi. Usiadła na ławce. Czuła, że ze złości i zmartwienia ma napięte wszystkie mięśnie. Nie rozumiała ojca ani nagłej zmiany

nastroju po porannej rozmowie... Czy miała ona coś wspólnego z wizytą dwóch mężczyzn, których widziała w westybulu i którzy najwyraźniej opuścili dom przed jej wyjściem?

Niezależnie od przyczyny chciałaby, żeby ojciec dał jej święty spokój i pozwolił zająć się swoimi sprawami. Bardzo żałowała, że Armand pojawił się w jej życiu. Chciała, żeby... Powstrzymała się w pół myśli. Jak mogła życzyć źle młodemu człowiekowi, który oprócz ojca był jej jedynym krewnym?

Mimo to wyobrażnia podsuwała jej najdziwniejsze obrazy. Bardzo chciała opowiedzieć o tym wszystkim madame d'Agoult. Marie jest taka mądra! Na pewno pomoże jej się uspokoić i pogodzić z losem.

Lokaj, który otworzył drzwi na quai Malaquais, poinformował, że hrabina jeszcze nie wróciła z Croissy, ale kazała wpuścić Anne do salonu.

Tego ranka dziewczyna grała na fortepianie tak, jakby od tego zależało jej życie. Palce same poruszały się po klawiaturze, a ona wędrowała wszędzie tam, gdzie ją zaprowadziły, nawet jeśli kazały jej unosić się nad ziemią. Czas przestał istnieć, liczyło się tylko następstwo dźwięków i długość ich trwania. Prawie nie zauważyła, kiedy służąca wniosła tacę z lunchem, nie zorientowała się, że mijają godziny, a Marie wciąż nie wraca. Nie spoczęła, póki dzwonek nie oznajmił przybycia nauczyciela. Tylko przez chwilę się zastanawiała, czy powinna zacząć lekcję pod nieobecność madame d'Agoult, ale natychmiast odsunęła od siebie wątpliwości i kazała lokajowi wprowadzić pana Liszta do salonu.

Kiedy Franciszek przyjechał na quai Malaquais, był bliski rozpacz. Rozmowa z Alfredem spowodowała jeszcze większy niepokój. Postanowił, że albo tego dnia dowie się, jakimi uczuciami darzy go Marie, albo w drodze powrotnej rzuci się do Sekwany. Jeśli ukochana powie mu, że nie ma żadnej nadziei, przynajmniej będzie mógł położyć kres namiętności, która zaczęła odsuwać na bok wszelkie inne myśli.

Popędził prosto do domu przy quai Malaquais, marząc o powitaniu madame d'Agoult i wyczytaniu odpowiedzi na swoje pytanie w jej wszystkowiedzących oczach. Ku swojemu zaskoczeniu zastał tylko siedzącą przy fortepianie Anne. Wstała, żeby się z nim przywitać. Może to jedynie iluzja, bo nie było Marie i nie mógł ich obu porównać, ale hrabianka wydała mu się wyższa niż zwykle. Spojrzała mu prosto w oczy, zamiast skromnie spuścić wzrok, dostrzegł w nich pytanie... a może smutek? Lub strach? Liszt zawsze uważał, że Anne jest ładna, ale niezmiennie pozostawała w cieniu madame d'Agoult, dlatego nigdy jej się nie przyglądał. Traktował ją tylko jako pośredniczkę, która umożliwi mu dotarcie do celu, a nie konkretną osobę. Tymczasem w ten majowy dzionek stała przed nim młoda kobieta, która czekała na jego instrukcje i wyraźnie w głębi duszy coś przeżywała. Natychmiast wpadł na pomysł, jak to wykorzystać.

- Zagraj etiudę. Z pamięci - polecił.

Spojrzała na niego pytająco.

- Nie da się całkowicie zagłębić w muzyce, jeśli człowiek nie odrywa oczu od nut. Nie bój się. Znasz tę etiudę na pamięć.

Potem, zamiast przyciągnąć krzesło i usiąść obok Anne, żeby móc obserwować jej ręce i ewentualnie ją poprawiać, stanął za plecami swej uczennicy i patrzył jej przez ramię. Pod uniesionym wiekiem fortepianu widział poruszające się młotki. Pierwsze dźwięki tajemniczej etiudy Chopina spłynęły na niego, jakby to on pieścił palcami klawiaturę. Bez zastanowienia pochylił się nad Anne i zaczął jej szeptać do ucha.

Lokaj powiedział, że hrabina lada chwila powinna wrócić, więc Anne nie widziała nic niestosownego w fakcie, że zaczynają lekcję we dwoje. Co dziwne, będąc z Lisztem sam na sam, mniej się denerwowała niż w obecności Marie. Czuła się tak, jakby ona i węgierski pianista byli dziećmi, które na chwilę wyrwały się spod skrzydeł opiekunek i dzięki temu mogły swobodnie się pobawić, nie zwracając uwagi, że niszczą ubranka.

Liszt poprosił, żeby zagrała etiudę z pamięci. Tym razem muzyka Chopina idealnie pasowała do jej nastroju, więc zamknęła oczy i zaczęła grać. Miał rację. Melodia pojawiła się sama, tyle że wypływała nie z nut, lecz prosto z serca. Co więcej, z potajemnej korespondencji i faktu, że nagle znaleźli się tylko we dwoje, zrodziła się między nimi osobliwa nowa więź, dlatego Anne wcale się nie dziwiła, że Liszt nie usiadł obok, lecz stanął z tyłu i położył ręce na jej ramionach. Jego dotyk sprawił, że dziwny dreszcz spłynął od ramion do palców i prowadził ręce po klawiaturze. Po chwili całkowicie zatopiła się w muzyce. Gdy Liszt zaczął jej szeptać do ucha, jego wargi były tak blisko, że od czasu do czasu czuła ich muśnięcie, ale nawet to wydawało się całkiem naturalne.

- Nie bój się - szepnął. - Jesteś młoda i niewinna. Twoje myśli w pierwszej części są czyste, wyczuć w nich można jedynie odrobinę melancholii. Jesteś zakochana, rozglądasz się, ale jeszcze nie widzisz mężczyzny, który zaspokoi twoje najskrytsze marzenia.

Mówił powoli, w rytm poszczególnych fraz, dlatego Anne miała wrażenie, że on wypowiada na głos jej własne myśli. Muzyka rozdarła ją na dwie części: jedna grała na fortepianie, a druga szeptała jej na ucho.

- Widzisz go. Czujesz przyspieszone bicie serca. Patrzycie sobie w oczy, ale wciąż się boisz, dlatego pozwalasz mu odejść, nie wyznając miłości.

Kiedy skończyła się pierwsza część, Anne uległa wizjom i fantazjom. Głos Liszta docierał w głąb duszy i zamieniał się w muzykę. Dziewczyna nagle zrozumiała graną przez siebie etiudę. Zaczęła dostrzegać i słyszeć to, dzięki czemu ten utwór był wspanialszy, niż dotychczas myślała, i nie wymagał symetrii ani logiki, co wcześniej tak jej przeszkadzało. Nie miała czasu zastanawiać się nad tym fenomenem, bo zaczęła się druga, najtrudniejsza technicznie część.

- Znów się spotykacie, ale wciąż się z nim drażnisz. Ukrywasz się tu i tam, a on za każdym razem szuka cię i znajduje.

Poczuła ciepły oddech na uchu. Zadrzała.

- Umiłowany trzyma cię w ramionach, ale nadal brak ci pewności.

Na początku następnego fragmentu Liszt przesunął ręce z pleców Anne na jej ramiona. Zrobił to bardzo delikatnie, nie chcąc zakłócić jej ruchów, mimo to za każdym razem, zwalniając klawisz, czuła przez muślinowe rękawy delikatny dotyk jego palców.

- Wyrwasz się, ale on kurczowo cię trzyma. Nie wiesz, co robić.

Przesunął palce po jej rękach i plecach, aż do żeber. Poczuła dreszcz rozkoszy, chociaż wewnętrzny głos podpowiadał, że ten gest nic nie znaczy, jedynie pozwala jej na nieskrępowany ruch ręką, by łatwiej mogła się uporać z trudnymi, podwójnymi trytonami w zbliżającym się fragmencie.

- Błagasz go, żeby dał ci spokój, chociaż przez cały czas rozpaczliwie pragniesz poczuć jego wargi na swoich ustach.

Zaczęły się ciągi trytonów, prowadzone w każdej ręce w przeciwnym kierunku. Anne zaczęła je powoli, z ogromnym trudem, potem jednak odnalazła rytm.

- Twój opór z minuty na minutę maleje...

Dotarła do przebiegu akordów. Ręce Liszta powoli otoczyły jej kibić. Węgier muskał nosem loki zatknięte za ucho. Dziewczyna czuła na karku niezwykle delikatny dotyk warg.

- W końcu przestajesz się bronić, ulegasz ukochanemu i dajesz się porwać namiętności.

Te słowa wprowadziły ją do podwójnego szeregu septym zmniejszonych. Anne wcześniej ciężko nad nimi pracowała, żeby móc bezbłędnie je wykonać, teraz jednak popędziła na łeb na szyję w dół klawiatury. Nie mogła się skupić, bo zęby nauczyciela delikatnie skubały jej szyję i barki.

Po skończeniu tego fragmentu uniosła ręce nad klawiaturę i zaczęła ciężko oddychać. Nim zdała sobie sprawę, co się dzieje, poczuła, że Liszt bierze ją w ramiona i całuje... Może nie tyle całuje, ile wpija się w jej usta. Z trudem łapała oddech. Początkowo się opierała, potem jednak rozluźniła wszystkie mięśnie, objęła go za szyję i odpowiedziała na pocałunek z taką pasją, na jaką było ją stać.

Kiedy pocałunek dobiegł końca, Liszt odwrócił Anne z powrotem do fortepianu i ponownie zaczął szeptać:

- Niestety, to zakazana miłość. Wracasz więc do swojej samotni, tyle że teraz... - Ujął prawą rękę dziewczyny i delikatnie położył ją na klawiaturze. - Teraz jest ci jeszcze smutniej. Twój smutek miesza się z radością... i rozpaczą.

Wyprostował się i odsunął. Bez słowa pozwolił jej dokończyć etiudę. Ku zaskoczeniu Anne z jej oczu na klawiaturę popłynęły potoki łez. Jakoś zdołała dotrzeć do końca, chociaż ślizgały jej się palce, a serce bolało ze smutku i rozpacz. Z powodu śmierci matki, choroby Armanda, dziwnego, niekiedy wręcz okrutnego postępowania ojca, miłości do Liszta i czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Długo trzymała naciśnięte klawisze ostatniego akordu, czekając, aż dźwięk powoli ucichnie. Nie chciała, żeby etiuda dobiegła końca.

Gdy odważyła się oderwać wzrok od fortepianu, natychmiast zaczęła szukać oczu nauczyciela. Na chwilę pozwolił jej zapomnieć o wszystkich problemach. Chciała znów znaleźć się wraz z nim w królestwie, w którym liczy się tylko muzyka i bliskość dwojga ludzi. Teraz nie musieli się już potajemnie spotykać. Przez chwilę byli sobie tak bliscy, że chyba żadne uściski ani pocałunki nie będą w stanie dostarczyć im wspanialszych doznań.

Niestety, Liszt wcale na nią nie patrzył. Stał wyprostowany, jakby połknął kij, i nie odrywał wzroku od drzwi salonu. Dziewczyna również spojrzała w tamtą stronę. W progu stała Marie d'Agoult, wciąż w kapelusiku i rękawiczkach. Patrzyła na nich pytająco.

- Czym tak bardzo zdenerwował pan hrabiankę? - spytała.

- Przytłoczyło ją piękno muzyki - wyjaśnił Liszt, chyląc głowę, ale Anne wychwyciła w jego głosie niepewność. - Właśnie skończyliśmy lekcję.

Dziewczyna była tak zażenowana, że nie mogła wydusić z siebie słowa. Pozbierała swoje rzeczy, podziękowała nauczycielowi, dygnęła przed Marie i wyszła.

Madame d'Agoult bardzo chciała wrócić na quai Malaquais, nim Anne zacznie lekcję. Miała wyrzuty sumienia, że przesunęła ją o dzień, i nie chciała ponownie sprawić podopiecznej zawodu. Niestety, matka

zrobiła dosłownie wszystko, żeby opóźnić wyjazd córki, a ambiwalentne uczucia w stosunku do Liszta po rendez-vous w operze dodatkowo zwalniały kroki Marie. Gdy hrabina de Flavigny poprosiła ją, żeby jeszcze trochę jej poczytała, zgodziła się. Zaczekała również, aż matka napisze do przyjaciółek liściki, które madame d'Agoult po powrocie do Paryża miała osobiście dostarczyć. Zaspokajając wszystkie, nawet najdrobniejsze żądania matki, Marie z coraz większym niepokojem i strachem patrzyła, jak czas ucieka. Nie mogła zostawić Anne i Liszta samych, chociaż zdawała sobie sprawę, że już nigdy nie uda jej się spojrzeć na niego obojętnie.

Lekcja miała się zacząć o drugiej. Kiedy Marie w końcu wsiadła do karety, miała jeszcze szansę dojechać na czas, ale wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Tuż przy wjeździe do Paryża gałganiarze przewrócili wóz ze śmieciami i koniecznie chcieli przeszukać jego zawartość w poszukiwaniu skarbów. Przez ponad godzinę powozy stały na drodze, póki sytuacji nie udało się jakoś rozwiązać. Kiedy kareta znów ruszyła, Marie wiedziała, że nie zdąży. Zastanawiała się, czy Anne zdobędzie się na odwagę i poprosi Liszta o przełożenie lekcji na następny dzień. Ponieważ jednak madame d'Agoult zapowiedziała swój powrót, należało się raczej spodziewać, że lekcja się rozpocznie, bo i Anne, i jej nauczyciel wiedzą, że pani domu wkrótce się zjawi. Może nawet lepiej, jeśli lekcja będzie już trwała. Dzięki temu bezpośrednio po przyjeździe Marie, nie będzie musiała spojrzeć Lisztowi w oczy.

Pojawiła się w chwili, kiedy Anne skończyła ciąg akordów w drugiej części etiudy Chopina. Odczekała chwilę za drzwiami salonu, nie chcąc przerywać gry, ponieważ jednak w pokoju zapadła cisza, otworzyła drzwi.

W głębi duszy zdawała sobie sprawę, iż istnieje taka możliwość i że może zobaczyć scenę, jaką miała właśnie przed oczami... zwłaszcza że w operze na własnej skórze się przekonała, jak uwodzicielski potrafi być Liszt. Mimo to na widok namiętnego uścisku Anne i węgierskiego pianisty serce stanęło jej w gardle. Chociaż miała ogromną ochotę rzucić się do przodu i rozdzielić kochanków, zamarła w bezruchu. Zbyt dużo zależało od jej reakcji; nie mogła pozwolić, żeby emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Na siłę wróciła do roli opiekunki. Powinna być oburzona, wręcz wściekła, a nie załamana i zawiedziona. Najlepiej by było, gdyby udało jej się po cichutku zamknąć za sobą drzwi, narobić w korytarzu sporo hałasu i wejść ponownie. Pozwolić, by skończyli lekcję, potem napisać do Liszta, że nie będzie już dłużej korzystać z jego usług, i wreszcie porozmawiać łagodnie z Anne.

Problem w tym, że Marie nie mogła się ruszyć. Nie była w stanie oderwać oczu od kochanków, którzy długo, namiętnie się całowali. Stała więc w miejscu i patrzyła. Widziała, jak po chwili odsunęli się od siebie. Liszt puścił Anne, posadził ją na krzesło, położył jej ręce na klawiaturze, a ona, zalewając się łzami, zagrała krótki fragment, który został jej do końca utworu. Z każdą sekundą nasilał się ból serca Marie. Z trudem przybrała stosowną minę i czekała, aż któreś z nich ją zobaczy.

Po ostatnich dźwiękach etiudy Liszt uniósł głowę. Na widok pani domu na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie i konsternacja. Wydawało się, że ta scena trwała całe wieki, chociaż w rzeczywistości minęło zaledwie kilka chwil, nim smutna i zapłakana Anne spojrzała na swoją protektorkę. Żadne z nich nie wiedziało, jak długo Marie stała w drzwiach, postanowiła więc przynajmniej na razie udawać, że nie widziała, co między nimi zaszło.

Dziewczyna zniknęła, zachowując więcej godności, niż Marie w takich okolicznościach mogła się spodziewać. Po chwili stała twarzą w twarz z mężczyzną, którego widok nappełniał jej serce niewiarygodną rozkoszą, a zarazem bólem.

Co Marie widziała? To pytanie nurtowało Liszta, gdy stał jak skamieniały, nie będąc w stanie wykonać nawet najmniejszego ruchu. Tak wczuł się w scenę, którą opisywał, że w którymś momencie przestał zdawać sobie sprawę, iż w ramionach trzyma swoją uczennicę, a nie Marie, że to jej szepcze na ucho i że to ją całuje z ukrywanym dotychczas pożądaniem. Gdy ujrzał madame d'Agoult w drzwiach salonu, w pierwszej chwili nie mógł pojąć, jak to możliwe, że jego ukochana znajduje się w dwóch miejscach jednocześnie. Potem, w nagłym przebłysku świadomości, zrozumiał, co zrobił.

Prawie nie zauważył, kiedy dziewczyna wyszła.

- Czy uważa pan, że Anne jest już wystarczająco przygotowana do koncertu? Mam zamiar na przyszły czwartek zaprosić kilku przyjaciół.

Szorstkie, urywane słowa Marie wyrwały go z odrętwienia.

- Robi ogromne postępy - odparł, starając się zachować spokój. - Ale nie zaszkodziłoby jej jeszcze kilka tygodni nauki.

Może weszła po pocałunku - pomyślał. Może nie pogrzebał wszystkich swoich nadziei głupią chwilą zapomnienia.

Niestety, w oczach Marie nie dostrzegł łagodności ani życzliwości, na które dotychczas zawsze mógł liczyć i na które wciąż liczył. Hrabina odsunęła się od niego.

- Pora wprowadzić ją na salony. Jest bardzo ładną dziewczyną, która jak najszybciej powinna wyjść za mąż. Nie mogę dłużej trzymać jej w ukryciu.

Jest przekonana, że mam jakieś plany wobec hrabianki de Barbier-Chouant! - pomyślał. - Oczywiście, lekcja pod nieobecność pani domu i fakt, że zabrakło mu zdrowego rozsądku, by zaproponować, iż wróci, gdy nie będą sami, musiały doprowadzić do takiej konkluzji, nawet jeśli niczego nie widziała. Wystarczyło zobaczyć łzy Anne.

- Jestem przekonany, że wywrze ogromne wrażenie na pani gościach - odparł.

Marzył, żeby zamiast rozmawiać o takich błażostkach mógł klęknąć u jej stóp, błagać o wybaczenie, wyznać miłość i zapomnieć o utalentowanej młodej damie, której dawał lekcje.

Madame d'Agoult powoli podeszła do kominka i dwukrotnie pociągnęła za jedwabny sznur. Gdzieś w głębi domu rozległ się dzwonek. Lokaj wszedł zbyt szybko, żeby Franciszek zdążył powiedzieć jej coś na osobności.

- Odprowadź pana Liszta do drzwi - poleciła Marie i odwróciła się do pianisty. - Wyślę panu zaproszenie na koncert.

Wziął więc od służącego swój kapelusz i pelerynę. Próbował pochwycić spojrzenie Marie, żeby bez słów przekazać jej wszystko, czego nie zdążył powiedzieć, ale patrzyła w inną stronę.

Ty idioto! - łajał sam siebie, wracając do mieszkania w pobliżu opery. Nic nie poszło tak, jak planował. Hrabina nie wspomniała o następnej lekcji. Jeśli przestanie zaś uczyć Anne, nie będzie mógł bez zaproszenia

odwiedzać quai Malaquais. Pozostanie mu tylko czekać, aż przez przypadek gdzieś się spotkają albo Marie zechce się z nim zobaczyć.

W ostatniej chwili zmienił zdanie i zamiast wrócić do domu, poszedł do pracowni Eugène'a. Przyjaciel poradzi mu, co zrobić. Bez wątplenia będzie zły, zrugą Franciszka za brak rozwagi, ale na pewno pomoże.

XVIII

Gdy Anne po powrocie z lekcji fortepianu ujrzała twarz Thérèse, natychmiast wróciła do rzeczywistości. Od choroby matki nie widziała, by gospodyni była tak przygnębiona. Kiedy tylko dziewczyna przekroczyła próg, Thérèse wciągnęła ją do pustego pokoju dla służby.

- Markiz krąży po całym domu i wykrzykuje najgorsze przekleństwa - oznajmiła przestraszona.

- Nie! To niemożliwe. Był doktor?

Ujęła Thérèse za ramiona i spojrzała jej prosto w oczy.

- Tak, ale szybko wyszedł. Pojawił się jeszcze jeden gość, jakiś zakonnik.

- Zakonnik? - spytała Anne.

- Tak, jezuita. Podobno niespokojny o Armanda, spytał w Hôtel-Dieu, co się z nim stało. Chciał go zabrać do kolegium i osobiście się nim zająć. Bardzo pokłócił się z markizem.

- Gdzie jest teraz ojciec? - spytała Anne.

- W pokoju twojego kuzyna - odparła Thérèse. - Ale nie chodź tam. Nigdy w życiu nie widziałas go w takim stanie.

Anne nie miała ochoty na spotkanie z markizem, zwłaszcza po porannej rozmowie, ale musiała się dowiedzieć, co dolega Armandowi. Bez słowa zostawiła Thérèse, przeszła przez jadalnię, westybul, po czym ruszyła w stronę schodów. Kiedy stawiała nogę na najniższym stopniu, zauważyła, że drzwi do biblioteki są uchylone. Pod wpływem impulsu podeszła do nich na palcach i zajrzała do środka. W pomieszczeniu nikogo nie było, panował w nim nieład. Weszła cichaczem do środka i wiedziona instynktem zbliżyła się do biurka ojca - tajemniczego miejsca, w którym załatwiane były wszystkie sprawy związane z domem.

Markiz zazwyczaj dbał, żeby na biurku panował porządek, nawet jeśli leżały na nim stosy dokumentów i książek. Tego popołudnia cały blat zarzucony był papierami, a obok przewróconego kałamarza rozlewała się plama atramentu, brudząca leżące tam książki. Uwagę Anne przykuła zmięta kartka na stosie poplamionych książek. Rozprostowała ją i zaczęła czytać.

Potwierdzenie odbioru:

sześć srebrnych kandelabrow,

srebrny serwis stołowy na dwanaście osób,

rubinowy i brylantowy naszyjnik,

akt własności posiadłości znanej jako hôtel Barbier,

portret w oleju

i inne przedmioty poprzednio skonfiskowane i zabezpieczone na poczet długu w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy franków za wyświadczoną usługę. Do egzekucji 1 czerwca 1832 roku, kiedy to posiadłość zostanie skonfiskowana.

MM. Fanjoux et Mérimaux Rue du Temple 16, IVème

A więc to w taki sposób - pomyślała Anne - zniknęło wyposażenie domu. Ale akt własności posesji? Jak ojciec mógł do tego dopuścić? Pierwszy czerwca przypadał za niecały tydzień! Do tego czasu markiz na pewno nie zdoła zdobyć takiej sumy. Skąd powstał taki dług? Kim są panowie Fanjoux i Mérimaux, za jakie usługi ojciec był im winien tak ogromną sumę? Rodzina de Barbier-Chouant żyła bardzo skromnie, przynajmniej w ostatnich latach. Jeśli hôtel Barbier ma być przejęty za długi, to gdzie się podzieją? - Nie! Tylko nie to!

Byłam ślepa - pomyślała. Może dlatego ojciec tak bardzo chciał, żeby wyszła za Armanda? Gdyby wzięli ślub, nie musiałby się o córkę martwić, karmić jej ani ubierać, a koszty prowadzenia domu jeszcze bardziej by zmalowały.

Tylko czy to by wystarczyło? Anne nie orientowała się, ile kosztuje jedzenie, które pojawia się na stole, wino w piwniczce i jej stroje. Przypomniała sobie też o małym powoziku; markiz mógłby go sprzedać, gdyby codziennie nim nie jeździła. Chociaż to wszystko z pewnością nie dałoby dwudziestu pięciu tysięcy franków.

Kiedy patrzyła na kartkę na biurku ojca, w jej głowie zaczęła się rodzić następna myśl. Może małżeństwo z Armandem nie tyle zmniejszyłoby wydatki, ile przyniosło pieniądze i pomogło rozwiązać problem. Wszystko wskazywało na to, że kuzyn ma fortunę. Matka - która powinna zapewnić córce posag - mogła wydać pieniądze, zmniejszając szanse Anne na poślubienie kogoś z arystokracji. Dla markiza niewymagający kuzyn był prawdziwym darem niebios.

Dlaczego mi nie powiedział? - pomyślała. Gdyby jej zaufał, może zgodziłaby się wyjść za mąż tylko po to, żeby rozwiązać rodzinne problemy. Tylko jak wyglądałoby jej życie u boku Armanda - bez miłości, bez namiętności, z czystego obowiązku?

Na pierwszym piętrze ktoś otworzył i zamknął drzwi. Anne wybiegła z biblioteki, modląc się, żeby ojciec akurat nie schodził po schodach. Kiedy dotarła do westybulu, nikogo w nim nie było. Poszła szybko do pokoju kuzyna i zapukała do drzwi, mając zamiar od razu wejść. Powstrzymał ją szorstki głos ojca:

- Kto tam?

- Anne.

Kiedy nie odpowiedział, nacisnęła klamkę. Pokój był zamknięty. Usłyszała szuranie, po chwili coś upadło na podłogę. Chyba szklanka. Markiz zaklął pod nosem, a potem rozległ się zbliżający się, dobrze znany stukot laski. Starszy pan otworzył drzwi od wewnątrz i lekko je uchylił, dlatego nie widziała, co się dzieje za jego plecami.

- Jesteś sama? - spytał, wyglądając na korytarz.

- Tak, ojczy, sama. Kto miałby ze mną być?

- Czego chcesz? - spytał, nie udzielając odpowiedzi.

- Po... porozmawiać z Armandem. Gdy wychodziłam rano, kiepsko wyglądał.

Oczami błagała o zgodę.

Ucieszyła się, gdy markiz otworzył szerzej drzwi i kazał jej wejść. Ktoś zasunął kotary w oknach, a w blasku dwóch świec widać było Armanda, który chyba znów spał. Mocny zapach kamfory z trudem przebijał się przez woń wymiocin, chociaż Thérèse na pewno wyniosła nocnik.

- Był doktor? - spytała dziewczyna.

Znała już odpowiedź, ale nie chciała, by markiz pomyślał, że go sprawdza albo zdobywa informacje od służby.

- Tak. Magendie. Dziś rano. Dał jakieś lekarstwo dla kuzyna.

- Powiedział, co mu dolega?

- Być może cholera. Twierdzi, że w niektórych przypadkach trwa to trochę dłużej. Przy odpowiedniej opiece można przeżyć.

Armand poruszył się i jęknął przez sen.

Anne zrobiła krok w stronę łóżka, lecz ojciec wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać.

- To zbyt wielkie ryzyko - wyjaśnił, nie patrząc jej w oczy.

Twarz Armanda była tak blada, że zlewała się z poduszką. Dziewczyna z ulgą stwierdziła, że kuzyn ma świeżą pościel. Przypuszczała, że został również przebrany. Chociaż zapach kamfory i wymiocin przypominał jej sale Hôtel-Dieu, nie wierzyła, że Armand - oprócz problemów z przepukliną - również zaraził się cholera od ludzi, którymi się zajmował.

Usłyszała, że kuzyn coś szepnął, nie wiedziała jednak co. Wyminęła ojca i podeszła bliżej.

- Wo...dy - powiedział chory.

- Prosi o wodę. Na pewno tu jest woda.

Anne rozejrzała się w poszukiwaniu szklanki. Ojciec wskazał na podłogę, gdzie w blasku świec migotały odłamki szkła i widać było rozlaną wodę. Dziewczyna bez wahania wzięła do ręki mały dzwoneczek i energicznie nim potrząsnęła. Po chwili w drzwiach pojawiła się służąca.

- Przynies szklankę i karafkę ze świeżą wodą. Szybko! - rozkazała hrabianka i usiadła na skraju łóżka.

- Anne...

Zignorowała odezwanie się ojca.

- Ktoś musi się nim zająć! - oświadczyła.

Nie przejmowała się, że może wzbudzić gniew markiza. Kiedy wzięła Armanda za rękę, poczuła suchą jak papier, gorącą skórę. Miał gorączkę, ale nie wierzyła, żeby cierpiał na cholera.

Markiz odsunął się od łóżka i usiadł na krześle. Dziwiła się, że nie zrugął jej za wybuch ani nie próbował odciągnąć od chorego, dlatego co chwila zerkała z ukosa, ciekawa jego reakcji. Siedział z brodą opuszczoną na klatkę piersiową, ale wcale nie wyglądał na złego, zdenerwowanego czy zmarzniętego - raczej na zamyślonego, jakby do głowy przyszedł mu jakiś nowy pomysł i próbował go przeanalizować.

- Ojczy? - powiedziała.

W tej chwili pojawiła się Thérèse z karafką wody. Anne napełniła nową szklankę, jedną ręką uniosła głowę kuzyna z poduszki, a drugą przytknęła naczynie do jego ust. Kiedy wargi Armanda drgnęły, Anne wlała między nie wodę. Pił łapczywie, zalewając brodę i poduszkę. Trzykrotnie powtórzyła całą procedurę. W końcu młodzieniec się uspokoił i zaczął pić nieco wolniej. Otworzył oczy.

- Dziękuję, Anne - powiedział, po czym na powrót zamknął powieki i zasnął.

Dziewczyna wstała. Miała zeszywniałe i obolałe ręce od trzymania głowy kuzyna i szklanki. Odwróciła się, myśląc, że ojciec wciąż siedzi na krześle, ale jego nie było.

Kiedy markiz i służba poszli spać, w domu zapanowała grobowa cisza. Anne długo doglądała Armanda, a potem zasnęła na krześle w jego pokoju. Obudziła się, gdy zegar wybijał drugą, wstała, przeciągnęła się i zaczęła spacerować w pobliżu łóżka chorego. Spokojnie spał, a jego twarz nabrała nieco kolorów. Może czuł się lepiej. Jeśli tak - pomyślała - jutro będę musiała pojechać do madame d'Agoult i poważnie z nią porozmawiać. Nie miała pojęcia, co hrabina widziała, ale dostrzegła na jej twarzy zaskoczenie i ból. Może jednak nie ma potrzeby jechać? Wyśle listek, że ze względu na kiepski stan zdrowia kuzyna postanowiła zostać w domu i się nim zająć. Z drugiej strony byłoby to tchórzostwo. I tak kiedyś trzeba będzie porozmawiać z kobietą, która okazała jej tyle ciepła.

Pocałunek Liszta... był cudowny. Ogarnęło ją uczucie, którego wcześniej nie знаła i które działało jak narkotyk, dlatego znów go usilnie pragnęła. Przez chwilę odtwarzała wszystko w pamięci, przypominając sobie dziwne łaskotanie w głębi ciała. Wydawało jej się, że nie ma prawa do tak cudownych przeżyć zaledwie kilka tygodni po odejściu matki i w obliczu możliwej śmierci kuzyna. Jednak w tej chwili marzyła tylko o jednym - żeby móc grać na fortepianie i czuć pod palcami wspaniałą muzykę Chopina.

Zastanawiała się, dlaczego ojciec nie chce otworzyć sali balowej. Na pewno teraz mógłby już słuchać muzyki. Może nawet podniosłaby go na duchu.

Klatka piersiowa Armanda unosiła się i opadała w regularnym rytmie, a gdy Anne delikatnie dotknęła jego czoła, zauważyła, że gorączka trochę spadła. Dom był pogrążony w głębokim śnie. Od czasu do czasu ciszę zakłócało jedynie lekkie skrzypienie desek podłogowych. Anne wzięła jedną ze świec, które płonęły obok łóżka, uniosła spódnice, żeby nie szeleściły, na palcach zbliżyła się do drzwi i wyszła na pogrążony w ciemności korytarz. Kiedy posuwała się do przodu, jej wzrok przebijał mrok tylko na odległość kilku kroków. Zeszła na dół, trzymając rękę na poręczy schodów.

Najpierw zajrzała do biblioteki. Musiała przeszukać biurko ojca. Wcześniej już odwiedziła potajemnie jego pokój, więc tym razem nie bała się ryzyka. Drzwi nie były zamknięte na klucz, a zawiasy dobrze naoliwiono. Anne cichutko posuwała się do przodu, starając się stąpać po dywanach. Nie wiedziała, czy ojciec zamyka biurko, ale nigdy nie zauważyła, żeby nosił przy sobie jakieś klucze. To Julien zawsze pobrzękiwał sporym ich pękiem, ale były to klucze od piwnic, stajni i drzwi wejściowych.

Rozsunęła papiery leżące na biurku, postawiła na wolnym miejscu świecę i usiadła na krześle, które normalnie zajmował ojciec, kiedy pisał listy. Czuła się nieco dziwnie, mimo to od razu zabrała się do dzieła. Po kolei otwierała szuflady, ciesząc się, że szyny są dobrze nawoskowane i nie skrzypią. Przeważnie znajdowała różne papiery powiązane w pakieciki: listy, rachunki, pokwitowania. Jedyne niespodziewane odkrycie stanowił owinięty w miękkim materiale pistolet, który znalazła w płytkiej środkowej szufladzie. Wzięła broń do ręki. Była ciężka i zimna. Anne zadrzała. Nie mogła sobie wyobrazić pistoletu w rękach ojca. Odłożyła broń na miejsce i wróciła do przeszukiwania biurka.

Chociaż przejrzała prawie wszystkie szuflady, nie znalazła tego, czego szukała. Zaczęła tracić nadzieję. Była zmęczona. Wiedziała, że pora spać. Została jej już tylko jedna, najniższa szuflada. Znajdowały się w niej

listy dotyczące życia na dworze i interesów. Już chciała ją zamknąć, kiedy zauważyła plik papierów. Były niedbale wciśnięte między inne, starannie poskładane kartki, jakby zostały schowane w pośpiechu, żeby nikt ich nie zobaczył. Anne je wyjęła.

*Henri, mon frère!*⁹

Tak, mam czelność rościć sobie do tego prawo, chociaż wolałbyś, żeby tak nie było. Być może w tej chwili dopisuje Ci szczęście, ale pewnego dnia, gdy los przestanie Ci sprzyjać i nie będziesz mógł dłużej ukrywać się za swą pozycją na dworze i pieniędzmi należącymi do dziwki, którą nazywasz swoją żoną...

⁹ Mon frère (franc.) - mój bracie (przyp. tłum.).

Anne sapnęła. Kto śmiał nazwać jej matkę, najśłodsza, najłagodniejszą istotę na świecie, dziwką? Chciała podrzeć plugawy list, a kawałki spalić w płomieniach świecy, ale wiedziała, że to byłby poważny błąd. Nawet jeśli cały dom jest w tej chwili pogrążony we śnie i nikt nie wyczuje zapachu palonego papieru, ojciec prawdopodobnie doskonale wie, gdzie co się znajduje, i od razu by się zorientował, że ktoś zaglądał do jego szuflad. Zdawała sobie sprawę, że powinna odłożyć listy, nie czytając podłych słów, ale nie mogła oderwać oczu od liter i wbrew sobie przebiegła wzrokiem tekst do końca.

...do dziwki, którą nazywasz swoją żoną, znów się pojawię w najmniej prawdopodobnych miejscach, a Tobie i wszystkim, których uważasz za bliskich swojemu sercu, będzie grozić ciągle niebezpieczeństwo. Z niecierpliwością czekam na słodką chwilę zemsty.

List napisany został nierównymi literami na najpodlejszym, poplamionym papierze. Nadawca się nie podpisał. Anne szybko odłożyła kartkę i przejrzała pozostałe, które znajdowały się w tym pakiecie. Wszystkie wyszły spod tej samej ręki i powtarzały identyczne groźby.

Stary zegar w jadalni wybił pół godziny. Anne już zbyt długo przebywała w bibliotece ojca. Wstała od biurka. Miała zamiar zrezygnować z dalszych poszukiwań, ale podnosząc się z krzesła, uderzyła kolaniem o maleńką klameczkę pod szufladą z pistoletem, której wcześniej nie zauważyła. Po przeciwnej stronie biurka coś głośno stuknęło. Dziewczyna wstrzymała oddech i nasłuchiwała, czy hałas nie obudził któregoś z domowników.

Cisza. Rozmasowała kolano i obeszła masywne biurko. Kiedy znalazła się po drugiej stronie, zauważyła wysuniętą sekretną szufladkę. W świetle świecy widać było, że jest pusta, jeśli nie liczyć żelaznego klucza, który wielkością pasowałby do drzwi wejściowych. Pomodliła się w myślach, żeby był to klucz, którego szukała. Jeśli nie, po prostu pójdzie spać.

Ze zmęczenia kręciło jej się w głowie. Niemal bezszelestnie przeszła przez westybul, kierując się w stronę sali balowej, czując, że kłódka zawieszona na drzwiach przyciąga ją jak magnes. Świeca omal się nie przewróciła i nie zgasła, gdy Anne postawiła ją na podłodze, na szczęście zdążyła ją złapać. Uporawszy się z nią, włożyła klucz do otworu.

Powoli, przy akompaniamencie cichego zgrzytu, otworzyła kłódkę, zdjęła żelazny skobel i uchyliła drzwi.

W pokoju unosił się zapach stęchlizny i starości, ale można też było wyczuć delikatną woń, która kojarzyła się dziewczynie z matką; była to mieszanina goździków i lawendy. Anne zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. Od śmierci markizy minęły prawie dwa miesiące, a już miała problemy z dokładnym przypomnieniem sobie jej twarzy. Z westchnieniem otworzyła oczy i spojrzała w róg sali, w którym stał przedmiot jej marzeń, wspaniały pleyel matki. Wiedziała, że nie będzie mogła nacisnąć żadnego klawisza, żeby usłyszeć dobrze znany dźwięk, ale chciała dotknąć instrumentu i wyobrazić sobie, że pokazuje matce wszystko, czego nauczyła się podczas cudownych lekcji z Lisztem. Ruszyła w stronę fortepianu; wraz z nią przesunął się niewielki krąg światła. Anne zatrzymała się mniej więcej trzy metry od rogu pokoju i zobaczyła ściany.

Fortepianu nie było! Kilkakrotnie zamrugła powiekami, myśląc, że wzrok ją myli. Jednak nie. Jak to się mogło stać? Czy Thérèse знаła prawdę, tylko o niczym jej nie powiedziała?

Dom był pusty tylko raz - gdy wszyscy domownicy udali się na pogrzeb markizy. Ojciec nie mógł tego zrobić - pomyślała Anne - jeszcze nim ciało matki spoczęło w grobie. Co prawda ostatnio zachowywał się tak dziwnie, że dziewczyna nie wiedziała, co o tym myśleć. Fortepian miał należeć do niej. Matka często to powtarzała. Markiz nie mógł się go pozbyć!

Zegar na kominku wybił za kwadrans trzecią. Anne zdała sobie sprawę, że musi zakończyć wędrowkę po uśpionym domu. Szybko opuściła salę balową, zamknęła drzwi na kłódkę, schowała klucz w szufladce w biurku ojca i wyszła z biblioteki. Po drodze do sypialni sprawdziła, czy Armand wciąż śpi. Czuła, że powinna przy nim zostać, ale musiała się położyć. Wyciągnie się na godzinę w łóżku. Jak tylko odpocznie, wróci do kuchni i będzie się modlić, żeby to nie była cholera, tylko zwyczajna gorączka po operacji i żeby wkrótce wyzdrowiał.

Pierre był mile zaskoczony, gdy otrzymał następne zaproszenie na podwieczorek do Marie d'Agoult. Postanowił, że nie powie jej o swoich najnowszych odkryciach; najpierw posprawdza wszystkie fakty, a dopiero potem przekaze hrabinie informacje o zaskakujących datach w akcie ślubu i urodzenia. Nie chciał zdradzać, że Anne jest nieślubnym dzieckiem. Chociaż madame d'Agoult najwyraźniej dobrze dziewczynie życzyła, nie wiedział, jak mogłaby wykorzystać zdobytą wiadomość.

Tym razem nie rozmawiali o matce Anne, zmarłej przyjaciółce madame d'Agoult.

- Jestem bardzo niespokojna o hrabiankę - wyznała Marie, gdy rozsiedli się wygodnie w salonie. - Od kiedy zabrakło jej matki, popełnia poważne błędy. Weźmy, na przykład, jej ostatnią wizytę w Hôtel-Dieu.

- Moim zdaniem wspaniale się spisała i okazała serdeczną troskę o kuzyna.

- Wiedział pan... nie, bo skąd?... że markiz chce wydać Anne za Armanda?

Pierre czuł, że madame d'Agoult bacznie go obserwuje.

- Dowiedziałem się o tym od pana de Barbiera.

Starał się za wszelką cenę, by w jego głosie nie było słyhać zawodu.

- Niech pan się nie załamuje, panie Talon. Anne nie ma zamiaru słyhać ojca w tej sprawie. Bardziej jednak interesuje mnie, jak pan ocenia to, co pan zobaczył w hôtel Barbier.

- Nie była tam pani?

- Tylko raz po śmierci Sandrine... markizy. Markiz nie aprobował naszej przyjaźni, dlatego nie chciał mnie widywać w swoim domu. Sandrine i ja spotykałyśmy się w salonach i w kawiarniach.

- Z tego, co wiem, pani i markiz pełniliście razem służbę na dworze - przypomniał Pierre.

- Tak, ale każde z nas chodziło swoimi drogami. Markiz był... wciąż zresztą jest... sprytnym człowiekiem, który w tamtym czasie był zbyt zajęty robieniem kariery, żeby zwracać uwagę na zwyczajną dwórkę - wyjaśniła Marie.

- To dziwny człowiek. - Pierre zastanawiał się, jak opisać starszego pana. - Trochę gburowaty.

- Skąd pan wie? - spytała Marie.

Pierre opowiedział jej, jak ojciec Anne odprawił go, gdy zmienił opatrunek pacjentowi.

- Moim zdaniem jest dość niemiły. Nie okazuje hrabiance uczuć, nawet zwykłej uprzejmości - mówił.

Oczywiście, jeśli staruszek wie, że Anne nie jest jego córką, jak wynikałoby z dokumentów, łatwiej zrozumieć takie zachowanie.

- Hrabianka nie powiedziała mi tego wprost, ale pańskie słowa potwierdzają moje obawy. Ojciec nie okazuje Anne żadnych uczuć, w związku z czym może być bardziej podatna na nieodpowiednie wpływy. - Marie przesłała Pierre'owi znaczące spojrzenie.

- Chyba pani nie rozumiem - wyznał Pierre.

- Pamięta pan nasze pierwsze spotkanie? Na koncercie? - Marie zaczęła wyjaśniać, co jej zdaniem było prawdziwą przyczyną zasłabnięcia Anne. - Przyznaję, że może postąpiłam bardzo nierozważnie, pozwalając jej na lekcje z Lisztem, ale sprawiała wrażenie takiej zrozpaczonej, takiej samotnej, w dodatku było to jej największe marzenie.

Zauroczenie sławnym kobieciarzem Franciszkiem Lisztem? Z tego, co Pierre wiedział, Anne poza pierwszym spotkaniem zawsze okazywała spokój i zachowywała dystans. Nie mógł uwierzyć, że mogłaby ulegać słabościom. Widać jednak madame d'Agoult znała ją lepiej niż on.

- Pani hrabino - powiedział, wychylając się nieco do przodu. - Obawiam się, że oprócz pułapek natury moralnej Anne grozi większe niebezpieczeństwo, być może nawet jej życie wisi na włosku. Nie wiem, z jakich przyczyn, i na razie brakuje mi dowodów, więc nie jestem w stanie bliżej tego pani wyjaśnić.

- Na jakiej podstawie tak pan sądzi? - spytała.

- Może nie powinienem o tym mówić, bo niewiele mam na poparcie swoich złych przeczuć. Moją uwagę zwrócił jednak dziwny niepokój, wręcz zdenerwowanie wszystkich domowników. Odbieram to tak, jakby oni czekali na jakieś okropne wydarzenie. A sposób, w jaki odesłał mnie markiz! Nawet nie zdążyłem wyjaśnić służącej, jak należy się opiekować panem de Barbierem.

Marie długo milczała.

- Myślę, monsieur Talon, że musimy działać wspólnie, żeby zapewnić bezpieczeństwo hrabiance de Barbier-Chouant. Mam pewien plan, ale nie mogę go wprowadzić w życie bez pańskiej pomocy. - Wstała i poszła do okna. - Jest pan człowiekiem honoru?

- Słucham?

- Gdyby był pan dworakiem albo arystokratą, wiedziałabym, jak skłonić pana do zachowania tajemnicy. Niestety, nie wiem, czy lekarze również cenią wysoko honor.

Odwróciła się do niego. Najchętniej by wyszedł, nie kryjąc, że czuje się urażony, ale dostrzegł na jej obliczu ogromną życzliwość, dlatego wytłumaczył sobie, że madame d'Agoult nie zna ludzi z jego klasy i po prostu zadała szczerze pytanie.

- Pochodzę z rodziny, która od wielu pokoleń prowadzi w Tuluzie interesy. Mój ojciec jest burmistrzem i od dawna sprawuje wiele zaszczytnych funkcji w gildii pasmanterników. Zapewniam panią, że wśród rzemieślników i lekarzy honor jest w takiej samej cenie jak w innych sferach.

- Czy wyświadczy mi pan przysługę i przyjdzie na koncert, który mam zamiar zorganizować w przyszły czwartek?

- Oczywiście - zapewnił Pierre. - A co z pani planem?

- Po spotkaniu z hrabianką napiszę do pana i podam więcej szczegółów. *Au revoir, monsieur.*

Wyciągnęła rękę. Skłonił się uprzejmie i wyszedł.

Marie nie odrywała wzroku od miejsca, w którym stał Talon, kiedy zgodził się jej pomagać. Chociaż najwyraźniej nie znalazł nic konkretnego na temat małżeństwa Sandrine, uzyskała od niego informacje, na których jej zależało - o jego prawdziwych uczuciach. Gdyby nie był zadurzony w Anne, nie podjąłby ryzyka, na jakie już się zdobył, i nie zgodziłby się dalej ryzykować bez jakiegokolwiek zachęty ze strony wybranki serca. Poza tym najwyraźniej pochodzi z porządnej rodziny, nawet jeśli nie należy do arystokracji. Dodatkowym plusem jest jego wygląd i inteligencja. Chociaż Anne ani słowem nie wspomniała, że kiedykolwiek brała pod uwagę młodego medyka jako konkurenta, oblała się pąsem, gdy rozmawiały na jego temat, i wyrażała się o nim z dużą wdzięcznością, kiedy wspominała, co zrobił dla niej i jej rodziny.

W czwartkowy wieczór wszystko się wyjaśni - pomyślała Marie. Zadzwoiła po Adèle. Musi od razu zamówić kwiaty. Potem porozmawia z kucharzem o napojach.

XIX

Chociaż Anne miała zamiar uciąć sobie tylko krótką drzemkę, obudziła się, gdy słońce było już wysoko na niebie. Kiedy zdała sobie sprawę, że jest tak późno, zarzuciła szal na nocną koszulę i boso pobiegła do pokoju Armanda.

Choremu towarzystwa dotrzymywała Thérèse. Młody człowiek nie spał. Sprawiał wrażenie bardziej przytomnego niż poprzedniego dnia, ale w jego oczach czał się strach.

- Widzę, że czujesz się trochę lepiej - powiedziała Anne, podbiegając do łóżka.

- Tak, ale proszę, nie wpuszczajcie tu markiza - szepnął z błaganiem w głosie.

Anne i Thérèse spojrzały na siebie.

- Na pewno będzie chciał sprawdzić, jak się czujesz - wyjaśniła dziewczyna.

- W takim razie nie zostawiajcie mnie z nim sam na sam. Błagam!

Z przerażeniem spoglądał to na jedną, to na drugą.

Anne obawiała się, że kuzyn wyskoczy z łóżka, jeśli nie usłyszy zapewnienia, iż przez cały czas będzie przy nim albo ona, albo Thérèse. Rozumiała go. Markiz potrafił być przerażający. Ona już się przyzwyczaiła i

teraz ojciec raczej ją złościł, niż napawał strachem. Zostawiła służącą z Armandem i wróciła do swojego pokoju, żeby się ubrać. Nie pojedzie na quai Malaquais. Kuzyn potrzebuje jej opieki, poza tym przecież dzisiaj nie ma lekcji. Przez chwilę się zastanawiała, czy będzie w stanie spojrzeć Lisztowi prosto w oczy i tak jak poprzednio traktować go jak nauczyciela. Na razie napisze do Marie liścik. Zrobiła to od razu i wysłała z pismem służącą, która i tak wybierała się na targ.

Gdy chwilę później, już ubrana, mijała górny podest schodów, zmierzając do pokoju kuzyna, usłyszała, że ojciec mówi coś do Julienu. Przyszło jej na myśl, że oszczędzi markizowi wspinania się po schodach i spróbuje mu wyjaśnić, iż trawiony gorączką Armand po prostu się go boi. Zdażyła pokonać jeden stopień, gdy stanęła jak wryta, słysząc słowa ojca.

- Idź do pomocnika Magendiego i powiedz mu, że potrzebny mi będzie inny proszek, ten, o którym rozmawialiśmy. Dodaj, że to pilne. Będzie wiedział, o co chodzi.

Czy markiz tak dobrze zna się na medycynie, że sugeruje, by zmienić Armandowi lekarstwo? A poza tym stan chorego się poprawia...

Przez głowę Anne przemknęła okropna myśl. Czyżby ojciec z premedytacją próbował wyrządzić Armandowi krzywdę? Jeśli źle mu życzy, to dlaczego tak upiera się przy małżeństwie, które znacznie poprawiłoby stan majątkowy rodziny? Bijąc się z myślami, poszła do pokoju chorego. Wszystko wyglądało tu tak jak poprzednio.

- Panu Barbierowi przydałaby się świeża, zimna woda - powiedziała, chcąc w ten sposób pozbyć się Thérèse, żeby móc swobodnie porozmawiać z Armandem.

Gdy gospodyni zniknęła za drzwiami, dziewczyna przysunęła się do łóżka i szepnęła:

- Dlaczego tak bardzo boisz się mojego ojca?

Chociaż młody człowiek był przytomny, wciąż sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Płonęły mu policzki, a od czasu do czasu szczekał zębami.

- Nie wiem. Po prostu gorzej się przy nim czuję. W dodatku ojciec Jaquin powiedział mi... to znaczy zawsze powtarzał...

I to miał być powód? Fałszywa sugestia kapłana.

- Wiem, powiedział ci, że mój ojciec jest podły ale był w błędzie! - Potrząsnęła jego ręką i mocno ją ścisnęła. Armand miał tak szczupłe palce, że dziewczyna wyczuwała wszystkie kości. - Posłuchaj. Markiz tylko martwi się o ciebie i... Muszę zadać ci pytanie. To bardzo ważne. Nie chodzi mi o siebie, lecz o ciebie.

Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem, a Anne dostrzegła w jego oczach strach.

- Jak duży jest twój majątek i co by się z nim stało, gdybyś... gdybyś... - Anne nie mogła skończyć zdania.

- Gdybym umarł? - spytał, a na jego wargach pojawiło się coś, co przypominało uśmiech. - Zależy ci na nim, Anne? Tobie również?

- Mnie również? Kto jeszcze... Ależ skąd! Nawet tak nie myśl. Problem w tym... że jestem całkowicie zdezorientowana i niczego nie rozumiem.

Armand ułożył głowę na poduszce i zamknął oczy. Nim Anne zdażyła zadać mu następne pytanie, wróciła Thérèse z czystą szklanką i karafką świeżej wody, przykrytą lnianą serwetką ze szklanymi

obciążnikami na rogach. Anne naląła wody dla kuzyna. Armand wciąż był zbyt słaby, żeby samodzielnie unieść szklanę, więc przytknęła mu ją do ust.

Chciała spytać ojca o lekarstwo, o którym mówił, ale zabrakło jej odwagi. Gdyby mogła skorzystać z pomocy pana Talona! Ufała mu. W końcu to on uratował Armandowi życie. Niestety, nawet gdyby poszła do Hôtel-Dieu i znalazła Pierre'a, nie mogła go zmusić, żeby wrócił, zwłaszcza że ojciec potraktował go tak obcesowo. Zresztą gdyby nawet jakimś cudem udało jej się przekonać studenta do zajęcia się Armandem, markiz na pewno by to uniemożliwił. Nadzieje Anne, że po wyjściu służącej uda jej się zamienić z kuzynem kilka zdań na osobności, prysły, bo po chwili w pokoju pojawił się markiz.

- Jak dzisiaj miewa się nasz pacjent? - spytał, nie patrząc Anne w oczy.

- Chyba trochę lepiej, ojciec - odparła.

- Z tego, co wiem, wkrótce wybierasz się do madame d'Agoult - powiedział, przepędzając córkę z krzesła obok łóżka.

- Nie wspominałam nic na ten temat? - spytała Anne.

- Wysłałam do niej liścik, że dzisiaj muszę posiedzieć przy łóżku kuzyna.

- Markiz wyprostował się i zmarszczył czoło, wyraźnie zaskoczony.

- No proszę. Zdziwiasz mnie. Wydawało mi się, że myślisz tylko o własnych przyjemnościach i będziesz zadowolona, mogąc zostawić pana Barbiera na mojej opiece - powiedział. - Kazałem Victorowi przyprowadzić powóz.

Anne starała się powstrzymać łzy, które zaczęły napływać jej do oczu. Jak mógł tak źle ją oceniać? Czyżby nie zauważył, że bardzo się przejęła zdrowiem Armanda i że jest gotowa zrobić wszystko, by się nim zająć i przyspieszyć powrót do zdrowia? Mimo to w głębi serca wiedziała, że większość podejmowanych przez nią ostatnio działań rzeczywiście mogła świadczyć o egoizmie, a kiedy dłużej się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że naprawdę tak było. Nawet teraz, chociaż martwiła się o Armanda, nie mogła zaprzeczyć, że jest gotowa pod byle pretekstem opuścić hôtel Barbier, pojechać na quai Malaquais i zapomnieć o kuzynie. Tak czy inaczej strach młodego człowieka przed markizem był jedynie wytworem rozgorączkowanego umysłu. Ojciec sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego, zwłaszcza gdy siedział przy łóżku chorego i przykładął wilgotną, zimną szmatkę do jego czoła. Przed wyjściem Anne poprosi Thérèse, żeby miała oko na Armanda.

Cicho wymknęła się z pokoju, po czym poszła po pelerynę i kapelusik. Nie była odpowiednio ubrana, ale nie chciało jej się zmieniać skromnej muślinowej sukni. Madame d'Agoult na pewno jej wybaczy.

O ile jest w domu. Nieco wcześniej dziewczyna wysłała do niej liścik, że nie przyjedzie, więc Marie mogła wybrać się gdzieś z wizytą. Gdyby tak się stało, Anne po prostu od razu wróci do domu. Wiedziała, że nie może prosić Victora, aby zawiózł ją gdzie indziej. Zauważyła wyraz twarzy woźnicy, kiedy ojciec złązał go tego dnia, gdy przywieźli Armanda. Następnym razem straciłby pracę. Inna rzecz, że Anne nie była pewna, czy Victor ostatnio dostawał wynagrodzenie.

Siedziała przez chwilę przy toalecie, a potem schowała loki pod kapelusik i oparła bolącą głowę na dłoniach. Nie była w stanie zrozumieć tego, co widziała, słyszała i czuła w ciągu ostatnich dni. Chociaż starała się wymyślić jakiś sposób na rozwiązanie wszystkich problemów, utknęła w martwym punkcie. Co może zrobić... nie mając pieniędzy, przyjaciół, nie wiedząc, co tak naprawdę wokół niej się dzieje? Za życia matki było jej

dużo łatwiej. Teraz ze wszystkich stron otaczały ją intrzygi i półprawdy, a przerażające wydarzenia świata zewnętrznego przenikały do zamkniętego wcześniej kręgu. Anne sięgnęła do szuflady po pakiecik z listami od Liszta. Może dodadzą jej otuchy? Niestety, wspomnienie pocałunku Węgra i jej własny udział w całym wydarzeniu rzucały ponury cień na ten cenny talizman i wcześniejsze marzenia. Szybko odwiązała wstążeczkę, którą odcięła od starego kapelusika, żeby przewiązać nią liściki, i przeczytała kilka z nich. Szukała jakiejś wskazówki, czegokolwiek, co by wyjaśniało to, co zaszło między nią a jej sławnym nauczycielem, tym samym powodując obecną rozpacz i niepewność.

Kiedy czytała pośpiesznie skreślone słowa, zaczęło ją dręczyć okropne podejrzenie. Niechętnie wróciła myślami do pierwszego listu ukrytego w tomiku poezji. Przypomniała sobie wyraz twarzy pianisty i fakt, że za każdym razem starał się zwrócić jej uwagę na Marie. Przez cały czas prosił, wręcz błagał, ale ani słowem nie zapewnił o swojej miłości. U madame Duvernoy chciał, żeby mu pomogła. Miała mu pomóc? W czym?

Anne odsunęła od siebie tę myśl. Nie chciała odkryć czegoś niemiłego ani żenującego - zwłaszcza teraz. Victor czekał. Właśnie miała zamiar z powrotem związać listy, gdy zauważyła odwrotną stronę jednej z kopert. Był tam adres: „F. Liszt, rue de Provence 61, 7^{ème}”. Najwyraźniej napisał liścik na odwrocie czegoś, co sam dostał. Teraz przynajmniej wiedziała, gdzie pianista mieszka.

Szybko związała pakiecik i włożyła go na swoje miejsce. Przed zejściem ze schodów z niepokojem spojrzała w stronę pokoju kuzyna. Zastanawiała się, czy może coś dla niego zrobić. Wszystko było lepsze niż stanie z boku i czekanie na to, co się zdarzy.

Przeszła przez westybul i właśnie miała wsiąść do powozu, gdy na dziedzińcu pojawił się zakonnik w sandałach i skromnym habicie jezuitów. Zatrzymała się, chcąc mu powiedzieć, że pomylił drogę, ale ponieważ zdecydowanym krokiem zmierzał w stronę wejścia, najwyraźniej jego celem był hôtel Barbier. Nieuprzejmością byłoby się z nim nie przywitać. Gdy znalazła się wystarczająco blisko, pochyliła głowę i powiedziała:

- Dzień dobry, ojczy.

- Hrabianka Anne, prawda? - spytał z promiennym uśmiechem na ustach. - Wybrałem się w odwiedziny do pani kuzyna, pana de Barbiera. Dowiedziałem się od jego służącego, że przebywa teraz w domu swojego opiekuna, pani ojca.

Najwyraźniej wszyscy na świecie oprócz niej wiedzieli, co łączy jej ojca z Armandem.

- Tak, jest tutaj. Niestety, wciąż nie czuje się dobrze. Z kim mam przyjemność?

Nie wiadomo, dlaczego bezpośredni, aż nazbyt przyjazny sposób bycia kapłana działał Anne na nerwy.

- Och, najmocniej przepraszam! - powiedział i z szacunkiem skłonił głowę. - Armand tak ciepło się o pani wyrażał, że odniosłem wrażenie, że się od dawna znamy. Ojciec Jaquin z Les Jésuites. Spowiednik, nauczyciel... i przyjaciel Armanda.

Wyciągnął rękę, chcąc położyć dłoń na ramieniu Anne. Odwróciła się, udając, że nie dostrzegła jego gestu. Aż nazbyt dobrze pamiętała, co zakonnik powiedział Armandowi o markizie. Jak kuzyn mógł uwierzyć temu irytującemu człowiekowi? Doszła jednak do wniosku, że przebywając w kolegium, bez rodziny i przyjaciół, Armand musiał czuć się bardzo samotny. Może nie powinna zatem tak źle oceniać tego człowieka. Warto wpuścić do chorego kogoś spoza mieszkańców popadającej w ruinę rezydencji.

- Julien zaprowadzi ojca do sypialni mojego kuzyna - powiedziała, skłoniła głowę i wsiadła do powozu.

Gdy ruszyli w stronę quai Malaquais, przestała myśleć o zakonniku i wróciła do rozważań, które przerwało jej pojawienie się jezuitę. Po jakimś czasie przysła jej do głowy pewna myśl.

- Zatrzymaj się, Victorze! - zawołała, gdy skręcali w bulwar. - Ostatnio bez przerwy przebywałam w zamknięciu. Potrzebuję świeżego powietrza. Resztę drogi przejdę na piechotę. To niedaleko stąd. Możesz przyjechać po mnie o normalnej porze.

Stary woźnica niechętnie wykonywał nietypowe polecenia, zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach. Pomimo okazałej postury bał się gniewu swojego pracodawcy.

- Nie martw się, Victorze. Nikt się nie dowie, że mnie tu wysadziłeś. Jeśli chcesz, możesz patrzeć, jak będę szła do madame d'Agoult.

Wysiadła i ruszyła bulwarem. Victor westchnął. Mały powozik zaskrzypiał, gdy postawny woźnica poruszył się na koźle. Anne szła, nie oglądając się za siebie. Nagle usłyszała „wio!” i świst bata nad grzbietami koni. Gdy uznała, że nikt na nią nie patrzy, minęła dom, w którym mieszkała Marie, i ruszyła bulwarem w stronę Pont Neuf. Szybko przecięła ile du Palais, znalazła się po drugiej stronie Sekwany i poszła w stronę Siódmej Dzielnicy. Kiedy zbliżała się do gmachu opery, zauważyła kwiaciarkę. Kupiła od niej mizerny bukietek fiołków i spytała:

- Którędy dojdę do rue de Provence?

Kobieta pokazała jej kierunek. Anne czuła przyspieszone bicie serca. Nie wiedziała, jak skłonić Pierre'a Talona, by jej pomógł, więc postanowiła, że poprosi Liszta o wsparcie jej w odważnym przedsięwzięciu. On będzie mógł zadać niewygodne dla niej pytania i sprowadzić doktora do łóżka chorego. Adres na odwrocie liściku był znakiem. Widać tak miało być. Tylko co zrobić, jeśli go nie zastanie? A jeżeli będzie, to co mu powiedzieć?

Kiedy znalazła dom pod numerem sześćdziesiątym pierwszym, zauważyła, że jest to typowa kamienica z mieszkaniami do wynajęcia. Nagle zdała sobie sprawę, że nie wie, który apartament zajmuje Liszt, i zrozumiała, iż głupio postąpiła. Właśnie miała zamiar odwrócić się na pięcie, gdy na ulicy rozległa się piękna muzyka. Płynęła z najwyższego piętra i brzmiała tak, jakby ktoś grał jednocześnie na dziesięciu fortepianach. Budynek drżał w posadach. Teraz trudno byłoby nie trafić do pianisty.

Weszła do kamienicy drzwiami obok pasmanterii i powoli idąc po schodach, zastanawiała się, co powiedzieć. Musi zachować spokój i nie dać się ponieść emocjom. Poprosi, żeby zrobił dla niej coś, czego sama nie może dokonać. To wszystko. Schody stawały się coraz węższe i coraz skromniejsze. Mieszkanie Liszta znajdowało się na najwyższym piętrze, wciśnięte pod mansardowy dach.

Gdy w końcu Anne dotarła pod drzwi mistrza, brakowało jej tchu. Stała przez chwilę, żeby pukaniem nie przerywać muzyki.

Franciszek szczerze żałował, że nie może odwrócić biegu wydarzeń z poprzedniego dnia. Był tak pochłonięty własnymi pragnieniami, że nadużył gościnności hrabiny i być może nie tylko pogrzebał swoje szanse na jej zdobycie, lecz również na ciepłe przyjęcie w kręgach towarzyskich, w których się obracała i od których zależała jego przyszłość. Jeśli matka kiedykolwiek się o tym dowie, będzie bardzo zawiedziona.

W chwilach smutku i rozpaczony węgierski pianista wcale nie szukał pocieszenia w muzyce; raczej to muzyka znajdowała sposób, żeby załagodzić jego problemy emocjonalne. Nigdy nie był bardziej twórczy i pomysły. Teraz, dręczony w ciągu dnia nieustannymi myślami o Marie, a w nocy snami z jej udziałem, nie mógł opędzić się od nowych pomysłów, które przy klawiaturze ujawniały się jeden po drugim. Czasami udawało mu się skomponować tak piękną melodię, iż nie mógł powstrzymać palców, a potem tak bardzo oddalał się od pierwotnego pomysłu, że nie był w stanie go sobie przypomnieć. Na szczęście stać go było na to, aby bez żalu roztrwonić część ogromnego bogactwa. Tego dnia grał i grał, przerywając tylko wtedy, gdy pomysł był już gotów, żeby go przelać na papier, na którym tego ranka w pośpiechu porysował pięciolinie, zanurzyć pióro w kałamarzu i jak najszybciej zapisać nuty.

Zatrzymał się, by nanieść na papier frazę, gdy usłyszał nieśmiało pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał, nie oglądając się za siebie.

Po chwili do mieszkania wpłynął delikatny, znajomy zapach, i w progu pojawiła się jakaś dama. Jej halki cicho zaszeleściły o framugę. Franciszek uniósł głowę i odwrócił się.

- Hrabianko - powiedział, nisko skłaniając głowę.

Wszystkiego by się spodziewał, tylko nie tego. Nawet nie przypuszczał, że Anne zna jego adres.

Na widok Liszta w koszuli z podwiniętymi rękawami, rozpiętym kołnierzykiem i odsłoniętą klatką piersiową dziewczyna miała ochotę uciec na bezpieczną ulicę. Gdyby jednak to zrobiła, on prawdopodobnie doszedłby do wniosku, że przysłała z zupełnie innego powodu niż w rzeczywistości.

- Widzę, że jest pan zaskoczony. - Anne z całych sił starała się panować nad sobą. - Zapewniam, że nie przyszedłem po to, by wprawiać pana w zażenowanie i stawiać niemądre żądania.

Nie miała odwagi na niego spojrzeć, dlatego przez cały czas wyglądała szew rękawiczki.

- Może usiądziesz - zaproponował.

- *Non, merci*, postoję - odparła, mając nadzieję, że Liszt nie wychwyci drżenia jej głosu.

- Mademoiselle, ja...

- Proszę, nie wracajmy do wczorajszych wydarzeń. Mam do omówienia dużo ważniejsze sprawy, które dotyczą zdrowia... a może nawet życia... kogoś, na kim bardzo mi zależy.

Anne zagryzła dolną wargę, zastanawiając się, co jeszcze powinna powiedzieć i ile może ujawnić. Doszła do wniosku, że im mniej Liszt będzie wiedział, tym lepiej.

- Chciałabym wykorzystać naszą przyjaźń, bo myślę, że dobrze mi pan życzy, a potrzebuję pomocy dżentelmena.

Serce Franciszka zabiło mocniej, gdy ujrzał smukłą dziewczynę. Stała w drzwiach dumna, choć przestraszona. Doszedł do wniosku, że gdyby nie kochał Marie, mógłby oddać serce Anne. Chyba zapomniał, że przed laty jego znajomość z młodą arystokratką bardzo źle się skończyła. W końcu namówił jednak Anne, by usiadła i wypić kieliszek czerwonego wina. Przez pół godziny opisywała mu zagmatwany, ponury obraz życia w domu rodzinnym. Chociaż jej słowa nie wyjaśniały, dlaczego uznała, że musi uwolnić kuzyna spod skrzydeł opiekuna, najwyraźniej coś bardzo ją niepokoiło.

- Dlaczego twój ojciec nie miałby traktować chorego kuzyna z największą troską? Z pewnością nic nie zyska, gdy chłopak wykrwawi się na jego rękach.

Anne odwróciła wzrok, ale nie odpowiedziała. Liszt zadał jeszcze kilka pytań, ale nie był w stanie skłonić dziewczyny, by powiedziała coś więcej. W końcu doszedł do wniosku, że pewnie chodzi o sporą fortunę.

- Załóżmy, że zgodzę się pomóc. Czy markiz nie będzie zły? I czy nie obawiasz się o własne bezpieczeństwo?

- Proszę - powiedziała Anne. - Nie wierzę, żeby mój ojciec miał złe zamiary. Nie jestem w stanie tego wytłumaczyć. Wiem tylko, że nie pozwala, by Armandem zajął się monsieur Talon, dlatego muszę w jakiś sposób zawieźć kuzyna do tego doktora.

- Jak mamy uprowadzić chorego, skoro twój ojciec jest przez cały czas w domu?

- Potrzebuję kilku dni, żeby się nad tym zastanowić. Nie byłam pewna...

Franciszek doskonale rozumiał, dlaczego nie wiedziała, czy może liczyć na jego pomoc. Po chwili zastanowienia dodała:

- Za kilka dni. Może do czwartkowego wieczoru wymyślę jakiś plan.

- Z tego, co wiem, w czwartek będziesz zajęta. Widząc zaskoczenie na jej twarzy, doszedł do wniosku, że Anne o niczym nie wie.

- Masz grać u madame d'Agoult. Etiudę - wyjaśnił.

Zaczął szukać czegoś na stole między rękopisami i pootwieranymi nutami. Po chwili znalazł bilet wizytowy, który otrzymał tuż przed pojawieniem się Anne. Podał go dziewczynie. Kilkakrotnie przeczytała liścik, marszcząc przy tym czoło, a potem oddała mu.

- To może być uśmiech losu - powiedziała. - Czy będzie pan tego wieczoru do mojej dyspozycji?

- Zanim wyrażę zgodę, wolałbym dokładniej wiedzieć, o co chodzi.

Anne trzęsa się, miała jednak nadzieję, że Liszt tego nie dostrzeże. Opisała zaułek obok budynku, w którym mieszkała Marie, bo tam mogła czekać ukryta kareta. Wyjaśniła, że prowadzą do niego drzwi, które pewnego razu widziała, przechodząc przez salon - służąca rozmawiała w nich z jakimś handlarzem. Franciszek zgodził się jej pomóc, chociaż miał pewne obawy. Anne zdała sobie sprawę, że koniecznie musi złożyć wizytę Marie. Jeśli za niecały tydzień ma zagrać przed publicznością, powinna jak najwięcej ćwiczyć. Chociaż od początku wiedziała, że po to bierze lekcje, była zaszokowana, gdy ujrzała na zaproszeniu swoje nazwisko i zapowiedź pierwszego wykonania nowego utworu znanego pianisty Fryderyka Chopina.

Pożegnała się z Lisztem. Nim zdążyła włożyć rękawiczkę, delikatnie musnął wargami dłoń dziewczyny, a potem długo jej nie puszczał. W tym momencie przypomniała sobie uścisk podczas lekcji i zakazany nieproszony pocałunek. Gdy jej się kłaniał, odwróciła głowę, żeby nie widzieć w rozpięciu koszuli zarysu żeber i ciemnych brodawek. Nie spojrzała mu również w oczy, tylko wychodząc z mieszkania, na moment obejrzała się za siebie.

Jak we śnie pokonywała kręte uliczki Paryża, pędząc na quai Malaquais. Miała świadomość, że właśnie złamała wszelkie zasady, ale teraz przynajmniej jeden człowiek - do tego mężczyzna - wiedział, jak bardzo Anne obawia się o zdrowie kuzyna, i obiecał jej pomóc. Co dziwne, dzięki potajemnemu spotkaniu z nauczycielem mniej się bała rozmowy z Marie. Wmawiała sobie, że jej opiekunka poprzedniego dnia nie widziała, jak bezwstydnie zachował się Liszt. W przeciwnym razie byłby zrozpaczony.

Pociągnęła za dzwonek i czekała, aż ktoś ze służby wpuści ją do salonu madame d'Agoult. Marie siedziała przy biurku i spoglądała na drugą stronę rzeki, na ogrody Tuileries.

- Usiądź, Anne - powiedziała. - Chciałabym z tobą porozmawiać.

Dziewczyna usiadła.

- Dostałaś mój liścik z wiadomością o koncercie?

Oczywiście - pomyślała Anne. Znow musi kłamać.

- Tak. Dlatego zmieniłam zdanie i postanowiłam przyjechać. Chciałabym poćwiczyć. Mam jednak pewną prośbę.

Marie bez słowa czekała, co powie Anne.

- Bardzo chciałabym, żeby mój ojciec przyszedł na koncert.

Przygotowała się na sprzeciw madame d'Agoult.

Marie znow przez chwilę wyglądała przez okno, jakby ta prośba była tak zwyczajna jak kromka chleba z masłem.

- W porządku - powiedziała. - Jeśli tylko zdołasz go namówić, będzie mi bardzo miło.

- O czym chciała pani ze mną porozmawiać? - spytała Anne.

- Chciałam spytać, czy monsieur Talon był ostatnio u twojego kuzyna.

- Przyszedł tylko raz. Ojciec zabronił mu wracać. A tak bym chciała, żeby znow się pojawił!

Marie dziwnie przyjrzała się Anne.

- Ze względu na kuzyna czy na ciebie? Dziewczyna oblała się pąsem.

- Nieważne - oświadczyła madame d'Agoult.

Anne bardzo chciała zaprotestować, wyjaśnić, że hrabina źle ją zrozumiała, opowiedzieć wszystko o Liszcie, Armandzie i ojcu, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Usiadła więc do fortepianu i zaczęła ćwiczyć z takim zapalem jak nigdy wcześniej. Czując klawiaturę pod palcami, z prawdziwą radością i dreszczykiem podniecenia myślała o swoim pierwszym publicznym koncercie - nawet jeśli miała wystąpić tylko w prywatnym salonie i przed zaproszonymi gośćmi. Musi zagrać tak, żeby matka była z niej dumna. To jej wystarczyło, by przez kilka godzin nie myśleć o niczym innym, zapomnieć o wszystkich wątpliwościach i zmartwieniach.

XX

Pierre patrzył z niedowierzaniem na list, który właśnie otrzymał od madame d'Agoult. Przyszedł wraz z zaproszeniem na koncert.

Cher Monsieur Talon!

Powiedział Pan, że pomoże mi Pan zadbać o szczęście i bezpieczeństwo Anne. Pomimo poważnych oporów doszłam do wniosku, że muszę Pana prosić, by jeszcze przed czwartkowym koncertem dostał się Pan do hôtel Barbier i poszukał testamentu mojej przyjaciółki Sandrine de Barbier-Chouant.

Kiedy tam byłam, przypadkowo zauważyłam go w bibliotece, która znajduje się na lewo od drzwi wejściowych. Jeśli się Panu powiedzie, proszę zachować całkowitą dyskrecję i przynieść mi ów dokument. Nie namawiałabym Pana do tego, gdyby nie chodziło o bezpieczeństwo Anne. Najmocniej dziękuję za pomoc.

Jak on ma, na litość boską, to zrobić?! Nie mógł liczyć, że zostanie zaproszony do hôtel Barbier w charakterze gościa. A wkraść się do prywatnego domu... to nie to samo, co dostać się ukrytym wejściem do budynku państwowego. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że gdyby markiz go zobaczył, na pewno by go rozpoznał, a wtedy przyszła kariera lekarska Pierre'a ległaby w gruzach. Najgorsze jednak było to, że gdyby to Anne przyłapała go na gorącym uczynku, nigdy by nie uwierzyła w prawdziwe motywy jego działania. Wtedy zaś mógłby się pożegnać z szansą na zdobycie jej względów.

Pierre postanowił zapamiętać do końca życia, że nigdy nie należy wyrażać zgody, póki się nie zna szczegółów. Dał hrabinie słowo, dlatego teraz musiał spełnić jej prośbę. Czy może skorzystać z pomocy kogoś ze służących? Z tego, co widział, woźnica jest zbyt nieśmiały, lokaj zbyt oddany swojemu panu, a gospodyni - zbyt przywiązana do Anne. Nawet nie znał ich imion, nie wiedział również, czy którekolwiek umiałoby przeczytać otrzymaną od niego wiadomość.

Potańczał. Już raz wszedł w środku nocy do obcego budynku; może powtórzenie tego wyczynu wcale nie będzie trudne. Hôtel Barbier z pewnością nie był tak dobrze strzeżony jak gmach prefektury. Mimo to coś może pójść niezgodnie z planem. Pierre nie znał złodziejskich sztuczek, dlatego musiał się liczyć z tym, że zostanie zatrzymany i wtrącony do więzienia. Nie, za nic w świecie nie może tego zrobić, musi odmówić. Albo powiedzieć, że próbował, tylko mu się nie udało.

To jednak byłoby wyjście niehonorowe, a madame d'Agoult z pewnością nie poprosiłaby go o zdobycie testamentu, gdyby nie miała po temu ważnego powodu. Jeżeli rzeczywiście chodzi o bezpieczeństwo Anne, musi zrobić wszystko, żeby osiągnąć cel. Na pewno istnieje jakiś sposób...

Oczywiście! - pomyślał. Musi zdobyć testament, ale niekoniecznie osobiście. W Paryżu nie brakuje ludzi, którzy za kilka sous są gotowi na wszystko. Może uda mu się wynająć jakiegoś złodziejzka i uniknąć ryzyka. Pozostawało tylko zorientować się, jak znaleźć kogoś, kto miałby odpowiednie umiejętności i zgodził się pomóc.

Pierre włożył na siebie najbardziej zniszczoną koszulę, bryczesy i pelerynę z naddartą kieszenią. Po opuszczeniu mieszkania skierował się nie do dzielnicy uniwersyteckiej czy w stronę Saint Germain, ale do Ósmej Dzielnicy, na północ od Sekwany i na wschód od ruin Bastylii. W samym sercu Saint Antoine, jednej z najbrudniejszych i najbiedniejszych części Paryża, było miejsce zwane Cour des Miracles. Nazwa wzięła się stąd, że gromadzili się tam złodzieje i włóczykije z całego miasta, gdy nie zajmowali się swoimi ciemnymi sprawkami. Tam niewidomi żebracy odzyskiwali wzrok, wynędzniałe dzieci zdrowiały, epileptycy w cudowny sposób pozbywali się choroby... aż do następnego dnia, kiedy znów wylegali na ulice Paryża i żebrali lub okradali bogaczy. Pierre wiedział o istnieniu tego miejsca tylko dlatego, że wspomniano o nim na jednym z wykładów na temat higieny, podając jako przykład zatłoczonego i brudnego miejsca, w którym władze usiłują poprawić warunki, przenosząc ludzi do innych dzielnic, burząc stare domy i budując nowe. Problem polegał na tym - twierdził wykładowca - że jeśli jakikolwiek przedstawiciel władz wchodził na teren Cour des Miracles,

ryzykował życie. Pierre doszedł do wniosku, że musi spróbować jakoś rozwiązać problem, który zniechęciłby do działania człowieka o dużo większych umiejętnościach niż on. Tylko tam jednak ma szansę znaleźć kogoś, kto za pieniądze włamie się do cudzego domu, ukradnie coś i zniknie, nie wywołując alarmu. Kogoś, kto nie będzie chciał nigdy więcej ujrzeć zleceniodawcy.

Pierre przypuszczał, że w ostatnim czasie liczba mieszkańców Cour des Miracles znacznie zmalała z powodu cholery. Obawiał się również, że jeśli ktoś tam odkryje, iż jest doktorem, poderżnie mu gardło w jednym z zaułków, które tak skutecznie barykadowano w czasie rewolucji lipcowej. Jednak nie znał przestępczego świata i nie wiedział, czy może gdzie indziej szukać pomocy. Lepiej nadstawić karku, wchodząc na teren, na którym nikt go nie zna, niż próbować osobiście zakraść się do domu mademoiselle Anne.

Postawił kołnierz i z oczami wbitymi w ziemię poszedł szybko na północ, na quai Saint Bernard, i przeszedł Sekwanę mostem d'Austerlitz. Droga prowadziła prosto do Ósmej Dzielnicy, przez Quinze-Vingts na przedmieścia Saint Antoine. Gdy już się tam znajdzie, będzie musiał odnaleźć szlak wśród krętych, poplątanych uliczek, które tonęły w kurzu, bo ludzie powygrzebywali kamienie, budując barykady. Jego celem była rue de Charenton, ulica o złej sławie.

Bez trudu trafił tam, gdzie chciał, i zaczął kluczyć po krętych przejściach, do których dociera niewiele światła, gdyż gęsta zabudowa utrudnia jego dopływ. Wokół unosił się przytłaczający zapach śmierci, ale na wąskich uliczkach, w których nie zmieściłaby się kareta, nie leżały żadne zwłoki. Pewnie trzymają zmarłych w domach - doszedł do wniosku Pierre i w myślach się przeżegnał. Kilkakrotnie próbował podejść do jakiegoś małego obdartusa, żeby spytać o drogę, ale gdy tylko znalazł się w odległości kilku metrów, dziecko (nigdy nie potrafił rozpoznać, czy to chłopiec, czy dziewczynka) zniknęło w jakimś wąskim zaułku albo sprytnie ukrytych drzwiach. Pierre czuł się jak śmierć, która przemierza zapomnianą przez Boga i ludzi dzielnicę. Widział nędzarzy w brudnych łachmanach, które zlewały się z pokrytymi sadzą ścianami budynków, ale podobnie jak szczury pod mostem rozbiegają się w świetle pochodni na wszystkie strony, tak i oni uciekali do swoich nor.

Pierre uznał, że przyjsię tutaj było kiepskim pomysłem. Kilka razy miał ochotę zawrócić, ale ilekroć oglądał się za siebie, potwierdzały się jego najgorsze obawy, że nie będzie mu łatwo wrócić po własnych śladach w tej isticie bizantyjskiej gmatwaninie uliczek i zaułków. Zaczął nabierać przekonania, że już nigdy nie zdoła trafić z powrotem do niszczących budynków Dzielnicy Łacińskiej i eleganckich ulic Saint Germain. Zadrżał i otulił się szczelniej peleryną. W porównaniu z obecną sytuacją włamanie do hôtel Barbier wydawało się całkiem proste.

W chwili, gdy doszedł do wniosku, że niezależnie od tego, czy znajdzie drogę powrotną, czy nie, musi zrezygnować z niebezpiecznych poszukiwań, usłyszał za plecami okrzyk:

- Monsieur!

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że w jego stronę podąża najdziwniejsza istota, jaką w życiu widział. Był to mały człowieczek o ogromnej głowie osadzonej na krótkim torsie, klockowatych nogach i krótkich rączkach, które niespokojnie młóciły powietrze. Pierre pomyślał, że gdyby w normalnych warunkach biegł za nim ktoś taki, uciekałby, gdzie pieprz rośnie, jednak tym razem zamarł w bezruchu i czekał, aż karzeł się do niego zbliży.

Początkowo odniósł wrażenie, że maleńki człowieczek wyciąga do niego rękę na powitanie, ale gdy było już za późno na ucieczkę, ku swojemu przerażeniu dostrzegł, iż nieznajomy ściska w dłoni nóż. Błyskawicznie chwycił jedną ręką prawą nogę Pierre'a, a drugą przycisnął ostrze do jego jąder.

- Radzę, żeby się pan nie ruszał - ostrzegł - bo inaczej paskudnie się pan okaleczy.

Pierre wstrzymał oddech.

- Co pan tu robi? - spytał karzeł zaskakująco wysokim głosem.

- Szu... szukam pomocy. - Medyk uznał, że trudno mówić, gdy ma się serce w gardle.

- Pomocy?! - Facet wybuchnął gromkim śmiechem. - Świetny kawał.

- Muszę coś ukraść, a nie wiem jak.

Mówiąc to, Pierre oceniał karła i jego możliwości. Dochodząc do wniosku, że za nic w świecie nie wpuściłby kogoś takiego do domu Anne, mimo to, jeśli ktoś mógłby się tam włamać, to tylko on.

Mały człowieczek rozluźnił uchwyt na nodze Pierre'a, ale nie usunął noża z newralgicznego miejsca.

- Pan? Taki dżentelmen? Jak to się stało, na Boga, że popadł pan w takie tarapaty?

Pierre był zaskoczony brzmieniem słów karła.

- Jest pan człowiekiem wykształconym? - spytał.

W odpowiedzi poczuł lekkie dźgnięcie noża. Skrzywił się.

- Każdy co innego uważa za wykształcenie. Daję panu pół minuty na wyjaśnienia. Jeśli mi się nie spodoba, utnę, co trzeba.

- Pewnej dziewczynie... damie... grozi niebezpieczeństwo. Muszę wykraść testament jej matki. Prawdopodobnie ojciec sfalszował dokumenty. Matka zmarła na cholere. Mam zamiar zapłacić za pomoc, chociaż nie jestem człowiekiem bogatym. - Poszczególne zdania nieskładnie wypływały z jego ust.

Karzeł schował nóż w sobie tylko znanym miejscu, ale nie puścił nogi Pierre'a.

- Przychodząc tutaj, głupio pan postąpił. Nie lubimy, gdy po naszych ulicach płaczą się burzuje.

Pociągnął Pierre'a za sobą, zmuszając go, by kuśtykał jeszcze dziwniej niż on sam.

- Jak ma pan na imię? - spytał.

- Pierre. A pan?

Karzeł w odpowiedzi zarżał jak koń.

- Możesz mówić na mnie „Mały”.

Medyk w coraz ciemniejszych barwach widział swoją przyszłość, gdy porywacz prowadził go w głąb labiryntu krętych uliczek, a w końcu pchnął w drzwi zbyt niskie, by przejść przez nie bez pochylenia głowy. W korytarzu panowały egipskie ciemności, a z sufitu coś kapowało. Po chwili weszli do maleńkiego pokoiku, w którym słaby ogień skutecznie walczył z wilgocią, a małe, brudne okno wpuszczało tylko tyle światła, że we wnętrzu panował półmrok. Pod ścianą na wypchanym słomą sienniku leżał jakiś mężczyzna. Pierre, pomimo słabego światła, zauważył, że to chory.

- Co masz dla mnie, Mały? - spytał leżący słabym, drżącym głosem.

- Robotę, Kapitanie.

- Mów.

Pierre nie wiedział, czy Kapitan - jak nazwał go Mały - chce wysłuchać jego, czy karła.

- Widzi pan... - zaczął.

- Milcz! - warknął Mały, po czym zwrócił się do leżącego mężczyzny. - Ten człowiek musi się włamać. Mówi, że chce się dowiedzieć, jak ma to zrobić sam, ale może przekonamy go, żeby kogoś z nas wynajął.

- O co konkretnie chodzi? Pierre milczał.

- No! - Mały kopnął go w kostkę. - Kto ma nam to powiedzieć?

Pierre wzruszył ramionami.

- Muszę znaleźć pewien testament.

- Testament? Jaką wartość może przedstawiać testament? - Kapitan lekko poruszył się na sienniku. - Ma jakieś pieniądze? - spytał Małego.

Pierre sięgnął do kieszeni po dwadzieścia franków, które ze sobą przyniósł, ale okazało się, że jego sakiewka znajduje się już w rękach karła. Mały rzucił ją Kapitanowi.

- Niewiele, ale może gdzieś ma więcej.

- Mia... miałem zamiar poprosić tylko o radę, jak się włamać i nie dać się złapać. Nie... auuu!

Uciszyło go następne kopnięcie w kostkę.

- Dwieście franków - powiedział Kapitan, ale Pierre go nie zrozumiał.

Spojrzał na Małego.

- Tyle będzie pana kosztowała pomoc.

- Nie mam dwustu franków! - zaprotestował Pierre.

- Człowiek, który nosi przy sobie dwadzieścia franków, musi mieć przynajmniej dziesięć razy tyle, a jeśli pan tyle nie ma, niech pan ukradnie. Powiemy panu jak.

Kapitan mówił wolno i jasno. Kiedy skończył, on i Mały wybuchnęli gromkim śmiechem, a ich połączony rechot był najdziwniejszym dźwiękiem, jaki młodzieniec w życiu słyszał. Piski Małego łączyły się z zadyszczanym parszaniem chorego. Pierre nie miał odwagi spytać, co mu dolega.

- W porządku, może uda mi się zdobyć tę sumę. Jaką mogę mieć pewność, że naprawdę mi pomożecie?

Karzeł w końcu puścił nogę Pierre'a i stanął nieco z boku, patrząc na młodego człowieka jak na szaleńca.

- Nie ma pan wyboru, monsieur. Nie zapraszaliśmy pana do naszej dzielnicy, więc teraz nie ma pan prawa dopytywać się o gwarancje.

Pierre musiał przyznać Małemu rację.

- Możecie mi powiedzieć, jak się włamać do starego budynku i poruszać się po nim tak cicho, żeby nikogo nie obudzić?

Kapitan zaczął tłumaczyć, jak dostać się do obcego domu w środku nocy. Powiedział, że trzeba obwiązać szmatami buty, aby bezszelestnie się poruszać, i pod żadnym pozorem nie wolno zapalać świecy. Należy również owinąć czymś miękkim stalowy pręt, który może się przydać do podważenia okna bez czynienia hałasu.

- Ale bez światła skąd będę wiedział, że trzymam w ręku właściwy dokument?

- Jeśli wystarczająco długo pobędziesz w ciemności, twoje oczy się do niej przyzwyczają.

Na ustach Małego pojawił się uśmiezek samozadowolenia. Najwyraźniej wielokrotnie osobiście sprawdził tę metodę.

Ku zaskoczeniu Pierre'a rady chorego Kapitana miały sens.

- Chyba wiem już, co zrobić. Serdecznie dziękuję za pomoc. Teraz muszę wrócić do siebie, żeby kolega, z którym mieszkam, nie podniósł alarmu.

Pierre uprzejmie skinął głową i przygotował się do wyjścia. Nim zdążył zrobić krok, Mały znów przywarł do jego nogi.

- Nie tak prędko! Musimy mieć gwarancję zapłaty, prawda, Kapitanie?

Kapitan coś burknął, ale Pierre odniósł wrażenie, że chory człowiek zapadł w sen. W powietrzu rozszedł się przytłaczający, kwaśny zapach moczu. Gwałtownie nabrał powietrza w płuca.

- Wynocha stąd! - krzyknął Mały. - Znajdę pana. Może pan być pewien. A kiedy się pojawię, albo dostanę dwieście franków, albo będzie po panu.

Przeprowadził go przez ciemny korytarz i wypchnął przez niskie drzwi. Właśnie zniknął w swojej norze, gdy Pierre zawołał:

- Zaczekaj!

Mały spojrzał wilkiem spod krzaczastych brwi.

- Co dolega Kapitanowi? Może mógłbym mu pomóc? Karzeł splunął na pelerynę Pierre'a.

- Nieważne. Na pewno nie cholera, bo już dawno by nie żył.

Nim Pierre zdążył spytać o drogę powrotną, Mały zniknął w głębi domu. Młody medyk spojrzał w górę i w dół uliczki, ale była tak kręta, że niewiele dostrzegł. Przypomniał sobie, że wchodząc do tego domu, skrzył się w prawo, więc ruszył w lewo. Idąc, zauważył, że brudni, ponurzy mieszkańcy dzielnicy już się przed nim nie ukrywają, raczej spoglądają z nieskrywanym zaciekawieniem. Jedno czy drugie dziecko podbiegło z wyciągniętą rączką, błagając o drobne. Znalazł kilka centymów, których nie zabrał Mały.

Po półgodzinnej wędrówce na południe wy dostał się z labiryntu krętych uliczek i ujrzał drogę do Pont d'Austerlitz. Nigdy wcześniej nie odczuł takiej ulgi na widok mętnych, zielonych wód Sekwany. Jednak nawet gdy przekroczył żelazny most i znalazł się w Dzielnicy Łacińskiej, czuł się tak, jakby pająk chodził mu po plecach. Żałował, że tam poszedł, żałował, że zobaczył, jak żyją tamtejsi ludzie. Nic dziwnego, że masowo umierają na cholere - pomyślał. - I że szerzy się wśród nich inna epidemia, przestępczość.

Przyśpieszył kroku i poszedł w stronę swojego mieszkania, mając nadzieję, że Georges będzie w domu i pomoże mu pokonać podły nastrój. Chętnie pośpiewałby wesołe piosenki i wypił szampana, tyle że teraz nie mógł sobie na niego pozwolić. Karzeł zabrał wszystko, co udało mu się zaoszczędzić ze skromnych środków na życie. Do jutra musi wykrzesać z siebie tyle odwagi, żeby wprowadzić rady Kapitana w życie i dostarczyć madame d'Agoult testament, na którym tak bardzo jej zależy. Czy i on stanie się w ten sposób kryminalistą? Wyobraził sobie, jak osławiony inspektor Vidocq szykuje na niego pułapkę i pakuje go do więzienia. Musiał sobie przypominać, że niezależnie od tego, jakie wykroczenie popełni, chodzi o wykrycie poważniejszych przestępstw i wyciągnięcie prawdy na światło dzienne. Z pewnością nikt nie będzie miał do niego pretensji.

W połowie mostu Pierre zrezygnował z udania się do domu. Pójdzie prosto do kawiarni, bo tam będzie miał większe szanse spotkać Georges'a, który często szukał rozrywki przed dyżurami w Hôtel-Dieu. Minęło

kilka tygodni od czasu, kiedy Pierre po raz ostatni opróżnił kieliszek w towarzystwie kolegów z wydziału medycyny. Potrzebował sympatycznych osób i kogoś, kto postawi mu drinka.

Mógł skręcić w prawo i pójść bulwarem do rue des Ecoles, ale nie chciał po drodze patrzeć na drugą stronę rzeki. Nie mogąc się pozbyć wrażenia, że z małych okienek Quinze-Vingts obserwuje go wiele oczu, przeciął Dzielnicę Łacińską rue de Buffon, potem przez chwilę kluczył uliczkami artystów i studentów.

- Pierre! Chodź tutaj!

Nigdy bardziej się nie ucieszył, słysząc głos Georges'a. Tak jak przypuszczał, przyjaciel siedział z kilkoma studentami medycyny przy dwóch okrągłych stolikach na ulicy. Sądząc po odgłosach, zażarcie się o coś spierali przy kieliszku wina.

- Pomożesz nam podjąć decyzję - powiedział Georges, przyciągając puste krzesło od pobliskiego stolika, żeby Pierre mógł się przysiąść. - Gdzie byłeś? - spytał, gdy zauważył jego obszarpany strój. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Byłem w dzielnicy nędzarzy. Nie chciałem ich przestraszyć zbyt eleganckim wyglądem.

Pierre miał nadzieję, że to wyjaśnienie wystarczy. Wszyscy obecni sprawiali wrażenie zbyt pijanych, żeby się czymkolwiek przejmować.

Georges machnął pustym kieliszkiem.

- Nasza dysputa dotyczy przestępców: czy dobrze się miewają w obecnych czasach, kiedy zwłoki ofiar cholery stają się symbolem deprawacji społeczeństwa?

Pierre z wdzięcznością opróżnił kieliszek wina, które nalał mu inny student.

- Dlaczego nie pójdziecie na przedmieścia Saint Antoine i nie spytacie ich mieszkańców?

Jego słowa wywołały serdeczny śmiech. Medyk uśmiechnął się i zamówił sobie butelkę. Zapłaci właścicielowi knajpy w przyszłym tygodniu, gdy podejmie w banku pieniądze na następny miesiąc.

XXI

W tym samym czasie, kiedy Pierre śmiał się i żartował z przyjaciółmi w Dzielnicy Łacińskiej, Franciszek i Eugène siedzieli przy stoliku w kawiarni przy rue des Beaux Arts, krótkiej uliczce w Saint Germain, i rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Gorąco ci to odradzam. Naprawdę! Przypomnij sobie, co się wydarzyło poprzednim razem - szepnął Eugène z wyraźnym sarkazmem.

Liszt zmarszczył czoło i wbił wzrok w stojącą przed nim szklaneczkę z rubinowym płynem.

- Ale to nie to samo.

- Jest piękną hrabianką, prawda? Do tego praktycznie sierotą, czyż nie?

Liszt odpowiedział skinieniem głowy na oba pytania Eugène'a.

- W takim razie nie widzę żadnej różnicy.

- Pozwól, że jeszcze raz ci wyjaśnię - westchnął Franciszek, machnięciem ręki prosząc kelnera o następną butelkę. - Jak mi powiedziała, mamy tylko wywieźć jej chorego kuzyna.

- Nie pojedę w tej samej karecie co ofiara cholery! - oznajmił Eugène.

- On nie ma cholery, tylko wraca do zdrowia po jakiejś operacji lub czymś w tym rodzaju.

- Naprawdę uważasz, że lepiej wytrząść go na kocich łbach, niż zostawić w wygodnym, ciepłym łóżku?

A co z nim zrobisz, gdy go stamtąd zabierzesz?

Węgier zacisnął usta i spojrzał na tłum ludzi przy stolikach. Dostrzegł wiele pięknych kobiet; jedna z nich przyglądała mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Zaczynał żałować, że dał się wplątać w życie hrabianki. Głupotą była nadzieja, że za pośrednictwem dziewczyny łatwiej mu będzie wyznać uczucia Marie.

- Problem w tym, Eugène, że ta dama poprosiła mnie o pomoc.

Nie chciał mówić przyjacielowi o pocałunku, który zobowiązywał go do spełnienia tej prośby. Eugène chwycił go za rękę.

- Nie! Nie pomogę ci. Nie tym razem. Wstał i włożył rękawiczki.

- Dokąd idziesz? - spytał zaszokowany Liszt.

- Malować. W ten sposób zarabiam na wypijane przez nas wino.

Eugène odwrócił się i zaczął lawirować wśród eleganckiej klienteli, która codziennie godzinami plotkowała przy herbacie i bordeaux.

- Nie zapłaciłeś! - zawołał Franciszek za oddalającym się przyjacielem. Gdy kelner przyniósł rachunek za wszystko, co skonsumowali tego popołudnia, Liszt powiedział: - Proszę dopisać to do rachunku pana Delacroix. - I wyszedł na ulicę w ślad za przyjacielem, nie czekając, aż pracownik lokalu zacznie protestować.

Dogonił Eugène'a na rogu ulicy, przy której znajdowała się pracownia malarza.

- Nie musisz z nami jechać - wyjaśnił. - Po prostu przyjdź na koncert i przez godzinę zajmij jakoś Marie, a ja w tym czasie przeprowadzę tę sprawę.

- Czyli nie muszę wynajmować dla ciebie koni i karety?

- Zrób to dla mnie, ale na tym koniec, obiecuję.

Przyjaciele pokonali schody i znaleźli się w salonie, z którego wchodziło się do pracowni Eugène'a.

- Zapominasz o drobnym szczególe - zaznaczył Delacroix, zdejmując rękawiczki, kapelusz i płaszcz. - Nie zostałem zaproszony na to *soirée*.

- To nieistotne! - odparł Franciszek. - Jesteś sławny. Hrabina będzie zachwycona, mogąc cię gościć w swoim salonie. Wprowadzę cię.

Eugène wziął się pod boki i potrząsnął głową.

- Muszę się nad tym zastanowić. Proponuję, żebyś i ty również przeanalizował swoje emocje.

Po wyjściu od przyjaciela Franciszek odczuwał pewien niepokój. Wyglądało na to, że niezależnie od tego, co zrobi, postąpi źle. Skąd miał wiedzieć, czy chory kuzyn naprawdę istnieje? Może hrabianka ma zamiar podstępem zmusić go do małżeństwa? O ile znał Anne, było to mało prawdopodobne, jednak obiekcje Eugène'a wyraźnie ostudziły zapał Franciszka do rycerskości wobec swojej uczennicy.

Następnego popołudnia Anne przyniosła markizowi do biblioteki zaproszenie na koncert u hrabiny d'Agoult.

- Przyjdziesz, ojczy, prawda? - spytała.

Siedział przy swoim biurku, ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie między porzucanymi papierami.

- Nasz kuzyn potrzebuje opieki. Ktoś musi podać mu lekarstwo.

- Przecież może to zrobić Thérèse - przypomniała Anne. - Wystarczy, jeśli jej powiesz jak. A gdybyś pozwolił mi posłać po pana Talona...

- Znów mówimy o tym młodym człowieku? Przecież on nie jest lekarzem.

Dziewczyna zamknęła na chwilę oczy. Sprawy przybierały niekorzystny obrót.

- Uważam, że przy pomocy doktora Magendie zapewniasz Armandowi doskonałą opiekę. Ten koncert jest bardzo ważny. Madame d'Agoult obiecała, że wprowadzi mnie do towarzystwa, a jeśli ciebie nie będzie, ludzie zaczną plotkować.

Markiz pociągnął nosem i prychnął.

- Mam naprawdę ważne sprawy do załatwienia, a twój występ... to hańba.

- Ważne sprawy z pewnością mogą zaczekać, a w salonach grają i śpiewają najznamienitsze osoby.

Poza tym na pewno będą tam twoi znajomi. Marie ma wielu przyjaciół na dworze.

Z zapartym tchem czekała na odpowiedź.

- Najwyraźniej nie mam innego wyjścia. Jednak nigdy więcej nie proś mnie o coś takiego, hrabianko.

Nie masz pojęcia, ile mnie to kosztuje.

Wstał i oparł się ciężko na lasce. Anne zauważyła, że od śmierci żony markizowi jakby przybyło lat.

- Bardzo mi zależy na tym, żebyś usłyszał, jak gram. - powiedziała.

Markiz spojrział na nią. Przez ułamek sekundy w jego oczach dostrzegła cień czegoś, co przypominało smutek. Potem na jego twarzy pojawiło się dobrze jej znane rozgoryczenie i złość.

- Natychmiast po twoim występie opuścimy przyjęcie - zaznaczył.

Anne odwróciła się i wyszła w biblioteki, czując na plecach palący wzrok ojca. Przyjęcie było zaplanowane na następny wieczór. Wiele godzin spędziła przy fortepianie Marie, wiedząc, iż nie ma sensu błagać ojca o wpuszczenie do sali balowej, skoro wyniesiono z niej pleyela. Od ostatniej lekcji hrabina d'Agoult zachowywała się z dziwną rezerwą, więc Anne zaczęła nabierać pewności, iż Marie widziała znacznie więcej, niż można by wnioskować na podstawie jej słów.

Ponieważ ojciec postanowił wyjść z koncertu bezpośrednio po występie Anne, o wiele trudniej będzie zrealizować plan ułożony wspólnie z Lisztem. Jeśli nie uda jej się znaleźć sposobu, żeby zatrzymać ojca nieco dłużej u Marie, panowie nie zdołają dotrzeć do hôtel Barbier i wywieźć Armanda przed powrotem pana domu.

Stan chorego wcale się nie poprawiał, chociaż Thérèse twierdziła, że rana pooperacyjna bardzo dobrze się goi. Gdyby ojciec pozwolił sprowadzić pana Talona! Markiz osobiście podawał Armandowi przepisane przez doktora lekarstwo, więc Anne nie była w stanie sprawdzić, jaki to środek. Gdyby знаła jego nazwę, jak myślała, mogłaby spytać Talona, co to za specyfik.

Od wizyty w Hôtel-Dieu dręczyły ją niespokojne sny, a pod jej oczami pojawiły się ciemne sińce. Dawało znać o sobie coraz większe zmęczenie. Cienie ukrywała za pomocą białego pudru, który Thérèse wykradła z toaletki zmarłej markizy, jednak Anne z trudem powstrzymywała się od ziewania, a któregoś dnia omal nie zasnęła przy fortepianie.

Pomimo to w nocy nie mogła spać. W ciemnym pokoju pojawiali się chorzy. Pewnego razu ujrzała podobny do Liszta szkielet, który grał na fortepianie; jego kościste palce z wielką wirtuozerią stuknęły o klawiaturę. Zabawiał swoją grą umierających w olbrzymiej sali szpitalnej. Chorzy na przemian wymiotowali i klaskali, a sanitariusze wywozili kolejnych zmarłych.

W ostatnich tygodniach świat Anne legł w gruzach. Wszystko, w co wierzyła, zostało podane w wątpliwość. Teraz zaś miała zrobić coś, za co markiz mógł ją pozbawić wolności. Zdarzało się, że za mniejsze przewinienia zamykano młode kobiety w klasztorach lub zakładach dla obłąkanych. Mimo to Anne musiała podjąć próbę przyścia z pomocą choremu kuzynowi, który z dnia na dzień wyglądał coraz gorzej.

Nie mogąc zasnąć, czasami wyobrażała sobie klawiaturę fortepianu i „grała” ćwiczone przez siebie utwory, kładąc palce na narzucie. Po jakimś czasie, zmęczona, zapadała w niespokojną drzemkę. Gdy tej nocy w końcu udało jej się pozbiierać myśli i zasnąć, obudził ją jakiś hałas. Usiadła na łóżku i poszukała po omacku świecy. Powoli i bezszelestnie przeszła na bosaka po wstrętnej, zimnej podłodze i zapaliła świeczkę od żarzących się w kominku bierwion. Zarzuciła szal na ramiona, zacisnęła go mocno pod brodą, zatrzymała się na środku pokoju i zaczęła nasłuchiwać. Nie wiedziała, czy wrócić do łóżka i spróbować zasnąć, czy pozostać w pogotowiu na wypadek, gdyby ktoś naprawdę hałasował. Czuła, że w domu jest ktoś obcy, chociaż nie umiała racjonalnie tego przekonania uzasadnić. Zdmuchnęła świeczkę i przez chwilę stała w ciemnościach. Jeśli miała zamiar zejść na parter, nie chciała zdradzać swojej obecności za pomocą światła.

Pierre powiedział Georges'owi, że zgłosił się do pracy w Hôpital de la Charité, położonym w Saint Germain niedaleko hôtel Barbier. Zabrał ze sobą torbę lekarską, jednak zamiast stetoskopu i innych instrumentów medycznych włożył do niej: chustkę, którą chciał zasłonić usta i nos, kilka szmat, trochę szpagatu do przywiązania gałganów do butów i żelazny pręt na wypadek, gdyby trzeba było włamać się przez okno. Siedział w kawiarni, póki dzwony kościelne nie wybiły północy, a potem ruszył przed siebie. Na głównych ulicach szedł tak, jakby zmierzał gdzieś w konkretnym celu, natomiast w bocznych uliczkach krył się w bramach, żeby nikt go nie zauważył. Gdy w pobliżu nikogo już nie było, skierował kroki w stronę rue du Barq. Serce waliło mu w piersiach. Chwilami dochodził do wniosku, że musiał zwariować.

Gdy ujrzał przed sobą ciemny zarys hôtel Barbier, ponownie poczuł się tak, jakby po karku chodził mu pająk.

Odwrócił się, podejrzewając, że ktoś za nim idzie, jednak w słabym świetle rzucanym przez uliczne latarnie zobaczył jedynie bruk i jakiegoś zabłąkanego szczura. Szedł przed siebie, póki nie natknął się na żelazną bramę, zamkniętą na klucz na wypadek takich właśnie nocnych odwiedzin.

Po ubiegłotygodniowej wizycie wiedział, że rodzina zajmuje elegancki, lecz niszczący budynek na wprost bramy. Skrzydło po lewej stronie musiało mieścić stajnie i kwatery dla służby. Pierre przypuszczał, że jest do niego wejście od strony dziedzińca. Zastanawiał się, czy zdoła tam dotrzeć, jeśli pokona bramę albo mur. Jednak żeby przedostać się przez ogrodzenie, trzeba by stanąć na czyichś ramionach. Ruszył w lewo, żeby sprawdzić, czy z bocznej uliczki nie prowadzą przypadkiem inne drzwi, którymi służba może wchodzić i wychodzić, nie zwracając niczyjej uwagi.

Był już w połowie ciemnego zaułka, gdy usłyszał za sobą hałas, którego źródłem tym razem najwyraźniej nie był szczur. Gdy się odwrócił, w słabym świetle dostrzegł Małego, który stał na końcu uliczki,

blokując drogę odwrotu. Pierre zastygł w bezruchu i czekał, zdając sobie sprawę, że znalazł się w pułapce i nie uniknie konfrontacji. Przeklął w duchu fakt, iż wszystkie narzędzia potrzebne do włamania były schowane w torbie i w tej chwili nie miał do nich dostępu.

Mały bezszelestnie ruszył przed siebie. Przypomniawszy sobie, co wydarzyło się poprzednim razem, kiedy karzeł biegł w jego stronę w taki sposób, Pierre instynktownie przykucnął i przycisnął do siebie torbę.

Ku zaskoczeniu medyka Mały zatrzymał się tuż przed nim, przytknął palec do ust, po czym nachylił się i szepnął mu do ucha:

- Kapitan przysłał mnie, żebym chronił jego inwestycję. Łatwo cię śledzić. - Cicho się roześmiał.

Pierre nie był pewien, czy powinien poczuć ulgę, czy konsternację, że podczas niebezpiecznego przedsięwzięcia będzie miał pomocnika, w dodatku eksperta w tej dziedzinie. Nie chciał myśleć o wpuszczeniu w środku nocy do domu Anne typka z Cour des Miracles, jednak nic już nie mógł na to poradzić.

Mały dał mu znak, żeby poszedł za nim. Wkrótce natknęli się na okno z zamkniętymi okiennicami. Znajdowało się zbyt wysoko, żeby Mały do niego sięgnął, więc Pierre sam próbował je otworzyć, jednak okazało się, że okiennice są zamknięte od środka. Młodzieniec spojrzał pytająco na karła, a ten odsunął go na bok i uniósł nogę, prosząc w ten sposób o podsadzenie. Pierre splótł ręce w krzeselko, a nabijany ćwiekami but karła wbił się przez rękawiczki w delikatne dłonie młodzieńca. Mały nie podjął środków ostrożności, o których mówił poprzedniego dnia, a w dodatku jak na człowieka tak mikrej postury był zaskakująco ciężki. Wkrótce po twarzy Pierre'a spływały strużki potu.

Mały wyjął ukryty w pasku sztylecik, wcisnął go między okiennice i przesuwał w górę i w dół, póki o coś nie zahaczył, a potem zaczął cicho przy nich majstrować. Ku zaskoczeniu Pierre'a okiennice nagle się otwarły.

Nieoszlone okno należało do pomieszczenia, które wyglądało na spiżarnię. Na żelaznych hakach pod sklepieniem wisiało kilka kur, a z misek przykrytych gazą unosił się ostry zapach fermentującego sera. Pierre i Mały wdrapali się do wnętrza, a potem po cichutku przeszli przez niewielkie pomieszczenie. Otworzyli drzwi, za którymi nieoświetlony korytarz prowadził do głównej części domu. Wszystko idzie zbyt łatwo - pomyślał Pierre. Jeśli jemu i karłowi bez problemów udało się tu dostać, jak to możliwe, że hôteł Barbier nie został wcześniej wielokrotnie okradziony? Z ulgą stwierdził, że nie było tu żadnych psów, które mogłyby wszcząć alarm.

Na końcu ciemnego korytarza znajdowało się pięć stopni i następne drzwi. Prowadziły do jadalni, na środku której stał długi stół i krzesła z wysokimi oparciami. W bladym świetle wpadającym przez szczeliny między zasłonami widać było wytarty gobelin na jednej ze ścian i zabytkowy stolik pod drugą. Mały rozejrzał się dookoła.

- Ani śladu srebra! - szepnął.

Pierre uniósł palec do ust. Teraz wiedział, dlaczego karzeł się tu znalazł.

Niemal bezgłośnie dotarli do westybulu, chociaż szmaty owinięte wokół butów Pierre'a ślizgały się po wyfroterowanych drewnianych podłogach. Miał nadzieję, że nie będzie musiał biec. Jak się okazało, karzeł opanował technikę cichego poruszania się bez konieczności tłumienia odgłosu kroków za pomocą szmat.

Na prawo znajdowały się drzwi, które według słów madame d'Agoult prowadziły do biblioteki. Inne, znajdujące się naprzeciwko, były zamknięte na kłódkę. Pierre sprawdził drzwi do biblioteki. Kiedy się okazało, że nie są zamknięte na klucz, otworzył je.

O tym, że trafili do właściwego pomieszczenia, świadczył charakterystyczny zapach książek. Okna zasłonięte kotarami i okiennicami najwyraźniej miały chronić cenne wolumeny przed słońcem. Dzięki słabemu żarowi w palenisku Pierre mógł ocenić rozmiary i kształt pomieszczenia.

- Na co czekamy? - szepnął Mały tak blisko łokcia Pierre'a, że młody człowiek aż podskoczył. - Pamiętaj, czas jest naszym wrogiem!

Naszym? Kiedy zostaliśmy współnikami? - zastanawiał się Pierre. Suwając nogami po podłodze, dotarł do biurka na środku pomieszczenia. Leżało na nim tyle listów i papierów, że trudno było się zorientować, o który chodzi. Przerzucanie dokumentów w poszukiwaniu testamentu byłoby zbyt głośnie i czasochłonne. Pierre zaczął więc po kolei otwierać szuflady w nadziei, iż obiekt jego poszukiwań został głęboko schowany, czego należałoby się spodziewać w normalnych okolicznościach. Znalazł tylko rachunki, jakieś inne papiery - nic spisanego na papierze welinowym.

W tym czasie Mały znalazł kilka srebrnych drobiazgów - kałamarz, podstawkę pod pióro i małą figurkę Chińczyka. Wszystko to zniknęło w ukrytych kieszeniach jego płaszcza. Pierre nie mógł go powstrzymać, nie robiąc przy tym hałasu.

Sfrustrowany, miał właśnie zamiar przerwać przeszukiwanie szuflad, wyrzucając sobie, że niepotrzebnie podjął takie ryzyko, gdy zauważył wstążkę zwisającą z boku biurka. Gdy uniósł głowę, znalazł miejsce, w którym łączyła się z brzegiem grubego papieru. Delikatnie ją pociągnął, a wtedy spod stosu papierów wysunął się dokument spisany na papierze welinowym. Zaniósł go do paleniska i przyjrzał mu się w nikłym blasku.

Ja, Sandrine de Barbier-Chouant...

Testament! Gdy wpychał go do wewnętrznej kieszeni płaszcza, sztywny welin głośnie zaszeleścił. Wzrok Pierre'a przyzwyczaił się już do ciemności, więc młodzieniec bez trudu wypatrzył Małego i gestem ręki dał sygnał do opuszczenia biblioteki.

Nie wiedział, czy najpierw dostrzegł Anne, czy wcześniej usłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze. Miała na sobie białą koszulę nocną, była blada i stała nieruchomo na najniższym stopniu schodów. Tylko ścisły umysł podpowiadał Pierre'owi, że to nie duch. Dziewczyna zakryła dłonią usta. Pierre uniósł palec do warg, chcąc ją uciszyć, jednak było już za późno. Mały z tupotem ruszył w stronę schodów, a jego sztylet błysnął w nikłym świetle. Pierre nie pamiętał, kiedy się ruszył, jednak jakimś cudem dotarł do Anne przed karłem i przyjął pchnięcie przeznaczone dla niej. Ostrze noża przebiło jego stary płaszcz i utknęło pod żebrami.

Gdy krzyk Anne rozdarł ciszę, w głębi domu zaczęły się otwierać drzwi i rozległy się głosy.

- Tędy! - syknął Mały, ciągnąc osłabionego bólem i ślizgającego się po gładkim parkiecie Pierre'a w kierunku, z którego przyszli.

Powstrzymał ich odgłos kroków od strony kwater dla służby. Zmienili kierunek ucieczki i wpadli do małego saloniku za schodami. Nim Pierre zorientował się w sytuacji, Mały wybił szybę w oknie, wgramolił się na parapet i czmychnął, zostawiając młodzieńca na łasce losu. Okno znajdowało się dość wysoko, więc medyk

podczas skoku skręcił kostkę. Gdy przycisnął dłoń do rany w boku, bardziej wyczuł, niż zobaczył krew, która zdążyła już zrobić sporą plamę na płaszczu. Jakimś cudem udało mu się dokuśtykać do najbliższej przecznicy, nim któryś z domowników dotarł do okna salonu. Miał nadzieję, że dzięki chustce na twarzy Anne go nie rozpoznała. Dotknął ręką kieszeni na piersi. Testament był na miejscu, czyli zadanie zostało wykonane. Teraz musiał tylko dotrzeć do mieszkania, gdzie zostały wszystkie środki opatrunkowe. Odczuwał dotkliwy ból w boku, jednak ostrze noża było krótkie i nim dotarło do ciała, musiało przebić grubą warstwę ubrania, dzięki czemu rana nie mogła być głęboka.

Pokonanie dwóch i pół kilometra, które dzieliły go od rue des Bernardins, było jedną wielką udręką. Gdy w końcu Pierre wczołgał się po schodach do swojego mieszkania, zemdlał na podłodze, nim zdążył opatrzyć ranę.

Anne pod wpływem szoku trzęsła się jak osika. Thérèse owinęła ją kocem i posadziła przy kominku w bibliotece; wcześniej podsyciła żar i roznieciła ogień. Markiz zapalił świece.

- Wygląda na to, że ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, a tymczasem znalazł tylko kilka srebrnych drobiazgów - stwierdził z wyraźnym zaskoczeniem, omiatając wzrokiem biurko, pootwierane szuflady i cały pokój. - Zapewne chcieli nas przestraszyć. Tylko dlaczego...

Nie kończąc zdania, potarł w zamyśleniu brodę. Chyba całkiem zapomniał, że jest ciemna noc, a on w koszuli i szlafmicy stoi na środku biblioteki. Anne nie chciała jeszcze bardziej go martwić, opowiadając, co widziała: że ktoś o dużej głowie i posturze dziecka rzucił się na nią z nożem i z pewnością pozbawiłby ją życia, gdyby nie jego towarzysz, który zasłonił ją własnym ciałem. Dziwne zachowanie jak na złodzieja.

- Proszę - powiedziała Thérèse, podając Anne kieliszek brandy.

Dziewczyna poczuła palenie mocnego alkoholu w gardle, a potem ciepło rozchodzące się w żyłach.

- Zabij okno deskami - rozkazał markiz Victorowi, który przyczłapał już po ucieczce złodziei. - Nic ci się nie stało? - rzucił pytanie w kierunku córki.

Anne potrząsnęła głową.

- Powinniśmy wezwać policję, ojciec!

- Nie! - warknął markiz, po chwili jednak zmienił ton. - Nie ma sensu robić tego w środku nocy. Wystarczy, jeśli wezwiemy policjantów rano.

Ciężko westchnął i zadrzał jak jesienny liść. Serce Anne zmiękło, gdy zobaczyła, jak zmęczony i bezbronny jest ojciec. Gdyby od lat nie dzieliła ich przepaść, podeszłaby do niego i spytała, co go tak martwi. Spróbowałaby się też dowiedzieć, dlaczego wyrządza krzywdę Armandowi, nie pozwalając, żeby zajął się nim młody lekarz, który go operował.

Markiz wyprostował plecy i zwrócił się do Thérèse:

- Wracam do łóżka. Powiedz Victorowi, żeby na dziesiątą sprowadził Gisqueta.

Kiedy wyszedł, a Victor skończył stukać młotkiem, Thérèse pomogła Anne wrócić do pokoju. Leżąc już pod kołdrą, dziewczyna szepnęła:

- Zajrzyj do Armanda.

- Już u niego byłam. Biedaczek ledwie się poruszył podczas całego zamieszania.

Hrabianka poczuła, że serce jej się kraje. Miała nadzieję, że przy pomocy Liszta zdoła ocalić kuzyna i że Armand nie umrze, nim nadejdzie pomoc. Potem postara się dowiedzieć, dlaczego ojciec za nic w świecie nie chciał nikogo dopuścić do chorego. Położyła głowę na poduszce, podciągnęła kołdrę pod brodę i zaczęła się zastanawiać, czy istnieje jakaś modlitwa, która mogłaby pomóc w takiej sytuacji.

Hałas i zamieszanie na parterze wyrwały Armanda z niespokojnego snu. Otworzył oczy i powoli rozejrzał się po pomieszczeniu, które od kilku dni było całym jego światem. Ogień w kominku ledwo się żarzył, a świeczka obok łóżka niemal całkiem się wypaliła. Młodzieniec obrócił się na bok, żeby sprawdzić, ile wody zostało w karafce.

Ostatnio miał już dość sił, żeby samodzielnie unieść szklanekę z wodą. Nie zdradził jednak przed markizem, że jego zdrowie się poprawia - przez cały czas udawał, że jest ciężko chory i jego stan nieustannie się pogarsza. Dzięki temu zamiast zażywać lekarstwo, które przygotowywał dla niego wiekowy markiz, Armand wylewał je powoli kącikami ust. Specyfik był wyjątkowo niesmaczny, a młodzieniec czuł, że i bez niego nabiera sił.

Któregoś dnia odwiedził go ojciec Jaquin i szepnął mu coś na ucho, jednak Armand miał wtedy zbyt wysoką gorączkę, żeby zrozumieć nauczyciela. Teraz, gdy odzyskał siły, przypomniał sobie tamte słowa: „Niebiosy otworzą się przed tymi, którzy mają hojne serca”. Co zakonnik miał na myśli? Na pewno wiedział, że Armand do osiągnięcia pełnoletności nie ma prawa dysponować swoim majątkiem. Chłopak szybko jednak przestał się zastanawiać nad zagadkowymi słowami mentora. Z powodu zmęczenia i wyczerpania często zapadał w sen. Od chwili przybycia do *hôtel Barbier* nie przeglądał się w lustrze, czuł jednak, że meszek na jego brodzie nieco urósł i stwardniał. Armand nie mógł zaś poprosić o sprowadzenie golibrody, skoro w powszechnym mniemaniu leżał na łożu śmierci. Było mu przykro, że Anne widzi go w takim stanie, ale coś powstrzymywało go od podjęcia prób, żeby wrócić do pełni sił, co na pewno byłoby możliwe, gdyby zaczął się lepiej odżywiać. Nie wiedział, dlaczego markiz wywołuje w nim taki niepokój. Starszy pan gniew i gorycz wyładowywał na córce, a do Armanda zawsze przemawiał z czułością, ale w jego oczach było coś dziwnego.

Zbyt dużo rzeczy rozgrywało się w domu poza zasięgiem wzroku i słuchu młodego człowieka. Pomimo wielkiego osłabienia Armand wyczuwał, że dzieje się coś niedobrego. Pewnego razu usłyszał, jak markiz po cichu powiedział do Juliana, stojąc w drzwiach:

- Powiedz im, żeby nadal szukali. Ten człowiek czeka, aż wykrwawię się na śmierć. Stracę wszystko.

Jednak zanim Armand usłyszał coś więcej, markiz i lokaj wyszli na korytarz i zamknęli za sobą drzwi. Czego szukali? I kim był „ten człowiek”?

Tym razem w środku nocy rozległ się tupot stóp, przeraźliwy krzyk kuzynki i dźwięk tłuczonej szyby. Armand zaczął sobie wyobrażać najgorsze scenariusze. Może „ten człowiek” włamał się do domu, żeby za coś się zemścić? Może przyjdzie tu i zamorduje go, leżącego bezradnie w łóżku?

W końcu usłyszał jednak uspokajający głos Thérèse, która cicho mówiła coś do Anne, gdy obie przechodziły obok jego drzwi, kierując się w stronę pokoju dziewczyny. Armand głęboko odetchnął. Poczul przy tym ból w pachwinie, ale nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi. Niezależnie od tego, co się wydarzyło na parterze, Anne nie ucierpiała. Młodzieniec zamknął oczy, a jego umysł znów wypełniły gorączkowe fantazje i marzenia. Może jutro będzie na tyle silny, żeby porozmawiać z Anne o swoich obawach.

XXII

Pierre leżał nieprzytomny na podłodze swojego pokoju, póki Georges nie wrócił z nocnej zmiany w Hôtel-Dieu.

- Krwawisz! Co się stało? - zawołał.

Pomógł przyjacielowi podnieść się z podłogi i dojść do łóżka.

- Nadziałem się na nóż zmierzający do innego celu - wyjaśnił krótko, krzywiąc się, gdy Georges oderwał zniszczoną koszulę, żeby oczyścić i opatrzyć ranę.

Nóż karła ugodził Pierre'a pod kątem, który spowodował większe krwawienie, niż medyk początkowo się spodziewał. Czuł niemiłe pulsowanie w boku.

Georges gwizdnał, gdy ujrzął ranę.

- Musimy wezwać policję.

- Żadnej policji. Ten drań zabrał mi tylko dwadzieścia franków. Żyjemy w niebezpiecznych czasach.

A ja sam jestem sobie winien - dodał w myślach. Doszedł do wniosku, że kradzież kilku srebrnych błyskotek przez Małego była w pewnym sensie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Nikt nie będzie pytał o przyczynę włamania do hôtel Barbier, a być może on sam przez przypadek uwolnił się od dwustufrankowej opłaty na rzecz złodziei.

Georges przyniósł Pierre'owi trochę wody, potem sam się położył do łóżka.

- Zawołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebował - powiedział. - Nie będę spał.

Jednak nocna praca w szpitalu wyczerpała go, dlatego po chwili zamknął oczy. Pierre odczekał, aż oddech przyjaciela się uspokoi, a potem ostrożnie zsunął nogi za krawędź łóżka. Gdy wstał, poczuł przeszywający ból w boku. Trzymając się mebli, dotarł do szafy, w której trzymał parasol. Zastąpił mu laskę, na której będzie mógł się oprzeć, jeśli ból stanie się jeszcze silniejszy. Nie ma czasu na odpoczynek. Musi dotrzeć z testamentem do madame d'Agoult, nim rozpocznie się przyjęcie zaplanowane na ten wieczór.

Zszedł ostrożnie po schodach, przyciskając rękę do boku. Po kilku krokach ból zelżał. Medyk nieco oprzytomniał i zdał sobie sprawę, że chociaż udało mu się ukraść ważny dokument, nie zdążył nawet do niego zajrzeć. Początkowo uznał, że to byłoby niehonorowe, w końcu jednak doszedł do wniosku, że po tym, co zrobił, ma prawo przeczytać testament. Zaryzykował wszystko: reputację, życie, a przede wszystkim szacunek damy, dla której podjął się tego ryzyka, chociaż prawie jej nie znał. Takie postępowanie można było wytłumaczyć tylko miłością albo głupotą. Nie wiedział, jak odróżnić jedno od drugiego, jeśli jednak nadal miał pomagać madame d'Agoult ochraniać Anne, powinien wiedzieć, co zawiera testament.

Wstąpił do kawiarni i zamówił filiżankę kawy. Potem sięgnął do kieszeni płaszcza, rozwinął dokument i zaczął czytać.

Ja, Sandrine de Barbier-Chouant, będąc w pełni sił umysłowych, wyrażam niniejszym swoją ostatnią wolę.

Zapisuję swojej córce, Anne, cztery piąte wniesionego przeze mnie do małżeństwa posagu, który stanowił równowartość stu dwudziestu pięciu tysięcy franków, a także wszystkie przychody osiągnięte z tego

majątku. Majątek ten powinna przejąć, gdy wyjdzie za mąż albo w dniu dwudziestych pierwszych urodzin, w zależności od tego, co nastąpi wcześniej. Do tego czasu (jeśli mój mąż mnie przeżyje) przychody z jednej piątej majątku, czyli dwudziestu pięciu tysięcy franków, powinny być przeznaczone na wykształcenie i wszystkie potrzeby mojej córki.

Jeśli Anne wyjdzie za mąż przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia, mój mąż otrzyma równowartość jednej piątej kapitału.

Gdyby moja córka umarła wcześniej niż mój mąż, cały mój posag oraz wszystkie przychody powinny przyspaść markizowi de Barbier-Chouant. Gdyby jako pierwszy zmarł markiz, cała suma powinna stać się wyłączną własnością córki, o ile tylko ukończy do tego czasu osiemnaście lat.

Testament był dość jasny. Markiz skorzystałby na wczesnym małżeństwie Anny. Gdyby natomiast zmarła... z pewnością ojciec - ani nawet ojczym, jeśli tak wyglądała prawda - nie życzyłby sobie takiego biegu wypadków tylko po to, żeby się wzbogacić. Pierre nawet nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby Anne zmuszono do małżeństwa z biednym panem de Barbierem albo zgotowano jej jeszcze gorszy los. W tym momencie uznał, że w drodze na quai Malaquais musi zatrzymać się w jeszcze jednym miejscu. Kiedy tylko dopił kawę, ruszył w stronę prefektury, żeby odwiedzić Gardive'a.

Pokonanie dystansu dzielącego go od ile du Palais zajęło mu trochę więcej czasu niż zwykle, jednak udało mu się dotrzeć do biura Gardive'a przed dwunastą w południe, kiedy to urzędnik zazwyczaj wychodził na lunch.

- Jest pan ranny, monsieur! - krzyknął Gardive, gdy Pierre wszedł do jego biura, przyciskając rękę do boku.

Rozsunął część dokumentów, żeby gość mógł usiąść na krześle.

- Niezbyt poważnie - zaznaczył Pierre. - Muszę panu coś pokazać, ale zanim to zrobię, proszę o słowo honoru, że nie będzie pan pytał, w jaki sposób ten dokument trafił w moje ręce.

Po chwili wahania Gardive skinął głową.

- Zgoda.

Pierre wyjął z kieszeni testament, podał go urzędnikowi i bacznie przyglądał się jego zmęczonej twarzy. Zmarszczki na czole starszego pana znacznie się pogłębiły, gdy doczytał dokument do końca.

- Jak... - Natychmiast sam się powstrzymał. - To daje dużo do myślenia. Jeśli, jak podejrzewamy, dziewczyna nie jest córką markiza... - Głos mu się załamał.

- Tego właśnie się obawiam i dlatego przyszedłem tutaj, nim...

Pierre przypomniał sobie, że nie powinien wymieniać nazwiska hrabiny d'Agoult.

Gardive uniósł głowę znad testamentu, zaskoczony urwanym zdaniem.

- Ponieważ wymusił pan na mnie obietnicę, nie spytam, skąd pochodzi ów dokument ani dlaczego wpakował się pan w takie... tarapaty... by go zdobyć. Jednak dziś rano otrzymałem ciekawą informację.

Gardive przerzucił kilka papierów i wygrzebał jakieś urzędowe pismo, które podał Pierre'owi.

- Poprosiłem swoich przyjaciół z policji, żeby informowali mnie, jeśli tylko będą mieli coś ciekawego na temat markiza de Barbier-Chouant. Wygląda na to, że w późnych godzinach nocnych ktoś ukradł z hôtel

Barbier kilka srebrnych przedmiotów, a markiz użył swoich wpływów, żeby prefekt osobiście poprowadził śledztwo... chociaż on postanowił zająć się tą sprawą nieco później, niż mu kazano.

Skierował surowe spojrzenie na Pierre'a.

- Ro... rozumiem - wydukał ten. - Co za pech.

- Z jednej strony pech. Z drugiej - szczęście. Poprosiłem Gisqueta, żeby zabrał mnie ze sobą, bo dzięki temu będę mógł się zorientować, jakie warunki higieniczne tam panują. Z tego, co wiem, wynika, że markiz jest trudnym człowiekiem, a w ten sposób nie poczuje się urażony.

Pierre zwrócił notatkę.

- Jako inspektor sanitarny w tej dzielnicy... - Odkasznął. - ...może mógłbym...

- Tak, może mi pan towarzyszyć, o ile uważa pan, że to rozsądne posunięcie. - Zerknął na Pierre'a, a on osłonił zraniony bok ręką. - Spotkamy się tam za godzinę. Myślę, że zna pan drogę.

Pomógł medykowi wstać z krzesła. Zdaniem Pierre'a Gardive dobrze wiedział, w jaki sposób testament został zdobyty i że rana nie jest przypadkowa. Młodzieniec zastanawiał się, dlaczego urzędnik pozwala, żeby ten wybryk uszedł mu na sucho. Jedynym usprawiedliwieniem był fakt, iż to właśnie Pierre zwrócił uwagę Gardive'a na całą sprawę.

Będzie musiał odłożyć wizytę u madame d'Agoult na później, jeśli ma w ciągu godziny chwiejnym krokiem dotrzeć na rue de Barq. Potem zdąży jeszcze udać się na quai Malaquais. Miał nadzieję, że Anne nie będzie w domu. W przeciwnym wypadku bardzo szybko się okaże, czy poprzedniej nocy go rozpoznała.

Anne uparła się, by zostać w domu i porozmawiać z policją.

- W końcu to ja ich widziałam! - przypominała.

- Nie musisz niepotrzebnie wystawiać na próbę swoich nerwów. Jestem pewien, że hrabina się nie pogniewa, jeśli pojawisz się u niej nieco wcześniej.

Markiz był poważnie zmartwiony, gdy odkrył, że to Anne zaskoczyła włamywaczy, ona zaś nie mogła się temu jego zmartwieniu nadziwić. Nalegał, żeby Thérèse przyniosła jej kleik na ukojenie nerwów, i poszedł do łóżka dopiero wtedy, gdy go zapewniono, że Anne spokojnie śpi. W chwilach takich jak ta dziewczyna zaczynała mieć cichą nadzieję, że nie jest ojcu całkiem obojętna. Zawsze jednak szybko przekreślał to wrażenie, mówiąc coś przykrego i utwierdzając ją w przekonaniu, iż wolałby, żeby ofiarą cholery padła Anne, a nie jej matka.

Czekając na przybycie policji, wślizgnęła się do pokoju Armanda. Od poprzedniego dnia ciągle spał albo był nieprzytomny - nie umiała poznać, jak jest naprawdę. Obawiała się, że brak pożywienia i wody jeszcze bardziej go osłabi. Nachyliła się nad nim i szepnęła:

- Dziś wieczorem cię stąd zabierzemy. Poszukamy twojego przyjaciela, pana Talona, i poprosimy, żeby cię zbadał i wyleczył.

Wciąż nie chciała się zastanawiać, dlaczego ojciec tak nieodpowiednio podchodzi do choroby Armanda. Takie rozważania byłyby zbyt przerażające. Poza tym nie znalazła lekarstwa, o które markiz prosił doktora Magendie, podobnie jak nie dowiedziała się, jak wyglądają dyspozycje dotyczące majątku Armanda. Przypuszczalnie jednak w razie jego śmierci fortuna przypadłaby jezuitom.

Rozległ się dzwonek, który oznajmił przybycie policji. Kiedy Anne schodziła po schodach, usłyszała głosy dochodzące z biblioteki. Otworzyła cicho drzwi i weszła cichutko, żeby nie przerwać rozmowy.

Kiedy zobaczyła zgromadzone tam osoby, stłumiła okrzyk radości. Oprócz ojca, prefekta Gisqueta i jakiegoś nieznanego urzędnika ujrzała pana Talona. Nie miała pojęcia, jakim cudem znalazł się w tej grupie, ale w tej chwili to nie miało znaczenia.

Kiedy panowie usłyszeli ciche westchnienie, odwrócili się w jej stronę i jak na komendę się skłonili. Anne była trochę zdziwiona, że Talon ledwo skinął głową, choć z powodu swej pozycji społecznej powinien uklonić się najniżej. Poczula się dziwnie urażona tym brakiem szacunku i zastanawiała się, czy w jakiś sposób go dotknęła.

- Hrabianko, to prefekt Gisquet i pan Gardive. Pana Talona już chyba znasz.

Anna skinęła każdemu z nich głową. Zauważyła, że ojciec z premedytacją nie przedstawił Talona jako doktora. Gisquet miał dziwną fryzurę, ułożoną za pomocą zbyt mocno perfumowanej brylantyny, i nowe, ale źle skrojone ubranie. Wyjął z kieszeni zegarek i zmarszczył czoło, jakby uważał, że powinien się już znajdować w całkiem innym miejscu. Gardive wyglądał na porządnego człowieka, dobrze wykształconego i pełnego szacunku. Uniósł jedną brew i kącik ust, przez co wyglądał tak, jakby uśmiechał się połową twarzy, podczas gdy druga pozostawała poważna. Monsieur Talon opierał się o krzesło, a sądząc po jego minie, chciał przekazać Anne coś bardzo ważnego.

- To drobna kradzież i nie powinna zabierać czasu tylu osobom, które mają poważniejsze sprawy na głowie - powiedziała.

Gisquet wyjął z kieszeni notatnik i ołówek.

- Hrabianko... - zaczął ze służalczym uśmiechem. - Czy może mi pani opisać złodziei?

- Jeden z nich sięgał mi dotąd. - Uniosła dłoń na wysokość talii. - Miał dużą głowę i diabelskie oczy.

- A drugi?

- Był wyższy. Powiedziałabym, że mniej więcej wzrostu pana Talona. Gdy ten mały ruszył w moją stronę, wyższy stanął mu na drodze i chyba został ranny.

- Panie markizie - kontynuował Gisquet, zwracając się do pana domu. - Czy mógłby pan dokładnie opisać skradzione przedmioty?

Starszy pan machnął niecierpliwie ręką.

- Kilka srebrnych drobiazgów, to wszystko. Zostałaś zaatakowana, Anne? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym w nocy?

- Nie... nie chciałam cię martwić, ojcze, zwłaszcza że nic mi się nie stało.

Była poruszona widoczną troską w jego oczach. Jak mogła myśleć, że on źle życzył jej kuzynowi? Zanim zdołała uspokoić markiza, głos zabrał komisarz.

- *Excusez-mois*, markizie, ale czy jest pan pewien, że nic więcej nie zginęło? Sprawdził pan wszystkie pomieszczenia?

- Oczywiście - odparł pan Barbier, wyniośle odrzucając do tyłu głowę.

- Nie mogę uwierzyć, że ktoś włożył tyle wysiłku, by włamać się do domu, w którym... proszę wybaczyć sformułowanie... najwyraźniej się nie przelewa i trudno znaleźć bogaty łup. - Gardive zerknął na

puste miejsce nad kominkiem, gdzie wciąż widać było ślad po zdjętym obrazie. - Czy ma pan jakieś ważne papiery lub dokumenty? Może coś z okresu pańskiej kariery na dworze?

Monsieur Talon zakasłał.

- Kto tu dowodzi? - spytał markiz komisarza. - Czy mogę zamienić z panem parę słów na osobności, Gisquet? Nie mam zamiaru tracić czasu na amatorskie spekulacje.

- Przykro mi, panie markizie, ale ciężar obowiązków nie pozwala mi poświęcić czasu na prywatną rozmowę - odparł Gisquet.

Anne dostrzegła, iż słowa ojca poirytowały zarówno prefekta, jak i urzędnika. Pomyślała, iż żaden z nich nie będzie więcej uwagi poświęcał włamaniam.

- *Pardonnez-moi*, mademoiselle - wtrącił Pierre. - Jak się miewa pani kuzyn?

Medyk zadał to pytanie, nie ruszając się z miejsca, w którym stał. Wszyscy obecni w bibliotece odwrócili się, czekając na odpowiedź.

- Jego stan z dnia na dzień się poprawia - odparł markiz, nim Anne zdołała nabrać powietrza w płuca.

Rzuciła błagalne spojrzenie w stronę Pierre'a i wydawało jej się, że dostrzegła w jego oczach błysk zrozumienia. Gdyby tylko mogła zabrać go na piętro, do pokoju Armanda!

- Prefekt zdobył informacje, na których mu zależało. Teraz kolej na nas...

Markiz machnął ręką. Anne ukloniła się całej grupie, ale nie śpieszyła się z odejściem. Wolno zmierzała w stronę drzwi, mając nadzieję, że usłyszy coś, co ją uspokoi.

Pierre nie był pewien, czy markiz rzeczywiście tak bardzo się martwi nocnymi przeżyciami Anne. Marzył, żeby Gardive przestał nękać starszego pana.

- Czy w domu ostatnio ktoś chorował? - spytał Gardive.

- Nie, ale mój kuzyn wraca do zdrowia po przebytej operacji - odparł markiz.

- Doprawdy? - spytał urzędnik. - Cóż to za znakomity chirurg przeprowadził ów zabieg?

Markiz zmarszczył czoło.

- Talon. Moim zdaniem miał mnóstwo szczęścia.

- Na pewno! - Gardive odwrócił się w stronę młodzieńca.

Widząc na twarzy urzędnika udane zaskoczenie, Pierre zagryzł wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Jest pan zadowolony z tempa jego powrotu do zdrowia? - zapytał Gardive.

Pierre przechwycił wzrok Anne i dostrzegł, że dziewczyna delikatnie pokręciła głową.

- Tak - odparł młodzieniec.

- A co na to pani markiza? Czyżby nie było jej w domu?

Pierre podziwiał zimną krew Gardive'a. Miał odwagę człowieka, którego przyszłość w żadnym stopniu nie zależy od opinii kogokolwiek z obecnych. Nawet Gisquet nie miał żadnego wpływu na jego karierę.

- Moja żona, świeć, Panie, nad jej duszą... - Markiz zrobił znak krzyża. - Moja żona leży w rodzinnym grobowcu na Père-Lachaise.

- Co było powodem śmierci? - indagował urzędnik.

- Cholera.

- Nikt więcej nie zachorował? To niezwykle. Gisquet spojrzał ponuro na Gardive'a, a potem wystąpił o krok i uklonił się markizowi.

- Nie będziemy dłużej sprawiali panu kłopotu. Sądzę, iż udało nam się zdobyć wszystkie informacje potrzebne do rozpoczęcia śledztwa.

- Panie prefekcie - zaczął markiz z wyraźną złością w głosie. - Czy mogę zamienić z panem kilka zdań? Kiwnął głową pozostałym gościom, którzy uklonili się.

- Idź już, Anne - powiedział starszy pan, widząc, że córka wciąż im towarzyszy.

Dziewczyna niechętnie wypełniła polecenie. Pierre ani drgnął, póki Anne nie znalazła się poza zasięgiem jego wzroku. Nie chciał, by się domyśliła, że jest ranny, i koniec końców skojarzyła go z jednym z włamywaczy.

Pierre i Gardive czekali na Gisqueta w westybulu, gdzie towarzystwa dotrzymywał im posepny Julien. Młodzieniec marzył, żeby przyłożyć ucho do drzwi biblioteki i posłuchać, co mówi markiz.

Po krótkiej chwili pojawił się prefekt, uklonił się z szacunkiem markizowi i wyszedł z pozostałymi panami na dziedziniec. Zanim lokaj zdążył zamknąć za nimi zdobione drzwi, gospodarz zawołał:

- Powieście tych drani, jak ich złapiecie!

Pierre wyobraził sobie niewielkie, zdeformowane ciało Małego dyndające na stryczku na place de Grève.

Gdyby miał mniej szczęścia, on też mógłby zawisnąć obok karła.

- Czy starszy pan ma jakieś dodatkowe informacje na temat włamania? - spytał Gardive prefekta, gdy wsiadali do czekającej na nich karety.

- Markiz - poprawił go z naciskiem Gisquet - zobowiązał mnie do zachowania tajemnicy. Możecie spokojnie zostawić to śledztwo w moich rękach.

Co za sprytne posunięcie - pomyślał Pierre. - Markiz sprawił, że ten nadęty biurokrata poczuł się ważny, i odsunął od sprawy tych, którzy mogliby mu pomóc. Wiekowy arystokrata musi coś ukrywać. Młodzieniec nie mógł znieść myśli, że zostawia dziewczynę z ojcem.

Służba usunęła większość mebli z salonu madame d'Agoult i ustawiła na wprost fortepianu rzędy złoconych krzeseł. Marie przyjęła Pierre'a w saloniku, z którego rzadko korzystała; jego okna wychodziły na budynek naprzeciwko i wpuszczały niewiele światła. Gdy hrabina zauważyła, że młody człowiek ciężko opiera się na swoim parasolu, a każdy krok wyraźnie sprawia mu ból, podbiegła do niego i pomogła dojść do wygodnego, tapicerowanego krzesła.

- Proszę mi tylko nie mówić, że ucierpiał pan z powodu...

Pierre podał jej testament, nie pozwalając dokończyć zdania.

- Jak pani widzi, zdobyłem dokument, na którym tak pani zależało. Nie będę udawał, że nie znam jego treści.

Marie włożyła na nos binokle i przejrzała ostatnią wolę przyjaciółki.

- Jest dokładnie tak, jak się domyślałam - rzekła, zdejmując szkła i kierując smutne spojrzenie na młodzieńca. - Dla dobra Anne musi pan dziś wieczorem podjąć pewne działania. Markiz mnie przeraża.

Pierre gwałtownie zamrugnął.

- Nie jestem pewien, czy dobrze panią zrozumiałem - powiedział.

- Monsieur Talon, proszę nie myśleć, że jestem bezduszną intrygantką, jednak wszelkie wątpliwości dotyczące majątku Anne zostaną rozwiane dopiero wtedy, kiedy dziewczyna wyjdzie za mąż. Najlepszym rozwiązaniem byłby ślub z kimś, kto zdoła zapewnić jej bezpieczeństwo. Gdyby wstąpiła w taki związek, markiz dostałby swoją część spadku, a jeżeli cokolwiek by się Anne przytrafiło, pozostałe pieniądze stanowiłyby własność jej męża, nie ojca. W ten sposób zniknęłyby wszelkie pokusy, które mogłyby doprowadzić do nieszczęścia.

Podejrzenia Marie wzmogły obawy Pierre'a, wciąż jednak nie chciał przypisywać markizowi niskich pobudek.

- Chyba nie wierzy pani, że markiz de Barbier-Chouant mógłby skrzywdzić własną córkę?

Marie spojrzała z ukosa.

- Nie powiedział mi pan, co było w akcie urodzenia. Pierre spuścił wzrok.

- Dokumenty, które widziałem, są niejednoznaczne.

- Są niejednoznaczne, ale dają dużo do myślenia, prawda?

Pierre bardzo chciał powiedzieć madame d'Agoult wszystko, co wiedział, miał jednak na względzie dobro Anne.

- Jest pewna rozbieżność w datach urodzin i chrztu.

- Czyli odkrył pan pewne fakty, które potwierdzają moje obawy. Od dawna się domyślałam, że Anne nie jest córką markiza - zdradziła Marie.

Siedzieli w milczeniu, każde z nich pochłonięte własnymi myślami. Do rzeczywistości przywołał ich delikatny dźwięk zegara.

- Wydaje mi się, że żywi pan wobec hrabianki pewne uczucia - powiedziała Marie.

Łatwo było to odgadnąć, biorąc pod uwagę, ile trudu Pierre sobie zadał, zajmując się sprawami mademoiselle Anne. Mimo to nie mógł zapomnieć błagalnego spojrzenia, jakie rzuciła mu w odpowiedzi na pytanie o stan kuzyna.

- A co z panem de Barbierem? - spytał.

- Nic nie wiem ani o nim, ani o jego sytuacji materialnej. Ze słów Anne wynika, że jest chory i słaby, być może grozi mu nawet śmierć. Nie jestem jednak w stanie mu pomóc.

W tej chwili do saloniku weszła pokojówka, niosąc tacę z herbatą. Pierre ucieszył się z przerwy w rozmowie. Dzięki temu mógł spokojnie przetrwać słowa hrabiny. Czyżby namawiała go do ucieczki z Anne? Ma to zrobić jeszcze tego wieczoru?

Najwyraźniej wątpliwości miał wypisane na twarzy, bo gdy tylko pokojówka zamknęła za sobą drzwi, Marie wróciła do sprawy.

- Bez wątpienia sądzi pan, iż niefrasobliwie traktuję honor swojej młodej przyjaciółki.

- Chciałbym wiedzieć, co pani sugeruje - rzekł Pierre.

- Wierzę, że jest pan dobrym człowiekiem - odparła Marie, kładąc rękę na jego ramieniu i lekko je ściskając. - Anne nie zna jeszcze samej siebie. Jest młoda, ale dużo przeszła. Jeśli zaś, jak pan sugeruje, urodziła się przed ślubem swojej matki z markizem, ma nie siedemnaście, lecz osiemnaście lat, czyli może

legalnie zawrzeć małżeństwo bez zgody ojca. Może posuwam się za daleko, ale wydaje mi się, że pan - z pańską delikatnością i wykształceniem - mógłby dać jej szczęście.

Pierre zdawał sobie sprawę, że hrabina mu schlebia, nie wiedział tylko w jakim celu.

- Czy ma pani zgodę na wyswatanie hrabianki? - spytał.

Nawet jeśli dokumenty mówiły prawdę, nie rozumiał, dlaczego hrabina chce związać dziewczynę z kimś o niższej pozycji społecznej. Dzięki urodzie i fortunie ta młoda dama mogła sięgnąć o wiele wyżej.

- Jeśli Anne zechce wyjść za mąż i zdoła udowodnić złe zamiary ojca, prawo spojrzy na wszystko łaskawym okiem.

Pierre nie odpowiedział. Ciężka noc, boląca rana, dziwne wydarzenia mijającego dnia - wszystko to go przytłaczało. Madame d'Agoult proponowała coś, o czym nawet nie śmiał marzyć. Nie chciał jednakże zdobywać Anne w taki sposób, ukradkiem, wręcz bez jej zgody. Nie mówiąc już o zgodzie ojca, bo niezależnie od tego, czy markiz był ojcem Anne, czy tylko dał jej nazwisko, przecież to on ją wychowywał.

- Jeśli chce pani, żebym porwał Anne wbrew woli jej samej oraz markiza, nie mogę się na to zgodzić.

Marie wstała i zaczęła krążyć tam i z powrotem po małym pomieszczeniu.

- Sądziłam... - zaczęła. - Wykazuje pan duże zainteresowanie hrabianką, przypuszczałam więc, że bardzo panu zależy, by związać się z nią w obliczu Boga i prawa.

- Pani sądy... i przypuszczenia... były słuszne. Rzeczywiście, kocham mademoiselle Anne. Nie wiem jednak, co ona do mnie czuje. Nie skłonię jej podstępem do małżeństwa...

- Nie obchodzą mnie pańskie skrupuły! - zawołała Marie. - Czy nie widzi pan, że tu chodzi o jej przyszłość... a może nawet życie?

Słowa hrabiny odbijały się echem w ciszy, która po nich zapadła.

- No tak - odparł Pierre i popatrzył na swoje dłonie. - Proszę tylko powiedzieć, co mam zrobić.

Marie była trochę zaskoczona tym, że medyk przystał na jej plan. Uważała, że istnieją niewielkie szanse na sukces, i odegrała przed nim komedię, udając o wiele większą troskę o bezpieczeństwo Anne, niż rzeczywiście odczuwała. Gdzieś w głębi duszy chciała, żeby Pierre odrzucił jej pomysł. Cały plan opracowała podczas ostatniej bezsennej nocy. Nie mogła zapomnieć widoku Anne i Liszta obejmujących się przy fortepianie. Zdesperowana, próbowała postawić dziewczynę w sytuacji, w której będzie ona musiała poślubić Pierre'a albo pogodzić się z piętnem kobiety upadłej i wyrzutka społeczeństwa. Gdy młodzieniec wychodził, niewiele brakowało, by zawołała go z powrotem i powiedziała, że jeszcze raz przemyślała całą sprawę i chyba lepiej będzie poczekać na posunięcia markiza. Jednak jej wahanie trwało zbyt długo. W końcu usłyszała, że drzwi zamknęły się za gościem.

Doszła do wniosku, że biedak wyglądał na kompletnie wykończonego. Odesłała go do domu swoją karetą, która miała poczekać, a potem przywieźć go z powrotem na przyjęcie. Prawdopodobnie ucierpiał podczas próby zdobycia testamentu. Nie pytała, jak to zrobił, bo nie chciała znać żadnych szczegółów. Skoro jednak zgodził się na jej lekkomyślny plan, będzie musiała wynająć powóz, który tego wieczoru wywiezie go wraz z Anne.

Może wszystko dobrze się skończy? Nawet jeśli dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z zalet monsieur Talona, Marie czuła, że tych dwoje idealnie do siebie pasuje. On nie ukrywał swoich uczuć. Marie poczuła ból

w sercu, widząc ładne pismo Sandrine, czytając słowa skreślone tą samą ręką, spod której wyszło tyle pełnych udręki listów o miłości nie do męża, lecz do innego mężczyzny, i nadziejach związanych z utalentowaną córką. Dziewczyna wcale nie ucierpi, jeśli w małżeństwie to ona będzie miała silniejszą pozycję. To pozwoli jej wybrać styl życia - w przeciwieństwie do obecnej egzystencji i całkowitego podporządkowania surowym zasadom markiza.

Robię to dla dobra Anne - wmawiała sobie Marie.

Mimo to sumienie nie dawało jej spokoju. W jakim stopniu za tymi działaniami kryją się jej własne cele? Czy, pomijając inne motywy, naprawdę uważa, że Talon jest najlepszym kandydatem do ręki Anne? Dziewczyna była cudowną i utalentowaną osobką. Mając do dyspozycji fortunę matki, mogłaby wybrać takiego męża, jakiego by sama chciała.

Warunki zawarte w testamencie Sandrine były dość osobliwe. Dziwił też fakt, iż po ślubie zachowała kontrolę nad swoim posagiem. Zazwyczaj gdy kobieta „kupowała sobie” tytuł szlachecki, mążonek przejmował jej majątek. Dlaczego markiz się tego nie domagał? Chyba że on również skrywał jakiś ponury sekret, o którym wiedziała Sandrine.

Marie poczuła, że zaczyna ją boleć głowa. Jeszcze zanim zacznie się ubierać, musi zażyć lekarstwo. Tego wieczoru Anne zadebiutuje wśród artystycznej elity Paryża. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to córka Sandrine zostanie pchnięta w ramiona młodego mężczyzny, który ma wiele zalet. W najgorszym wypadku przeżyje przygodę, po której zostanie skarcona, ale zasadniczo nie powinna ponieść poważniejszych konsekwencji.

Marie nie chciała myśleć, jak to wpłynie na jej znajomość z czarującym Franciszkiem Lisztem.

XXIII

Nie jestem już dawną sobą - pomyślała Anne, przyglądając się własnemu odbiciu w lustrze toaletki, gdy Thérèse układała jej włosy na przyjęcie. Dziewczyna uznała, że nie sposób wyobrazić sobie trudniejsze życie niż to, które stało się jej udziałem po śmierci matki, gdy została sama z bezdusznym, nieprzystępnym ojcem. Nic więc dziwnego, że marzyła, aby powróciły dawne czasy, kiedy wszystko wydawało się wiele prostsze.

Oczywiście, była nawet bardzo wdzięczna hrabinie d'Agoult, ale co dobrego mogło wyniknąć z ukradkowego romansu z Lisztem? Jeśli pianista pomoże jej tego wieczoru, będzie miała wobec niego dług wdzięczności. Miała nadzieję, że Węgier nie oczekuje od niej pieniędzy ani specjalnych względów, bo z pewnością nie mógł liczyć ani na jedno, ani na drugie. Zresztą jej uczucia do nauczyciela uległy całkowitej zmianie. Żar pocałunku zbladł we wspomnieniach, a pozostało jedynie poczucie wstydu.

Gdybyż życie było tak proste jak gra na fortepianie! Na przekór wszystkiemu Anne zaczęła zdawać sobie sprawę, że ma dużo większy talent, niż uważa madame d'Agoult. Wiedziała, iż dzięki lekcjom miała nabrać nieco oglądy, niczym klejnot, który dokładnie ogląda się przed kupnem, jednak w jej wypadku muzyka nie ograniczała się do poprawnego wykonywania utworów. Gra na fortepianie już dawno temu przestała być satysfakcjonującą rozrywką, lecz teraz, po śmierci matki, muzyka stała się dla Anne ważnym elementem jej

osobowości, sposobem na lepsze poznanie siebie. Ona sama i wykonywane przez nią utwory stanowiły całość; dźwięki, interwały, akordy oraz tonacje określały jej spojrzenie na świat.

Chociaż nikt jej nigdy tego nie powiedział, czuła, że większość dobrze wychowanych młodych dam całkiem inaczej postrzega muzykę. Nikt od nich nie oczekiwał, że się poświęcą grze na fortepianie. Co stałoby się z jej talentem, gdyby wyszła za mąż za Armanda? Gdyby w ogóle wyszła za mąż?

- Co się stało, mademoiselle?

Anne dostrzegła w lustrze, że łza spływa jej po twarzy. Zamiast wyglądać na szczęśliwą, sprawiała wrażenie zmartwionej zbliżającym się występem.

- Pomyślałam o mamie - odparła.

- Proszę pozwolić, że się panience przyjrzę - powiedziała Thérèse.

Dziewczyna stanęła przed wysokim lustrem przymocowanym do drzwi szafy. Pięknie wyglądała w wykończonej drobnymi perłami sukni z lawendowego jedwabiu. Kreacja miała niewielki dekolt - ostatni krzyk mody; Anne nigdy wcześniej nie nosiła czegoś takiego. Żałobę po śmierci matki wyrażały czarne wstążki wokół rękawów i czarna koronka na skraju dekoltu. Thérèse sama uszyła tę suknię - ślezczała nad nią godzinami i uporała się z tym w ciągu tygodnia. Chociaż w wykończeniach Anne rozpoznawała elementy strojów matki, nie miała pojęcia, jak służąca zdołała przekonać markiza do kupna szeleszczącego, lśniącego jedwabiu.

Z koafiuery dziewczyny unosił się zapach fiołków i bzu, a gdy wzięła do ręki wachlarz i rękawiczki, wyglądała tak, jakby wybierała się na bal.

- Brakuje jeszcze jednego - oznajmiła Thérèse.

Kucnęła obok łóżka Anne. Wyjęła spod niego małą, ozdobną drewnianą skrzyneczkę i podała ją swej pani.

- Proszę otworzyć - powiedziała.

Anne odblokowała niewielki mosiężny zatrzask szkatułki, w której matka trzymała biżuterię. Zapomniała o jej istnieniu.

- Skąd ją wzięłaś?

- Nie zostało w niej zbyt wiele. Większość klejnotów sprzedano w ciągu ostatnich dwóch lat.

- Czyżby ojciec o nią nie pytał?

- Pytał, ale udawałam, że nie wiem, gdzie się podziała - odparła Thérèse z hardo podniesioną głową.

Anne wybuchnęła śmiechem.

- Teraz wszystko się wyda, ale przynajmniej na dzisiejszy wieczór...

Dotknęła biżuterii ze strasów, przypominając sobie, jak wyglądała w niej matka. Gdy wyjęła wszystkie skarby ze szkatułki i rozłożyła na toaletce, dostrzegła piękny, kryształowy garnitur: naszyjnik, parę okrągłych kolczyków, dwie bransoletki i pierścionek.

- Wciąż jestem w żałobie - skostatowała nagle.

- Markiza nie miałyby nic przeciwko temu.

Założyła więc naszyjnik i wpięła kolczyki, uznała jednak, że bransoletki i pierścionek będą jej przeszkadzać podczas gry, więc odsunęła je na bok.

- Nie przypominam sobie, żeby matka kiedykolwiek nosiła ten komplet.

- Rzeczywiście - odparła Thérèse. - Nie zakładała go po wyjściu za męża.

Anne przypuszczała, że z kryształowym garniturem wiąże się jakaś historia, jednak nie była gotowa na kolejną niespodziankę, dlatego puściła słowa służącej mimo uszu. Kiedy Thérèse chciała już zamknąć szkatułkę, dziewczyna zauważyła na wierzchu małą szufladkę, w której matka trzymała perły. Anne nie sądziła, że je tam znajdzie - były zbyt wartościowe, aby przetrwać chude lata - jednak coś ją skłoniło, by mimo wszystko zajrzeć do środka. Ujęła między kciuk oraz palec wskazujący małą gałkę z kości słoniowej i pociągnęła.

Zgodnie z przypuszczeniami nie znalazła pereł, tylko jakieś papiery. Jak się okazało, były to listy, które, sądząc po datach, ktoś pisał do markizy ponad dziesięć lat temu. Anne nie znała tego charakteru pisma. Spojrzała na początek jednego z nich.

Kochana Sandrine...

Przerwała czytanie i spojrzała na Thérèse.

- Wiedziałaś o nich? Służąca kiwnęła głową.

- Chciałam panience powiedzieć, ale nie mogłam.

Moja mama miała kochanka - pomyślała Anne. - Czy markiz o tym wiedział?

Szybko wepchnęła listy do swojej torebki. Później do nich zajrzy, w jakiejś spokojnej chwili, kiedy będzie mogła rozważyć rodzące się wątpliwości. Teraz nie ma czasu, musi skupić się na innych rzeczach - swoim występie i zadaniu, które chce tego wieczoru wykonać przy pomocy Liszta.

Thérèse położyła dłoń na jej ramieniu.

- Mogła go zostawić, ale tego nie zrobiła - powiedziała.

Dziewczyna spojrzała na swoje satynowe pantofelki i obrysowała ich czubkiem słoje drewnianej podłogi.

- Zostaniesz z Armandem, jak prosiłam?

- Tak, mademoiselle.

Kiedy Anne schodziła po schodach, przypomniała sobie, że po raz ostatni ona i ojciec tak elegancko się ubrali i razem wsiedli do powozu, gdy jechali na pogrzeb matki. Na chwilę przytłoczył ją smutek, dlatego musiała sobie przypomnieć, że tym razem jadą na przyjęcie, podczas którego odbędzie się jej muzyczny i towarzyski debiut. Co więcej, powinna dobrze się bawić w gronie wesołych i inteligentnych ludzi.

Markiz czekał na nią w bibliotece. Kiedy weszła, wstał, opierając się na lasce. Widząc przygarbioną postać w stroju z poprzedniej epoki: niebieskim surducie i białych spodniach, Anne poczuła, że boli ją serce. Bardzo chciała kochać tego starca, człowieka, który odkąd pamiętała, zawsze był obok niej i którego przypuszczalnie oszukiwała żona. Wiedziała, że będzie musiała przeczytać znalezione listy, ale na myśl o nich płonęły jej policzki. Jeśli nawet matka postępowała niemądrze, czy to w jakikolwiek sposób wpływa na ocenę tego, co robi markiz? Nadal był to człowiek, który nie chciał zapewnić Armandowi odpowiedniej opieki i uparcie podawał mu lekarstwo pogarszające jego stan.

Markiz z ponurą miną podszedł do córki.

- Nie możemy się spóźnić - przypomniał.

Anne dygnęła i ruszyła przed ojcem w stronę starego, krytego powozu. Po raz ostatni używano go w dniu pogrzebu, co tylko pogorszyło ponury nastrój dziewczyny. Materiał na siedzeniach był mocno

poprzecierany, ale z zewnątrz pojazd prezentował się naprawdę imponująco. Victor włożył trochę za ciasną liberię. Komicznie prezentował się na koźle w stroju szamerowanym aksamitnymi złotymi galonami; na głowie miał białą perukę, która wyglądała jak gołąb w gnieździe. Do dwóch koni markiza doprzężono drugą parę rumaków, które wypożyczono specjalnie na ten wieczór.

Niewielką odległość do rezydencji madame d'Agoult pokonali w całkowitym milczeniu. Kiedy powóz podskakiwał na bruku, Anne wróciła myślami do listów, które wepchnęła do torebki. Czyżby dała się zwieść pozorom? Może rzeczywistość wygląda całkiem inaczej? Może markiza, choć tak miła dla córki, była okrutna wobec męża? A jeśli w rzeczywistości ojciec robi wszystko, żeby uratować kuzyna? Co się stanie, jeśli Anne z Lisztem wywiozą Armanda z hôtel Barbier, a młodzieniec umrze?

Kiedy czekali w kolejce powozów przed budynkiem przy quai Malaquais, markiz odwrócił się do Anne.

- Przed laty poprzysiągłem sobie, że moja noga nigdy więcej nie postanie w apartamencie tej kobiety. Gdybym mógł tego wieczoru zostać w domu, nie przynosząc ujmy honorowi rodziny, tak właśnie bym postąpił - powiedział.

Potem, nie dopuszczając Anne do słowa, wysiadł z powozu.

Pierre zmienił opatrunek, a potem ubrał się w strój wieczorowy. Wsunął pod koszulę grubą warstwę waty, bo nie chciał zakrwawić swojej najlepszej kamizelki. Dzięki Bogu, hrabina użyczyła mu swojego powozu; nie zdołałby pokonać trasy na piechotę. Okolice rany były wyraźnie obrzmiałe. Później będzie musiał naciąć skórę, żeby usunąć płyn, który się pod nią zebrał.

Teraz jednak miał ważniejsze rzeczy na głowie. Zgodził się na plan Marie i obiecał, że ucieknie z Anne, nie chciał jednak ryzykować, że ktoś zemści się za to na nim osobiście albo przy użyciu prawa, gdyż przyniosłoby to więcej złego niż pożytku zarówno jemu, jak i dziewczynie. Uznał, iż jedynym wyjściem jest wciągnięcie w całą sprawę Gardive'a. Po drodze do madame d'Agoult wstąpił zatem do prefektury.

Oficerowie zaczęli już rozpoznawać Pierre'a, dlatego wpuścili go prosto do biura urzędnika.

- Wybiera się pan na przyjęcie? Ozdrowiał pan w cudowny sposób?

Pierre bardzo dobrze już znał sarkastyczny ton Gardive'a.

- Gdybym mógł zostać w domu i odpocząć, chętnie bym to zrobił - odparł. - Niestety, na ten wieczór zlecono mi zadanie, do którego wykonania będę potrzebował pańskiej pomocy.

Wyjaśnił wszystko komisarzowi w takim zakresie, w jakim tylko się odważył. Kiedy skończył mówić, Gardive wstał i bez słowa wyszedł do pokoju z dokumentami. Medyk siedział przez chwilę, zastanawiając się, czy jego prośba została odrzucona i pora wyjść, czy też urzędnik udał się może po jakieś niezbędne dokumenty i chciał, żeby na niego zaczekać.

Kiedy Gardive wrócił w surducie i cylindrze, Pierre nie krył zaskoczenia.

- Spędzam w swoim mieszkaniu tak niewiele czasu - wyjaśnił urzędnik, wciągając elegancką, jasnoszarą rękawiczkę - że trzymam tutaj wyjściowe ubrania, na wypadek takich sytuacji jak ta. Nie chciałbym, żeby ominęło mnie tak ciekawe wydarzenie. Możemy iść?

Gdy opuszczali razem prefekturę, w oczach przechodniów wyglądali jak para starych przyjaciół, którzy postanowili spędzić wieczór na mieście. Gardive pomógł Pierre'owi wsiąść do powozu, woźnica madame d'Agoult cmoknął na konie i ruszyli żywym kłusem.

Do świadomości Liszta zaczęły docierać nieustanne ostrzeżenia Eugène'a. Pianista doszedł do wniosku, że zgodził się zrobić tego wieczoru coś, co można uznać za poważne przestępstwo. Wiedział również, iż pomagając Anne, jedynie utwierdzi Marie w podejrzeniach, że żywi wobec swojej uczennicy uczucia. Musi zatem powiedzieć hrabiance, że nie może wziąć udziału w jej śmiałym przedsięwzięciu. Chociaż pocałunek w jakiś sposób upoważniał ją do prośby o pomoc, Franciszek uznał, że ostatecznie nie ma to większego znaczenia, skoro nikt nie wie o całej sprawie.

Miał nadzieję, że tego wieczoru w końcu uda mu się wyznać hrabinie d'Agoult miłość. Jeśli będzie dłużej zwlekał i pozwoli ukochanej snuć różne domysły na temat swojego związku z Anne, może ją utracić na zawsze.

Od chwili kiedy wysiadł z wynajętego powozu, do jego uszu docierały ożywione głosy. Przywiózł ze sobą Eugène'a, który miał stanowić jego głos sumienia i pomóc trzymać się zmienionej decyzji. Apartament był udekorowany gałazkami wiosennych kwiatów. Gdy przekroczyli próg, zostali powitani przez Marie, która uznała obecność Eugène'a za oczywistą.

- Zapraszam do jadalni - powiedziała. - Posilcie się. Jest tam już Hector, Alfred i wiele innych osób, które zapewne znacie.

Na widok lodowatego spokoju hrabiny Franciszek zapłonął pożądaniem. Chciał przeniknąć tę chłodną fasadę i dotrzeć do emocji, które kipiały pod nią. Jednak Marie świetnie odgrywała rolę powściągliwej gospodyni, wprowadzając gości i przedstawiając ich, pilnując służących i dystrybucji poszczególnych przekąsek oraz napojów, otwierając dyskusje na temat sztuki, muzyki i poezji. Każdy, kto wspomniał o Ludwiku Filipie I lub cholercze, musiał zapłacić karę.

- Jutro przekażę te pieniądze do Hôtel-Dieu - oświadczyła z pełnym wdzięku uśmiechem na ustach.

Eugène wkrótce pograżył się w rozmowie z Hectorem Berliozem, który, jak wieść gminna niesła, zakochał się w pięknej angielskiej aktorce. Powinien być w Rzymie, gdzie miał studiować i komponować, tymczasem, nie informując nikogo, wyjechał stamtąd, podążając za damą serca. Liszt przechadzał się beztrąsko po pokojach, szukając mademoiselle Anne. Chciał poinformować ją o zmianie planów, jednak dziewczyna najwyraźniej jeszcze nie dotarła. On również miał występować tego wieczoru. Obecność Hectora podsunęła mu myśl, żeby zaprezentować gościom jedną z części *Symfonii fantastycznej*. Na jakimś prywatnym koncercie słyszał fragment opatrzony tytułem *Bal* i sądził, iż jest w stanie zagrać go z pamięci. Tego typu rzeczy zawsze robiły wrażenie na słuchaczach.

Wizja występu bez przygotowania nie wywoływała u Liszta żadnego zdenerwowania. To na myśl o Marie żołądek podchodził mu do gardła.

- Witam, monsieur Liszt! Bardzo się cieszę, że ponownie pana widzę.

Madame La Vayer podeszła do niego z wyciągniętymi rękami. Franciszek wiedział, że musi udawać poważnego artystę i pochlebiać wszystkim wdowom oraz bogatym przedstawicielom burżuazji, którzy pojawiają się u Marie, bo bez ich hojności i protekcji nie miał szans na sukces.

- Słyszał pan o nowych fortepianach Erarda? - spytała markiza.

- Nie. Zamieniam się w słuch - odparł, obdarzając ją uśmiechem i nie odrywając od niej swoich egzotycznych, zielonych oczu.

- Podobno - kontynuowała, zaskoczona, że skupiła na sobie uwagę węgierskiego pianisty - dzięki jakiemuś mechanizmowi umożliwiającą jeszcze większą wirtuozerię.

Franciszek wysłuchał uprzejmie nieaktualnej nowiny na temat podwójnego wymyku - mechanizmu, który umożliwiał wykonywanie na fortepianie szybkich repetycji. Potem kłaniał się przyjaciółom, zawierał nowe znajomości i przyjmował pochlebstwa od każdego, czy go znał, czy też nie, jednak przez cały czas był myślami bardzo, bardzo daleko stąd; wyobrażał sobie dotyk i zapach białej skóry Marie, skrywanej pod jedwabną suknią.

Na razie wszystko szło dobrze. Umiejętność to robić - pomyślała Marie, kiedy witała gości, łączyła ich w grupki, sprawdzała, czy wszystkie kieliszki są pełne, a zainteresowani znajdują drogę do bufetu. Zaprosiła kilku wspaniałych wykonawców. Słynna sopranistka z opery obiecała wpaść na chwilę i zaśpiewać jakąś arię. Hugo miał coś przeczytać, Musset zgodził się wyrecytować wiersz, w planie był także występ Liszta. Marie zaprosiła również Chopina, ale odmówił z powodów zdrowotnych. Nie należało również zapominać o Anne. Mimo wszystko Marie musiała przyznać, że dziewczyna pięknie gra etiudę.

Madame d'Agoult pozwoliła sobie na pewną małą złośliwość - ułożyła program w taki sposób, że Anne miała wystąpić bezpośrednio po Liszcie. Nie tylko będzie musiała siedzieć przez cały czas w nerwowym oczekiwaniu, ale w dodatku publiczność tuż po występie największego z żyjących pianistów usłyszy debiut kompletnie nieznanego, prostodusznej istoty. Marie nie miała zamiaru przyznawać się Anne ani Lisztowi, iż widziała ich namiętny pocałunek, jednak z przyjemnością myślała o wymierzeniu im sprawiedliwości.

Hrabina zastanawiała się, czy markiz pojawi się na koncercie. Jego przyjazd znacznie skomplikowałby sytuację. Nawet gdyby Pierre wywiózł Anne, niemal natychmiast podniesiono by alarm, co zwiększyłoby prawdopodobieństwo pojmania uciekinierów. Przez chwilę się zastanawiała, czy dobrze robi, utrzymując cały plan w tajemnicy przed zainteresowaną dziewczyną. Wydawało jej się, że ilekroć wspomniała o młodym lekarzu, wyczuwała nić sympatii, wcale jednak nie była pewna uczuć swej podopiecznej. Nie wiedziała również, czy zachowa ona zimną krew i zdobędzie się na odwagę w obecności ojca. Marie doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli Anne już po fakcie podejmie decyzję, czy chce na stałe związać się z panem Talonem.

- Markiz de Barbier-Chouant i hrabianka Anne de Barbier-Chouant.

Przez głowę by mi nie przeszło, że go tu zobaczę - pomyślała Marie.

- Jak to miło, że pan przyszedł, markizie.

Marie wyciągnęła dłoń, lecz markiz ją zignorował i przywitał się z przechodzącym właśnie obok starym znajomym z dworu. Hrabina d'Agoult wykonała więc wyciągniętą ręką gest w stronę jadalni, gdzie większość gości posilała się przed koncertem.

Anne zatrzymała się i dygnęła. Kiedy się wyprostowała, Marie poczuła niepokój, widząc wyraz jej oczu. Bez pośpiechu pocałowała hrabiankę w oba policzki, a przy okazji szepnęła jej na ucho:

- Wszystko w porządku?

- Tak, ale muszę porozmawiać z panią na osobności, hrabino.

Kilkoro gości przeszło przez westybul, kierując się w stronę salonu.

- Oczywiście, może się pani odświeżyć, mademoiselle - powiedziała Marie głośno.

Ujęła dziewczynę za łokieć i poprowadziła ją na tyły apartamentu, do własnej garderoby, znajdującej się z dala od pomieszczeń dostępnych dla gości.

Zamknęła za sobą drzwi.

- Co się dzieje, Anne?

Hrabianka chodziła niespokojnie tam i z powrotem, potem się zatrzymała, otworzyła torebkę, wyjęła z niej kilka złożonych kartek i wyciągnęła je w stronę Marie. Wyglądały na listy.

- Nie czytałam ich, nie mam odwagi, ale chcę wiedzieć, czy to prawda. Czy ona...? Chodzi o moją matkę!

Po policzkach Anne popłynęły łzy. Marie wzięła listy i rzuciła na nie okiem. Wystarczyło, że przeczytała jedno czy dwa zdania. Chociaż Sandrine nie żyła, korespondencja przyjaciółki była jej prywatną sprawą... i sprawą jej córki. Marie przyjrzała się jednak podpisowi. To właśnie podejrzewała. Podczas gdy ukochany Marie został zabity wybranek serca Sandrine żył, dzięki czemu ich romans ciągnął się latami. Po wyjeździe tego człowieka kochankowie nigdy więcej się nie spotkali, jednak przez jakiś czas korespondowali ze sobą. Koniec końców młodzieńcza namiętność wystygła, a dżentelmen - podziwiany na całym świecie pianista - wkrótce ożenił się i osiadł na stałe we Włoszech.

- Był... może wciąż jest... utalentowanym muzykiem i nadzwyczaj miłym mężczyzną. Bardzo się kochali.

- To znaczy, że matka oszukiwała mojego ojca. Przecież była mężatką!

- Ciii... - ostrzegła Marie, zerkając nerwowo na zamknięte drzwi. Nie wiedziała, co powiedzieć Anne. - Sandrine była nieszczęśliwa, jak wiele innych kobiet. Wiedziałaś o tym, prawda? - spytała, ujmując dłonie dziewczyny. - Postaraj się o wszystkim zapomnieć. Za chwilę zagrasz piękny utwór na wspaniałym fortepianie. Twoja matka będzie patrzeć z nieba i uśmiechać się do ciebie.

Anne nagle przestała płakać i pociągnęła nosem. Uniosła głowę, a w jej oczach pojawił się błysk.

- Albo z piekła!

Mówiąc te słowa, wyciągnęła rękę po listy.

- Nie - oznajmiła Marie. - Oddam ci je później, gdy będziemy miały czas na dłuższą rozmowę.

Wyglądało na to, że Anne jest bardziej skłonna do wzruszeń i mniej zrównoważona, niż sądziła hrabina. Może plan dotyczący dzisiejszego wieczoru mimo wszystko był błędem?

- Zostawię cię tutaj, żebyś mogła się uspokoić - zaproponowała.

Kiedy madame d'Agoult ponownie pojawiła się w zatłoczonych pokojach, zauważyła, że przyjechał Talon, który przywiózł ze sobą ponurego mężczyznę z małym wąsikiem.

- Proszę pozwolić, że przedstawię pani Alarica Gardive'a.

- Witam, monsieur Gardive - powiedziała Marie. - Moi goście doceniają pańską pracę, ale ostrzegam: jedno słowo na temat cholery i zapłaci pan pięćdziesiąt centymów!

Nie wiedziała, po co medyk przyprowadził ze sobą urzędnika. Może chciał mieć świadka?

Po kilku minutach Anne dołączyła do gości. Sprawiała wrażenie spokojnej, chociaż Marie kilkakrotnie zauważyła, że dziewczyna drżącą ręką sięgnęła po kieliszek wina czy ciastko. Zważywszy na okoliczności, goście będą mogli złożyć to na karb tremy. Za kwadrans trzeba będzie zgromadzić wszystkich w salonie. Hra-

bina d'Agoult, która rzadko na własnych przyjęciach piła alkohol, wzięła kieliszek szampana i opróżniła go jednym haustem.

XXIV

Pierre usiadł w tylnej części salonu, żeby móc opuścić przyjęcie, gdy tylko Anne skończy grać. Marie zaproponowała, żeby wyszedł przed występem hrabianki, ale odmówił. Wtedy madame d'Agoult oświadczyła, że nie ma sprawy; pomoże uciekinierom opuścić apartament wejściem dla służby. To właśnie tam miał czekać powóz. Gardive zgodził się im towarzyszyć, by w razie ślubu być świadkiem albo wystąpić w roli przyzwoitki, gdyby się okazało, że Anne odmówiła i trzeba ją odwieźć do hôtel Barbier. Pierre miał nadzieję, że w ten sposób uda się uratować reputację hrabianki, gdyby nie przystała na jego plan.

Markiz siedział na tapicerowanej otomanie i szeptał coś na ucho starszej damie, która przez cały czas miała taki sam surowy wyraz twarzy. Medyk domyślał się, iż jest głucha. Najwyraźniej jednak bierność rozmówcy w niczym nie przeszkadzała markizowi, który, szepcząc coś do starej damy, bacznie obserwował wszystkich wokół, ani na moment nie tracąc córki z pola widzenia. Gardive przez chwilę rozmawiał z ojcem Anne, natomiast Pierre doszedł do wniosku, że lepiej unikać starszego pana.

Był zaskoczony, gdy dziewczyna podeszła do niego mimo czujnego wzroku ojca i zajęła sąsiednie krzesło.

- Tak się cieszę, że pana widzę, monsieur Talon. Przykro mi, że nie udało nam się porozmawiać, gdy był pan u nas rano.

- Od dawna miałem nadzieję, że będziemy mieli możliwość lepiej się poznać - odparł Pierre.

Znowu zauważył, że dziewczyna ukrywa coś. Miał nadzieję, że są to uczucia podobne do jego. Zastanawiał się, czy madame d'Agoult uprzedziła hrabiankę, co wydarzy się po przyjęciu, czy też będzie to dla niej taka sama niespodzianka jak dla jej ojca.

- Czy udało się już pani odzyskać równowagę po ostatnich wydarzeniach?

Anne zbliżyła do niego swoją śliczną, zmartwioną twarz i spytała szeptem:

- Monsieur Talon, czy zaopiekowałby się pan moim kuzynem, gdyby udało mi się go do pana przywieźć? Pomógłby mu pan wyzdrowieć?

Na Boga, przecież zaledwie kilka godzin temu markiz oświadczył, że monsieur de Barbier wraca do zdrowia! Pierre nie zdążył odpowiedzieć ani poprosić o wyjaśnienia, bo w tej chwili Marie stanęła przy fortepianie i uciszyła gości.

- Z przyjemnością przedstawiam pierwszą wykonawczynię dzisiejszego wieczoru, primadonnę, którą ostatnio słyszeliśmy i podziwialiśmy we wspaniałym *Don Giovannim* Mozarta. Przyjaciele, powitajmy signorę Giudittę Pastę, która wspaniałomyślnie zgodziła się wystąpić, chociaż jutro udaje się w podróż do ojczystej Italii.

Wieść o tym, że za chwilę wystąpi słynna Giuditta Pasta, została nagrodzona oklaskami i pełnymi podniecenia pomrukami. Pierre doszedł do wniosku, że w każdym innym wypadku byłby zachwycony, iż może w

zaciszu salonu usłyszeć legendarny głos. Jednak w tej chwili był w stanie myśleć tylko o Anne, która siedziała obok i miała tak napięte mięśnie, jakby była gotowa podskoczyć przy najlżejszym hałasie. Oparcia ich krzeseł ledwo się stykały, mimo to wyczuwał jej drzenie przenoszone przez drewno. Przeszedł go dreszczyk podniecenia. Miał ogromną ochotę ją pocałować.

Anne niespokojnie drgnęła i jeszcze bardziej zaczęła się trząść, kiedy po jej drugiej stronie usiadł Liszt. Węgierski pianista rozparł się na delikatnym krześle, wyciągnął przed siebie długie nogi i nachylił głowę w stronę dziewczyny. Nie patrzył na nią, bo ani na moment nie odrywał wzroku od madame d'Agoult, która zajęła miejsce z boku, na tyle blisko fortepianu, by móc odgrywać rolę mistrza ceremonii. Chociaż Pierre siedział z tyłu, widział, że nieruchome spojrzenie Liszta niepokoi hrabinę.

Gardive nie usiadł, lecz stał pod tylną ścianą. Wyjaśnił Pierre'owi, że spróbuje zająć takie miejsce, z którego będzie mógł obserwować markiza, będąc poza zasięgiem wzroku starszego pana.

W trakcie pełnej udręki miłosnej arii donny Elwiry zadzwonił zegar stojący na gzymsie kominka. Pierre przypomniał sobie słowa hrabiny: „około godziny”. Tyle w przybliżeniu miały trwać występy wszystkich artystów. Subtelny zapach perfum Anne docierał do medyka za każdym razem, kiedy dziewczyna poruszyła się na krześle. Godzina? Toż to będzie wieczność!

Franciszek kilkakrotnie próbował porozmawiać z Anne na osobności. Chciał jej powiedzieć, że nie ma zamiaru pomagać jej w porwaniu kuzyna i że przy wyjściu dla służby nie czeka żaden powóz. Kiedy zobaczył markiza i zapoznał się z programem, zgodnie z którym Anne miała wystąpić na samym końcu, jeszcze bardziej się ucieszył, że Eugène nakłonił go do zmiany zdania. Zgodnie z pierwotnym planem mieli zabrać pana de Barbiera do Hôtel-Dieu i poszukać tam Talona. Tego wieczoru nastąpił jeszcze jeden niespodziewany zwrot akcji - Marie przedstawiła Liszta młodzieńcowi z jasną czupryną, przyszłemu lekarzowi o nazwisku Talon. Nie było to zbyt popularne nazwisko. Sądząc po reakcji Anne na jego obecność i jej wymownych spojrzeniach kierowanych w stronę Franciszka, był to człowiek, którego zamierzała znaleźć w Hôtel-Dieu.

Węgier usiadł obok Anne, mając nadzieję, że gdy wykonawcy będą wchodzili i wychodzili przy akompaniamencie oklasków, uda mu się z nią porozmawiać. Jednak po jej drugiej stronie siedział sam Talon, a hrabianka była napięta jak struna fortepianu, która w każdej chwili może pęknąć i narobić wielkich szkód.

Jeśli jest tak bardzo zdenerwowana, może zadziwić zgromadzonych niezapomnianym wykonaniem... lub utknąć w środku utworu i z płaczem wybiec z salonu.

Na razie Franciszek nie mógł nic zrobić, więc z przyjemnością obserwował madame d'Agoult. Kiedy przedstawiała artystów, podnosiła się ze swojego miejsca i siadała niczym tancerka... albo anioł. Zgromadzeni przez nią muzycy i poeci mogli wbić w dumę każdą panią domu, jednak Marie wcale się nie puszyła. Roztaczała wokół siebie naturalny wdzięk, a jej duże szare oczy były jednocześnie tajemnicze i godne zaufania. Liszt czuł, że gospodyni odwraca od niego wzrok, co dodawało mu odwagi. Bezcelnie się w nią wpatrywał, chociaż zdążył się zorientować, iż z tego powodu starsze panie już szepczą skryte za wachlarzami. Uznał, że będzie to jeszcze jeden sposób na wywołanie reakcji hrabiny. Jeśli plotki staną się uporczywe, będzie musiała publicznie im zaprzeczyć lub potwierdzić ich prawdziwość.

- Monsieur Franciszek Liszt - usłyszał.

Węgier wyprostował się na krześle, potem - słysząc oklaski - wstał. Dopiero wtedy sobie uświadomił, że nadeszła pora na jego występ. Co miał zagrać? Ach, tak. *Bal*. Hector ukrył się w kącie, bez wątpienia obgryzając paznokcie w oczekiwaniu na reakcję publiczności na tę część jego dziwnej, lecz cudownej symfonii. Na razie żadna orkiestra nie chciała tknąć tego utworu, tak więc w rzeczywistości było to jedyne wykonanie, na jakie mógł w tym momencie liczyć.

Anne wciąż drżała jak liść. Nie wiedziała, czy z powodu strachu, czy podniecenia. Wszystko zależało od tego, co się wydarzy, zwłaszcza że Pierre Talon również przyszedł na koncert. Wiele by dała, by móc porozmawiać z nim na osobności i powiedzieć, że chce zabrać kuzyna z *hôtel Barbier*. Mógłby wtedy pojechać z nimi i od razu zająć się chorym. Jednak nie odważyła się na takie posunięcie, bo przez cały czas czuła na sobie baczne spojrzenie ojca.

Nie zapominała również o listach matki. Po rozmowie z Marie bardzo chciała je przeczytać, mając nadzieję, że znajdzie w nich usprawiedliwienie dla postępowania markizy. Żałowała, że nie naciskała, aby hrabina d'Agoult zwróciła jej korespondencję. Wiedziała, że małżeństwo matki zostało zaaranżowane przez rodzinę, chociaż ilekroć pytała o to, markiza odmalowywała romantyczny obrazek. Tak zresztą zazwyczaj zawierano małżeństwa, często również z takich czy innych względów wydawano dziewczęta za dużo starszych mężczyzn. Panom wolno było flirtować, wręcz spodziewano się, że będą mieli „oficjalne” utrzymanki, natomiast kobiety musiały dochowywać wierności, gdyż w innym wypadku groziła im okrutna kara. Anne zastanawiała się, jak ukarałby markiz żonę, gdyby się dowiedział, że wciąż żywi uczucia do kogoś innego. Marie powiedziała, że kochanek Sandrine był muzykiem. Anne nie przyjrzała się dokładnie podpisom widniejącym pod listami. Gdyby zwróciła na nie uwagę, czy wiedziałyby, o kogo chodzi?

Kiedy zaczęła się artystyczna część wieczoru, dziewczyna starała się zachować spokój, jednak trudno jej było spokojnie usiedzieć, zwłaszcza od chwili, gdy znalazła się między Lisztem a Talonem. Wyobrażała sobie, że to dwaj aniołowie zesłani z niebios, żeby ją sprawdzić. Z jednej strony niebezpieczeństwo, napiętność, sztuka i muzyka - a więc Liszt. Z drugiej - zdrowie, uczciwość, bezpieczeństwo i nauka, reprezentowane przez Talona. Czuła, iż co chwila skłania się w inną stronę. Kiedy dostrzegła spojrzenie ojca, zapragnęła, żeby monsieur Talon zamknął ją w bezpiecznym świecie swoich wprawnych i kompetentnych ramion. Z drugiej jednak strony widok Marie spowodował, że Anne zatęskniła za ekscytującymi, odważnymi i fascynującymi objęciami Liszta. Kiedy Franciszek wstał i ruszył w stronę fortepianu, zadrżała, czując chłodne powietrze w miejscu, które jeszcze przed chwilą zajmował artysta.

- Coś panią niepokoi, hrabianko?

Monsieur Talon szepnął to pytanie wprost do jej ucha. Ciepło jego oddechu przypomniało jej, że obok siedzi ktoś, kto może rozwiązać jej obawy o Armanda. Denerwowało ją, że nie jest w stanie wszystkiego mu wytłumaczyć. Obdarzyła go więc tylko lekkim uśmiechem, a potem odwróciła się i zamknęła oczy, żeby wysłuchać osobliwej wizji walca Berlioza, najwyraźniej jednej z części jego symfonii. Pod palcami Liszta fortepian brzmiał niczym orkiestra. Anne nie wiedziała, jak on to robi. Chociaż jedynym źródłem dźwięku były metalowe struny uderzane przez obciążone filcem młoteczki, jakimś cudem słyszała westchnienia skrzypiec, grzmot trąbek oraz dźwięk kotłów. Nigdy tak nie zagram - pomyślała, zapominając, że wkrótce ona sama będzie musiała zasiąść przy fortepianie i zaprezentować gościom swoje umiejętności.

Występ Liszta był tak zdumiewający, że słuchacze zażądali bisu. Dziewczyna poczuła ulgę, że jej występ nieco się odwlecze. Zachodziła w głowę, dlaczego Marie tak ułożyła program, że Anne ma zagrać zaraz po Liszcie. Z pewnością byłoby rozsądniej, gdyby najpierw pozwolono zagrać Anne, a występ największego artysty zaplanowano na koniec, żeby to właśnie jego publiczność mogła wysłuchać, nim wróci do jedzenia, picia i rozmów. Wtedy też łatwiej byłoby Anne urzeczywistnić własne plany. Po występie mogłaby wyjaśnić, że chce chwilę odpocząć, i zniknąć w prywatnej części apartamentu, a potem skierować się w stronę tylnych schodów i przygotować wszystko do ucieczki.

Liszt zaimprovizował efektowne wariacje na temat Paganiniego i pewnie zmuszono by go do dalszej gry, gdyby Marie nie wkroczyła do akcji.

- Monsieur Liszt bardzo hojnie obdarzył nas dzisiejszego wieczoru swoim talentem. Jednak jeśli dalej będzie grał, nikt spośród zgromadzonych nie zachce kupić biletów na jego kolejne koncerty w Wauxhall!

Przez pokój przetoczył się śmiech.

- A teraz nadszedł czas na kolejną część muzycznej uczyty wieczoru. Chciałabym przedstawić państwu bardzo utalentowaną młodą pianistkę. Wielu spośród was pamięta moją drogą i uzdolnioną muzycznie przyjaciółkę Sandrine de Barbier-Chouant.

Dały się słyszeć nieliczne szepty.

- Miałam szczęście kierować artystycznym rozwojem jej córki. Hrabianka Anne de Barbier-Chouant odziedziczyła talent po matce, a ostatnie dwa miesiące pracowała pod bacznym okiem Franciszka Liszta.

Anne zerknęła na ojca. Nigdy nie spytał, jak nazywa się jej nauczyciel, a ona nic na ten temat nie mówiła. Teraz dostrzegła, że grubo przypudrowana twarz markiza zrobiła się purpurowa, a w jego oczach błysnęła gniew. Modliła się, by nie urządził sceny. Wtedy wszystko by zepsuł.

Nie miała czasu zastanawiać się nad tym, bo Marie wyciągnęła do niej rękę. Dziewczyna przez chwilę lawirowała wśród krzeseł, które nie stały już w równych rzędach, bo słuchacze pozbijali się w grupki. Idąc, nie odrywała wzroku od fortepianu, potem lekko się skłoniła i zajęła miejsce przy dobrze sobie znanej klawiaturze.

Pierre, zajęty myślami o tym, co ma się wydarzyć, niemal zapomniał, że Anne również będzie występować tego wieczoru, więc teraz wychylił się do przodu i zacisnął palce. To okropne, że musi występować po wielkim Liszcie - pomyślał. Jednak gdy tylko hrabianka położyła smukłe palce na klawiaturze, zebrani niemal przestali oddychać. Pełna liryzmu etiuda Chopina oczarowała słuchaczy swoją delikatnością. Przynajmniej połowa gości zamknęła oczy, a po twarzach kilku osób popłynęły łzy, gdy piękna hrabianka otworzyła przed nimi swoje młode serce. W przeciwieństwie do Liszta nie olśniewała grą, jednak każdy wydobywany przez nią dźwięk przypominał perłę. Nawet pasażę składające się z dysonansów brzmiały ciepło i krągło, jakby Anne celowo nie wydobywała z fortepianu ostrych dźwięków.

Od chwili kiedy usiadła przy instrumencie, zatopiła się w muzyce, co wyraźnie było widać po jej twarzy, na której odbijało się subtelne uczucie. Pierre pomyślał, że za chwilę serce mu pęknie. Modlił się, aby ta cudowna istota, która stanowiła żywe ucieleśnienie ducha muzyki, zgodziła się zostać jego żoną.

Występ Anne nikogo nie rozczarował, nawet po grze wielkiego Liszta. Stanowił łagodne rozwiązanie, przepojoną tęsknotą kodę. Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki, przez kilka sekund nikt się nie poruszył. Anne

unosła wzrok, a Pierre dostrzegł, że w jej oczach pojawił się strach, zwłaszcza gdy sobie uświadomiła, gdzie się znajduje.

Marie zaczęła klaskać i zawołała:

- Brawo, moja droga! Brawo!

Gdy oczarowani muzyką dziewczyny goście zaczęli powoli wracać do rzeczywistości, markiz wstał i zdecydowanym krokiem ruszył przez salon. Stanowczo ujął córkę za ramię. Kiedy się odsunęła, Pierre poderwał się na nogi.

- Wystarczy. Dosyć! - krzyknął markiz, a w jego oczach pojawiły się łzy.

Marie wstała i delikatnie, lecz pewnie ujęła go za ramię, rzucając w stronę Pierre'a ostrzegawcze spojrzenie. Reszta zebranych, zaszokowana, nie ruszała się z miejsc.

- Panie markizie, rozumiem, że pan cierpi, widząc, jak bardzo córka przypomina pańską zmarłą żonę. Proszę jednak usiąść. Mam dla wszystkich jeszcze jedną niespodziankę.

Słowa gospodyni przywołały starego dworaka do porządku. Puścił Anne i przepaszająco skłonił się Marie. Na widok czerwonych śladów, które jego palce zostawiły na szczupłym ramieniu dziewczyny, Pierre chciał ją pocieszyć. Hrabianka jednakże nie wróciła na miejsce obok niego; Marie ujęła ją za rękę, ustawiła dwa kroki za sobą i kontynuowała przemowę:

- Panie i panowie, przyjaciele, bardzo się cieszę, że mogę was zaskoczyć wielkim finałem. Nie wiecie, że w moim domu przebywa artysta, który bardziej niż ktokolwiek inny skupia na sobie uwagę publiczności. Wielu spośród was miało już okazję usłyszeć go podczas koncertu dobroczynnego w sali Wauxhall.

Czekając na jakiś sygnał do rozpoczęcia zaplanowanej wcześniej przygody, Pierre omiół wzrokiem pomieszczenie. Przechwycił spojrzenie Gardive'a, który uniósł jedną brew i przysunął się nieco bliżej do drzwi.

- Panie i panowie, teraz zagra dla was Paganini we własnej osobie!

Służący na znak hrabiny zgasili wszystkie świece w kandelabrach i cały pokój pograżył się w egipskich ciemnościach. Zza najbliższych drzwi dotarły dźwięki skrzypiec. Wszyscy nabrali powietrza w płuca, kiedy niesamowita muzyka zaczęła krążyć wśród nich jak duch.

- Proszę za mną, panie Talon.

Pierre usłyszał szept Marie i poczuł, że lekko pociągnęła go za rękaw. Podążając za odgłosem szeleszczących halek, wyszedł na korytarz, który również zaciemniono, żeby ani odrobina światła nie wpadła do salonu, kiedy w drzwiach pojawił się legendarny skrzypek. Zanim zamknięto za nimi drzwi, Pierre dostrzegł, że lokaj zapalił pojedynczą świecę przy pulpicie obok fortepianu, a w kręgu jej światła pojawiła się upiorna twarz Paganiniego: płonące oczy i zapadnięte policzki, przez co wyglądał jak ucieleśnienie śmierci.

- Przepraszam, hrabino.

To był głos Anne.

- Anne, zaczekaj! - zawołała Marie zachrypniętym szeptem, ale dziewczyna otworzyła już drzwi i błyskawicznie w nich zniknęła.

- Szybko! - powiedziała hrabina do Pierre'a, popychając go w stronę tylnych schodów.

- Gdzie jest Gardive? - szepnął medyk.

- Tutaj - odparł urzędnik niskim, spokojnym głosem. We dwóch pobiegli za Anne.

Światło płonące na klatce schodowej początkowo oślepiło Pierre'a, przy każdym stąpieniu jego bok przeszywał silny ból, mimo to młodzieniec nie zwolnił kroku. Dlaczego ona biegnie? Czyżby jednak wiedziała?

Kiedy dotarli na ulicę sąsiadującą z budynkiem, w którym znajdował się apartament Marie, ujrzeni, że Anne wsiada do czekającego powozu. Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, woźnica krzyknął „wio!”, i pojazd gwałtownie ruszył.

Zaskoczony Pierre odwrócił się w stronę Gardive'a.

- Odjeżdża bez nas! - krzyknął.

Miał zamiar ruszyć w pościg za powozem, gdy usłyszał pytanie:

- Gdzie jest moja córka?

Odwrócił się. W wejściu dla służby ujrzał markiza de Barbiera-Chouanta. W jego oczach widać było żądzę krwi, w ręce trzymał pistolet wycelowany w serce Pierre'a. Lufa ani drgnęła, co mogło dziwić, zwłaszcza że starszy pan drugą ręką opierał się na lasce. Bez wątplenia w czasach młodości opanował umiejętność używania broni.

- Czy mogę się dowiedzieć, w jaki sposób został pan ranny? - warknął markiz. - Moim zdaniem okradł mnie pan. Srebra to drobnostka, ale zabrał pan ważny dokument. Wiem jeszcze o innych pańskich sprawkach!

Serce zamarło Pierre'owi w piersiach. Pod wpływem strachu nogi wrosły mu w ziemię. Zginę - pomyślał.

XXV

Zanim Pierre zdołał cokolwiek z siebie wydusić, Gardive zrobił krok do przodu.

- Markizie, pańska córka uciekła powozem, który tu na nią czekał. Nie ma ani chwili do stracenia. Musimy za nią jechać, inaczej może jej pan już nigdy nie zobaczyć.

Dotknął ręki, w której markiz trzymał broń.

- Madame d'Agoult powiedziała nam, że ogarnięta żalem dziewczyna postanowiła uciec. Wygląda na to, że działając pod wpływem niepojętego impulsu, tak właśnie postąpiła.

Markiz uwolnił ramię i wymierzył broń w Gardive'a.

- Mam uwierzyć, że hrabianka popełniłaby takie głupstwo? Jestem pewien, że wspólnie coś knujecie!

Z pogardą spojrzął na Pierre'a i urzędnika.

- Proponuję - powiedział ten - żeby odłożył pan broń. Jeśli się pośpieszymy może zdołamy ją zatrzymać, zanim stanie jej się coś złego.

- Dlaczego miałbym wierzyć zwykłemu urzędnikowi?

- Ten zwykły urzędnik, markizie, ma dostęp do wszystkich dokumentów dotyczących narodzin, śmierci i małżeństw w tym mieście - odparł Gardive spokojnym i niewzruszonym głosem.

Markiz zgrzytnął zębami, a jego nozdrza wyraźnie się rozszerzyły. Przestał jednak obstawać przy swoim i zabezpieczył pistolet. Gardive bez wahania wyrwał broń z jego ręki i podał ją Pierre'owi.

- A może teraz byłby pan tak łaskaw i wskazał nam drogę do swojej karety? - rzekł.

Cała trójka wyszła na ulicę i odnalazła powóz markiza. Stanowili dziwną grupę. Nieskazitelnym strój Gardive'a zdawał się wskazywać, że nawet trąba powietrzna nie byłaby w stanie zerwać mu nakrycia głowy ani zburzyć fryzury. Pierre doszedł do wniosku, że on sam musi się fatalnie prezentować w źle leżącym z powodu opatrunku stroju, w dodatku bez kapelusza, który został u hrabiny. Markiz z pewnej odległości wyglądał imponująco, chociaż w rzeczywistości pod ciężkim brokatowym surdudem ukrywał chude, słabe ciało, przez co przypominał pająka.

Pierre miał zamiar coś powiedzieć, ale uprzedził go Gardive.

- Pańska córka ma nad nami dużą przewagę, w dodatku nie wiadomo, którądy pojechała. Powinniśmy zatem udać się do hôtel Barbier, markizie - powiedział, po czym wystawił głowę przez okno. - Rue du Barq. - zarządził.

Markiz oparł się o siedzenie i zamknął oczy. Żył na skroniach pulsowały mu tak mocno, jakby lada chwila miał dostać ataku apopleksji.

- Lepiej by było, gdybym tam nie poszedł. Macie pojęcie, co mogło się wydarzyć? Jakie niebezpieczeństwo...

Przetarł ręką czoło.

O jakim niebezpieczeństwie on mówi? Pierre był przekonany, że to właśnie starszy pan stanowi źródło zagrożenia dla Anne i jej kuzyna. Zanim jednak zdołał sformułować pytanie, powóz dotarł do hôtel Barbier i wjechał na dziedziniec. Medyk wychylił się, żeby otworzyć drzwi. Ku swojemu zaskoczeniu ujrzał karetę, która miała zawieźć jego, Anne i Gardive'a do notariusza. Stała naprzeciwko drzwi, a gosposia i stary lokaj umieszczali w środku jakąś postać zawiniętą w prześcieradła. Zanim medyk zdołał cokolwiek powiedzieć, woźnica zaciął konie i kareta ruszyła wokół dziedzińca.

Markiz poderwał się z siedzenia i wyskoczyłby prosto pod koła nadjeżdżającego pojazdu, gdyby Gardive go nie powstrzymał.

- Puście mnie! Nie widzicie?! Zostali uprowadzeni!

Zanim Pierre zdążył otworzyć usta, obydwaj zaprzęgi zrównały się ze sobą i ich pasażerowie przez moment widzieli się nawzajem. Pierre zza swoich towarzyszy zobaczył, że Anne z przerażeniem odwróciła się w ich stronę. Wszyscy trzej zawołali jednocześnie:

- Mademoiselle!

- Hrabianko!

- Anne!

Victor zwolnił, podjeżdżając pod główne wejście. Medyk wychylił się i krzyknął:

- Nie zatrzymuj się! Jedź za nimi! Szybko!

Konie musiały wyczuć podniecenie ludzi, bo niemal bez poganiania poderwały się do rażącego klusa, a gdy tylko wypadły na ulicę, przeszły w galop. Victor musiał je pohamowywać, żeby nie poślizgnęły się na bruku. Pierre przez cały czas jechał z głową wystawioną przez okno i wykrzykiwał, ilekroć jadący przodem pojazd skręcał. Hulaki i stali bywalcy kawiarni wiwatowali na cześć jadących, przekonani, że obserwują wyścig młodzieniaszków, którzy się założyli, kto szybciej dojedzie do celu. Pierre chciał zapytać markiza,

dlaczego sądzi, że Anne została porwana, jednak wszyscy byli zbyt skupieni na pościgu, żeby myśleć o czymś innym.

Anne wsiadła do czekającej karety, spodziewając się, że Liszt będzie już w środku. Kiedy się okazało, że pojazd jest pusty, zawahała się. Nie wiedziała, czy ma na niego czekać. Ponieważ jednak słyszała na schodach za swoimi plecami odgłosy kroków kilku osób, nie mogła tracić czasu na zastanawianie się.

- Jedź! - rozkazała woźnicy, który omal nie spadł, gdy kareta się zakołysała. Najwyraźniej przysnął na koźle.

Kiedy pojazd ruszył, Anne usłyszała zgiełk przy tylnych drzwiach i wyrzała przez okno. Zobaczyła Talona i Gardive'a. Młodzieniec pokazywał na nią i wymachiwał rękami. Otworzyła usta, żeby powstrzymać woźnicę. Uznała, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności Liszt wtajemniczył medyka w ich plany i przysłał go w zastępstwie. Wtedy zza obu panów wyłonił się markiz, a Anne zastukała w dach i krzyknęła do woźnicy:

- Szybciej!

- Dokąd jedziemy, mademoiselle? - padło pytanie.

- Skręć w lewo, rue du Barq! - odkrzyknęła Anne, dziwiąc się, iż Liszt nie poinformował wcześniej woźnicy, jaki będzie cel podróży.

Oparła się o siedzenie i położyła rękę na sercu, które waliło jak szalone. Jak zapewni bezpieczeństwo kuzynowi, skoro nie może liczyć na pomoc Liszta, a monsieur Talon jest w towarzystwie ojca? Teraz może liczyć tylko na Julię i Thérèse. Przynajmniej mogą znieść Armanda do powozu.

Gdy tylko podjechali pod dom, dziewczyna wyskoczyła z karety i uderzyła pięścią w drzwi wejściowe. Julien na moment je uchylił, a potem otworzył na widok Anne.

- Proszę! Pomóż mi! Gdzie jest Thérèse?

Przecisnęła się obok niego i pobiegła schodami na piętro.

Zgodnie z obietnicą Thérèse siedziała przy łóżku Armanda pogrążonego w niespokojnym śnie. Miał bladą twarz i wyglądał na bardzo osłabionego.

- Owiń go w prześcieradła, Thérèse - zarządziła Anne. - Potem razem z Julienem musicie znieść go do karety.

Lokaj się zawahał.

- Rób, jak paniąka każe! - warknęła Thérèse. Julien obejrzał się przez ramię, a potem pomógł służącej pozierać prześcieradła.

Anne pierwsza dotarła do karety i już do niej wsiadła, gdy powóz ojca wjechał na dziedziniec.

- Szybko! - zawołała.

Julien nie był już młody, raz czy dwa razy zachwiał się pod ciężarem młodzieńca. Anne obawiała się, iż chory wypadnie mu z rąk. Biedny Armand - pomyślała. Miała nadzieję, iż zemdleł i nie czuje bólu.

Udało im się posadzić nieszczęśnika na siedzeniu, a gdy woźnica zrozumiał, że muszą uciec pasażerom powozu, który właśnie wjechał na dziedziniec, głośno strzelił z bata. Konie uniosły łby i ruszyły przed siebie. Gdy wykręcali na dziedzińcu, Anne z obawą wyjrzała przez okno. Ku swojemu zaskoczeniu w powozie ojca zobaczyła twarz Talona. Może markiza wcale w środku nie było? Może Pierre przyjechał jej pomóc?

- Stój! - krzyknęła do woźnicy, który natychmiast pohamował konie.

Dziewczyna miała zamiar otworzyć okno i powiedzieć młodemu medykowi o swoich planach, gdy obok twarzy Talona ujrzała twarz ojca. Kiedy zawołał ją po imieniu, z walącym sercem krzyknęła do woźnicy:

- Ruszaj!

Gdy opadła z powrotem na siedzenie, zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że Talon przyjechał razem z jej ojcem.

- A teraz dokąd? - spytał woźnica, kiedy wyjechali na ulicę.

Anne nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Nie tak wyobrażała sobie ratowanie kuzyna. Planując zuchwałę uprowadzenie, sądziła, iż może liczyć na męskie wsparcie. Teraz jednak została sam na sam z Armandem.

- Rue de Provence! - zawołała.

Nie miała wyboru. Gdyby zabrała Armanda w jakiekolwiek inne miejsce, ktoś na pewno by ich odnalazł. Tymczasem nikt nie wiedział, że ona zna adres skromnego mieszkania Franciszka Liszta. Na razie myślała tylko o jednym - żeby markiz nie odnalazł Armanda, póki młodzieńcowi nic już nie będzie grozić.

Ku swojej konsternacji w maleńkim tylnym okienku zobaczyła, że powóz ojca ściga ich zatłoczonymi ulicami, co więcej, jest szybsza dzięki dwóm dodatkowym koniom wynajętym na ten wieczór. Dopiero gdy zaprzęg, który skręcał z jednego bulwaru w drugi, wjechał między obydwie pędzące pojazdy, uciekinierom udało się zmylić pościg.

- Zgubiliśmy ich, mademoiselle! - krzyknął woźnica. Anne nie miała sił, żeby się odezwać.

Kiedy w końcu dotarli pod dom, w którym mieszkał Liszt, a dziewczyna nabrała pewności, że nie są śledzeni, skupiła uwagę na Armandzie. Był bardzo słaby. Nie miała pojęcia, jak zdoła przebyć z nim cztery kondygnacje schodów do mieszkania na poddaszu.

Opuściła szybę, wystawiła głowę na zewnątrz i spojrzała na mężczyznę siedzącego na kozle.

- Potrzebuję pańskiej pomocy - oznajmiła. Woźnica niechętnie zszedł z kozła.

- Zadzwońię po dozorcę, a pan zanieś tego młodzieńca do drzwi - powiedziała.

- Najpierw musiałem ryzykować, że konie pogubią podkowy, a teraz jeszcze to! - burknął.

- Sowiec pana wynagrodzę, jeśli pomoże mi pan wnieść kuzyna do mieszkania na ostatnim piętrze.

Woźnica otworzył drzwi i pomógł Anne wysiąść. Wezwała dzwonkiem stróża, mając nadzieję, że jeszcze nie śpi. Modliła się, by pieniądze, które miała w portmonetce - wszystko, co udało jej się zaoszczędzić z niewielkich sum, które w ostatnich tygodniach dostawała od ojca - wystarczyły na opłacenie woźnicy.

Po krótkim czekaniu ukazał się zaspany stróż w koszuli. Kiedy Anne powiedziała mu, że chcą wnieść chorego do apartamentu Liszta, zaczął zamykać im drzwi przed nosem.

- To nie cholera! - zapewniła, wsuwając czubek buta w drzwi. - On jest po operacji.

Stróż niechętnie poprowadził ich schodami, a potem otworzył drzwi.

- Gdzie mam go położyć? - spytał woźnica.

W salonie znajdowało się kilka tapicerowanych krzeseł, ale nie było żadnej otomany. Anne weszła do sypialni i wskazała łóżko Liszta.

- Proszę go położyć tutaj - poleciła.

Kiedy woźnica wykonał polecenie, Anne odesłała go, wcześniej wysypując na jego dłoń zawartość swojej portmonetki.

- Co mam powiedzieć panu Lisztowi, gdy wróci? - spytał dozorca, który dopiero teraz oprzytomniał i zdał sobie sprawę, że w środku nocy wpuścił młodą osobę do mieszkania samotnego mężczyzny.

- Kiedy monsieur Liszt wróci, ja wyjdę. Na razie muszę zająć się kuzynem, który nie może zostać sam. Stróż podrapał się w głowę i wzruszył ramionami, a potem wrócił do swojej klitki na parterze.

Anne klękła przy Armandzie i przysunęła mu do ust wodę, której naląła z karafki stojącej na stoliku obok łóżka.

- Nie zostawię cię - szepnęła, mając nadzieję, że kuzyn ją słyszy.

- To ty, Anne?

Szept był cichy, ale wyraźny. Dziewczyna nachyliła się nad młodzieńcem.

- Tak, Armandzie, jesteś już bezpieczny. Zajmę się tobą.

- Gdzie...?

Głos kuzyna wydobywał się gdzieś z głębi ciała. Anne wciąż go poła, a gdy uznała, że znów zasnął, zajrzała do kredensiku w salonie w poszukiwaniu dzbanka do herbaty i rumianku. W czajniku stojącym na piecu była woda. Zaparzy herbatę, żeby podać ją Armandowi, gdy znów się obudzi.

Rozejrzała się po pozbawionej ozdób kawalerce. Co powiedzieliby ludzie, gdyby ją tu zobaczyli? Odsunęła od siebie tę myśl. W tej chwili liczył się tylko kuzyn.

Później - pomyślała - zastanowię się, jak wytłumaczyć wszystko Marie, ojcu i panu Talonowi. Kiedy monsieur Liszt wróci, poproszę go, żeby zaraz z rana poszukał Talona. Będzie wiedział, dlaczego to zrobiłam.

Anne była przekonana, że właśnie uratowała życie kuzynowi.

W pobliżu Pont Neuf karetą wioząca hrabiankę i jej kuzyna zniknęła im z oczu. Nie można było jechać za nią, bo jakiś skręcający pojazd na pięć minut zablokował drogę. Kiedy w końcu jego woźnica wykonał manewr, po uciekinierach nie było śladu.

Ojciec Anne z trudem oddychał przez usta, a na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Musimy odwieźć markiza do domu - szepnął Pierre do Gardive'a.

Urządник nakazał woźnicy wrócić na rue du Barq.

- Zniknęli. Ona nigdy mi nie wybaczy - szepnął markiz. - Nigdy.

Kiedy dotarli na miejsce, urzędnik pomógł starszemu panu wysiąść z powozu i dojść do domu. W westybulu stał przestraszony Julien.

- Markizie... - zaczął.

- Proszę zaprowadzić markiza do łóżka - przerwał mu Pierre. - Nie czuje się dobrze. Polecałbym brandy i gorącą wodę.

- Gdzie jest Thérèse? - burknął starzec.

- Na piętrze, markizie - odparł lokaj.

- Na pewno coś jej wiadomo - wymamrotał markiz. - Powinienem wiedzieć, że to ona.

Kiedy Julien pomagał starszemu panu pokonać schody, Pierre wpełznął Gardive'a do biblioteki. Za wszelką cenę musiał usiąść, więc nawet mu do głowy nie przyszło, że nadużywa gościnności markiza. Bez

wątpienia tym razem nie czuł się już takim intruzem jak ubiegłej nocy, kiedy włamał się z Małym i ukradł testament.

- Może gdy lokaj obsłuży starszego pana, przyniesie nam brandy.

Obaj panowie usiedli po dwóch stronach kominka i rozparli się w krzesłach.

- Z wieloletniego doświadczenia wiem, że plany to jedno, a rzeczywistość drugie - powiedział Gardive.

Pierre skinął głową, zgadzając się z tym.

W otwartych drzwiach stanął Julien i cicho chrząknął.

- Markiz powiedział, że mam panom podać to, o co panowie poproszą - oznajmił.

- Może wyjaśnisz nam, dobry człowieku, co się tu stało dzisiejszego wieczoru - rzekł Gardive.

Pierre przysłuchiwał się bez specjalnego zainteresowania, jak urzędnik wypytuje starego służącego o wydarzenia, poprzedzające ich przyjazd do rezydencji. Myślał tylko o tym, że Anne odjechała Bóg wie dokąd, zabierając ze sobą chorego. Co ją skłoniło do podjęcia takich działań? Podczas przyjęcia u madame d'Agoult najwyraźniej próbowała coś mu powiedzieć, ale był tak pochłonięty planem ułożonym przez Marie, że nic nie zrozumiał.

- Niech się pan nie gniewa - powiedział Pierre, przerywając przesłuchanie. - Ale nie interesuje mnie to.

- Oczywiście - odparł Gardive. - Jest pan ranny. Pora do łóżka.

Obaj wstali, a urzędnik zwrócił się do Juliana:

- Proszę powiedzieć markizowi, że jutro złożę mu wizytę, jeśli będę mógł przynieść jakieś wieści dotyczące wydarzeń tego wieczoru.

Victor czekał w holu, wciąż trzymając w dłoniach kapelusz, jednak Pierre i Gardive nie zgodzili się, żeby ich odwiózł. Pierre powiedział, iż chce odetchnąć świeżym powietrzem, choć w rzeczywistości nie mógł znieść myśli, że znów musiałby wsiąść do zamkniętego powozu, przesiąkniętego wonią pudru starego markiza i jego stęchłego ubrania.

W pobliżu znaleźli fiakra. Kiedy jechali w stronę prefektury, gdzie zgodnie z zapewnieniami urzędnika czekała wygodna prycza, Gardive zaczął głośno rozmyślać.

- Markiz bardzo dziwnie się dziś zachowywał. Dlaczego sądził, że córka i kuzyn zostali porwani?

- Prawdopodobnie w ten sposób starał się nas przekonać, że sami by od niego nie uciekli.

- Być może, ale w jego głosie słychać było prawdziwy ból, poza tym niemal się rozchorował ze zdenerwowania.

Gdy dotarli do prefektury, Gardive wysiadł z powozu.

- W tej chwili zależy mi tylko na tym, żeby mademoiselle Anne była bezpieczna - powiedział Pierre, gdy Gardive czekał z ręką na ramie otwartego okna w drzwiczkach.

- Jestem spokojny o to i o mocny sen tej nocy. Jazda! - zawołał do woźnicy, który zawiózł Pierre'a na rue des Bernardins.

Marie widziała, że Anne zniknęła na schodach dla służby, a za nią Pierre i Gardive. Kiedy żadne z nich nie wróciło na górę, doszła do wniosku, iż dwójce młodych udało się uciec zgodnie z planem. Martwiła ją tylko nieobecność markiza. Hrabina d'Agoult już wcześniej przygotowała dla niego wytłumaczenie, że Anne rozboliła głowę, w związku z czym postanowiła wrócić do domu karetą Marie. Koniec końców wyjaśnienie okazało

się zbędne. Gospodyni wmówiła sobie, że markiz wyszedł zaraz po występie córki, zmęczony wydarzeniami wieczoru. Był starszym człowiekiem i wyglądał na znużonego już w chwili przybycia. Niezależnie od wszystkiego rola Marie w całym tym dramacie dobiegła końca. Teraz musiała zająć się pozostałymi gośćmi.

Wszyscy byli oczarowani wspaniałym występem Paganiniego i innych wykonawców. Madame d'Agoult usłyszała wiele pochlebnych opinii o grze Anne, zauważyła również, że Liszt jest oblegany przez damy, które chwalały pod niebiosa zarówno uczennicę, jak i mistrza.

Apartament Marie stopniowo pustoszał. Mniej więcej o północy pani domu weszła do salonu. Przekonana, że wszyscy goście już poszli, zaczęła wyjmować szpilki z włosów.

- Proszę mi wybaczyć, hrabino - usłyszała.

Gwałtownie nabrała powietrza w płuca i uniosła rękę do serca. Ku jej zaskoczeniu na wygodnym krześle przy fortepianie siedział Liszt we własnej osobie.

- Myślałam, że pan już poszedł...

- Rzeczywiście już by mnie nie było - odparł, wstając i podchodząc do Marie - gdybym dał się wciągnąć w plan swojej uczennicy, hrabianki Anne.

Marie nigdy nie była z nim sam na sam, a na myśl, że nagle zniknęły wszystkie ograniczenia, zrobiło jej się słabo. Poczula, że nogi się pod nią uginają, więc szybko usiadła na najbliższym ze złożonych krzeseł.

- Może lepiej będzie, jeśli wytłumaczy mi pan, o co chodzi - zaproponowała.

Opowiedział jej więc o obawach Anne o zdrowie kuzyna i o prośbie, żeby pomógł jej wywieźć młodego mężczyznę z hôtela Barbier.

- Po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że obawy Anne są wynikiem jej bujnej wyobraźni, pobudzonej dodatkowo przez niedawną stratę. Nie chciałem narazić na szwank reputacji hrabianki, uciekając z nią w środku nocy. Przecież ktoś mógł nas zobaczyć.

- Martwił się pan o reputację Anne? - spytała Marie z wyraźnym sarkazmem w głosie.

W odpowiedzi na jej słowa na twarzy pianisty pojawił się tak wyraźny żal, że hrabina chciała obsypać ją pocałunkami i zapewnić, że to, co widziała, nie ma dla niej żadnego znaczenia. Wyglądało jednak na to, że muzyk wciąż wiąże z Anne poważne nadzieje.

- Wcale nie miałem zamiaru... nie chciałem... Och, pani hrabino!

Liszt przyklęknął, ujął ręce madame d'Agoult i tak gorąco spojrzał jej w oczy, że odwróciła wzrok.

- Markiz nigdy nie pozwoli panu jej poślubić - ostrzegła.

- Poślubić? Kogo? Anne?

W jego głosie było słyhać szczere zaskoczenie. Marie spojrzała mu głęboko w oczy.

- Jeśli ktoś umawia się z młodą damą w miejscu publicznym, musi mieć wobec niej poważne zamiary.

Nigdy dotychczas nie widziała, by komuś opadła szczeka, trudno jednak byłoby inaczej opisać wyraz twarzy Liszta po tych słowach. Puścił jej dłonie, wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po chińskim dywanie, z czołem zmarszczonym w zdumieniu.

- Ależ, hrabino - powiedział po chwili. - Przecież to była pani!

Marie poczuła, że cały świat staje na głowie. A więc wiedział! Dlaczego nie zdradził się ani słowem?

- Myślałam... chciałam chronić Anne.

Kiedy wstała, Liszt odwrócił się do niej.

- Na pewno zrozumiała pani moje liściki - wydukał.

- Jakie liściki?

Zapadła długa cisza, w której Marie usłyszała tykanie zegara na gzymsie kominka.

- To znaczy, że ich pani nie dostała! - domyślił się muzyk.

Marie potrząsnęła głową.

- W jaki sposób pan je przesyłał?

- Nie przysyłałem ich. Dawałem je Anne podczas lekcji.

- Dawał je pan Anne... A ona najwyraźniej nie wiedziała, że nie są przeznaczone do niej, dlatego mi ich nie przekazała!

Marie zasłoniła ręką usta, żeby stłumić śmiech, który narastał gdzieś w jej wnętrzu, chociaż nie potrafiła określić, czy jego powodem jest zaskoczenie, uczucie ulgi, czy też zachwyt. Nagle wszystko zaczęło nabierać sensu. Dwa liściki w kopercie zaadresowanej do Anne. Wymowne spojrzenia Liszta kierowane w stronę Marie. Była tylko jedna rzecz, która wciąż nie pasowała do reszty.

- Hrabino... Marie... jak zdołam ci to wytłumaczyć? Kiedy zgodziłaś się ze mną spotkać, myślałem, że jestem w niebie.

- Mimo to... - zaczęła madame d'Agoult, po czym urwała.

W oczach Liszta dostrzegła wyraźne pożądanie. Widząc to, poczuła, że oblewa się pąsem. Rozpaczliwie chciała ulec namiętności, nagłacemu, szalonemu pragnieniu, żeby wrócić do czasów młodości. Dla tego niezwykłego mężczyzny gotowa była poświęcić wszystko. Naprawdę wszystko. Dostatnie życie, męża, przyjaciół - jedynie na myśl o córeczkach na moment się zawahała. Jeśli miała je stracić, potrzebowała czegoś więcej niż sekretnego romansu, o którym będzie się szeptać we wszystkich salonach Paryża.

- Lepiej będzie, jeśli już pójdziesz - powiedziała.

Mimo to pozwoliła, by przyciągnął ją do siebie. Nie wiadomo, jakim cudem ich wargi się zetknęły. Po chwili jego długie ramiona obejmowały ją tak mocno, że w ogóle przestała istnieć odległość między nimi. Marie zamknęła oczy i na chwilę zapomniała, kim jest, jaką zajmuje pozycję i gdzie się znajduje.

Jednak gdy pocałunek dobiegł końca, delikatnie odsunęła Węgra na bok.

- Uważam, iż nie powinniśmy się nigdy więcej spotkać - oświadczyła.

- Przecież nawet nie zaczęliśmy się spotykać. - Przez oblicze skonsternowanego Liszta przemknęła chmura. - Nie widzisz, że cię kocham?!

Słyszając te słowa, Marie smutno się roześmiała. Ona niegdyś również sądziła, że miłość jest w stanie pokonać wszystkie przeszkody.

- Jeśli naprawdę mnie kochasz, nasza miłość przetrwa. Myślę, że powinnam wyjechać i zamieszkać u przyjaciół w Szwajcarii. Po moim powrocie będziemy się zachowywać tak, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali. Jeśli po tym okresie, gdy czas ostudzi nieco twoje namiętne uczucia, nadal będziesz chciał zdobyć moją przyjaźń, spróbujemy.

Franciszek wyciągnął rękę, ale hrabina się cofnęła. Liszt wyprostował plecy. Marie wyobraziła sobie, że wszystkie uczucia i namiętności, którym pozwolił się wymknąć, wracają w bezpieczne miejsce, jakby jego serce było niezależną istotą, która zarzuciła sieć, a teraz postanowiła jak najszybciej je zwinąć.

Węgier uklonił się i ruszył w stronę wyjścia, zanim jednak zamknął za sobą drzwi salonu, odwrócił się i powiedział:

- Może jestem obłąkany, ale jutro wieczorem będę czekał na ciebie w pracowni Eugène'a. Jego nie będzie.

Marie się odwróciła. Odgłos zamykających się drzwi przypominał dźwięczenie nożem. Opadła na krzesło, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

XXVI

Po opuszczeniu apartamentu Marie Franciszek przez wiele godzin błąkał się po ulicach w całkowitym otępieniu. Najpierw poszedł w stronę kawiarni, w której mógł znaleźć przyjaciół, kupić butelkę wina i utopić w niej smutki. Gdy jednak pod drzwiami usłyszał wrzaskliwe, pijackie śmiechy, bez wahania ruszył dalej.

Jak mógł być takim głupcem?! Dlaczego pomyślał, że Anne będzie wiedziała, co robić z jego namiętymi listami kierowanymi do Marie? Rozpaczliwie szukał w pamięci dowodów na to, że dołożył wszelkich starań, by dziewczyna dobrze go zrozumiała. Niestety, jak się okazało, miała prawo przypuszczać, iż to właśnie ona jest obiektem jego uczuć. Chociaż kilkakrotnie próbował powiedzieć jej wprost o swoich zamiarach, za każdym razem kończyło się na niewyraźnej aluzji.

Jego nadzieje spełzły na niczym, a jednocześnie ożyły. Teraz był już pewien, że Marie go kocha - jeśli nie, to dlaczego tak jej było przykro z powodu nieporozumienia z Anne? A jednak mu nie uległa. Przynajmniej nie tego wieczoru. Co zrobi jutro?

Pogrążony w myślach Franciszek przemierzał bez celu dzielnicę za dzielnicą, prawie nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo ze strony kryminalistów, którzy uważali tę zapomnianą przez Boga i ludzi porę za swoje godziny pracy. Na szczęście wysoki, kościsty

Liszt o zapadniętych oczach wyglądał tak przerażająco, że kilka osób, które tak jak on włóczyły się na ulicach, uciekło na jego widok.

W pewnym momencie, wiedziony żalem, stanął u drzwi jezuitów. Dotarły do niego odgłosy cichego śpiewu i woń kadzidła. Chwalby - pomyślał. Nagle poczuł neodparte pragnienie, żeby poszukać ukojenia w religii. Wszedł po schodach i wkroczył w przesycony wzniosłością półmrok starego budynku. Zajął miejsce na końcu nawy i aż do zakończenia oficjum siedział z pochyloną głową i zamkniętymi oczami.

Z głębokiego zamyślenia wyrwało go szuranie nóg jezuitów i ich wychowanków. Jakiś akolita po kolei zdmuchiwał świece, jednak Liszt nie chciał opuścić kościoła, obawiając się powrotu do problemów i rozczarowań codziennego życia. Nabral powietrza w płuca i ciężko westchnął. Kiedy zaczął się podnosić z klęczek, ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał spoglądającego na niego z góry jezuitę.

- Jeśli to w czymś pomoże, chętnie wysłucham twojej spowiedzi.

Węgier po raz ostatni spowiadał się kilka tygodni temu. Kusiło go, żeby opowiedzieć o wszystkim komuś kompletnie niezwiązanemu z kłębiącymi się wokół intrygami i machinacjami, skinął więc głową i poszedł za zakonnikiem. Przyklęknął w otwartej, bocznej części drewnianego, rzeźbionego konfesjonału pociemniałego ze starości i wyglądzanego przez setki klęczących wiernych.

- Wybacz mi ojcze, gdyż zgrzeszyłem.

Wyuczone na pamięć słowa spowiedzi łatwo przechodziły Franciszkowi przez usta. Jezuita po drugiej stronie kraty początkowo się nie odzywał, jedynie syknął, gdy Franciszek zaczął opisywać próbę uwiedzenia zamężnej niewiasty. Potem przysłała kolej na wyjawienie faktu, iż korzystał z pośrednictwa niewinnej dziewczyny, i opis fatalnego zakończenia.

- Potem ta sama dziewczyna poprosiła mnie o pomoc w urzeczywistnieniu pewnego planu. Kuzyn hrabianki wracał do zdrowia po operacji, ale ona się obawiała, że w domu jej ojca chory nie jest otoczony należyłą opieką.

- Jaka miała być twoja rola w tym planie, mój synu? To pytanie zaskoczyło Franciszka. Zazwyczaj spowiednicy jedynie słuchali i zachęcająco pomrukiwali.

- Miałem pomóc go porwać. Była przekonana, iż - świadomie lub nie - markiz szkodzi zdrowiu jej kuzyna.

- Markiz? Jak nazywa się kuzyn, o którym mówisz?

- Nie pamiętam. Chyba nosi to samo nazwisko co hrabianka, czyli Barbier.

Franciszek mógłby przysiąc, że coś stuknęło o podłogę konfesjonału.

- *Absolvo te, in nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti. Amen* - wymamrotał zakonnik.

Tak szybko udzielił rozgrzeszenia, że pianista zaczął się zastanawiać, czy jezuita nagle się nie rozchorował. Zanim podniósł się z klęczek, drzwi konfesjonału zdążyły się otworzyć i zamknąć. Kiedy wstał i spojrzął przed siebie, ujrzał już tylko habit zakonnika, który zniknął za drzwiami prowadzącymi do części mieszkalnej kolegium.

Gdy Franciszek opuścił kościół, okazało się, że pogoda się zmieniła i Paryż budził się w chłodnej, szarej mżawce. Szybko poszedł w stronę swojego mieszkania, marząc o ciepłym łóżku. Zanim dotarł do drzwi, latarnicy pogasili latarnie, na ulicach pojawili się sklepikarze i rzemieślnicy. Pianista był przemoczony do nitki i padał z nóg ze zmęczenia.

Przechodząc przez salon, zdjął koszulę, lecz gdy wszedł do sypialni, zobaczył w swoim łóżku obcego mężczyznę. Hrabianka de Barbier-Chouant siedziała obok na podłodze i spała z głową opartą o krawędź materaca.

- *Mon Dieu!* - zawołał, nie mogąc się opanować.

Anne od razu się obudziła, a młody człowiek na łóżku jęknął. Z pewnością był to chory kuzyn hrabianki, monsieur de Barbier. Widać całkiem poważnie potraktowała ona swój plan. Jak, na Boga, udało jej się samodzielnie przywieźć tutaj tego człowieka?

- Monsieur Liszt... - zaczęła Anne, wstając i wyglądając pomiętą suknię wieczorową. - Gdzie pan był? Dlaczego nie spotkał się pan ze mną, tak jak planowaliśmy?

- Nie...

Nie był w stanie wydusić z siebie, że jej nie dowierzał, a obawy o kuzyna uznał za wymysły, które miały go zmusić do podjęcia nierozsądnych działań.

- Nie może pani tu zostać.

- Nie mogę również wrócić do domu. Mój ojciec będzie bardzo zły.

Anne pod wpływem zakłopotania oblała się pąsem. Nagle Franciszek przypomniał sobie, że jest półnogi, więc skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

- Proszę zaczekać w salonie, ja w tym czasie się ubiorę, a potem poszukam fiakra i wyślę panią na quai Malaquais. Madame d'Agoult będzie wiedziała, co zrobić.

Anne była tak zmęczona, że wszystko wokół zaczęło jej się wydawać nierealne. Wydarzenia ostatniego wieczoru nie chciały się ułożyć w logiczną całość. Wiedziała tylko, że Armand w końcu jest bezpieczny. Monsieur Liszt miał rację, mówiąc, że ona nie może u niego zostać. Zapewnił, że zatroszczy się o Armanda, a gdyby stan chorego się pogorszył, znajdzie pana Talona. Potem wsadził dziewczynę do dorożki.

Gdy Anne dotarła do mieszkania Marie, nie było jeszcze ósmej. Niemal pół godziny musiała czekać w salonie na pojawienie się gospodyni, która miała zaczerwienione oczy, co wyglądało raczej na efekt płaczu niż zmęczenia po długim wieczorze.

- Anne! Gdzie pan Talon?!

- Pan Talon?!

Obie damy spoglądały na siebie tak, jakby każda z nich posługiwała się innym językiem.

- Proszę, Anne, to nie pora na tajemnice. Wczoraj wieczorem ty, pan Talon i pan Gardive odjechaliście stąd kareta. Po prostu chciałabym wiedzieć, co się wydarzyło. Nie będę się złościć, niezależnie od tego, co usłyszę.

Po tych słowach Marie zadzwoniła, żeby przyniesiono herbatę, i usiadła na otomanie obok Anne.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że powóz, który stał w bocznej uliczce, wcale nie czekał na nią i Liszta. To dlatego pianista był tak zaskoczony, gdy ją zobaczył.

- Madame d'Agoult, sądzę, iż zaszło jakieś okropne nieporozumienie.

Anne, przygotowana na dezaprobatę Marie, powiedziała jej wszystko o swoim planie i wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

- To znaczy, że bez przyzwoitki spędziłaś noc w mieszkaniu Liszta?

- Tak, ale jego tam nie było. Wrócił dopiero jakąś godzinę temu, po czym znalazł dorożkę i przysłał mnie prosto tutaj.

Bardzo chciała wiedzieć, czego po poprzednim wieczorze spodziewała się madame d'Agoult. Najwyraźniej istniał jakiś inny plan związany z Anne. Hrabina bez słowa podniosła się z krzesła, zakryła dłonią usta i podeszła do okna. Stała przy nim w bezruchu, czekając, aż pokojówka przyniesie śniadanie i wyjdzie.

- Proszę coś powiedzieć, madame - błagała Anne.

Z powodu zmęczenia i zakłopotania jej głos brzmiał tak, jakby lada chwila miała się rozplakać.

- Och, Anne, tak mi przykro - powiedziała w końcu Marie. - Nie widzisz, w jak trudnej sytuacji się znalazłaś? Spędziłaś noc w mieszkaniu kawalera, w dodatku byłaś tam z młodym człowiekiem, za którego chce cię wydać twój ojciec. Co teraz powiemy markizowi?

- Dlaczego sądziła pani, że monsieur Talon i ja odjechaliśmy wczoraj wieczorem jednym powozem? - spytała Anne. - Czego się pani spodziewała?

- Powiem ci w odpowiednim czasie - obiecała Marie. - Na razie musimy zrobić wszystko, żeby ocalić twoją reputację. Napiszę do twojego ojca, że wczoraj wieczorem uciekłaś do mnie, bo obawiałaś się jego gniewu, a zaalarmowana stanem zdrowia kuzyna, zabrałaś go do szpitala. Poproszę markiza o przysłanie ubrania i twojej pokojówki, żebyś mogła zostać u mnie przez jakiś czas.

Anne głęboko odetchnęła, by uspokoić gwałtowne bicie serca. Była uratowana! Jeśli na kilka dni zostanie u Marie, nie będzie musiała od razu stawić czoła ojcu. Nigdy tak otwarcie nie sprzeciwiła się jego woli, dlatego nie wiedziała, co ją czeka.

Marie nic nie powiedziała na temat Talona, ale Anne była zbyt zmęczona, żeby logicznie myśleć.

- Muszę się od razu zająć tymi sprawami - dodała hrabina. - Adèle zaprowadzi cię do pokoju gościnnego. Myślę, że powinnaś się trochę przespać. Kiedy już odpoczniesz, przyjdź do salonu na herbatę. Mamy dużo do omówienia.

Armand po przebudzeniu nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Pamiętał, że Julien i Thérèse zabrali go z łóżka w hôtel Barbier, ale podczas wnoszenia z powodu bólu stracił przytomność, jeszcze nim zeszli po schodach. Później raz czy dwa razy odzyskał świadomość, a wtedy miał wrażenie, że otaczający go świat wiruje i podskakuje. Delikatny zapach lawendy, tak charakterystyczny dla Anne, utwierdził go w przekonaniu, że nie jest sam. Nie wiedział jednak, co się naprawdę dzieje.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał niski sufit. Przez chwilę sądził, że ktoś podciągnął w górę jego łóżko. W hôtel Barbier przez wiele godzin wpatrywał się w popękany tynk nad głową, dlatego wiedział, że strop znajdował się o wiele wyżej.

Po krótkiej chwili i ostrożnym odwróceniu głowy zdał sobie sprawę, że nie tylko wysokość sklepienia uległa zmianie. Pomieszczenie, w którym się znajdował, było tak skąpo umeblowane i skromnie ozdobione, że przez ułamek sekundy miał wrażenie, że wrócił do bezpiecznego i spokojnego dormitorium jezuitów. Kiedy jednak ujrzał miękkie, jasne loki kuzynki na narzucie tuż obok swojego prawego ramienia, zrozumiał, że to nie sypialnia, w której spędził dzieciństwo. Głowa Anne przy każdym oddechu lekko się poruszała, a jej ciało wydawało sympatyczne ciepło. Armand nie ruszał się z obawy, że dziewczyna może się obudzić i odsunąć.

Dopóki była w pobliżu, nie obchodziło go, dokąd został przeniesiony. Właśnie ponownie zapadał w sen, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi i czyjeś ciężkie kroki. Ledwo ten fakt dotarł do jego świadomości, gdy w progu stanął wysoki, przystojny mężczyzna, który niemal dotykał głową framugi. Anne uniosła głowę i szybko wstała. Armand poczuł chłód.

Obcy mężczyzna nazywał się Liszt - młody człowiek gdzieś słyszał już to nazwisko. Anne rozmawiała z przybyszem o czymś, czego chory nie był w stanie w pełni zrozumieć. Najwyraźniej znajdowali się w mieszkaniu owego Liszta, a obecność Anne w tym miejscu była wysoce niestosowna. Armand wychwycił w jej głosie lekkie drżenie i zadyszkę, dostrzegł jej dziwne zachowanie. Wydawało mu się, że serce ślicznej Anne zabiło mocniej na widok Liszta. Znał dobrze to uczucie, bo sam tak właśnie reagował na obecność mademoiselle de Barbier. Zamknął oczy, odwrócił głowę i jęknął.

Rozmowa się urwała, a dziewczyna wyszła do drugiego pomieszczenia. Przez chwilę słychać było szuranie, odgłosy otwieranych i zamykanych szafek oraz szuflad, potem gospodarz podążył w ślad za Anne. Przez chwilę Armand słyszał jedynie cichy szmer rozmowy. Domyślał się, że rozważają, jak go stąd zabrać i co zrobić, żeby uratować reputację dziewczyny. Nie obchodzi mnie twoja reputacja - pomyślał. - Gdybyś tylko chciała, zaakceptowałbym cię taką, jaka jesteś.

Doszedł do wniosku, że jego zdrowie z pewnością się poprawia, skoro w tej chwili ból serca zagłuszył wszystkie inne dolegliwości.

Kiedy obudził się następnym razem, obok niego siedział wysoki mężczyzna z długimi nogami wyciągniętymi na gołej, drewnianej podłodze. Kuzynka zwracała się do niego per „monsieur Liszt”. Armand przypomniał sobie, kto to taki. Pianista, o którym Anne wspominała, gdy spotkali się po raz pierwszy. Monsieur Liszt był zatopiony we własnych myślach.

- Przepraszam - powiedział młodzieniec.

- O, jak dobrze, że się pan obudził! - zawołał gospodarz. - Ma pan ochotę na bulion?

- Gdzie jest Anne... To znaczy hrabianka? - spytał.

- Mam nadzieję, że wróciła do domu i jest już bezpieczna.

- Nie! Jeśli wróciła do domu, to wcale nie jest bezpieczna!

Armand próbował się unieść na łóżku. Wysiłek spowodował ostry ból brzucha. Chory krzyknął.

- Spokojnie, człowieku! - Liszt delikatnie ułożył go z powrotem na poduszkach. - Dlaczego twierdzisz, że mademoiselle Anne coś grozi?

Armand poczuł, że do oczu cisną mu się łzy, a potem spływają po policzkach.

- Nie... nie wiem. Nie jestem pewien, to znaczy... Nie jestem w stanie niczego udowodnić, naprawdę...

Zakasłał. Przestraszony Liszt poderwał się z krzesła i przyniósł szklanekę wody.

- Może sprowadzę lekarza - zaproponował.

- Tak. Doktora Talona, jeśli byłby pan taki miły.

Franciszek nie został ubiegłego wieczoru przedstawiony medykowi, ale Anne powiedziała, że można go znaleźć na uniwersyteckim wydziale medycyny. Liszt złapał surdut z oparcia krzesła.

- Nic się panu nie stanie, gdy wyjdę?

- Nie, jestem po prostu bardzo zmęczony - odparł Armand.

Pianista zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Uznał, że najlepiej zrobi, jeśli szybko sprowadzi Talona, by zbadał chorego.

XXVII

Następnego ranka koło dziewiątej Georges potrząsał przyjacielem, żeby go obudzić. Pierre poczuł ból. Na szczęście rana nie dokuczała mu już tak mocno jak wcześniej. Gdy wrócił w nocy do domu, otworzył ją i osuszył, co przyniosło mu ogromną ulgę. Teraz jednak odczuwał inny ból - coś twardego wbijało mu się w lewe biodro.

- Obudź się, Pierre! Szuka cię jakiś dziwny gość, który mówi z obcym akcentem.

Georges nadal potrząsał współlokatorem, a przy każdym jego ruchu twardy przedmiot sprawiał Pierre'owi ból.

- Au! Przestań! - krzyknął i usiadł na łóżku tak szybko, że uderzył głową o ścianę. - O co chodzi?

- Okropnie wyglądasz - odparł Georges.

Gdy medyk nieco oprzytomniał, dostrzegł na twarzy przyjaciela troskę, która zastąpiła widoczne wcześniej zniecierpliwienie.

- Co ci się stało? - spytał Georges.

- Nie mogę ci tego teraz wyjaśnić - odparł Pierre. - Mówiłeś, że ktoś tu jest.

- Owszem, facet, któremu bardzo zależy, żebyś gdzieś z nim poszedł. Kazał cię obudzić.

Pierre dotknął ręką boku i znalazł pistolet markiza, który Gardive kilkanaście godzin temu odebrał starszemu panu. Młodzieniec wieczorem nie wyjął broni z paska i teraz bez wątpienia będzie miał bolesny siniec.

Chciał odłożyć broń na stolik, lecz w ostatniej chwili zrezygnował z tego pomysłu.

- Podał swoje nazwisko? - spytał przyjaciela.

- Franciszek Liszt - odparł Georges.

Pierre w ułamku sekundy oprzytomniał. Narzucił surduta na koszulę bez rękawów i przeczesał palcami włosy. Co węgierski wirtuoz robi w jego mieszkaniu?

Gdy szarpnięciem otworzył drzwi do małego salonu, pianista wstał z niskiego, tapicerowanego krzesła. Nie był już tak pewny siebie, jak poprzedniego wieczoru, lekko się garbił, jakby ostatnie wydarzenia go przytłaczały i utrudniały wyprostowanie kręgosłupa.

- Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam, ale hrabianka Anne kazała mi pana odszukać i sprowadzić do jej kuzyna, pana de Barbiera.

- Gdzie on jest? A ona?

Pierre był ciekaw, skąd Węgier wie o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Przecież na własne oczy widział, że to nie Liszt, lecz Anne zabrała kuzyna z hôtel Barbier.

- Monsieur de Barbier jest w moim mieszkaniu. Bardzo źle się czuje.

- W pańskim mieszkaniu? Jak...

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Musi pan natychmiast pójść ze mną.

- A gdzie jest Anne... To znaczy hrabianka?

Pod wpływem podejrzeń Pierre poczuł falę gorąca uderzającą mu na twarz.

- Wczesnym ran... wczoraj wieczorem wróciła do madame d'Agoult.

Pierwsze słowa wyjaśnienia nie uszły uwagi Pierre'a.

- Czyli...

To niesłychane! Chociaż z drugiej strony, gdzie indziej dziewczyna mogła spędzić noc, jeśli nie było jej ani w domu, ani u madame d'Agoult?

- Proszę nie wierzyć pozorom. Chodzi tylko o niefortunny zbieg okoliczności.

- Nie widzę żadnego rozsądnego wytłumaczenia - odparł Pierre, czując, że krew znowu uderza mu do głowy.

Georges, który podsłuchiwał rozmowę zza drzwi sypialni, w mgnieniu oka znalazł się u boku przyjaciela i złapał go za rękę.

- Na pewno zaszło jakieś nieporozumienie.

- Stanowczo protestuję przeciw próbie splamienia mojego honoru. - Liszt wyprostował się i zerknął znad orlego nosa na obu studentów, stojących po drugiej stronie pokoju. - W tej chwili zależy mi jednak na tym, żeby lekarz zbadał pana de Barbiera. Jest mi obojętne, czy to będzie pan, czy też ktokolwiek inny.

- Myślę, że mój przyjaciel jest przemęczony - zaczął Georges, jednak urwał, gdy ten zacisnął palce na jego ramieniu. - Au!

- Wyprowadź pana Liszta! - warknął Pierre.

- Czyś ty oszalał? - szepnął Georges. - Przychodzi po pomoc, a ty traktujesz go jak kryminalistę.

- Jeśli oszalałem - zaczął Pierre - to...

Urwał i w niegrzeczny sposób odwrócił się plecami do zaszokowanego Liszta.

- Chodźmy, monsieur - powiedział Georges, biorąc Węgry pod łokieć i kierując go w stronę wyjścia. - Moja wiedza z zakresu medycyny jest przynajmniej tak samo rozległa jak ta, którą dysponuje mój przyjaciel. Z przyjemnością zajmę się chorym, który właśnie przebywa w pańskim mieszkaniu.

Gdy za Georges'em i Lisztem zamknęły się drzwi, a Pierre został sam, walnął pięścią w ścianę. Po jego policzkach popłynęły gorzkie łzy. Madame d'Agoult miała rację. Anne dała się uwieść Lisztowi.

Tylko jakie miał prawo ją osądzać, skoro sam zgodził się na zorganizowanie ucieczki dziewczyny, przypuszczalnie wbrew jej woli? Poza tym w tej chwili hrabianki nie było już w mieszkaniu pianisty, który powiedział, że Anne znajduje się na quai Malaquais. Georges zbada Barbiera. Pierre uznał, że musi zobaczyć się z hrabianką, porozmawiać z nią o swoich uczuciach i dowiedzieć się, czy jest jakaś nadzieja, żeby mógł kiedykolwiek znaleźć przychylność w jej oczach... niezależnie od tego, co zaszło między nią a węgierskim pianistą.

Anne próbowała odpocząć, niestety, zbyt liczne myśli kłębiły się jej w głowie. Obawiała się spotkania z ojcem. Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, iż jej zdaniem - świadomie lub nieświadomie - starał się doprowadzić do śmierci kuzyna. Zegar wybił wpół do czwartej. Właśnie miała zamiar się odświeżyć, a potem zapytać, czy Marie jest wolna i czy mogłaby z nią porozmawiać, kiedy Adèle zapukała do drzwi.

Może dotarły moje rzeczy i będę mogła się przebrać - pomyślała dziewczyna, mając nadzieję, że markiz zgodził się również przysłać jej Thérèse.

- Proszę wejść - powiedziała, niecierpliwie czekając na wieści.

- Przyjechał posłaniec z hôtel Barbier i przywiózł list dla pani - powiedziała Adèle, podając Anne złożony karteluszek.

Chère Anne!

Wybacz, proszę, swojemu głupiemu ojcu wszystko, przez co musiałaś przejść w ciągu ostatnich tygodni. Moim jedynym usprawiedliwieniem jest smutek, który z pewnością zrozumiesz.

Dopóki monsieur de Barbier dobrze się czuje, nie mamy o co się kłócić. Proszę, wróć do hôtel Barbier. Obiecuję, że postaram się być lepszym ojcem i zadbać o Twoje bezpieczeństwo. Wydałem polecenie, by Victor na Ciebie czekał.

Ojciec

Anne położyła kartkę na łóżku i wbiła w nią wzrok. Czy to możliwe, że ojciec zdobył się na przeprosiny? Dotychczas podczas wspólnych posiłków prawie nigdy na nią nawet nie spoglądał. A może zależy mu na jej powrocie z jakiegoś innego powodu? Nie miała zamiaru zdradzać mu, gdzie znajduje się Armand, jeśli o to mu chodziło. Z drugiej strony, czy w takiej sytuacji mogła zostać u Marie? Ojciec wyraził skruchę. Nie miała żadnego dowodu, że naprawdę chciał wyrządzić jej krzywdę.

- Adèle, proszę, przekaż madame d'Agoult, że wracam do hôtel Barbier. Chociaż... nie, zostawię jej liścik.

- Czy mam posłać po powóz, mademoiselle?

- Nie ma takiej potrzeby. Victor na mnie czeka.

Anne skreśliła kilka słów i położyła kartkę na gzymsie kominka w salonie. Kiedyś i tak musi spotkać się z ojcem. Lepiej, jeśli to bolesne doświadczenie będzie miała już za sobą.

Kiedy dotarła do domu, spodziewała się, że ojciec osobiście ją powita. Zamiast markiza napotkała jednak Juliana, który powiedział, że starszy pan jest ze swym gościem w bibliotece i prosił, żeby im nie przeszkadzać.

Lokaj jeszcze nie skończył, gdy ciszę panującą w domu zakłócił podniesiony głos ojca:

- Zapewniam cię, nic z tego! Nie możesz mnie już skrzywdzić. Są bezpieczni, a ja podejmę odpowiednie kroki...

Markiz tak bardzo zniżył głos, że Anne nie była w stanie rozróżnić słów. Ruszyła pędem w stronę biblioteki, jednak Julien z zaskakującą jak na siebie szybkością stanął przed zamkniętymi drzwiami, rozłożył ramiona i zagroził jej drogę. Dziewczyna wystarczająco dobrze знаła jego lojalność, by wiedzieć, że służący nie wpuści jej do środka.

- Markiz zabronił - powiedział, używając swojego zwykłego, obojętnego tonu. - Prosił, aby panienka po przyjeździe odpoczęła w swoim pokoju.

Anne nie wiedziała, kto rozmawia z ojcem i tak bardzo go denerwuje. Na dziedzińcu nie było żadnej obcej karety. Po tym, co ostatnio przeszła, miała nadzieję, że skończą się tego rodzaju tajemnicze wydarzenia. Była jednak zbyt zmęczona, by się nad nimi zastanawiać. Postanowiła, że pójdzie spać, a kiedy się obudzi, może się okazać, iż ostatnie dni były jedynie niespokojnym snem. Może znajdzie się jakieś proste wytłumaczenie

wszystkich tajemnic i wątpliwości, a ojciec przerwie milczenie i w końcu będzie mogła znaleźć w nim oparcie. Przynajmniej nie musiała się już martwić o Armanda. Bez słowa weszła po schodach. W pokoju czekała na nią koszula nocna, a w kominku palił się ogień. Nie było widać Thérèse, jednak obowiązki często zatrzymywały ją w innych częściach domu. Anne rzuciła suknię na podłogę, wciągnęła przez głowę luźną koszulę i położyła się do łóżka.

Gdy Georges wyszedł wraz z Lisztem, Pierre zdał sobie sprawę, że jest straszliwie zmęczony. Wiedział, że podczas rozmowy z Anne będzie musiał bardzo uważać. Pomimo wzburzenia zasnął kamiennym snem, gdy tylko położył się na łóżku. Kiedy otworzył oczy, za oknem ciemniało. Poderwał się i usiadł tak gwałtownie, że zakręciło mu się w głowie. Wykąpał się, przebrał i próbował uspokoić zszargane nerwy, żeby podczas konfrontacji z hrabianką zachować zdrowy rozsądek. Dopiero po chwili dostrzegł na stoliku w salonie list zaadresowany na swoje nazwisko. Nie znał tego charakteru pisma, jednak gdy dostrzegł urzędową pieczęć, natychmiast rozerwał kopertę. Nadawcą mógł być tylko Gardive.

Natknąłem się na jeszcze jeden dokument, który moim zdaniem powinien Pan koniecznie zobaczyć. Proszę zajrzeć do mnie z samego rana.

Z samego rana... Był już wieczór. Pierre chwycił kapelusz i pelerynę. Bez wahania wetknął za pas pistolet markiza i wybiegł z pokoju. Dopiero wtedy zauważył, że rana już mu bardzo nie dokucza. Zbiegając po schodach, niemal zderzył się z Georges'em.

- Dokąd tak pędzisz? - spytał przyjaciel. - Nie ma go w domu!

Kogo nie ma w domu? - pomyślał Pierre. - Ach, pewnie ma na myśli Liszta!

- Biegnę do prefektury. Wszystko ci później wyjaśnię.

- Zaczekaj!

W głosie przyjaciela było coś, co zatrzymało Pierre'a. Odwrócił się i spojrzał na Georges'a, który stał kilka stopni wyżej, trzymając się pod boki.

- Wszystko opacznie zrozumiałeś, głupcze.

Pomimo nagłej wiadomości od Gardive'a Pierre uznał, że musi wysłuchać, co Georges ma mu do powiedzenia. Najwyraźniej przyjaciel się obawiał, że Pierre będzie chciał wyzwać pianistę na pojedynek. Georges nie wiedział, iż jego współlokator powściągnął gniew i w tej chwili chciał jedynie zapoznać się z najnowszym odkryciem Gardive'a oraz zobaczyć się z Anne.

- Nic złego się nie stało. Mademoiselle de Barbier-Chouant chciała jedynie pomóc kuzynowi. Młody człowiek w tej chwili odpoczywa, o ile cię to interesuje, i jutro bez wątpienia poczuje się na tyle dobrze, żeby móc wrócić do swojego mieszkania.

Pierre zwiesił głowę, zawstydzony faktem, że uwierzył w najgorsze.

- Nie wiem, co powiedzieć. Mam jednak pilną sprawę do załatwienia i nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić.

Zostawił Georges'a, nie dopuszczając go do słowa.

Obawiał się, że Gardive nie będzie chciał się z nim teraz zobaczyć. W końcu miał przyjść rano. Na szczęście strażnik wskazał mu drogę do biura urzędnika.

- Cieszę się, że pana widzę - powitał go Gardive. - Nie będę tracił czasu i od razu pokażę panu informacje, które otrzymałem z innego biura.

Otworzył szufladę i spod znajdujących się w niej papierów wyjął jakiś dokument przewiązany niebieską wstążeczką. Pierre z prawdziwą fascynacją obserwował, jak Gardive delikatnie rozwiązuje węzeł, uważając, żeby podczas tej operacji niczego nie uszkodzić. Po chwili urzędnik rozwinął sztywny welinowy papier i rozłożył go na dokumentach, którymi założone było jego biurko.

- Proszę spojrzeć - powiedział. - Markiz jest przebiegłym człowiekiem. Ta cecha bez wątpienia była potrzebna mu na dworze. - Odsunął się, żeby Pierre mógł przeczytać dokument. - Widzieliśmy akt urodzenia mademoiselle Anne, akt małżeństwa jej matki oraz świadectwo chrztu dziewczyny. Na ich podstawie wyciągnęliśmy konkretne wnioski. Zaintrygowało mnie jednak, że nagle na horyzoncie pojawił się daleki kuzyn, toteż zacząłem szukać informacji na temat tego, co łączy go z markizem. Ma pan przed sobą dokument sankcjonujący prawną opiekę. Jak pan widzi, Armand de Barbier jest w rzeczywistości bratankiem markiza, czyli bardzo bliskim kuzynem mademoiselle de Barbier-Chouant.

Pierre pochylił się nad dokumentem. Kilkakrotnie uważnie go przeczytał, zanim uniósł wzrok.

Markiz de Barbier-Chouant (określany dalej jako „opiekun”) ponosi pełną odpowiedzialność za właściwe zarządzanie kwotą stu pięćdziesięciu tysięcy franków. Ta suma oraz wszystkie wypracowane przychody zostaną przekazane Armandowi de Barbierowi (określanemu dalej jako „wychowanek”) w dniu jego dwudziestych pierwszych urodzin.

Jeśli wychowanek umrze, nie osiągając wymaganego wieku, wszystkie dochody z zainwestowanego kapitału przejdą na wyłączną własność opiekuna, natomiast sam kapitał zostanie rozdzielony zgodnie z ostatnią wolą wychowanka.

Jeśli wychowanek umrze, nie pozostawiając testamentu, cały kapitał i wypracowane zyski staną się własnością opiekuna.

- Przecież to nie... - zaczął Pierre.

Gardive wzruszył ramionami.

- Markiz w czasach rewolucji zniknął z powierzchni ziemi, a potem, po objęciu tronu przez Ludwika XVIII, nagle wrócił. Nie wiadomo, gdzie spędził czas nieobecności. Krążyły pogłoski, że był na wygnaniu, jednak wśród szlachty i arystokracji, która uciekła wtedy z kraju, nikt o nim nie słyszał. Poszukiwano go, bo zostawił po sobie wiele długów. Jednak w tej chwili istotna jest odpowiedź na inne pytanie. - Gardive przerwał i dotknął palcem wskazującym nosa. - Czy młody monsieur de Barbier napisał testament.

- Co więcej, ostatnia wola matki...

Pierre urwał, gdy sobie przypomniał słowa przeczytane w dokumencie, który obecnie znajdował się w posiadaniu madame d'Agoult.

Gdyby moja córka umarła wcześniej niż mój mąż, cały mój posag oraz wszystkie przychody powinny przypaść markizowi de Barbierowi-Chouantowi.

Urzędnik potrząsnął głową.

- Wszystko wskazuje na to, że markiz miałby mnóstwo powodów, by cieszyć się zarówno ze śmierci bratanka, jak i pasierbicy. Niewykluczone, że podobnej radości dostarczyła mu śmierć żony.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z Anne. Jestem niezmiernie wdzięczny, że poświęcił mi pan tyle czasu i energii. W jaki sposób mógłbym...

- Nie ma o czym mówić. Bardzo mnie ta sprawa zainteresowała, gdy poznałem personalia młodej damy. Proszę jednak uważać. Markiz może być zdeterminowany, skoro wychowanek wymknął mu się spod kontroli.

Pierre opuścił biuro, zapewniając Gardive'a, że zawiadomi go, jak tylko będzie miał powody do wszczęcia alarmu.

Na wieczornym niebie błąkały się jeszcze resztki światła, jednak w miejscu, w którym stała Marie, panowała ciemność. Zostawiła Anne na quai Malaquais, a służący wciąż sprząтали po przyjęciu. Madame d'Agoult miała zamiar wrócić na kolację, przy której chciała omówić z protegowaną następne kroki.

Naprawdę postradałam zmysły - pomyślała, kiedy owinięta w pelerynę i z głową okrytą woalką wyciągała rękę, żeby pociągnąć za dzwonek i uprzedzić o swojej obecności osobę znajdującą się w pracowni Eugène'a Delacroix. Modliła się, żeby ktoś szybko wpuścił ją do środka. W przeciwnym razie wróci do domu, czując się wzgardzona i odrzucona. Może poprzedniego wieczoru Franciszek nie mówił poważnie?

Próbowała wytrwać w swoim postanowieniu i nie myśleć więcej o Liszcie, jednak przez cały dzień prześladowało ją wspomnienie jego udręczonych oczu. Wmawiała sobie, że przyszła tutaj tylko po to, by sprawdzić, czy jej słowa zostały potraktowane poważnie i czy oni obydwójce będą się zachowywać jak para obcych sobie ludzi. Miała zamiar razem z córeczkami wybrać się do bratowej. Charles właśnie wracał z północy i miał się do nich przyłączyć.

Wstrzymała oddech, słysząc kroki na schodach za drzwiami. Zanim zdołała przygotować się na powitanie, Franciszek szarpnięciem otworzył drzwi. Miał włosy w nieładzie, a w oczach błyszczało z trudem skrywane podniecenie.

- Jesteś! - powiedział zbyt głośno.

- Chciałam ci tylko powiedzieć...

Madame d'Agoult nie zdołała wyrazić do końca swojej myśli, bo Liszt wciągnął ją na klatkę schodową i objął tak mocno, że zabrakło jej tchu. Puścił ją tylko po to, żeby razem z nią pokonać schody. Sam szedł po nich tyłem, potykając się i śmiejąc radośnie. Kiedy dotarli na górę, kopnięciem otworzył drzwi i zanim Marie zdołała się zorientować, znalazła się w jego ramionach. Przez woalkę całował jej usta, oczy i policzki, potem uniósł delikatny materiał i dalej okrywał pocałunkami twarz ukochanej.

- Nie... ty nic... nie rozumiesz... Ja tylko...

Ledwo mogła złapać oddech, by coś powiedzieć. Zanim zdała sobie sprawę, co się dzieje, wciągnął ją do pokoju, w którym opadli na otomanę z zachęcająco porozrzucanymi jedwabnymi poduszkami.

Przecież nie po to tu przyszłam - pomyślała Marie.

Nagle zdała sobie sprawę, że sama się oszukuje. Jeśli nie chciała, żeby coś takiego się wydarzyło, nie powinna przychodzić. Przepadła z kretesem. Teraz mogły ją uratować tylko odległość i czas.

XXVIII

Nagły hałas wyrwał Anne z głębokiego snu. Otworzyła szeroko oczy i natężyła słuch, jednak wokół panowała niczym niezmacona cisza. Po chwili zakłóciły ją odległe odgłosy kroków, dochodzące ze skrzydła zajmowanego przez służbę albo nawet gdzieś z piwnic. Dziewczyna nie wiedziała, jak długo spała, jednak za oknami było już ciemno, a świeczka obok łóżka wypaliła się mniej więcej do połowy. Anne usiadła. Najwyraźniej podczas jej snu w pokoju była Thérèse, która przyniosła suknię wieczorową. Szczotki i perfumy stały na toaletce w idealnym porządku, a narzuta była zdjęta i złożona w nogach łóżka.

Sen przywrócił dziewczynie siły. Wstała i postanowiła, że się ubierze i zejdzie do ojca. Zadzwoiła na Thérèse, zdjęła koszulę nocną i rzuciła ją na podłogę. Ponieważ służąca mogła dotrzeć dopiero za kilka minut, Anne włożyła świeżą halkę i zapinany z przodu gorset, potem wciągnęła suknię przez głowę. Była to kreacja sznurowana z przodu, tylko pasek miał zapięcie z tyłu, więc na razie zostawiła go w spokoju. Czekając na Thérèse, usiadła przy toaletce, chcąc sprawdzić, co da się zrobić z włosami.

Natychmiast pobiegła myślami do Armanda. Zastanawiała się, czy Liszt znalazł Talona i czy kuzyn ma wreszcie należytą opiekę.

Na myśl o ojcu poczuła wyrzuty sumienia. Na jego miejscu byłaby zrozpaczona, gdyby ktoś zabrał spod jej opieki chorego krewniaka. Jeśli w trakcie rozmowy markiz rzeczywiście będzie skłonny jej wybaczyć i prosić o wybaczenie, Anne wyzna mu, jak bardzo się pomyliła. Gdy tylko Armand poczuje się lepiej, przywiezie go z powrotem do hôtel Barbier.

Czemu Thérèse tak długo nie przychodzi? - pomyślała z narastającą irytacją. Zadzwoiła ponownie, tym razem znacznie dłużej, a potem zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju. Kiedy po upływie kolejnych pięciu minut służąca nadal się nie pojawiła, postanowiła, że sama jej poszuka. Nawet jeśli wszystko w domu stanęło na głowie, służący wciąż mieli swoje obowiązki, które powinni wykonywać. Podeszła do drzwi, chwyciła za klamkę i pociągnęła.

Drzwi były zamknięte. Spróbowała raz jeszcze. Bez skutku. Nigdy wcześniej nikt nie zamykał Anne pokoju. Dlaczego stało się to tego wieczoru? Byłam głupia, wierząc, że ojciec mi wybaczył - pomyślała. Najwyraźniej postanowił wymierzyć jej karę. Miała nadzieję, że szybko się dowie, co ją czeka. Zadrżała. Trudno inaczej wytłumaczyć uwięzienie. Potem przyszła kolejna myśl: Może ojciec obawia się, że znowu ucieknę? Dziewczyna starała się uspokoić bicie serca. Jej wyobraźnia była ostatnio zbyt pobudzona, to wszystko.

Zegar na toaletce wybił jedenastą. Po chwili Anne usłyszała odgłosy dochodzące z ulicy. Było zbyt późno, żeby ktokolwiek przechadzał się po tak odległym zakątku Saint Germain. Okna pokoju wychodziły z jednej strony na drogę na tyłach hôtel Barbier, z drugiej na ciemny zaułek, którym chodziła służba. Hrabianka uchyliła lekko zasłonę, żeby zerknąć, co się dzieje na zewnątrz.

W słabym świetle lamp dostrzegła niewyraźny kształt, którego mimo to nie mogła z niczym pomylić. Z trudem stłumiła krzyk radości, gdy ujrzała znajomy zarys fortepianu matki, owiniętego w grube sukno.

Dwóch krzepkich mężczyzn z trudem wносиło instrument przez jedno z wysokich okien sali balowej.

- Jesteś pewien, że ktoś nam za to zapłaci? - spytał jeden z nich.

- Ci...! - syknął drugi.

Anne wyteżyła słuch w oczekiwaniu na dalszy ciąg rozmowy. Wydawało jej się, że usłyszała coś w rodzaju „przecież są spadkobiercy”, jednak to nie miało żadnego sensu.

Markiz postanowił otworzyć salę balową. Nocny transport wyjaśniał zamknięte drzwi pokoju Anne. Nie chciał, żeby zeszła na parter i ujrzała, jak dwóch osiłków wnosi fortepian na swoje miejsce. Przecież oficjalnie instrument przez cały czas stał w domu. Dziewczyna pomyślała, że może pleyel został po prostu wysłany do remontu. Matka zawsze narzekała, że tłumiki nadają się do wymiany. Pod wpływem ogromnej ulgi Anne miała ochotę się rozplakać.

Zasiadła przy toaletce i upięła włosy na czubku głowy. Nie potrzebowała Thérèse, żeby porządnie wyglądać. Gdy jednak ruch pod oknami ucichnie, zadzwoni po raz kolejny. Bez wątplenia w całym zamieszaniu za pierwszym razem nikt jej nie usłyszał.

W pewnej chwili rozległ się okropny dźwięk, który przypominał rozłupywanie drewna. Anne miała nadzieję, że rozbite zostało okno, a nie fortepian. Po upływie kwadransa wszystko ucichło. Hrabianka znowu przywołała służbę, tym razem dzwoniąc wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że ktoś ją usłyszał.

Po jakimś czasie za drzwiami rozległy się kroki, jednak nie Thérèse, raczej Juliena. Zgrzytnięcie klucza w zamku świadczyło, że za chwilę zostanie zwolniona z tymczasowego więzienia.

- Markiz prosi, żeby przyłączyła się pani do niego w sali balowej - powiedział lokaj.

Anne zauważyła, że służący nie wygląda na uszczęśliwionego. Z drugiej jednak strony Julien zawsze był ponury.

Zbiegła radośnie po schodach i dotarła do drzwi sali balowej, zanim lokaj zdołał je otworzyć. Przekręciła z przyjemnością gałkę, mimo woli zwracając uwagę na uszkodzenia spowodowane przez tymczasowy skobel. Potem weszła do pomieszczenia, związanego z matką, do którego nie miała wstępu od jej śmierci.

W sali płonęły wszystkie żyrandole i kinkiety. Anne przysłoniła oczy przed oślepiającym światłem i spojrzała na ojca. Stał przy fortepianie. Instrument miał podniesione wieko, a przy klawiaturze stało krzesło, zachęcające do zajęcia miejsca.

- Widzę, że odpoczęłaś, moje dziecko - powiedział markiz.

Wciąż miał na sobie strój wieczorowy, w którym widziała go na koncercie u Marie, jednak z jego twarzy zniknęła zwykła surowość i nieprzystępność, ustępując miejsca czemuś nowemu. Anne dostrzegła w oczach ojca niepewność, wręcz strach. Ta zmiana zaniepokoiła ją.

- Muszę... muszę z tobą porozmawiać - ciągnął markiz. - Powiedzieć ci o kilku sprawach, ale mamy mało czasu. Najpierw jednak chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Pomimo grubej warstwy pudru widać było, że ojciec jest bardzo blady. Drżącą dłonią przetarł czoło.

Nigdy nie zwracał się do Anne z żadną prośbą, zawsze jej rozkazywał, dlatego teraz nie wiedziała, jak zareagować.

- Wiesz, że zrobię, co zechcesz, ojcze - powiedziała w końcu.

- Ostatnio nie wykonywałaś wszystkich moich poleceń. Może miałaś powód. - Spojrzał na nią ciepło. - Jesteś dobrą dziewczyną. Nie zasługujesz... Wczoraj wieczorem przekonałem się, że pięknie grasz, chociaż byłaś... spletałaś mi figla, nie mówiąc, jak nazywa się twój nauczyciel.

Anne oblała się pąsem. Wolałaby, żeby ojciec w tej chwili nie przypominał o wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

- Chciałam, żebyś był ze mnie dumny.

Zanim zapadła niezręczna cisza, markiz odchrząknął.

- Czy możesz... czy zechciałabyś coś dla mnie zagrać? Tak jak robiła to twoja matka?

Wskazał Anne miejsce przy fortepianie.

Prośba widoczna w jego oczach sprawiła dziewczynie ból. Czy to możliwe, że markiz chce posłuchać jej gry? Czy naprawdę zwracał się do niej człowiek, który dotychczas traktował ją jak cień matki i zwracał na nią uwagę tylko dlatego, by sprawić żonie przyjemność? Uznała, że spełniając jego prośbę, ma szansę być taką córką, jaką zawsze chciała być, a jeśli się nie uda, może przynajmniej mu pokazać, że jest do tego zdolna. Dygnęła, a potem powoli obeszła fortepian, po drodze przyglądając się jego pięknej obudowie z polerowanego drewna. Idąc, tak blisko minęła markiza, że poczuła zapach kamfory z woreczka, który wisiał na szyi starca. Gdy usiadła przy fortepianie, zamknęła oczy i delikatnie położyła ręce na klawiaturze, rozkoszując się dotykiem gładkiej kości słoniowej i odrobinę chropowatego hebanu, tworzących razem charakterystyczny układ czarnych i białych klawiszy. Nie otwierając oczu, zaczęła grać. Nie etiudę Chopina, którą wykonywała poprzedniego wieczoru, lecz sonatinę Clementiego, której nauczyła ją matka. Markiz często prosił żonę o zagranie tego utworu.

Anne zapomniała, gdzie jest. Nie przeszkadzało jej nawet to, że intonacja pleyela odbiega nieco od ideału. Po skończeniu sonatiny zagrała rondo Mozarta, a potem jakieś wariacje. Przyszło jej na myśl, że mroczny, koszmarny okres wreszcie dobiega końca i że teraz wszystko już będzie dobrze.

Pierre dotarł do najbliższego postoju dorożek i kazał się zawieźć na quai Malaquais. Wiedział, że jest zbyt późno na składanie wizyt, jednak tak bardzo się obawiał o Anne, że musiał sprawdzić, czy jest bezpieczna w mieszkaniu madame d'Agoult.

Marie siedziała przy biurku w salonie. Miała na sobie strój wizytowy, a jej płaszcz i kapelusz leżały na otomanie. Zaróżowione policzki świadczyły o tym, że przed chwilą skądś wróciła.

- Proszę mi wybaczyć najście o tak późnej porze - powiedział Pierre, nerwowo przekładając kapelusz z ręki do ręki. - Chciałem się jednakże upewnić, czy mademoiselle Anne jest bezpieczna.

- Jest - zapewniła Marie. - Wróciła do mnie. To mądra decyzja. Przykro mi, że sprawy nie potoczyły się tak, jak planowaliśmy. Może jednak lepiej, że tak się stało. Najwyraźniej Anne miała własny plan.

Madame d'Agoult wstała i zaproponowała Pierre'owi brandy. Kiedy odmówił, nalała kieliszek dla siebie. Młodzieniec zauważył, iż leciutko trzęsą się jej ręce.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać o niepowodzeniu planu. Czy mógłbym zamienić z mademoiselle Anne kilka słów?

- To nie pora na składanie wizyt młodym damom! - Na twarzy Marie pojawił się uśmiech. - Ale ze względu na wyjątkowe okoliczności spytam Anne, czy przyjdzie.

Marie zadzwoniła po pokojówkę.

- Adèle, poproś hrabiankę, żeby przyszała do salonu.

- Nie ma jej, madame - odparła służąca. - Nie czytała pani jej liściku?

Adèle podeszła do kominka, wzięła do ręki złożoną kartkę papieru i podała ją Marie. Najwyraźniej liścik, pierwotnie ustawiony na gzymsie kominka, ześlizgnął się i dlatego leżał na gładkim marmurze. Hrabina rozłożyła kartkę, szybko ją przeczytała, a potem podała Pierre'owi.

- Wygląda na to, że wróciła do hôtel Barbier - rzekła. - Tego się nie spodziewałam.

Medyk zamarł w bezruchu. Poczul się jak w koszmarnym śnie, w którym człowiek chce przed czymś uciec, ale chociaż zawzięcie wymachuje rękami, nie jest w stanie oderwać nóg od podłoża. Miał wrażenie, że nawet jego słowa są ciężkie jak ołów.

- Madame - powiedział. - Ma pani pióro i kartkę papieru?

Ze zdenerwowania wydawało mu się, że minęła godzina, nim Marie znalazła czystą kartkę. W dodatku kałamarz wysechł, więc musiał poczekać, aż pani domu go napełni. Kiedy podawała mu pióro, niemal wyrwał je z jej dłoni, a podczas pośpiesznego pisania w kilku miejscach podziurawił papier.

- Proszę natychmiast wysłać kogoś do prefektury, żeby dostarczył tę wiadomość do pana Gardive'a - powiedział, podając list hrabinie.

Potem, nie żegnając się z nią, wybiegł z mieszkania i wskoczył do czekającej dorożki. Język mu się plątał, gdy próbował wyjaśnić woźnicy, dokąd chce jechać. W końcu udało mu się wykrztusić:

- Rue du Barq! Szybko!

Podczas jazdy wychylał się do przodu i do tyłu, jakby próbował w ten sposób skłonić konie do szybszego biegu. Kiedy wreszcie dojechali w pobliże rezydencji, brakowało mu tchu, jakby całą trasę pokonał pieszo. Chcąc jak najszybciej stanąć na własnych nogach, poprosił woźnicę, by zatrzymał się nieco wcześniej. Uznał, że będzie bezpieczniej, jeśli ostatni odcinek pokona na piechotę. Wsiadając z dorożki, zabrał pistolet markiza, który wcześniej położył na siedzeniu obok, żeby móc wygodniej usiąść. Wziął do ręki mały wycior, przymocowany pod lufą pistoletu, i ostrożnie wsunął go do otworu, by sprawdzić, czy broń jest naładowana. Ku jego zaskoczeniu była. Ustawił kurek w na wpół odbezpieczonej pozycji i wetknął broń za pasek spodni. Skrzywił się, gdy pistolet ucisnął siniak, który zostawił poprzedniej nocy. O dziwo, młodzieniec prawie nie czuł rany w drugim boku. Przyszło mu na myśl, że być może ból - nawet podczas operacji - można pokonać, skupiając myśli na czymś innym.

Jak najciszej wysiadł z dorożki i kazał woźnicy czekać, niezależnie od tego, jak długo wszystko potrwa. Pomodlił się w myślach, żeby Gardive dostał jego wiadomość i sprowadził pomoc.

Zgodnie z obawami Pierre'a brama była zamknięta na głucho. Bez wahania skierował się w stronę uliczki biegnącej obok kwater służby. To tam wraz z Małym znaleźli drewniane okiennice zasłaniające nieoszkłone okno. Ulica była tak samo ciemna, wilgotna i niegościnna jak poprzednim razem, jednak teraz Pierre nawet nie pomyślał, co może się stać, jeśli zostanie schwytyany. Zastanawiał się tylko, jak cichcem dostać się do wnętrza, aby nikt nie odkrył jego obecności, póki nie znajdzie Anne i jej stamtąd nie wyprowadzi.

Tym razem nie mógł liczyć na to, że nóż karła zwolni zatrask. Jednak między okiennicami widniała szczelina, na tyle duża, że dało się w nią wsunąć wycior pistoletu. Spizarnia była pogrążona w ciemności, korytarz również. Kierując się w stronę głównej części domu, Pierre dostrzegł światło sączące się zza drzwi, które łączyły skrzydło dla służby z jadalnią.

Poruszając się tak cicho, jak to możliwe, wyjął pistolet zza paska i odbezpieczył go. Potem powoli zbliżył się do drzwi, nasłuchując oznak życia.

Wokół panowała cisza. Tylko czy na pewno? Duży stół i wytarty gobelin znajdowały się w tym samym miejscu co poprzednio, jednak dom nie był pogrążony we śnie. Pierre mógłby przysiąc, że gdzieś z oddali płyną dźwięki fortepianu. Potrząsnął głową. Na pewno mu się wydaje. Wciąż odczuwał zmęczenie po poprzednim wieczorze, kiedy to gra Anne zrobiła na nim takie wrażenie. Otworzył drzwi z jadalni do westybulu. Wszędzie płonęły świece, chociaż nikogo nigdzie nie było widać.

Jednak teraz już wyraźnie słyszał muzykę. Dźwięki dochodziły z pomieszczenia naprzeciwko biblioteki, zza drzwi, które podczas jego poprzedniej wizyty były zamknięte na kłódkę. Rozpoznał subtelną grę Anne, chociaż słyszał ją wcześniej tylko raz. Dziewczyna skończyła grać cykl wariacji, a potem niemal od razu rozpoczęła kolejny utwór.

W krótkiej przerwie Pierre usłyszał dźwięk, który rozległ się gdzieś w pobliżu. Odsunął ucho od drzwi sali balowej i nasłuchiwał. Ponownie go usłyszał; dochodził z okolic schodów. Starając się poruszać jak najciszej, młodzieniec zrobił kilka kroków. Szmer docierał zza płyty pod schodami. Medyk przyłożył ucho do płyty. Bez wątpienia po drugiej stronie był ktoś... lub coś. Bacznie przyjrzał się drewnianej powierzchni i znalazł otwór, bardzo niewielki. Wetknął weń najmniejszy palec i zaczął nim obracać. Pokonanie pomysłowego zatrzaśku wymagało nieco czasu, ale kiedy w końcu udało się go zwolnić, drewniana płyta odskoczyła.

Za nią student ujrzał leżącego na podłodze jezuitę w średnim wieku. Mężczyzna był związany i miał zakneblowane usta. Młodzieniec niemal krzyknął, jednak przerażone spojrzenie więźnia nakazało mu zachować ciszę. Odłożył broń na bok i zaczął rozwiązywać sznur krępujący zakonnik.

- Co, u...

Gdy tylko rozwiązał mu ręce, zakonnik położył palec na ustach i wskazał salę balową. Pierre wstał i sięgnął po pistolet. Jednak jezuita był szybszy; chwycił broń i wetknął ją za sznur, który opasywał jego habit. Surowe spojrzenie duchownego mówiło, że nie popiera on przemocy. Obaj ruszyli w stronę sali balowej.

Kiedy dotarli do zamkniętych drzwi, dźwięki muzyki nagle ucichły. Pierre przycisnął ucho do drzwi.

- Brawo, córeczko, brawo! - wołał markiz. W jego głosie słyhać było zdenerwowanie i sztuczną wesołość. - Sądzę, że powinniśmy uczcić powrót muzyki do naszego smutnego domu.

Z sali balowej dobiegł teraz dźwięk dzwonka. Pierre i jezuita szybko ukryli się za załomem schodów. Od strony biblioteki dobiegł ich odgłos skrzypiących kółek i brzęk kieliszków. Po chwili pojawił się stary lokaj z wózkiem. Przywiózł butelkę czerwonego wina i dwa kryształowe kieliszki. Zatrzymał się pod drzwiami sali balowej i cicho zapukał. Po chwili pojawił się markiz, ale nie wpuścił Juliana do środka.

- Dziękuję - powiedział, a służący skłonił się i odszedł.

Dwaj mężczyźni z osłupieniem patrzyli, jak markiz nalewa wino do kieliszków, a potem sięga do kieszeni po małą fiolkę z czymś białym. Przez chwilę jej się przyglądał, potem zbladł i zrobił bardzo nieszczęśliwą minę. Zamknął oczy i przez moment głęboko oddychał, opierając się na wózku. Po chwili najwyraźniej się otrząsnął, schował fiolkę do kieszeni, a następnie wziął kieliszki i wrócił do sali balowej ze słowami:

- Wnieśmy toast! Za twój niezwykły talent. Grasz lepiej niż twoja matka. A teraz, moja droga, sądzą, iż nadszedł czas, żebyś dowiedziała się o czymś, co powinienem ci powiedzieć dawno, dawno temu.

Pierre zdał sobie sprawę, że musi natychmiast działać. Wybiegł z kryjówki i wpadł do oświetlonej sali. Jezuita zrobił to samo.

Hrabianka i jej ojciec trzymali w rękach pełne kieliszki.

- Nie wierz mu, Anne! - krzyknął Pierre.

Na twarzy markiza pojawiło się zdumienie, potem strach. Po chwili odezwał się cicho i z wymuszonym spokojem:

- Anne, musisz robić, co ci każę. Stań za mną.

Dziewczyna przeniosła wzrok z markiza na dwóch mężczyzn i z powrotem.

- On chce panią otruć - ostrzegł Pierre. - Tak samo, jak truł pani kuzyna.

Hrabianka gwałtownie wypuściła powietrze z płuc.

- Co to ma znaczyć, ojczy?!
Zadrzała. Kieliszek wypadł z jej ręki i roztrzaskał się na parkiecie, a wino rozlało się u jej stóp jak krew.

- Anne! - krzyknął markiz. Anne odsunęła się od niego.

- To prawda, markizie. Chciał pan, żeby oboje zmarli i zostawili panu swoje majątki - powiedział zakonnik, wysuwając się do przodu.

Ku przerażeniu Pierre'a jezuita wyciągnął pistolet. Wymierzył odbezpieczoną i gotową do strzału broń w markiza.

- Chyba nie uwierzysz, że chciałbym cię skrzywdzić? - spytał markiz, rzucając błagalne spojrzenie w stronę córki, chociaż nie próbował się do niej zbliżyć. Twarz mu pobladła. - Nie wiercie temu człowiekowi! Nie jest tym, za kogo się podaje. To... to... - Markiz skrzywił się.

Pierre nie wiedział, czy stało się tak z powodu bólu, czy też słowa, które miały paść, były dla starca tak przerażające, że nie potrafił ich wymówić.

- Dlaczego im nie powiesz? - spytał kapłan.

- Myślałem, że nie żyjesz! - zaszlochał markiz. - To jednak nie daje ci prawa, żeby szantażować mnie z powodu ich spadku.

Pierre wstrzymał oddech. Również Anne stała nieruchomo jak porcelanowa figurka, a jej oczy napęłniły się łzami.

- Julien! Victor! - zawołał markiz zachrypniętym głosem.

Wyglądał tak, jakby lada chwila miał upaść.

Obaj służący najwyraźniej czekali za drzwiami, bo natychmiast wbiegli do pomieszczenia. Jezuita cofnął się, żeby mogli zobaczyć broń.

- Odsuńcie się - powiedział.

- Ojczy - wtrącił się Pierre. - O co tu chodzi?

Ciemne oczy jezuita rzucały gniewne spojrzenia wokół. Medyk zrobił krok w jego stronę, ale szybko się cofnął, widząc wymierzoną w siebie broń.

- Spytaj jego - warknął zakonnik. - Spytaj mojego brata.

Z gardła markiza wyrwał się zduszony okrzyk. W tej samej chwili Anne zawołała:

- Ojczy!

- To prawda. - Markiz skurczył się. - Jest moim bratem, choć tylko przyrodnim... i wstydę się, że to mój brat. - Przetarł ręką czoło. - Zniknął w czasie rewolucji. Armand jest... synem jeszcze jednego brata, któremu się powiodło i który przed śmiercią zlecił mi opiekę nad chłopcem.

- Kłamstwo! Wykluczyłeś mnie z testamentu. Byłeś chciwy.

- Nie byłem chciwy - zaprzeczył markiz cichym głosem, wyciągając kościstą rękę w stronę Anne. - Tylko ślepy. Lokowałem te pieniądze najlepiej, jak umiałem. Twoja matka była bogata. Niestety, wkrótce po naszym ślubie zaczęły pojawiać się żądania. Nie wiedziałem wówczas, kto je stawia. Płaciłem za milczenie. Markiz nie spuszczał wzroku z Anne.

- Za milczenie, ojczy?

- Chodziło o... o to, że... - Markiz nie był w stanie mówić, jednak Pierre domyślał się, co mogą usłyszeć.

- Wiedziałem - wyjaśnił jezuita - że mój brat przyrodni miał dziecko, jednak to nie byłaś ty. Jego syn spędził u jezuitów siedemnaście lat. Armand, moja droga, jest bękartem.

Roześmiał się, wypowiadając te słowa.

Pierre miał nadzieję, że uda mu się oszczędzić Anne bolesnej prawdy na temat jej przeszłości, jednak rewelacje zakonnika kompletnie go zaskoczyły. To było coś nowego, następny sekret, którego nie zdołali odkryć z Gardive'em. Młodzieniec zauważył, że w oczach Anne pojawił się błysk zrozumienia. Otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

- Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa! - zapewnił markiz.

Zadrzał, po czym uniósł kieliszek w kierunku zaszokowanych obserwatorów, wśród których stał również zakonnik gotów w każdej chwili pociągnąć za spust i strzelić mu prosto w serce.

- Wznoszę toast. Za prawdę - dokończył starszy pan.

W tej samej chwili Pierre usłyszał dochodzące z dziedzińca dźwięki: brzęk żelaza, a potem tupot osób podbiegających do drzwi.

- *Au nom de la loi*¹⁰, proszę otwierać!

¹⁰ *Au nom de la loi* (franc.) - W imieniu prawa (przyp. tłum.).

Czyjeś pięści zaczęły uderzać w stare dębowe drzwi. Julien wykradł się, niezauważony przez zakonnika, którego kostki dłoni zbielewały od mocnego ściskania kolby pistoletu. Pierre był gotów rzucić się na niego, gdyby tylko dostrzegł najlżejsze drgnięcie palca w okolicach spustu.

Markiz uniósł kieliszek do ust.

- Wybacz, Anne. Wiedz, że kochałem twoją matkę.

Zanim zdołał wypić wino, zamarł na chwilę w bezruchu, podobnie jak wcześniej w drzwiach sali balowej. Tym razem rysy jego twarzy przeszły jeszcze bardziej zdumiewającą przemianę. Krew odpłynęła mu z policzków, a on sam zgiął się wpół, jakby został postrzelony w brzuch, chociaż ojciec Jaquin nie użył pistoletu. Kieliszek wyslizgnął się z jego ręki, a purpurowy płyn i okruchy szkła zmieszały się ze szkłem stłuczonego kieliszka Anne. Markiz upadł na bok, wijąc się z bólu. Ku przerażeniu Pierre'a zaraz potem nastąpił tak gwałtowny atak torsji, że twarz chorego zrobiła się sina z braku tlenu.

- Co to takiego? Co się dzieje?! - Anne podbiegła do Pierre'a, zakrywając usta dłonią. - Proszę coś zrobić! On jest chory.

- Anne, nie podchodź - ostrzegł młodzieniec, widząc, że dziewczyna ma zamiar podbiec do ojca, który leżał nieprzytomny w kałuży wymiocin.

Złapał ją za ramię, jednak uwolniła się z chwytu i przykucnęła obok markiza.

- Przynies prześcieradła - nakazał Pierre Victorowi, który był zbyt przerażony, żeby zaprotestować.

Jaquin opuścił broń i zaczął się cofać w kierunku drzwi.

- Co ci się stało, ojczy? - szeptała Anne.

- To cholera - wyjaśnił Pierre, kątem oka widząc, że Jaquin coraz bardziej zbliża się do drzwi i lada chwila zniknie w nich z wciąż odbezpieczonym pistoletem.

- Niech się pan nie rusza.

Pierre odmówił w myślach modlitwę dziękczynną, słysząc spokojne, zwięzłe słowa Gardive'a i widząc, jak jego niewzruszona twarz wyłania się znad ramienia zakonnika. Za nim stała grupa uzbrojonych policjantów, blokując przejście.

- Ja tylko... ja tylko chciałem wezwać pomoc dla swojego... dla markiza - wyjąkał jezuita.

- Z bronią w rękę? I to teraz, kiedy przy chorym jest lekarz?

Gardive skinął głową wysokiemu oficerowi, który chwycił Jaquina i odebrał mu pistolet.

- Jak pan śmie! Poinformuję o tym kolegium. Nie macie prawa!

Protesty zakonnika ucichły dopiero wtedy, gdy go wyprowadzono.

Gardive podszedł powoli i spojrzał na markiza, który cicho jęknął. Po wielu nocach przepracowanych w Hôtel-Dieu Pierre rozpoznał w tym niezrozumiałym dźwięku prośbę o wodę.

- Przykro mi, hrabianko - powiedział.

Dziewczyna była blada jak płótno. Znow przyklękła obok markiza.

- Och, ojczy - powiedziała bezbarwnym głosem.

- W mojej kieszeni. Trucizna - szepnął markiz.

- Nieważne. - Anne uciszyła go i przyglądała siwe, rozwichrzone włosy, które się uwolniły spod peruki, gdy ojciec upadł. - Wiem, że musiało ci być trudno.

Łzy dziewczyny spłynęły na policzki markiza, złościąc wyraźne ślady w pudrze, którym pokryta była jego twarz.

Starszy pan z ogromnym wysiłkiem uniósł głowę.

- Nie zrobiłbym tego. Nigdy. Ona miała... - Wypuścił powietrze z płuc. - Ona miała być... dla mnie.

- Wpuście mnie! Moja biedna mademoiselle!

Thérèse przepchnęła się między policjantami stojącymi przy drzwiach. Anne pobiegła do niej i wybuchnęła płaczem.

- Była zamknięta w piwnicy - poinformował strażnik, który wszedł tuż za służącą.

- To ten zakonnik! Zanim zdołałam wezwać pomoc, zrzucił mnie ze schodów.

Thérèse kontynuowała nerwowo swą opowieść, wyprowadzając Anne.

Gardive spojrzał na Pierre'a i kiwnięciem głowy wskazał drzwi. Młodzieniec chciał pobiec za Anne i przeprosić ją za pomyłkę - za sugestię, że mężczyzna, którego uważała za ojca, chce ją otuścić. Nie mógł jednak odmówić urzędnikowi, dlatego też wyszedł za nim na dziedziniec.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, świeży wiaterek osuszył kropelki potu na czole Pierre'a.

- Widzę, że dostał pan mój list.

- Tak, ale markiz całkiem nieźle odrobił swoje zadanie. Wygląda na to, że za ostatnie pieniądze wynajął agentów, a ci w końcu odnaleźli człowieka, który go szantażował, ojca Jaquina, i raport zanieśli bezpośrednio do Gisqueta.

Przez głowę Pierre'a przemknęło tak wiele pytań, że nie wiedział, które zadać najpierw. Co sprowadziło Jaquina do hôtél Barbier właśnie tego wieczoru? Nieśmiały Victor był chyba jedyną osobą, która miała dość sił, żeby obezwładnić zakonniką i uwięzić go pod schodami. Czy właśnie on to zrobił? Kto był prawdziwym dzieckiem markiza?

Tego wieczoru nic więcej nie można było zrobić. W dodatku Pierre czuł, że zaczyna boleć go głowa.

- Porozmawiamy jutro - zaproponował. Gardive skinął głową.

- Będę czekał na pana o dwunastej.

TLR

Epilog

W piękny, słoneczny dzień powóz Anne ponownie jechał za karawanem. Tym razem chowano na Père-Lachaise markiza. Chociaż od śmierci matki upłynęły dopiero dwa miesiące, Anne czuła się tak, jakby w tym czasie przybyło jej kilka lat. Poznała krewnego, o którego istnieniu wcześniej nie miała pojęcia, żeby następnie się dowiedzieć, że w ich żyłach nie płynie ani kropla tej samej krwi. Wydawało jej się, że znalazła miłość, lecz jak się okazało, po prostu oszukano ją. Jeszcze dwa miesiące temu była trzymaną pod kloszem młodą damą, teraz została całkiem sama, a jej przyszłość stanowiła fascynującą, a jednocześnie przerażającą zagadkę. Poznała tyle tajemnic życia i śmierci, że w przyszłości wolałaby już nie mieć z nimi do czynienia.

Markiz trzymał się przy życiu jeszcze dwadzieścia cztery godziny, potem zmarł na tę samą chorobę co żona, dzięki czemu nie musiał popełniać samobójstwa. Anne знаła już na pamięć tekst listu, który Thérèse podczas porządków znalazła na biurku starszego pana. Częściowo wyjaśniał on dziwne wydarzenia, których dziewczyna była świadkiem po śmierci matki, a nawet kilka lat wcześniej.

Droga Anne!

Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że w taki lub inny sposób udało mi się opuścić ziemski padół i uwolnić Cię od ciężaru, jakim musiała być dla Ciebie moja obecność, i przekazać Ci kontrolę nad Twoim majątkiem. Na pewno wiesz już, że nie jesteś moją córką. Bardzo kochałem Twoją matkę, choć zdawałem sobie sprawę, że nigdy nie odwzajemniła moich uczuć. Wystarczało mi jednak, że mogę być blisko niej. Dlatego też starałem się zbyt do Ciebie nie przywiązywać - gdy braliśmy ślub, byłaś już pięknym berbeciem. Zawsze się obawiałem, że obydwie znikniecie jak poranna mgła.

Tak samo jak Twoja matka, również i ja ukrywałem wstydlivy sekret. Armand de Barbier jest moim dziadkiem, moim synem. Mój brat ożenił się z kobietą, którą w młodości kochałem, a ja w porywie namiętności uwiodłem ją, żeby się na nim zemścić. O tym fakcie nie wiedzieli jednak ani twoja matka, ani mój brat. Niestety, mój brat przyrodni, człowiek, który podawał się za ojca Jaquina, owoc romansu mojego ojca i tancerki z opery, wszedł w posiadanie pewnych listów, które mogły mnie zniszczyć. Jego żądania pozbawiły mnie majątku i sprawiły, iż obawiałem się o bezpieczeństwo Twoje i Armanda.

Nie przypuszczałem, że Sandrine umrze przede mną. Miałem nadzieję, że po mojej śmierci będzie miała do dyspozycji znaczną część swojego majątku. To dlatego sprzedawałem to, co należało wówczas do mnie, nie korzystając z jej posagu.

Proszę, wybacz, że próbowałem wydać Cię za mąż za kogoś, kogo ludzie mogliby uznać za Twojego przyrodniego brata - pod warunkiem, że dowiedzieliby się o jego pochodzeniu, a Twoje pozostałoby tajemnicą. To był mój błąd. Moim jedynym usprawiedliwieniem jest fakt, że rozpaczliwie chciałem zapewnić Wam obojgu bezpieczeństwo. Sądziłem, że jeśli się pobierzecie, Jaquin z pewnością nie będzie mógł położyć łapy na Waszych pieniądzech.

Dzięki Bogu, w młodości nie spotkało Cię zbyt dużo cierpień. Twój talent sprawiał mi dużo radości, chociaż o tym nie wiedziałaś, a ja nie miałem nań żadnego wpływu.

Proszę, nie sądź mnie zbyt surowo. Staralem się zaznać tyle szczęścia, ile było możliwe. Chciałbym, by Tobie przypadła w udziale większa jego dawka niż mnie.

Dieu te protège¹¹

Ojciec

¹¹ Dieu te protège (franc.) - Niech Bóg cię chroni (przyp. tłum.).

Armand siedział w powozie obok Anne. Wciąż był słaby, ale stan jego zdrowia z dnia na dzień się poprawiał dzięki opiece Pierre'a Talona i jego przyjaciela Georges'a. Młodzieniec z bólem serca myślał o tym, jak bardzo się pomylił, jeśli chodzi o ojca Jaquina, który był jego wujem. Kiedy komisarz ujawnił informacje na temat zakonnika, Armand przyznał, że uważany przez niego za przyjaciela jezuita wielokrotnie go namawiał, żeby zrzekł się własnego majątku na rzecz kolegium jezuitów, a zarządcą ustanowił samego Jaquina. To wystarczyło sądowi do skazania jezuitę za wymuszenie i szantaż.

Armand zbyt ciężko chorował, żeby poznać markiza, który - jak się okazało - był jego ojcem. Teraz miał jednak szansę zawrzeć bliższą znajomość z siostrą przyrodnią, chociaż wolałby, żeby nie łączyło ich tak bliskie pokrewieństwo. Markiz popełnił błąd, ukrywając prawdę w nadziei, że uda mu się nakłonić syna do ślubu z Anne. Armand nie mógł mu tego wybaczyć, jednak dziewczyna prosiła, żeby odłożył na bok złość, chociaż nie wyjaśniła dlaczego.

Gdy Armand westchnął, Anne delikatnie ścisnęła jego dłoń. Bardzo chciał odwzajemnić uścisk, ale nie miał na to siły, więc tylko zamknął oczy.

W dniu pogrzebu markiza zaledwie kilka konduktów mozolnie wspinało się na leżące na wschód od Paryża wzgórze, na którym bogacze grzebali swoich zmarłych. Jakże inaczej było po śmierci markizy, w szczytowym okresie epidemii!

Gardive, urzędnik odpowiedzialny za wszystkie dokumenty, powiedział Anne, że lepiej zrobi, jeśli zachowa dla siebie informację, iż markiz nie był jej ojcem. Pieniądze należały do jej matki i było ich wystarczająco dużo, żeby dziewczyna spłaciła wszystkie długi ojczyma i rozpoczęła nowe życie.

- Co teraz zrobisz, Anne? - spytał Armand.

- Nie chcę dłużej mieszkać w hôtel Barbier. Sprzedam go tak szybko, jak to możliwe.

Ze starym domem wiązało się zbyt dużo smutnych wspomnień. W dodatku był w tak złym stanie, że nawet cały majątek spadkobierczyni nie wystarczyłoby na remont i utrzymanie rezydencji. Anne dziwiła się, że nie dostrzegła tego wcześniej. Nie zauważała tak wielu rzeczy...

- Gdy tylko znajdę jakieś mieszkanie, będziesz musiał mnie odwiedzić - powiedziała. - Mam zamiar urządzić przyjęcia i wprowadzę cię do towarzystwa... Oczywiście, przy pomocy madame d'Agoult.

Postanowiła zabrać z domu jedynie pleyela i szkatułkę, w której znalazła listy pisane przez swojego prawdziwego ojca do markizy już po jej ślubie. Wszystkie inne bliskie sercu dziewczyny przedmioty dawno zniknęły z rezydencji.

Anne z przyjemnością przypomniała sobie, co madame d'Agoult napisała dzień po śmierci markiza o jej prawdziwym ojcu. Był wybitnym pianistą. Nagle wszystko zaczęło mieć sens. Wtedy też dziewczynie po raz pierwszy przyszło do głowy, czym mogłaby zająć się w przyszłości. Wiedziała, że będzie to wymagało sporej odwagi, ale takie było jej przeznaczenie i nie miała na to żadnego wpływu. Postanowiła nadal doskonalić swoją grę na fortepianie i dawać koncerty. Zamierzała również udzielać lekcji. Jednak nie chciała robić tego pod okiem Liszta. Marie już załatwiła jej lekcje u Chopina.

Z powodu zamieszania z liścikami Anne czuła się jak idiotka. Nigdy nie rozmawiała na ten temat z Marie, jednak była pewna, że hrabina o wszystkim wie. Jeśli zaś chodzi o samego Liszta, dziewczyna rumieniła się na samą myśl o nim.

- Prrr! - rozległ się głos Victora.

Dotarli do grobowca rodu Barbier.

Za karetą Anne i Armanda jechał powóz z Marie i jej mężem Charles'em. Hrabia d'Agoult miał łagodną, życzliwą twarz, lecz żona nie okazywała mu wielkiej sympatii. Ta czwórka oraz Thérèse, Victor i Julien tworzyli małą, smutną grupę przy grobie. Anne ogarnął dziwny spokój, gdyż wyczuwała w tym miejscu obecność matki.

Ksiądz wypowiedział nad trumną te same słowa, które dziewczyna słyszała podczas pogrzebu markizy, potem drewniana skrzynia zniknęła za niewielką płytą. Hrabianka uznała, że na przekór wszystkiemu markiz i markiza powinni spoczywać w jednym grobowcu.

Wracając do karety, po raz ostatni rozejrzała się dookoła. Jej wzrok odnalazł miejsce, w którym niewiele ponad dwa miesiące temu po raz pierwszy ujrzała zawoalowaną Marie. Ku jej zaskoczeniu stał tam jakiś mężczyzna ze złożonymi rękami i pochyloną głową. Kiedy uniósł dłoń w geście powitania, poznała Pierre'a Talona. Przedostatniego wieczoru opuścił ich rezydencję, gdy się okazało, że dla markiza nic już nie można zrobić. Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko, a Anne była tak pochłonięta sprawami życia i śmierci, że nie miała czasu, by znaleźć medyka i podziękować mu za okazaną troskę i podjęcie ogromnego ryzyka... Nawet jeśli popełnił błąd, sądząc, iż Anne zagraża niebezpieczeństwo ze strony markiza.

- Zaraz wracam - powiedziała do Armanda, po czym ruszyła w stronę studenta.

Gdy do niego podchodziła, bacznie przyjrzał się jej twarzy. Anne poczuła, że się rumieni.

- Cieszę się, że pan przyszedł - rzekła.

Spojrzała mu w oczy. Zauważyła, że mają dziwny kolor, pomiędzy błękitem a zielenią, oceniła ich właściciela na jakieś dwadzieścia pięć lat i zwróciła uwagę na jego silną, wyprostowaną sylwetkę. Dlaczego wcześniej tego nie widziałam? - pomyślała.

- Uważałem, że jestem to winien pani... ojcu, hrabianko, zwłaszcza że tak źle go oceniłem.

- Miał pan po temu powody.

Anne zastanawiała się, jak rozległa jest wiedza Talona na temat jej rodziny. Nawet jeśli wiedział, że hrabianka jest nieślubnym dzieckiem, wyraz jego twarzy jednoznacznie świadczył o tym, iż nie umniejsza to w żaden sposób jego szacunku dla niej. Anne poczuła miłe mrowienie. Młodzieniec najwyraźniej był w niej zakochany. Co więcej, zauważyła, że ona sama też nie patrzy na niego obojętnie. Jej uczucia nie przypominały de-

sperackiego zauroczenia Lisztem, nie miały również nic wspólnego z sympatią, jaką darzyła kuzyna. Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Wkrótce przeprowadzę się z Thérèse do nowego mieszkania - powiedziała. - Zostawi mi pan swój adres, żebym mogła pana zaprosić, gdy tylko się zadamowię?

Pierre wyjął z kieszeni surduta mały kartonik i podał go dziewczynie.

- Sam miałem zamiar to zrobić.

Zanim zdążyła włożyć bilet wizytowy do swojej czarnej torebki, Pierre ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

- *Au revoir* - powiedziała Anne.

Czubkiem buta kreśliła arabeski na bruku. Pierre wciąż trzymał jej dłoń, jakby chciał coś powiedzieć. Dziewczyna obawiała się, że młodzieniec oświadczy jej się nad grobem matki, choć zarazem miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nie była jeszcze gotowa na przyjęcie oświadczyn.

- Zagra mi pani coś, gdy przyjdę? - spytał z żartobliwym błyskiem w oku.

- Oczywiście - zapewniła, uśmiechając się z ulgą. A więc tak to się zaczyna - pomyślała.

TLR

Nota historyczna

Romans Franciszka Liszta z Marie d'Agoult był jednym z najgłośniejszych związków wczesnego romantyzmu. Ich pierwsze udokumentowane spotkanie nastąpiło w grudniu (a nie w kwietniu) 1832 roku podczas przyjęcia wydanego przez markizę La Vayer. Marie wspomniała w swoim pamiętniku, że to właśnie wtedy odbyła się słynna scena z brakującymi głosami solowymi do kwartetu Webera.

Madame d'Agoult opuściła męża Charles'a, żeby dzielić życie z Lisztem. Z tego powodu nie pozwalano jej się widywać z córkami, Louise i Claire. Louise zmarła w 1834 roku, mając sześć lat. Marie urodziła Franciszkowi Lisztowi trójkę dzieci (była wśród nich Cosima, późniejsza żona Ryszarda Wagnera). Liszt, który często opuszczał Marie z powodu długich tras koncertowych, był obiektem licznych plotek i cieszył się opinią kobieciarza. Jego związek z Marie d'Agoult zakończył się definitywnie w 1844 roku, kiedy to prasa brukowa ujawniła romans węgierskiego pianisty z tancerką Lolą Montez.

Po rozstaniu Marie została dziennikarką, znaną pod pseudonimem Daniel Stern. To ona zapoznała francuskich czytelników z dziełami Ralpa Walda Emersona, Georga Herwegha i Bettiny von Arnim. W 1846 roku Marie d'Agoult opublikowała swoją jedyną powieść *Nélida* - rozliczenie romansu z Lisztem. Jednakże w większości artykułów Marie pisała o polityce, a pomimo konserwatywnej i rojalistycznej młodości była związana z najbardziej liberalnymi myślicielami swoich czasów, takimi jak: Hippolyte Carnot, Jules Simon i Alexis de Tocqueville.

Pomimo osobistych zasług obecnie Marie jest znana głównie dzięki związkowi z Lisztem. Zmarła w 1876 roku w wieku siedemdziesięciu jeden lat.

Po rozstaniu z nią Franciszek Liszt wyjechał z Paryża do Weimaru, gdzie na długie lata związał się z Karoliną von Sayn-Wittgenstein. Nie mieli dzieci, natomiast to właśnie Karolina była przypuszczalnie prawdziwą autorką wielu pism, które współcześni przypisywali Lisztowi.

Węgierski pianista bardzo dużo podróżował. W 1865 roku przyjął w Rzymie niższe święcenia kapłańskie (ostiarusza, lektora, akolity i egzorcysty) i od tego czasu był znany jako abbé Liszt, chociaż nigdy nie został księdzem.

Jako muzyk, chętnie pomagał kolegom i młodszym artystom. Stworzył fortepianowe transkrypcje symfonii Beethovena, żeby mogło je poznać szersze grono słuchaczy, podobnie postąpił z wieloma pieśniami Schuberta. Lisztowska transkrypcja *Symfonii fantastycznej* Berlioza była przez wiele lat jedyną formą, dzięki której publiczność mogła zaznajomić się z tym niezwykłym dziełem.

Liszt wspaniałomyślnie podchodził również do nauczania i pod koniec życia nigdy nie pobierał wynagrodzenia za lekcje. Udzielał ich wszystkim - zarówno amatorom, jak i przyszłym profesjonalistom - o ile tylko potencjalny uczeń poważnie podchodził do muzyki. To Lisztowi przypisuje się stworzenie terminu „klasy mistrzowskie”. W przyszłości ten właśnie sposób stanie się najważniejszą formą kształcenia muzyków. Chociaż nie opracował konkretnej metody nauczania, dawał lekcje przez całe życie, ostatnią - tydzień przed śmiercią. Zmarł w Bayreuth w 1886 roku w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.

Wywiad z Susanne Dunlap

1. *W nocie historycznej na końcu powieści pisze pani, że Marie d'Agoult jest postacią historyczną i rzeczywiście przez jakiś czas była związana z Lisztem. Czy Anne również ma jakiś pierwowzór, czy też została wymyślona przez panią?*

Anne to postać fikcyjna. Nie chcąc pisać o osobie dobrze znanej ze źródeł historycznych, postanowiłam zbadać losy ludzi, na temat których historia milczy, ludzi, którzy mogli spotkać się ze znanymi osobistościami, brać udział w ważnych wydarzeniach historycznych albo odczuwać ich skutki. Inspiracją do napisania książki stała się Anne, postać, która mogła naprawdę się pojawić. Zaczęłam sobie zadawać pytania: „Co by było, gdyby?”. Co by było, gdyby Liszt spotkał w tamtym czasie młodą kobietę obdarzoną prawdziwym talentem? Był to okres poprzedzający jego głęboki związek z Marie d'Agoult, a sam artysta nie miał jeszcze w pełni wykształconej osobowości artystycznej. Co by było, gdyby młoda arystokratka okazała się prawdziwą artystką i mogła zająć miejsce wśród profesjonalnych muzyków swoich czasów? Co by było, gdyby młodą kobietę dotknęła tragedia, w tym wypadku spowodowana epidemią cholery z tysiąc osiemset trzydziestego drugiego roku?

Moja powieść nie jest beletryzowaną historią w stylu Anyi Seton czy Philippy Gregory (choć uwielbiam czytać książki obu tych autorek). Kiedy piszę, wykorzystuję rzeczywiste postacie i wydarzenia, ale wprowadzam też stworzonych przez siebie bohaterów, którzy wypełniają wymyślony przeze mnie świat; tak więc moja twórczość jest bliższa Sarah Dunant.

2. *Do których postaci z powieści jest pani najbardziej przywiązana i dlaczego?*

Najbliższa jest mi Anne; nie dlatego, że tak jak ona pochodzi z dobrej rodziny i byłam wychowywana pod kloszem, ale ze względu na to, że sama byłam pianistką. W młodszym wieku chętnie uciekałam w muzykę i grę na fortepianie. Bardzo cenię sobie również Marie, kobietę obdarzoną wiedzą i charakterem, osobę, która w młodości popełniła błąd, ale potem potrafiła znaleźć prawdziwą miłość.

3. *To druga pani powieść, która łączy w sobie muzykę i historię. Co przyciąga panią do tego świata? Co w muzyce jest dla pani ważne?*

Wykonywanie muzyki i budowanie instrumentów muzycznych leży w ludzkim charakterze. Muzyka, niezależnie od tego, czy ludzie zdają sobie z tego sprawę, czy też nie, odzwierciedla wszystkie wielkie wydarzenia historyczne ery nowożytnej, a może nawet wcześniejsze. Jest wykorzystywana do celów politycznych i religijnych. Dociera w głąb ludzkiej duszy jak żadna inna forma sztuki, nawet literatura. Z założenia jest pozbawiona słów i wyobrażeń, jednak w połączeniu z tekstem tworzy dodatkową warstwę znaczeń i emocji. Jako pisarka staram się oddać wagę muzyki i ukazać jej zmienną estetykę w sposób, który jakoś pasuje nie tylko do danego momentu w historii, ale także do emocjonalnych i fizycznych efektów, jakie sztuka ta wywiera na słuchaczach i wykonawcach.

Co więcej, zapis nutowy poznałam wcześniej niż litery. Muzyka wciąż działa na mnie równie mocno jak słowa, a czasami nawet silniej.

4. *W jaki sposób podejmuje pani decyzję, o czym będzie pani pisać? Czy najpierw postacie same pojawiają się w pani świadomości i wtedy rozpoczyna pani badania, czy może zaczyna pani od poszukiwań i podczas nich znajduje temat do następnej powieści?*

Dotychczas moje pomysły literackie wyrastały z poszukiwań, które przeprowadzałam w ciągu minionych lat jako muzykolog. Chyba mam obsesję na punkcie umieszczania muzyki w szerszym kontekście społecznym, kulturalnym, a nawet politycznym. Zazwyczaj zaczynam od jakiegoś niejasnego pomysłu lub założenia, a potem prowadzę dodatkowe poszukiwania. Kiedy wyłania się jakaś historia, zaczynam pisać. Czasami pojawia się stopniowo, innym razem od początku jest gotowa. W czasie pisania powieść stopniowo się rozwija, a ja kontynuuję poszukiwania, w miarę jak odkrywam luki w swojej wiedzy. Gdy moja historia zaczyna nabierać kształtu, bardzo chętnie odwiedzam miejsce akcji, jeśli tylko mogę to zrobić i jeżeli nigdy wcześniej tam nie byłam (a nawet jeśli byłam). Dobra znajomość terenu pozwala mi wszystko lepiej zrozumieć i stworzyć bardziej wiarygodną powieść historyczną.

5. *Co sprawia pani najwięcej przyjemności podczas pisania powieści?*

Od czego by tu zacząć? Pisanie przynosi mi mnóstwo radości, a jednocześnie przysparza wielu zmartwień. Uwielbiam wyzwania, jakimi są: konstruowanie dobrej fabuły, składanie wszystkiego w całość i kreślenie postaci. Ogromną przyjemność sprawia mi nie tyle tworzenie pierwszego zarysu, bo to bywa koszmarne, ile traktowanie pierwotnego pomysłu jako punktu wyjścia i praca nad nim - przekształcanie go w coś, co chociaż w przybliżeniu odda moje intencje.

6. *Dlaczego zdecydowała się pani oprzeć powieść na postaci Anne, zamiast skoncentrować się na związku Marie z Lisztem?*

Nie chciałam pisać fabularyzowanej historii jednego z najbardziej znanych romansów romantyzmu, chociaż to mogłaby być wspaniała opowieść. Bardziej interesowało mnie to, jaki wpływ oni oboje i ich świat mogli wywrzeć na zwyczajnego człowieka, w tym wypadku na niewinną, lecz nieszczęśliwą młodą kobietę. Miałam nadzieję, że uda mi się stworzyć postać, która będzie żywo reagować na otaczający ją świat, nie da się jednak przytłoczyć tak silnym osobowościom jak Franciszek Liszt i Marie d'Agoult. Pozwalając bohaterce pobierać u nich nauki, mogłam oprzeć się na wielu źródłach z tamtej epoki. Z drugiej strony jest coś wspaniałego w fakcie, że tworzy się nie tylko jakąś historię, ale również postać, która nabiera życia na stronach powieści.

7. *Co czytelnik powinien pani zdaniem wynieść z lektury Pocałunku Liszta? Co w tej powieści jest dla pani najważniejsze?*

Dla mnie najistotniejsza jest uzdrawiająca moc muzyki i jej wkład w lepsze poznanie samego siebie. Anne przeobraża się z osoby samotnej, oplakującej stratę kogoś bliskiego, w pewną siebie artystkę, i to właśnie stanowi w moim przekonaniu trzon powieści.

8. *Jakie elementy własnego doświadczenia wykorzystała pani podczas pracy nad książką?*

Jako pianistka doskonale wiem, jak człowiek czuje się przy klawiaturze, co dzieje się z umysłem i ciałem podczas ćwiczenia, lekcji z nauczycielem, którego się szanuje, i występu przed publicznością. Pisząc tę powieść, chętnie korzystałam z własnych doświadczeń. Miałam również okazję grać na kilku fortepianach z epoki, którą opisuję w *Pocałunku Liszta*, i starszych. Stare instrumenty znacznie różnią się od współczesnych, zarówno jeśli chodzi o kontakt z klawiaturą, jak brzmienie. Są w stanie to wychwycić i wykonać, i słucha-

cze. Podwójny wymyk, który pozwala na szybką repetycję, był w tamtych czasach całkiem nowym wynalazkiem, a ramy instrumentów wciąż wykonywano z drewna. To narzucało ograniczenia, jeśli chodzi o długość i grubość strun, co z kolei wpływało na wolumen dźwięku, jaki można było osiągnąć. Brzmienie tamtych instrumentów było delikatniejsze i bardziej zaokrąglone. Dźwięk dzisiejszego fortepianu koncertowego byłby dla uszu dziewiętnastowiecznego słuchacza dość ostry.

9. Można odnieść wrażenie, że romanse osadzone w realiach historycznych cieszą się coraz większą popularnością. Skąd pani zdaniem bierze się ich poczytność?

Istnieje nieprzemijająca chęć ucieczki w inne czasy i miejsca, byle dalej od trudnych problemów, o których każdego dnia donoszą środki masowego przekazu. Chociaż powieści osadzone w obecnych realiach są w stanie oderwać nas od codzienności, cofnięcie w czasie dodatkowo wzmacnia efekt. Jako czytelniczka zawsze uwielbiałam zagłębiać się w całkiem innym świecie.

Oczywiście, ludzie w tamtych czasach również borykali się z problemami i przeżywali tragedie. Zapoznanie się z ich życiem pozwala nam nieco inaczej spojrzeć na nasze codzienne trudności i docenić, jak komfortowo żyje dziś człowiek Zachodu. Wystarczy świadomość, że choroby, które przed wiekami zbierały śmiertelne żniwo, dziś nie czynią większych szkód.

Pomimo ogromnych różnic historycznych, czytając powieść dobrze osadzoną w realiach danej epoki, często jestem zaskoczona, że choć mijają wieki, emocje prawie w ogóle się nie zmieniają. Zadanie pisarza polega na tym, by ukazać to bez zbędnych anachronizmów. Zawsze staram się jak najbardziej wiarygodnie przedstawić czytelnikowi życie w dawnych czasach, chociaż nie jest to w pełni możliwe.

10. Dlaczego sięga pani do historii, zamiast opisać teraźniejszość? Czego pani zdaniem czytelnik może się nauczyć, patrząc w przeszłość?

Uwielbiam historię, kulturę i obyczajowość dawnych epok, mniej interesują mnie konflikty i dynastie. Dzięki temu, że wyobrażam sobie, jaki krajobraz mieli przed oczami ludzie kilka wieków temu, jak smakowała wtedy żywność, jakie wrażenie wywoływał dotyk ubrań na ich skórze, lepiej rozumiem swoje miejsce na ziemi. W moim przekonaniu teraźniejszość jest zbyt skomplikowana. Spojrzenie z pewnego dystansu pozwala mi wszystko lepiej rozumieć. Poza tym uwielbiam sztukę, modę i literaturę epok, o których piszę.

Wracam do przeszłości również po to, by podzielić się z czytelnikami swoją wizją minionych wieków. Uważam, że nie ma nic gorszego niż nieznajomość historii. W obecnej epoce, kiedy dzięki technologii cyfrowej zmiany następują z zawrotną prędkością, powrót do nieco spokojniejszych czasów pozwala mi odzyskać siły.